



MARIA PIŁSUDSKA

Zapomniana żona

ELŻBIETA JODKO-KULA



Prószyński i S-ka

MARIA
PIŁSUDSKA
Zapomniana żona

ELŻBIETA JODKO-KULA

Prószyński i S-ka

Copyright © Elżbieta Jodko-Kula 2017

Projekt okładki
Sylwia Turlejska
Agencja Interaktywna Studio Kreacji
www.studio-kreacji.pl

Zdjęcie na okładce
© Biblioteka Kongresu; Jacek Sopotnicki/Fotolia.com

Redaktor prowadzący
Anna Derengowska

Zdjęcia na wkładce
Indigo Images; Narodowe Archiwum Cyfrowe; Elżbieta Jodko-Kula; Biblioteka Kongresu;
Biblioteka Narodowa

Redakcja

Korekta
Małgorzata Denys

ISBN 978-83-

Warszawa 2018

Wydawca
Prószynski Media Sp. z o.o.
ul. Gintrowskiego 28, 02-697 Warszawa
www.proszynski.pl

Wstęp

Kobiety w życiu sławnych mężczyzn pełniły różne role. Matki – kształtowały charaktery, chroniły, uczyły, czasami rozpieszczały, widząc w rosnących u ich boku chłopcach walory, których nie zauważał jeszcze nikt inny. Często borykając się z życiowymi trudnościami, bywały dla synów przykładem zaradności lub pokory. Czasem zaś, przez nadmierną surowość, prowokowały bunt.

Życiowe relacje z matkami stawały się dla wybitnych przywódców fundamentem, na którym budowali swoje późniejsze związki z kobietami. Kochające rodzicielki często do końca ich życia zajmowały niezachwianie silne pozycje w sercach swoich synów, pozostając ważną częścią rzeczywistości lub wyidealizowanym wspomnieniem.

Partnerki stojące u boku sławnych małżonków niekiedy usuwały się w cień, matkując im raczej, niż cokolwiek narzucając. Czasem, choć dużo rzadziej, starały się odgrywać publicznie równie ważne jak oni role, co bardzo różnie kończyło się dla związków. Najczęściej jednak żony lub towarzyszk życia intensywnie wspierały swych mężczyzn, dbając nie tylko o rodzinne gniazda, ale i o powodzenie ich przedsięwzięć.

Niektóre kobiety miały swój udział w wielkich dziejowych sukcesach partnerów, nigdy nie domagając się nagrody. Dla wielu nagrodę samą w sobie stanowiło miejsce u boku znanego i szanowanego lub wręcz wielbionego człowieka. Kobiety te często rezygnowały z realizacji własnych zamierzeń, akceptując swoją rolę.

Wiele z partnerek ukrywało przed światem dziwactwa lub słabości swych sławnych mężczyzn, godząc się często na nie najlepsze traktowanie lub zdrady, których doświadczały.

Większość żon lub konkubin, świadoma roli, jaką przyszło im odegrać, przymykała oczy na niedoskonałości swoich partnerów. Inne zaś za wszelką cenę próbowały walczyć o spokój rodziny, co jednak na ogół nie przynosiło pożądanych efektów.

Żony sławnych mężów nie mają łatwego życia i rzadko bywają jedynymi ich partnerkami. Władza lub sława wywołują często poczucie wszechmocy, a co za tym idzie, podnoszą znacznie (przede wszystkim we własnych oczach) atrakcyjność tego, który ją sprawuje.

Życiowe partnerki sławnych mężczyzn nieczęsto miewają spokojne i udane życie, jednak wokół znaczących męskich postaci nigdy nie brakuje kobiet gotowych podjąć się roli towarzyszk życia, czasem nie pierwszej i nie drugiej z kolei.

Prolog

Kiedy Karolina po raz pierwszy spotkała Marię Piłsudską na podwórku kamienicy przy ulicy Szlak 31 w Krakowie, matka Marszałka, Maria z Billewiczów Piłsudska, od dawna istniała jedynie we wspomnieniach kochającego syna.

Pierwsza miłość Józefa Piłsudskiego, Leonarda Lewandowska, nie żyła już od dwudziestu lat. Jego druga żona, Aleksandra Szczerbińska, wychowywała dwie małe córeczki, a późna miłość, Eugenia Lewicka, studiowała prawdopodobnie medycynę.

Jesienią 1920 roku pierwsza żona Marszałka, Maria z Koplewskich Piłsudska, mieszkała sama w Krakowie.

Jesień 1920. Dom na Szlaku

Karolina szła szybko chodnikiem, marząc o tym, by wreszcie pozbyć się ciężaru. Chciała jak najprędzej znaleźć się w domu i odstawić dwie duże paczki owinięte szarym papierem. Pakunki były ciężkie, a zabezpieczający je konopny sznurek wrzynał się dziewczynie w dłoń.

Wchodząc w bramę kamienicy, rozejrzała się za starym dozorcą Wincentym, który codziennie o tej porze wielką miotłą sprzątał klatkę schodową, podwórze i chodnik.

Jesień 1920 roku była prawie bezdeszczowa i ciepła, ale pomimo słonecznej pogody leciwego stróża nie było widać. Przed domem zaś Karolina nie spotkała nikogo, komu mogłaby powierzyć pilnowanie paczek. Bała się zostawić którąś z nich na ulicy.

– Najwyżej postawię jedną obok schodów na dole, a potem szybko po nią wrócę – mruknęła do siebie, próbując w tym rozwiązaniu znaleźć pocieszenie, jednak kiedy otworzyła drzwi klatki schodowej, doszła do wniosku, że najlepiej zrobi, jeżeli następny etap podróży – dwa piętra dzielące ją od wynajmowanego od niedawna mieszkanka – pokona, niosąc obie paczki naraz. Owinięte szarym papierem książki były dla niej zbyt cenne, żeby zostawiać je choćby na chwilę bez opieki.

Wiele tygodni zbierała pieniądze na zakup kilkunastu tomów, które uprzejmy stary bukinista przechował dla niej aż do tego dnia. Antykwariusz miał słabość do młodej nauczycielki i doskonale rozumiał jej zamiłowanie do literatury, a fakt, że Karolina od września uczyła języka polskiego w szkole powszechnej, dodawał jej w jego oczach ważności.

Antykwariusz lubił nauczycieli i kiedy tylko mógł, odkładał dla nich potrzebne egzemplarze książek. A gdy widział, że kupujący nie śmierdzi

groszem, nieznacznie obniżał ich cenę. Długi warkocz dziewczyny i wesołe spojrzenie wyjątkowo pięknych oczu dopełniły reszty.

Ulubione powieści Żeromskiego i Balzaka oraz wydane ostatnio we Lwowie dwa opasłe tomy historii polskiej literatury Karolina odebrała zaraz po pracy ze starej księgarni w pobliżu Rynku. Sympatyczny staruszek owinął paczki papierem i obwiązał sznurkiem tak mocno, że mogła je nieść bez obawy, iż sznurek pęknie lub papier rozedrze się niespodziewanie. Sprzedawca zadbał o wszystko, bo domyślił się, że Karoliny nie stać na wzięcie dorożki. Wszystkie pieniądze, jakie miała w niewielkiej skórzanej portmonetce, zostawiła w jego sklepiku.

Kiedy, szczęśliwa, wychodziła z księgarni, nie czuła jeszcze ciężaru paczek, jednak po przejściu Rynku i kilku przecznic miała serdecznie dosyć dźwigania i najchętniej poprosiłaby kogoś o pomoc. Niestety, po drodze nie spotkała nikogo znajomego, a teraz nawet stróż Wincenty ukrył się gdzieś przed jej wzrokiem.

Z trudem poradziła sobie z otwarciem drzwi kamienicy i w końcu wniosła paczki do środka. Kiedy znalazła się na klatce schodowej, położyła je na podłodze i wyprostowała plecy, roztarła dłonie.

Na klatce schodowej starej kamienicy było ciemno i Karolina początkowo nie zauważyła niczego niepokojącego. Kiedy jednak jej wzrok przyzwyczaił się do mroku, zobaczyła, że przy schodach, kilka metrów od niej, stoi jakaś nieruchoma, oparta plecami o ścianę postać. Wkrótce też dostrzegła, że osoba ta kurczowo trzyma się poręczy schodów.

Karolina nogą przesunęła paczki, żeby usunąć je sprzed drzwi, i wciąż rozcierając obolałe dłonie, ruszyła w kierunku tajemniczej postaci.

Podszedłszy bliżej, zauważyła, że oparta o ścianę kobieta ma przymknięte oczy i ciężko oddycha. Poznała ją od razu. Przy schodach stała sąsiadka z pierwszego piętra pani Maria Piłsudska, którą Karolina widywała rzadko, a w ostatnich dniach wcale. Dzięki opowieściom wszechwiedzącego stróża dobrze jednak wiedziała, kim jest ta kobieta.

– Przepraszam, czy pani źle się czuje? – zapytała, nachylając się w stronę Piłsudskiej. Ta uniosła wolną dłoń w uspokajającym geście.

– Nic mi nie jest – powiedziała słabym głosem, nie otwierając jednak oczu. – Muszę tylko chwileczkę odpocząć.

Karolina zrozumiała, że kobieta naprawdę słabo się czuje.

– Może pójde po Wincentego? – zaproponowała, zapominając o swoich paczkach.

Kobieta pokręciła głową, z trudem otworzyła oczy i spróbowała się uśmiechnąć.

– Nie trzeba – powiedziała, patrząc na Karolinę. – Już mi lepiej. Zmęczyłam się trochę zakupami. Przeceniłam swoje siły... – wyjaśniła, wskazując na leżącą przy schodach wypchaną siatkę.

– Ojej, robiła pani zakupy! – wykrzyknęła Karolina zaskoczona. Do tej pory, jak wiedziała z opowieści Wincentego, zajmowała się tym gospoia, która co rano przychodziła do mieszkania na pierwszym piętrze i pomagała nie tylko w sprawunkach, ale i w utrzymaniu porządku.

– Hania zachorowała – wyjaśniła Piłsudska odrobinę mocniejszym głosem. – Mówiłam jej, że nie powinna myć okien, ale ona uparła się, że muszą być czyste, i któregoś dnia, kiedy byłam u znajomej, wyszorowała w mieszkaniu wszystkie szyby. Chyba wtedy się przeziębiła i dostała gorączki. Już trzy dni nie przychodzi, a ja nie miałam w domu pieczywa, więc wybrałam się na zakupy i trochę z tym przesadziłam. Dziękuję paniencie za zainteresowanie. Odpoczęłam już i czuję się dużo lepiej. Zaraz wejdę na górę.

Całe szczęście, że to tylko jedno piętro, pomyślała Karolina i natychmiast zaczęła rozważać, jak teraz pomóc sąsiadce. Do ciężkich paczek doszła jej teraz jeszcze torba z zakupami, a poza tym sama pani Piłsudska, która też przecież wymagała wsparcia przy wchodzeniu po schodach.

– Pomogę pani – zaproponowała – ale najpierw zaniosę moje paczki. Proszę tu na mnie poczekać, to naprawdę nie potrwa długo.

Odwróciła się na pięcie i pobiegła po książki.

– Nie trzeba, naprawdę nie trzeba – powiedziała Piłsudska, powoli schylając się po siatkę. – Proszę sobie nie robić kłopotu.

Karolina była jednak szybsza i zanim kobieta zdążyła wyciągnąć rękę, rzuciła jedną z trzymanyh paczek i złapała siatkę pani Marii.

Niewiele tego, pomyślała, podnosząc ją do góry. Ciężar zakupów Piłsudskiej wydawał się niczym przy wadze pakunków, które sama niedawno niosła.

– Proszę tu poczekać, zaraz wrócę – powiedziała i mimo zmęczenia rażno ruszyła po schodach, w jednej ręce trzymając paczkę z książkami, w drugiej

siatkę. Zostawiła zakupy Piłsudskiej przed drzwiami jej mieszkania i jeszcze szybciej pobiegła na drugie piętro.

Kiedy zeszła na dół, Maria rozpoczęła już wędrówkę po schodach. Karolina podniosła drugą paczkę z książkami i zrównała się z sąsiadką.

– Proszę wesprzeć się na mnie – powiedziała, podając ramię Piłsudskiej, która natychmiast skorzystała z propozycji.

Próbowała uśmiechnąć się do Karoliny, ale na jej wykrzywionej bólem twarzy pojawił się ledwie grymas. Bardzo wolno, z wyraźnym trudem wchodziła po schodach, starając się nie zatrzymywać. Karolinie wydało się, że kobieta lekko utyka, ale nie zapytała o nic, żeby nie zmuszać jej do mówienia. Milczały. Maria oddychała ciężko, a Karolina usiłowała podtrzymać ją ramieniem, co wcale nie było łatwe, gdyż drugą rękę zajęta miała ciężką paczką.

Kiedy wreszcie znalazły się przed drzwiami mieszkania na pierwszym piętrze, Piłsudska wyjęła klucz z kieszeni płaszcza i podała go dziewczynie. Była biała, oddychała z trudem i Karolina zrozumiała, że oczekuje pomocy przy otwieraniu drzwi.

– No to jest pani w domu – oznajmiła, pomagając sąsiadce wejść do mieszkania. – Może po kogoś zadzwonić albo pójść po lekarza? – zapytała, z troską spoglądając na bladą twarz sąsiadki.

– Nie trzeba – powiedziała Maria słabo, kręcąc głową. Zdjęła płaszcz i położyła go na stojącym obok wieszaka krzeselku. – Zaraz poczuję się lepiej – dodała i nie ściągając butów, weszła do saloniku.

Karolina stała chwilę w przedpokoju, rozglądając się ciekawie. W mrocznym wnętrzu centralne miejsce zajmował ogromny wieszak na wierzchnie okrycia. Trochę dziwnie wyglądały na nim dwa samotne, smętnie zwisające żakiety, należące przypuszczalnie do właścicielki mieszkania.

Jeden z nich był czarny z wąskim futrzanym kołnierzem. Karolina widywała w nim Piłsudską. Ale to było dawniej, w ostatnich tygodniach nie spotykała sąsiadki.

Kiedy na początku września, wracając z pracy, spotykała na ulicy panią z pierwszego piętra, kłaniała się grzecznie, za każdym razem dygając jak dziewczynka. Ten irytujący ją nawyk pozostał Karolinie z lat szkolnych i choć bardzo się starała, nie potrafiła go wyeliminować. W pracy, pośród uczniów, czuła się wystarczająco poważną osobą, by uśmiechem i lekkim

skinieniem głowy reagować na pozdrowienia, ale wobec starszych i szanowanych osób traciła rezon, tak więc bywało, że zachowywała się jak pensjonarka. Nie cierpiała tych swoich dygnięć, ale ilekroć mijała panią Piłsudską, grzecznie zginała kolano, mówiąc wyraźnie „dzień dobry”.

Początkowo sąsiadka odpowiadała machinalnie, nie podnosząc nawet głowy, ale po pewnym czasie zdarzało jej się uśmiechnąć do Karoliny.

Potem przestały się spotykać i dziewczyna zapomniała nawet, że piętro niżej w jej kamienicy mieszka tak znamienita osoba.

Wir obowiązków wciągnął Karolinę całkowicie. Zajęta pracą w szkole i prywatnymi lekcjami, które zajmowały jej niemal każde popołudnie, nie spotykała sąsiadów, z wyjątkiem starego stróża Wincentego, który za każdym razem gdy tylko ją widział, uśmiechał się radośnie i zatrzymywał, by zagaić rozmowę.

Stróż był nieocenionym źródłem informacji o sąsiadach. Od niego można się było dowiedzieć, kto gdzie pracuje, na co chorują najstarsi lokatorzy okolicznych kamienic i czyje dzieciaki to „diabły z piekła rodem”. Opowieści te na ogół nie ciekawiły Karoliny, ale starała się grzecznie słuchać wszystkiego, w nadziei, że dowie się czegoś o pani Marii, która interesowała ją najbardziej. Historie pozostałych lokatorów nie były dziewczynie do niczego potrzebne, ale wysłuchiwała ich z grzeczności, a raczej udawała, że słucha. Nie chciała zrażać do siebie Wincentego, ponieważ był on bardzo pomocny przy różnych domowych naprawach.

Karolina dopiero od niedawna mieszkała w Krakowie i nie miała tu wielu znajomych, a już na pewno nie tak bliskich, by prosić ich o powieszenie półki lub naprawienie zatkanego zlewu. Poprzednio, kiedy jeszcze studiowała, wynajmowała miejsce na stacji, gdzie nie musiała się o nic martwić. Samodzielne życie wymagało jednak większych starań o codzienne sprawy. Wincenty oraz jego żona pożyczali też młodej nauczycielce żelazko, na którego zakup Karoliny w pierwszych tygodniach pracy nie było stać. Teraz miała już własne, ale wdzięczność za okazaną życzliwość nie pozwalała jej być wobec stróża niegrzeczną, toteż ilekroć chciał albo raczej musiał jej coś opowiedzieć, wysłuchiwała wszystkiego cierpliwie, doskonale maskując znudzenie. Zazwyczaj jednak mimo uszu puszczała wszystkie opowieści, prócz tych, których centralną postacią była pani Maria, ktoś z jej znamienitych przyjaciół lub On, Marszałek Piłsudski.

– Proszę wejść – usłyszała teraz słaby głos pani Marii. Przed drzwiami dokładnie wytarła buty w niewielki stary kilimek i trochę onieśmielona ruszyła w kierunku salonu. Nie weszła jednak do środka, tylko zatrzymała się w progu i uśmiechając się nieśmiało, powiedziała:

– Bardzo dziękuję, ale nie chciałabym pani przeszkadzać. Proszę mi tylko powiedzieć, czy na pewno nie potrzebuje pani pomocy. Może zawołam stróża albo pobiegnę po doktora. Dobrze?

Piłsudska potrząsnęła głową na tyle energicznie, że widać było, iż czuje się już lepiej. Wyjęła z kredensu niewielki koszyczek ze słodyczami i przeniosła go na stół, po czym odsunęła krzesło i usiadła na nim, wskazując dziewczynie miejsce po drugiej stronie stołu.

– Zapraszam panią – powiedziała, uśmiechając się szeroko. – Skoro jesteśmy sąsiadkami, powinnyśmy się lepiej poznać, a przede wszystkim jeszcze raz dziękuję za okazaną pomoc. Jeśli mogłabym się jakoś zrewanżować, naprawdę będzie mi miło.

Maria przyglądała się Karolinie, ale w jej twarzy było tyle ciepła i serdeczności, że dziewczynę opuściło skrępowanie i po kilku minutach w salonie Piłsudskiej poczuła się całkiem dobrze.

Chętnie odpowiadała na zadawane przez Marię pytania i w ten sposób w krótkim czasie opowiedziała o swoim skromnym życiu, zainteresowaniach i osieroconej przez ojca rodzinie, starannie omijając jednak kłopotliwe tematy. Piłsudska zadawała pytania, ale podobnie jak Karolina robiła to z dużym taktem i uwagą. Nie wypytywała więc, jak mieszka się w pokoiku przy strychu, bo od Wincentego i Hani wiedziała, że nie jest to komfortowy lokal.

Od kiedy właściciel kamienicy z dużego strychu, służącego wcześniej za graciarnię i suszarnię, wygospodarował niewielki pokoik, wynajmował go zawsze biednym studentom, których nie stać było na płacenie wysokiego czynszu.

Pani Maria dawniej posyłała czasem mieszkającym na drugim piętrze młodym ludziom swoją Hanię z garnkiem jedzenia lub upieczonym ciastem, bo po lokatorach małego pokoiku zawsze było widać finansowe niedostatki.

Niektórzy z nich często potem bywali gośćmi w mieszkaniu Piłsudskiej, ale nie wszyscy. Czasem trafiali się lokatorzy, z którymi nie nawiązywała bliższych kontaktów. Tym razem jednak, słuchając opowieści Karoliny i przyglądając się jej aż nazbyt szczupłej figurze, Maria poczuła coś na kształt współczucia i tkliwości wobec tej bardzo młodej i bardzo miłej dziewczyny. Zapragnęła gościć ją u siebie częściej.

W zachowaniu Karoliny odkryła coś, co w jakimś stopniu przypominało Marii córkę, i choć zazwyczaj takie porównania bywały dla niej przykre, tym razem jednak było inaczej.

To, że z postury i sposobu patrzenia Karolina była odrobinę podobna do Wandy, sprawiało Marii przyjemność i chociaż znała ją krótko, zapragnęła, by ich znajomość trwała dłużej.

Przez wrodzoną delikatność i dobre wychowanie nie zamierzała jednak narzucać się sąsiadce. Żyjąc na uboczu wszelkich ważnych wydarzeń, obawiała się, że obcowanie ze starszą kobietą może młodej osobie wydawać się nudne, dlatego też za nic w świecie nie chciałyby być natrętna.

Czas jednak mijał i rozmowa rozkręciła się na tyle, że Karolina zaczęła wreszcie uśmiechać się swobodnie, aż wreszcie całkiem się ośmieliła.

– Czy mogłaby pani opowiedzieć o sobie? – zapytała, ale najwidoczniej przestraszona własną śmiałością, zaczerwieniła się po same uszy.

– Pewnie Wincenty wszystko już pani powiedział – roześmiała się Maria wesoło, patrząc Karolinie w oczy. – To dobry człowiek, ale uwielbia gadać o lokatorach i jak panna zechce, przedstawi niejedną ciekawą historię ze Szlaku.

Karolina poczuła się niezręcznie. Nie chciała, żeby sąsiadka posądziła ją o wścibstwo, ale nie potrafiłaby skłamać, że nigdy nie rozmawiała o niej z Wincentym.

– Ale ja... – zaczęła, czując, że jej policzki oblewa rumieniec.

– Nic nie szkodzi – przerwała Piłsudska. – Przecież pani przed chwilą też mi o sobie opowiadała, więc i ja powinnam się zrewanżować. Chętnie coś opowiem, jeżeli oczywiście nie wyda się to panience nudne... – powiedziała, uważnie przyglądając się Karolinie.

Dziewczyna energicznie potrząsnęła głową i pochyliwszy się w stronę rozmówczyni, zawołała z entuzjazmem:

– Wspaniale! To mnie naprawdę bardzo ciekawi!

Widząc reakcję młodej sąsiadki, Maria roześmiała się serdecznie.

– No już dobrze, ale co tak naprawdę panią interesuje? Jaki fragment mojego życia? – zapytała i natychmiast dodała: – Było tych historii trochę, bo przeżyłam wiele i naprawdę nie wiem, co mogłoby panienkę zaciekawić.

– Wszystko! – odpowiedziała szczerze Karolina, czym całkowicie ujęła Piłsudską. Kobieta jeszcze raz uśmiechnęła się szeroko, z prawdziwą sympatią popatrzyła na dziewczynę, po czym pokiwała głową i po krótkiej chwili zastanowienia rozpoczęła swoją opowieść.

Wilno

Urodziłam się w 1865 roku w Wilnie jako trzecia i najmłodsza córka Konstantego Koplewskiego i Ludmiły z Chomiczów Koplewskiej.

Moje dzieciństwo było naprawdę udane. Rodzice kochali się i mimo że mama starsza była od ojca o kilka lat, tworzyli dobre i zgodne małżeństwo.

O swoje dzieci troszczyli się bardzo, więc ja i moje siostry rosłyśmy w domu pełnym zrozumienia i miłości. To może wyda się pani dziwne, ale do śmierci taty, którą przeżyłam jako kilkunastoletnia panna, nie miałam prawie żadnych zmartwień.

Mój ojciec był znanym w Wilnie lekarzem, a mama piękną, ale rozsądną i zapobiegliwą panią domu.

Myślę, że jak większość mężczyzn tato pragnął mieć chociaż jednego syna, ale skoro Pan Bóg nie obdarzył go chłopcem, kochał bardzo wszystkie swoje córki, a mnie rozpieszczał szczególnie. Mama twierdziła nawet nieraz, że pozwalał mi na zbyt wiele. Swobodne wychowanie córek przysparzało rodzicom trosk, z drugiej jednak strony kształtowało mój charakter.

Matka, kobieta wykształcona i odcytana, prowadziła dom otwarty, w którym zawsze było dużo gości. Kiedy żył ojciec, przyjeżdżali do rodziców znajomi ze Lwowa, Petersburga i Warszawy, a ja, siedząc w salonie na małym stołeczku, przysłuchiwałam się rozmowom starszych i z ich opowieści uczyłam się nie tylko geografii, ale i historii.

Moje siostry nie uczestniczyły w tych spotkaniach. Od słuchania opowieści dorosłych zdecydowanie wolały swoje towarzystwo, ale znały mnie dobrze i nigdy nie namawiały do rezygnowania z moich dziwnych upodobań. Siedziałam więc w kącie salonu i bawiąc się klockami lub lalką,

chłonełam wszystko, co rozumiałam i co tylko nadawało się dla uszu dziecka.

Patriotycznie nastawieni rodzice zawsze interesowali się ruchem niepodległościowym i chociaż bezpośrednio nie angażowali się w działalność konspiracyjną, to jednak w naszym domu nieraz widywałam broszury lub ulotki, których pochodzenia ojciec nie chciał ujawniać. Kiedy moja ciekawość szła zbyt daleko, rodzice tłumaczyli mi, jak umieli, trudną sytuację Polaków, a także przestrzegali przed niepotrzebnym wścibstwem. Byłam jednak bardzo ciekawskim dzieckiem i zadawałam mnóstwo pytań, choć nie na wszystkie z nich uzyskiwałam odpowiedzi. Z tonu ojca, jaki przybierał, gdy mówił o sprawach ważnych, szybko nauczyłam się wnioskować, które z tematów poruszanych w naszym domu są tak poważne, że małe dziewczynki nie powinny się nimi interesować. Zabiegi dorosłych, aby trzymać mnie z dala od tych kwestii, nie na wiele się zdawały, bo kiedy tylko rodzice zaczęli mówić ściszonymi głosami, zawsze przybiegałam do taty i wdrapywałam mu się na kolana, nie chcąc uronić z rozmowy choćby jednego słowa.

Ojciec śmiał się wtedy, ale nie potrafił mnie skarcić, chociaż – po prawdzie – to mi się należało. Często jeszcze bronił swej najmłodszej córki przed niecierpliwymi uwagami mamy. Być może czuł, że niedługo przyjdzie mu się cieszyć szczęściem rodzinnym, i dlatego w mej pamięci pozostał jako człowiek nadzwyczaj delikatny i wesoły.

Do dziś nie wiem, kto dostarczał ojcu prasę konspiracyjną, bo po jego śmierci mama nie umiała odpowiedzieć mi na to pytanie.

Kiedy trochę podrosłam i rozpoczęłam naukę w gimnazjum, sama zaczęłam poszukiwać interesujących mnie kontaktów i już wkrótce miałam swobodny dostęp do nielegalnej prasy. Rodzice przeczuwali, w co się angażuję, i chociaż zdarzały się w domu rozmowy, w czasie których prócz przestróg i napomnień pojawiały się też i matczyne łzy, to jednak wszyscy doskonale zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że napomnienia rodziców – tak samo jak moje obietnice – są jednakowo mało przekonywające. Rodzice znali mnie i wiedzieli, że kiedy zabrałam się do konspirowania, nic i nikt nie będzie w stanie mi w tym przeszkodzić.

Ojciec miał pewnie nadzieję, że żaden dorosły i poważnie myślący człowiek nie będzie powierzał ważnych zadań podlotkom. Miał w tym dużo racji, ale to właśnie z nas, przenoszących ulotki podlotków, rosły całkiem

dobrze przygotowane do pracy „dromaderki”, dźwigające pod ubraniem wiele funtów gazetek i ulotek, z którymi jeździłyśmy po wszystkich zaborach.

Prawdę mówiąc, sprzeciw moich rodziców nie był zbyt kategoryczny. Bardzo tolerancyjny i niesłychanie łagodny ojciec przekonywał mamę, że nie należy mnie krępować i powinna pozwolić mi robić w życiu to, co słuszne, a zdaniem ojca słuszną była praca dla Polski.

W domu Koplewskich, tak jak i w wielu polskich domach w tym czasie, kwestia patriotyzmu była sprawą nadrzędną.

Oczywiście wychowanie, jakie odebrałam, miało różne strony. Obcując swobodnie z dorosłymi, czułam, rzecz jasna, wobec nich respekt, ale młodzieńczy egoizm nie pozwalał mi przejmować się zbyt matczynymi niepokojami. Głęboka wiara, jaką pokładałam w opiekę i możliwości ojca oraz stryja, który był urzędnikiem wysokiego szczebla w jakimś ministerstwie, dawała mi przekonanie, że nic złego nie może mi się przytrafić.

Czas pokazał jednak, że myślenie moje było błędne, chociaż niewątpliwie koneksje taty, a po jego śmierci znajomości i wpływy stryja kilkakrotnie ratowały mi skórę.

W domu rodzinnym w Wilnie rosłam na pannę pewną siebie, radosną i ciekawską, a do tego na tyle ładną, by z tej urody korzystać. Dobre maniere, wesołe usposobienie i umiejętność podobania się były najlepszym posagiem, jaki wyniosłam z wychowania matki, i muszę przyznać, że znakomicie potrafiłam go używać, i to nie tylko dla własnych korzyści, ale też *pro publico bono*.

– Pewnie rzadko się zdarzało, żeby uczennica brała się do konspirowania. Była pani naprawdę bardzo młoda... Przecież mogli panią zatrzymać, zaaresztować. Nie bała się pani?... – zapytała Karolina, patrząc z podziwem na Marię, która uśmiechnęła się blado i tylko machnęła ręką.

– Rzeczywiście, kilkakrotnie mi się to przydarzyło, ale na początku wcale się nie bałam. Kiedy byłam w ostatnich klasach gimnazjum, bardziej bałam się, że przy zatrzymaniu stracę ulotki i że przez moją nieuwagę nigdy nie dotrą one do ludzi, niż o to, że takie zatrzymanie mogłoby się skończyć dla mnie więzieniem lub zsyłką. W tamtych czasach my, młodzi, nie myśleliśmy o sobie, ale o służeniu ideałom, w które wierzyliśmy i które były dla nas ważniejsze od własnego bezpieczeństwa i spokoju naszych

rodzin. Teraz oczywiście inaczej na to patrzę i spoglądając wstecz, widzę, jak mało było rozsądku w moich poczynaniach, jednakże między młodymi pracującymi przy kolportażu ulotek i czasopism było coś w rodzaju rywalizacji. Rywalizacja ta każdego z nas prowokowała do czynów, których rozsądni ludzie powinni się wstydzić.

– Wstydzić? – obruszyła się Karolina, nie rozumiejąc krytycyzmu w słowach Marii. – Przecież to było prawdziwe bohaterstwo!

– Wtedy wcale tak tego nie postrzegałam. Wierzyłam, że to, co robię, jest słuszne, ale niestety czasami byłam nieuważna i niezbyt rozsądna. Pewnie przez to właśnie kilka razy wpadłam. Czasami zapominaliśmy o elementarnych zasadach konspiracji i wtedy zdarzały się wpadki, które zagrażały nie tylko złapanemu, ale i wszystkim jego współpracownikom. Oczywiście uczono nas przestrzegania ważnych zasad, ale gdy głowa i serce gorące, trudno wszystko utrzymać na wodzy.

Teraz wiem, że narażałam się ponad miarę, przewożąc na sobie i ze sobą takie ilości broszur i ulotek, że pewnie bardziej przypominałam manekina niż człowieka.

Tato nie raz powtarzał mi, że to, co „wyprawiam”, źle się skończy, ale w swoim zatroskaniu nie był aż tak przekonywający, żeby wystarczająco mnie nastraszyć.

Sam zresztą też pewnie wierzył, że jego ukochanej córce nic złego nie może się przydarzyć, a gdyby los przypadkiem zdecydował inaczej, to przecież zawsze jeszcze jest on, mój ojciec, który zrobi wszystko, by mnie ochronić.

Teraz rodziców moich dawno nie ma, a ja z wdzięcznością wspominam ich i tamte czasy. Miałam szczęście zaznać rodzicielskiej opieki, daleko wykraczającej poza zwykłe ramy.

Nigdy nie byłam grzeczną i pokorną panienką, ale nie ma w tym ani winy mojej, ani zasługi.

Pozwalano mi w domu na dużo więcej niż moim rówieśnicom i ojcu w głowie nie powstało zabraniać mi czegokolwiek. Pewnie dlatego wyrosłam na pannę pewną siebie, towarzyską, a jednocześnie dość egoistycznie nastawioną do życia. W dzieciństwie dostawałam to, czego pragnęłam, w młodości zaś potrafiłam wziąć to sobie sama. Niestety jednak – z rozmaitym skutkiem.

Już na początku gimnazjum poznałam grono starszej młodzieży, która próbowała konspirować. Początkowo biegałam jedynie na spotkania i wieczornice, gdzie starsi członkowie rodzącej się organizacji próbowali przybliżyć młodym idee ruchu socjalistycznego i tłumaczyć, na czym polega konspiracja i walka z uciskiem. Przedemną, młodą i ciekawą świata pannicą, otwierały się jakieś nowe drzwi, za którymi kryła się tajemnica, walka, przygoda. Była w tym gronie też rodząca się przyjaźń i koleżeństwo z rówieśnikami, będące w pewnym wieku naturalną potrzebą każdej młodej istoty.

Moja mama, zajęta działalnością społeczną i towarzyską, początkowo nie zdawała sobie sprawy z tego, że jej najmłodsza córka zaczyna konspirować, ale ojciec zorientował się od razu i niejednokrotnie przepytывał mnie o to, z kim się spotykam i co robię.

Z jednej strony nie chciałam, by tato znał zbyt wiele faktów, z drugiej jednak nie śmiałam odmówić mu podstawowej wiedzy na swój temat. Trochę mu więc opowiadałam, a o więcej nie pytał, gdyż rozumiał, że w takich sytuacjach lepiej nie wiedzieć za dużo.

Znał mnie wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, iż zakazując mi działalności konspiracyjnej, osiągnie jedynie to, że w końcu i przed nim zacznę konspirować. Wcale tego nie chciał, wymógł więc na mnie przyrzeczenie, że jeśli będę miała kłopoty, szczerze powiem mu o wszystkim.

Przyrzekłam, ale w głębi duszy śmiać mi się chciało z ojcowskich pouczeń. Wydawało mi się wówczas, że czeka mnie wielkie zadanie do spełnienia, misja, której podołam samodzielnie, bez pomocy innych, a już na pewno bez pomocy rodziny. Marzenia te były niezmiernie naiwne. O tym jednak dowiedziałam się dopiero później.

Jeszcze ucząc się w gimnazjum, jeździłam pomiędzy Warszawą, Wilnem a Petersburgiem z ulotkami i niewielkimi broszurami propagandowymi, które miały zainteresować ideą ruchu socjalistycznego nie tylko młodzież. Początkowo ukrywałam przed matką cel swoich wycieczek, ale inteligentna i dobrze zorientowana kobieta nie dała się długo zwodzić. Tego, czego się

domyślała, nie potrafiła zostawić bez komentarza i wreszcie pewnego dnia odbyła się rozmowa, która nie była już tak spokojna jak dotychczas.

Od tego dnia, ilekroć matka widziała, że szykuję się do podróży, wpadała w przerażenie, a czasem nawet w histerię. Wtedy jednak zazwyczaj pomagał mi ojciec, delikatnie tłumacząc mamie konieczność zachowania rozsądku i spokoju. Mnie jednak także napominał, próbując zachować równowagę pomiędzy pragnieniami córki a lękiem żony.

Wreszcie, po wielu rozmowach z tatą, mama przestała robić mi trudności, a i ja także starałam się złagodzić jej niepokój. Zaczęło mi się nawet wydawać, że robię to całkiem skutecznie. Nic podobnego. Teraz dopiero czuję i wiem, co działo się w sercach rodziców, kiedy patrzyli, jak idę z niewielkim kuferkiem, owinięta w pasie gorsetem z bibuły; radosna, dumna i niemal beztroska, bez lęku, ale i bez świadomości tego, w co tak naprawdę się pakuję.

Wszystko to nie przeszkodziło mi na szczęście z dobrym wynikiem skończyć gimnazjum. Kiedy odbierałam ostatnie świadectwo, wiedziałam już, co będę dalej robić.

Rzecz jasna, zamierzałam jeszcze się uczyć i w tej decyzji bardzo wspierali mnie rodzice. Chciałam też konspirować, o czym wcale nie mówiłam matce, ojcu zaś niczego nie musiałam mówić. Znał mnie i wiedział, że i tak by mnie nie powstrzymał.

– W jaki sposób przewoziła pani te wszystkie ulotki? – zapytała Karolina.
– Przecież papier jest ciężki – dodała, przypominając sobie niedawną podróż przez Kraków z paczkami książek.

Piłsudka pokiwała głową, uśmiechając się szeroko.

– W późniejszych latach kobiety opracowały specjalne techniki upychania papierów pod spódnicami i w gorsetach. Dzięki specyfice kobiecego ubioru panie mogły dźwigać na sobie całkiem pokaźne przesyłki. Niestety często kończyło się to poranieniem ciała lub łaskotaniem tak wielkim, że trudno je było wytrzymać. Mężczyźni mieli gorzej, bo ich pakunki trzeba było upychać w teczkach lub walizkach, które żandarmom znacznie łatwiej było przeszukać niż elegancką, szeroką damską spódnicę. W pracy konspiracyjnej liczyło się więc wszystko, a przewidywanie ludzkich reakcji miało w tym niebagatelne znaczenie.

Mężczyźni przewożący bibułę starali się wyglądać „urzędowo”. Kiedy któryś z nich miał ze sobą podejrzany ładunek, zakładał zwykle jakąś

urzędniczą czapkę albo kurtkę przypominającą krojem mundur. Carscy żołdacy, wychowani w strachu przed władzą, zwykle omijali tych, którzy w jakimkolwiek stopniu przypominali urzędników.

W Rosji państwowe stanowiska dawały ogromne możliwości, przed którymi drżeli zwykli ludzie.

Wiele lat później, jeszcze przed ślubem, pomagałam w Wilnie Piłsudskiemu w kolportowaniu ulotek. Zdarzyło mi się wówczas przewieźć na sobie siedemdziesiąt pięć egzemplarzy broszury *Kobieta i socjalizm*, które ważyły łącznie ponad trzydzieści kilogramów!

Na to wspomnienie Maria zaśmiała się, a Karolina popatrzyła na nią, z niedowierzaniem kręcąc głową.

– Dzieło pana Bebla tak bardzo poraniło mi skórę, że kilkanaście egzemplarzy poznaczonych było moją krwią, ale broszura dotarła tam, gdzie miała dotrzeć. Byłam z siebie dumna.

Ziuk nieraz potem wspominał mój wyczyn i doceniał go, ilekroć sam owijał się konspiracyjnym papierem. Ja jednak doskonale pamiętałam, jak bardzo cierpiałam, wioząc na sobie ten straszny ładunek, i wcale nie zamierałam tego powtarzać. Gorąco i ból, jaki czułam wtedy przy każdym kroku, a do tego konieczność udawania swobody i lekkości były dla mnie bardzo trudne.

Karolina popatrzyła na Marię z podziwem i korzystając z chwili ciszy, wspomniała swoją spokojną, ale dość smutną wczesną młodość w niedużym, sennym miasteczku.

Lęk matki o bezpieczeństwo Karoliny i jej brata, który towarzyszył obojgu od dzieciństwa, po wyjściu ojca na wojnę w 1914 roku stał się naprawdę trudny do wytrzymania.

Niełatwo im było pogodzić się z ciągłymi ograniczeniami, ale Karolina nie miała natury buntowniczej i nigdy nie robiła nic wbrew woli matki. Jedyne, o co skutecznie zaważczyła, to studia w Krakowie, na które mama początkowo też nie chciała wyrazić zgody. Karolina jednak po raz pierwszy w życiu zachowała się bardzo stanowczo i po kilku nieprzyjemnych rozmowach postawiła na swoim.

Teraz, jako dorosła osoba, rozumiała emocje, z którymi w tamtych trudnych i niebezpiecznych latach nie wszystkie kobiety potrafiły sobie radzić. Wychowywane na gospodarne, dobre i miłe panie domu nie tylko wypełniały swe zadania, wychowując dzieci. Pod nieobecność mężów zarządzały również rodzinnymi interesami lub majątkami. Często jednak, tak jak działo się to w rodzinie Karoliny, zostawały wdowami, z ciężarem, którego nie potrafiły samodzielnie udźwignąć. Trudy codziennego życia i ciągły lęk o przyszłość dzieci robiły z nich osoby załamane, przepracowane i przedwcześnie postarzałe. Kiedy nagle stawały się jedynymi żywicielkami swych rodzin, miłe dotychczas w obyciu panie domu nabierały nowych cech, które tylko nielicznym dodawały uroku. Większość z nich swój los traktowała nie jako powinność, ale jako nieoczekiwany i niesprawiedliwy wyrok, a to niewątpliwie wpływało na atmosferę ich domów.

Jakże inną kobietą była Maria, która sama zdecydowała się na życie trudne, choć przy jej pochodzeniu i urodzie mogłaby wybrać inaczej.

Karolina miała się jeszcze nie raz przekonać, jak wiele dylematów miewała do rozstrzygnięcia ta dzielna kobieta, której los podarował ciekawe życie.

– Czy może napiłaby się pani herbaty? – zapytała Maria.

Karolinie wydawało się, że powinna grzecznie odmówić, żeby nie przysparzać gospodyni kłopotu, ale nie zrobiła tego. Dawno nie piła herbaty i naprawdę miała ochotę na filiżankę gorącego napoju. To, co parzyła sobie na maluteńkim piecyku we wnęce mieszkanek, nie zachwycało smakiem. Suszona mięta i mieszanka ziół z ogrodu matki nie kosztowały jednak nic, za to nawet najtańsza herbata z małego sklepiku na rogu była teraz dla Karoliny nieosiągalna.

Piłsudska zauważyła wahanie swojego gościa i zanim dziewczyna zaczęła zdanie, oparła dłonie o blat stołu i powoli odsunęła się na krześle.

– Bardzo dziękuję, naprawdę nie trzeba... – powiedziała Karolina bez przekonania, ale Maria podniosła tylko dłoń, jakby chciała ją powstrzymać.

– Oczywiście, że się pani napije – odparła, uśmiechając się delikatnie, choć widać było, że prostowanie ciała sprawia jej pewną trudność. – To żaden kłopot – dodała, chociaż lekki grymas bólu, który pojawił się na jej twarzy, świadczył zupełnie o czymś innym.

– W tym domu herbata zawsze jest gotowa – oznajmiła, kierując się w stronę drzwi. – Mój mąż nauczył mnie zasady, że dobrej herbaty nigdy nie jest za dużo.

– Może pomogę – zaoferowała Karolina, ale Maria chyba nie usłyszała jej pytania, bo ciągnęła dalej rozpoczęty wątek, nie zastanawiając się pewnie nawet, czy dziewczyna ją słyszy. Karolina podniosła się więc ze swojego miejsca i poszła za gospodynią do kuchni. Stała w drzwiach obszernego pomieszczenia i oparłszy się o framugę, słuchała słów Marii. Stał tam nieduży piec, który przylegał do ściany oddzielającej kuchnię od jednego z mniejszych pokoi. Rura wchodząca w mur wyprowadzała ogrzewanie do tego właśnie pomieszczenia i dzięki temu piec kuchenny pełnił podwójną rolę. Pewnie dlatego pod płytą buzował słaby ogień, który naraz buchnął żywym płomieniem, gdy gospodyni dorzuciła spory kawałek drewna.

– Zwykle palę węglem, ale kiedy chcę, żeby płomień na chwilę stał się większy, wrzucam drewnienko i zaraz herbatka gotowa – powiedziała, nie patrząc na Karolinę, po czym przesunęła na środek płyty olbrzymi czajnik.

Karolinie wydało się dziwne, że dla jednej osoby można gotować wodę w tak wielkim czajniku, tymczasem Maria zajrzała do stojącego na kredensie imbryka na esencję i stwierdziwszy, że jest w nim wystarczająco dużo herbacianego ekstraktu, zamknęła przykrywkę.

– Mąż lubi mocną herbatę i zawsze chciał, żeby mu ją prędko przynosić. Zresztą pije tę swoją herbatę w tak wielkich saganach, że zawsze dziwiło mnie, ile potrafi w sobie zmieścić. Kiedy zostawał czasem sam w domu, służąca szykowała mu ją do termosu. Duży był i pojemny, ale Ziuk zabrał go ze sobą, kiedy przenosił się do Warszawy, a mnie został ten wielki czajnik... Za duży dla jednej osoby, ale nie potrafię się z nim rozstać...

Maria zamilkła, a Karolina stała dalej oparta o framugę drzwi i nagle zrobiło jej się bardzo przykro. Uświadomiła sobie bowiem, że Maria czeka na powrót męża, w dalszym ciągu gotowa respektować jego życzenia i przyzwyczajenia, które być może od czasu, gdy Piłsudski wyprowadził się z Krakowa, uległy całkowitej zmianie. Tego jednak żadna z nich nie mogła wiedzieć...

Piłsudska uśmiechnęła się słabo i nie patrząc na Karolinę, podjęła opowieść:

– Ten czajnik pamięta bardzo szczęśliwe czasy. Bywało, że napełniony po brzegi nie wystarczał dla zebranych w mieszkaniu gości. Piliśmy ze

wszystkiego, co znajdowało się w kredensie – z filizanek, kubeczków, a nawet z blaszanych czerpaków, choć po nie sięgali tylko najmniej wybredni panowie.

Broniś, brat Józefa, jeszcze na Topolowej pijał czasem z czerpaka, ale wtedy miałam wrażenie, że nawet tego nie zauważa. Dziwny był trochę i nawet w tłumie gości potrafił całkowicie się wyłączyć i zająć myślami, które nie wiedzieć dokąd biegły. Trudno go było wtedy zawrócić, więc siedział na stołku, wciśnięty w kąt pomiędzy kredens a piec tamtego mieszkania, i myślał o swoich sprawach.

Maria westchnęła i podniosła imbryk z esencją. Uniosła pokrywkę i powąchała herbaciany ekstrakt.

– Bardzo lubiałam te dni, w których bywało u nas dużo ludzi – powiedziała. – To były męczące, ale naprawdę piękne czasy.

Para w czajniku zaczęła nagle unosić pokrywkę. Piłsudska zsunęła naczynie na brzeg płyty i uniosła je, żeby napęlić wrzątkiem przygotowane filizanki. Karolina ruszyła jej na pomoc. Dziewczynie wydało się, że olbrzymi czajnik przeważy kruchą kobietę, a wrząca woda wyleje jej się na spódnicę i pantofle. Podeszła do kuchni i sięgnęła po rączkę czajnika. Maria bez słowa odsunęła się, by zrobić jej miejsce, a gdy dziewczyna uniosła do góry czajnik, szepnęła cicho:

– Dziękuję.

Sąsiadka

Następnego dnia przed wieczorem Karolina znów zjawiała się w mieszkaniu Piłsudskiej.

Wspominając rozmowę z sąsiadką, nie mogła uwierzyć, że prawie całe popołudnie spędziła w towarzystwie tak zacnej osoby.

Poprzedniego wieczoru, wdrapując się po schodach do swojego mieszkania, czuła się wyróżniona, a jednocześnie obawiała się, że taka sytuacja może się więcej nie powtórzyć.

Pewnie wcale nie ośmieliłaby się tak szybko ponownie odwiedzić Marii, gdyby nie to, że kiedy wracała z pracy, Piłsudska pomachała do niej z okna salonu. Wprawdzie przy pożegnaniu Maria zachęcała Karolinę do ponownych odwiedzin, ale dziewczyna nie wiedziała, czy powinna tak prędko skorzystać z zaproszenia. Nie miała nawet kogo poradzić się w tej kwestii, bo chociaż w jej szkole pracowały też starsze nauczycielki, nie chciała mówić im, że mieszka w tej samej kamienicy, co Maria Piłsudska.

Naczelnik Państwa wzbudzał zawsze bardzo silne emocje, a to, że z prawowitą żoną pozostawał w separacji, co jakiś czas wywoływało dyskusje pomiędzy kobietami, które często wyrażały święte oburzenie na nieunormowaną sytuację rodzinną Piłsudskiego. Fakt, że Marszałek pozostawał w związku z kobietą, z którą miał już dwoje dzieci, nie ostudzał temperatury dyskusji.

W zależności od nastawienia do samego Marszałka ocena jego sytuacji bywała bardzo różna. Karolina nigdy nie brała udziału w takich rozmowach, ale za każdym razem przysłuchiwała się im, udając, że porządkuje notatki lub sprawdza uczniowskie zeszyty.

Pracowała od niedawna i nie chciała narazić się komukolwiek. W sprawach obyczajowych też właściwie niewiele miała do powiedzenia.

To, co od dzieciństwa wpajano jej w domu i co słyszała w kościele, odbiegało od wielkomięskiej rzeczywistości. Zwyczaje panujące w wielkim świecie przyprawiły Karolinę o ból głowy i pomieszanie, z którym aż do teraz nie potrafiła sobie poradzić. Po kilku rozmowach z Wincentym i jego żoną obiecała więc sobie, że tego, co usłyszała, nie przekaze dalej. Wydawało jej się, że tak będzie bezpieczniej nie tylko dla niej samej, ale i dla pani Marii, którą szczerze już polubiła.

– Nie zajmuj się tym, co do ciebie nie należy – powtarzała zawsze matka Karoliny i chociaż już od dosyć dawna matczyne maksymy mocno drażniły dziewczynę, to jednak w tym przypadku zastosowała się do zaleceń. Postanowiła nie zdradzać nikomu, że piętro niżej, w jej kamienicy, mieszka samotnie żona Naczelnika Państwa.

Karolina dużo myślała o rozmowie z Marią i w końcu doszła do wniosku, że chociaż Piłsudska jest prawdopodobnie na końcu, a ona na początku swojej życiowej drogi, obie są jednakowo samotne. Mieszkając tak blisko, mogłyby czasami dać sobie to, czego każda z nich potrzebowała – towarzystwo drugiej osoby, odrobinę uwagi i poczucie, że ma się na kogo czekać.

Dziewczyna czuła, że miałyby ochotę na niejedną jeszcze wizytę w mieszkaniu na pierwszym piętrze, sytuację jednak komplikował fakt, że zgodnie ze zwyczajem grzecznie byłoby odwdzińczyć się zaproszeniem do siebie, a to, zważywszy na wygląd mieszkania Karoliny i całkowity brak pieniędzy, wydawało się dziewczynie nader krępujące.

Chłód panujący w jej maleńkim pokoju i to, że w najbliższym czasie Karolina nie miałyby czym poczęstować gościa, powstrzymywały ją przed zaproszeniem sąsiadki, a tym samym przed kolejną wizytą u niej. Jednak po namyśle doszła do wniosku, że czyniąc mały wyłom w zasadach mieszczańskiej obyczajowości, może pomóc i sobie, i tej schorowanej pani, w której wciąż ładnej twarzy dostrzegała tłącą się jeszcze radość życia.

Gdyby nie to, że Maria, widząc Karolinę z okna, widocznie ucieszyła się i zamachała do niej przyzywająco, dziewczyna nie zapukałaby po drodze do mieszkania numer 3 i nie umówiłaby się z nią na wieczór.

W podnieceniu czekała później kilka godzin na kolejne spotkanie, zapominając nawet o głodzie, którego nie udało się zaspokoić szklanką mleka i bułką. Karolina była bardzo ciekawa dalszych dziejów odważnej kobiety i drogi, jaką przeszła, zanim została panią Piłsudską.

Kiedy wieczorem schodziła po nieco zniszczonych drewnianych schodach, czuła mieszaninę radości i lęku. Radość dlatego, że najwidoczniej została zaakceptowana przez panią Marię, a lęk i obawę przed tym, że mogłoby się to zmienić.

Od początku września, od kiedy podjęła pracę, Karolina czuła się samotna. Dawne kontakty rozluźniły się, a z nowymi znajomymi ze szkoły nie czuła się jeszcze na tyle zżyta, żeby spotykać się z nimi po pracy. Zresztą większość nauczycielek była starsza od Karoliny, więc ich problemy oraz zainteresowania różniły się całkowicie. Młode i niemłode mężatki, jeden bardzo stary kawaler, jeszcze starszy wdowiec i ksiądz stanowili kadrę nauczycielską szkoły powszechnej, w której pracowała. Panie przeważnie zajęte były swoimi rodzinami, a poza Karoliną nie było wśród kadry nauczycielskiej nikogo tak młodego i wolnego od codziennych trosk.

Fakt ten stwarzał marne perspektywy na rozpoczęcie ciekawego życia towarzyskiego, a ponieważ dziewczyna była nieśmiała, stan ten mógł się utrzymać jeszcze bardzo długo.

W Krakowie dawno już skończyła się złota jesień i długie wieczory w ciasnym mieszkanku nie należały do najprzyjemniejszych. Dotąd Karolina pocieszała się lekturą i nadzieją, że z wiosną, kiedy na małym podwórku kamienicy numer 31 krzewy wypuszczą liście, a na grządkach pojawią się kwiaty wysiewane przez żonę Wincentego, wszystko się zmieni. Teraz jednak pojawiła się szansa, że z poprawą nastroju nie będzie musiała czekać aż do wiosny.

Znalazłszy się na pierwszym piętrze, początkowo sięgnęła do dzwonka mieszkania numer 3, ale zaraz przypomniała sobie, jak głośny i nieprzyjemny ma dźwięk. Powstrzymała się więc przed naciśnięciem przycisku i delikatnie zapukała do drzwi, które otworzyły się niemal natychmiast, tak jakby pani Maria czekała na gościa w korytarzu. Uśmiechając się szeroko, Piłsudska ujęła Karolinę pod ramię i prowadząc do kuchni, oznajmiła:

– Świetnie, że panienka przyszła, właśnie wypiekłam leguminę, której jest tak dużo, że sama nie dam rady zjeść.

Karolina wciągnęła nosem waniliowy zapach, przywodzący jej na pamięć piątkowe obiady w rodzinnym domu. Matka zazwyczaj smażyła wtedy naleśniki z dżemem i serem albo piekła leguminę, której zapach do złudzenia przypominał ten unoszący się teraz w kuchni mieszkania na Szlaku.

Kiedy stanęły w progu kuchni, Maria podeszła do pieca, na którym znajdował się płaski, szeroki garnek, i uniosła do góry jego pokrywkę.

– Poprosiłam Wincentego, żeby napalił mi pod kuchnią, bo postanowiłam upiec na jutrzejszy obiad mięso, które dzięki panienki uprzejmości doniosłam do mieszkania. Miałam trochę suchej bułki i białego sera, to za jednym zamachem przyrządziłam też leguminę, no i wszystko razem pięknie się wypiekło.

Pani Maria krzątała się po kuchni, a jej policzki lekko zaróżowiły się od ciepłego powietrza.

– Lepiej się pani czuje? – zapytała Karolina, przysiadając na brzegu kuchennego krzesła.

Maria machnęła dłonią i w obydwie ręce wzięła ścierki, przez które zamierzała złapać uszy garnka, aby przenieść go na podstawkę leżącą na stole pomiędzy nakryciami. Widząc to, Karolina natychmiast stanęła obok niej.

– Proszę pozwolić mi sobie pomóc – zaoferowała, ale Maria energicznie pokręciła głową i sięgnęła po garnek.

– Nie trzeba, nie jest ciężki, a ja dzisiaj czuję się dużo lepiej. Wczoraj nie powinnam była wychodzić, bo pogoda była jakaś dziwna... czasem przy silnym wietrze gorzej się czuję. Wydawało mi się, że pójdę niedaleko, a doszłam aż na Rynek i klops!... Okazało się, że słabizna ze mnie, ale za to dzisiaj czuję się wyśmienicie i dlatego coś ugotowałam. Chętnie panienkę nakarmię leguminą, a jeżeli będzie smakować, to jutro zapraszam na pieczeń – powiedziała rażno, ale po krótkiej chwili dodała, jakby nagle przestraszyła się, iż może się dziewczynie wydać natrętna: – Oczywiście jeżeli panienka będzie miała ochotę!

Karolina natychmiast zrozumiała delikatną sytuację, ale nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Dzięki dużej wrażliwości bezbłędnie wyczuwała nastroje osób, z którymi przyszło jej obcować.

Teraz sądziła, że niezależnie od tego, co odpowie, mogłoby się to wydać mało taktowne. Na wszelki wypadek więc uśmiechnęła się i powiedziała:

– Dziękuję!

Miała nadzieję, że w trakcie wizyty sytuacja wyklaruje się na tyle, że przed wyjściem będzie już wiedziała, co odpowiedzieć, gdyby zaproszenie zostało powtórzone.

Usiadła przy stole i patrzyła, jak Maria sprawnymi ruchami wydobywa z garnka duży kawałek leguminy, po czym kładzie go na jej talerzu.

Eleganckie podawanie potraw było dla Karoliny czynnością, której zupełnie nie potrafiła się nauczyć. Często powodowała zniecierpliwienie matki, kiedy niezgrabnymi dłońmi próbowała nie rozsypać ziemniaków albo równo pokroić pieczeń, nie doprowadzając jej przy tym do całkowitego rozpadnięcia. Kulinarne talenty Karoliny, a właściwie całkowity ich brak, doprowadzały matkę do rozpacz.

– Co ty poczniesz, dziecko, jak za mąż wyjdiesz? – utyskiwała, patrząc, jak córka niezdarnie poczyną sobie w kuchni. – Jaki mężczyzna będzie chciał za żonę taką niedorajdę?

– Jak mu nie powiesz, że kiepska ze mnie kucharka, to przecież nie będzie wiedział – odpowiedziała Karolina pewnego razu, wzruszając przy tym ramionami.

– Ale przecież przekona się o tym już przy pierwszym obiedzie! – oburzyła się matka.

Karolina spojrzała na nią z filuternym uśmiechem.

– Jeśli zamieszkas z nami, to nie zobaczy! – oznajmiła, ale natychmiast pożałowała swoich słów. Nie zamierzała przecież składać żadnych deklaracji i natychmiast zdała sobie sprawę z tego, że każde następne zdanie mogłoby stać się teraz zbyt daleko idącą obietnicą.

Karolina nie miała narzeczonego i nikt jeszcze na poważnie nie starał się o nią, żadna więc z nich, ani matka, ani córka, nie wiedziała, jak dalej potoczy się ich życie. Takie rozmowy nie miały najmniejszego sensu.

Po kilku latach w Krakowie Karolina nie chciała spędzić życia w rodzinnej miejscowości, a jej mama prawdopodobnie nie chciałaby jej opuścić. Pogodzona z decyzją córki o kontynuowaniu nauki, wierzyła skrycie, że uzyskawszy dyplom nauczycielki, dziewczyna wróci w rodzinne strony i tu założy rodzinę.

Z chwilą podjęcia pracy w Krakowie Karolina ostatecznie pokazała, że nie wiąże swej przyszłości z małą mięściną na Podkarpaciu, ale wciąż jeszcze była na początku drogi i w jej życiu wiele się mogło wydarzyć. Początkowo, gdy przyjeżdżała do domu, matka starała się wynajdować coraz to nowe zalety mieszkania w małym mieście, ale Karolina nie lubiła takich rozmów i zwykle odpowiadała szorstko albo zbywała argumenty matki milczeniem. W rodzinnej mięścinie spędziła dzieciństwo, a także wczesną młodość i nie czuła do niej wielkiego sentymentu. Zaznawszy radości życia w dużym mieście, nie zamierzała już wracać i chociaż bieda zagładająca do jej garnków w małym pokoiku na Szlaku nie raz dawała się dziewczynie we znaki, to w porównaniu ze smutkiem, jaki po śmierci ojca panował w ich domu, wydawała się całkiem znośna.

Maria Piłsudska usiadła naprzeciw Karoliny i uśmiechając się życzliwie, gestem zachęciła ją do jedzenia, a kiedy dziewczyna, starając się hamować wilczy głód, powoli zaczęła jeść, kobieta popatrzyła na nią życzliwie i zapytała:

– Smakuje panience?

– Bardzo! – odpowiedziała Karolina, przełknąwszy kolejny kęs. Potem w całkowitym milczeniu zjadła swoją porcję i popatrzywszy na Marię z uśmiechem, oznajmiła: – Wspaniała legumina. Taka jak w domu.

– Bardzo się cieszę – odparła Maria, wyraźnie zadowolona z pochwały. – Lubię gotować – dodała, po czym machnęła ręką i pochyliła głowę nad swoim talerzem.

– Teraz nie ma już dla kogo gotować, to i nie bardzo się chce – powiedziała cicho po chwili i zaraz dodała: – Kiedyś bywało, że trzeba tu było nakarmić kilkanaście osób, i to głównie mężczyzn, co z podróży spieszyli do mego męża. Niektórzy zwyczajnie biedni byli, inni nawet nie pamiętali o zjedzeniu posiłku, więc w kuchni na blasze zawsze stał garczek i bulgotało w nim jakieś jedzenie. Hania czasem zła nawet była, ale ja na te jej humorki nie bardzo zwracałam uwagę. Mus to mus, wojna to wojna, kobiety musiały w niej pomagać. Nie my jedne żywiłyśmy żołnierzy, ale chyba tylko my miałyśmy szczęście gotować dla przyszłych generałów i mężów stanu... – dokończyła myśl i westchnąwszy głęboko, wróciła do jedzenia.

Karolina nie chciała przeszkadzać Marii, choć wydawało jej się, że proste danie nie smakuje Piłsudskiej tak jak jej. Kobieta niemrawo grzebała

w talerzu i widać było, że swoją niewielką porcję je wyłącznie z grzeczności i dla towarzystwa.

W końcu milczenie gospodyni zaniepokoiło Karolinę, bo choć posiłek bardzo jej smakował, to kolacja nie była przecież głównym celem wizyty w mieszkaniu na pierwszym piętrze. Przywiodła ją tu nadzieja, że tak jak poprzednim razem usłyszy od sąsiadki ciekawą opowieść, a poznawszy Piłsudską, zrozumiała, że takich opowieści ma w zanadrzu wiele.

Jednak Maria milczała i Karolina domyśliła się, że na razie Piłsudska pogrążona jest we wspomnieniach zaludniających mieszkanie na Szlaku osobami, które już tu nie bywają, a dla których było ono niegdyś centralnym punktem Krakowa.

Czasy wojny odległe były jednak od tych, o których Piłsudska opowiadała poprzednim razem, a Karolina pragnęła poznawać wydarzenia z życia sąsiadki w porządku chronologicznym.

Ciekawa była dalszych losów kobiety, która siedziała teraz przed nią, ubrana w sweter i ciemną suknię. Obie części garderoby Marii wydawały się na nią nieco zbyt obszerne, co prawdopodobnie było efektem nękającej ją choroby. W tym czasie zarówno twarz, jak i sylwetka pięćdziesięciokilkuletniej kobiety wyglądały starzej niż wskazania metryki urodzenia. Wychudzona twarz z odrobinę obwisłą skórą na policzkach tylko w niewielkim stopniu przypominała twarz postawnej, ciemnowłosej pani ze zdjęć. Na fotografiach tych, oprawionych w ramki i porozwieszanych na ścianach salonu, elegancka, ładna i uśmiechnięta kobieta wydawała się szczęśliwa. Teraz w twarzy Marii nie było szczęścia, jedynie cień dawnej urody. Tylko smutne ciemne oczy pozostały jej ozdobą.

– Co pani robiła po skończeniu gimnazjum? – zapytała Karolina, widząc, że Maria odłożyła widelec, najwyraźniej nie zamierzając kończyć leguminy.

Maria spojrzała na nią, przełknęła ostatni kęs i westchnąwszy, podniosła się z miejsca, żeby postawić na stole szklanki z przygotowaną wcześniej herbatą. Następnie sięgnęła do kredensu i wyjęła z niego cukiernicę w kształcie muchy, której metalowe skrzydła unosiły się do góry. Postawiła ją przed Karoliną, po czym znowu usiadła na swoim krześle i wsparłszy łokcie o blat stołu, podjęła opowieść zakończoną poprzedniego dnia.

Petersburg

Gimnazjum w Wilnie ukończyłam w 1881 roku i od razu wyjechałam do Petersburga, żeby uczyć się dalej na Kursach Bestużewskich. W tamtym czasie kobiety nie miały wielkiego wyboru kształcenia, ale ja wiedziałam, gdzie chcę studiować. Ze względu na nową pasję, czyli pracę w konspiracji, wybór mój padł na Petersburg.

To była doskonała szkoła dla dziewcząt, która przygotowywała głównie do zawodu nauczycielki. Kursy miały bardzo dobrą markę i ambitne panny chętnie zapisywały się na nie, żeby kontynuować naukę. Poziom był dosyć wysoki, a sam Petersburg wydawał się w tamtym czasie najlepszym miejscem do studiowania. W tym wielkim i pięknym mieście każdy młody człowiek chciał choć jakiś czas pomieszkać.

Rzecz jasna, nie wszystkie panny z mojego otoczenia decydowały się na dalszą naukę, ale zarówno dla mnie, jak i dla rodziców było jasne, że moja edukacja na pewno nie zakończy się na gimnazjum. Zamierzałam zdobyć wykształcenie oraz zawód i chociaż nie musiałam pracować, pragnęłam dobrze przygotować się do życia, bym nie musiała grać kiedyś roli ozdoby salonu u boku męża. Jak większość studiujących wtedy panien postanowiłam zostać nauczycielką, a że zawsze interesowały mnie zwierzęta i rośliny, wybrałam kierunek przyrodniczy.

Pod koniec lata 1881 roku wyruszyłam więc w wielki świat, do Petersburga, który wcale nie był mi niezajomy. Miasto to poznałam dosyć dobrze podczas wcześniejszych wypraw z bibułą, którą woziałam pod ubraniem pociągiem na trasie Wilno–Petersburg.

W 1881 roku miałam szesnaście lat, głowę pełną ideałów i marzenia, w których sprawy prywatne bardzo ściśle przeplatały się z publicznymi.

Moje siostry powychodziły już za mąż i wyprowadziły się z rodzinnego domu – ja też nie zamierzałam w nim zostawać.

Nie żeby było mi tam źle. Każdemu życzyłabym takiej rodziny, jaką miałam za młodu, ale jako najmłodsza z trzech panien byłam trochę rozpieszczona i samowolna, toteż rodzicom trudno było okiełznać mój temperament i zatrzymać mnie w domu.

Ze względu na swoją urodę i pozycję ojca wcale nie musiałam studiować, aby podnieść swą atrakcyjność w oczach kawalerów. Zresztą, jak przekonałam się nie raz, zbyt mądra panna może czasem więcej stracić niż zyskać w oczach mężczyzn.

Powiedziawszy to, Maria lekko zmarszczyła brwi, po czym mrugnęła porozumiewawczo i uśmiechnęła się do Karoliny.

– Gładka twarz i dobre pochodzenie sprawiły – mówiła dalej – że byłam w Wilnie niezłą partią i pomimo młodego wieku miałam w tym mieście całkiem pokaźne grono wielbicieli, gotowych do składania poważnych deklaracji. Ja jednak chciałam czegoś więcej. Pragnęłam zażyć samodzielności i wyrwać się spod rodzicielskiej kontroli. Mama bała się wypuszczać z gniazda najmłodsze dziecko, a i siostry kręciły trochę nosami na moje „dzikie” pomysły, ale któż z młodych przejmuje się lękami rodziców! Jak zwykle i tym razem postawiłam na swoim.

W Petersburgu zamieszkałam na stacji, niedaleko Litiejnego Mostu, razem z dwiema koleżankami z Kursów: Marią Arciszówną i Marią Paszkowską.

Bardzo lubiłam obie Marysie i chociaż z usposobienia znacznie różniłyśmy się od siebie, to jednak dobrze nam było razem i czasy wspólnego mieszkania wspominam bardzo miło.

To, że do dzisiejszego dnia utrzymujemy ze sobą kontakt, świadczy najlepiej o tym, że nasza przyjaźń nie zrodziła się przypadkiem i przetrwała liczne burze.

Marysia Arciszówna była w tym czasie narzeczoną Józefa Łukaszewicza, który bardzo angażował się w pracę socjalistyczną. Później brał nawet udział w przygotowaniach zamachu na cara Aleksandra III i w ogóle miał dobre stosunki z radykalnymi Rosjanami.

Wśród młodzieży uniwersyteckiej socjalizowanie było wówczas bardzo dobrze widziane i chociaż teraz wydaje mi się to dziwne, dzieciom

właścicieli ziemskich i zamożnych mieszczan bliżej wówczas było do socjalizmu niż robotnikom, którzy w ten ruch angażowali się słabo.

Nasze interesy nie były zbieżne z interesami Rosjan i pewnie dlatego w tamtym czasie tylko niektórzy szukali z nimi wspólnej drogi. Po latach, rzecz jasna, wyglądało to inaczej i znalazło się wielu takich, dla których rewolucja socjalna była dużo ważniejsza od interesu Polski.

Jednak dla większości z nas, młodych Polaków, konspirowanie przeciw carskiej władzy było walką o niepodległość, którą znaleźmy tylko z lektury i rodzinnych opowieści.

Inaczej było w przypadku młodzieży rosyjskiej. Dla nich socjalizm to była walka z przestarzałym systemem feudalnym, który nie pasował już do rozwijającego się świata.

Nikt z moich młodych rówieśników nie zaznał wolności, a jednak wszyscy tęsknili do niej, bo tak już jest w naszym narodzie, że bijemy się o nią zaciekle, a gdy tylko krwią okupimy i odzyskamy niepodległość, zupełnie nie wiemy, jak się nią gospodarzy.

Maria spuściła głowę i przez chwilę z zasepioną miną przypatrywała się swoim dłoniom. Jej uwagę przykuła jasnobrązowa plama na palcu wskazującym prawej ręki, która najpewniej pojawiła się niedawno. Piłsudska przyglądała się jej czas jakiś, po czym delikatnie potarła znamię kciukiem lewej dłoni i ściągnąwszy brwi, z dezaprobatą pokręciła głową.

– W wynajętym przez nas mieszkaniu niemal od początku zaczęli pojawiać się młodzi mężczyźni. Byli to nasi koledzy studiujący inżynierię lub inne kierunki. Niektórzy z nich, tak jak my, pochodzili z Wilna bądź innych polskich miast i miasteczek i podobnie jak my pomieszkiwali na stacjach. Było też kilku takich, których rodziny wcześniej przeprowadziły się do Petersburga, tak więc nie musieli nic wynajmować.

Wszystkie poranki aż do południa, a czasem i dłużej, przesiadywałyśmy na Kursach, jednak późne popołudnia i wieczory spędzałyśmy na poważnych rozmowach lub mniej poważnych rozrywkach towarzyskich. Józek Łukaszewicz czasami przyprowadzał na spotkania swoich rosyjskich znajomych, ale lepiej czułyśmy się w polskim gronie.

Niektórzy z kawalerów bywali u nas częstymi gośćmi, a co za tym idzie, stawali się później tematem panieńskich rozmów.

Powiedziawszy to, pani Maria uśmiechnęła się filuternie i puściła oko do Karoliny.

– Prawdę mówiąc, rozmawiałyśmy o nich we dwie z Arciszówną, bo Marysia Paszkowska w takich razach zachowywała się dziwnie, a właściwie nawet całkiem śmiesznie. Kiedy znała mężczyznę, traktowała go zwyczajnie, po koleżeńsku, ale przed nieznanymi, którzy pojawiali się w towarzystwie po raz pierwszy, kryła się i odsuwała jak dzikus. Po wyjściu takiego gościa miała zwyczaj wietrzenia wszystkich pomieszczeń, jakby co prędzej chciała wypuścić morowe powietrze. Zachowywała się tak zawsze wobec każdego nowo poznanego mężczyzny i musiało minąć trochę czasu, zanim w pełni zaakceptowała kolejnego młodego człowieka. Kiedy zaś już się z nim oswoiła, zaczynała traktować go w sposób zwykły i grzeczny, tak jak każdego innego. Trochę z tym dziwaczyła, ale za to w innych sytuacjach była bardzo pomocna, a czasem wręcz nieoceniona. Pewnie dlatego akceptowałyśmy niektóre jej dziwne zwyczaje.

Żyłyśmy zgodnie i chociaż sporo nas od siebie różniło, właśnie te różnice okazały się dla mnie nader korzystną okolicznością.

Pani Maria uśmiechnęła się do własnych myśli i pochyliwszy się jeszcze bardziej nad stołem, kontynuowała opowieść:

– Marysia Paszkowska pochodziła z niezamożnego domu, toteż na swoje utrzymanie musiała zarabiać korepetycjami. Pewnie dlatego zupełnie inaczej niż my z Arciszówną gospodarzyła swoimi pieniędzmi. Zazdrościłam jej tej umiejętności i wkrótce umyśliłam, że najlepiej i najbezpieczniej będzie powierzyć Paszkosi swoje finanse, bo w przeciwnym razie wydałabym wszystko na jakieś głupstwa. Pomysł okazał się dobry i te kilka miesięcy, w ciągu których Marynia trzymała je żelazną ręką, okazały się bardzo korzystne dla moich rachunków.

Przesadą byłoby powiedzieć, że przy niej nauczyłam się oszczędzać, ale na pewno nauczyłam się liczyć wydawane pieniądze, tak by starczyło na wszystkie niezbędne potrzeby. To były dla mnie pierwsze lekcje ekonomii, a kontakt z Paszkowską uświadomił mi, że można odmówić sobie wielu rzeczy, które zupełnie są nam niepotrzebne.

O całkowitej zbędności niektórych z nich Marynia wkrótce już wcale nie musiała mnie przekonywać. Żyjąc obok osoby gorzej sytuowanej, nauczyłam się ograniczać zachcianki i pewnie dlatego okres mieszkania z Marysienkami wspominam jako czas nie tylko nauki, flirtów i zabawy, ale też ekonomicznej edukacji, która potem bardzo mi się przydała. Wtedy nauczyłam się skrupulatnie liczyć i szanować pieniądze, dzięki temu

później mogłam pomagać Ziukowi w finansach różnych organizacji, a mąż z pełnym zaufaniem powierzał mi te zadania.

W ogóle ten pierwszy rok pobytu w Petersburgu stał się dla mnie naprawdę bardzo ważny. Słodka Arciszówna różniła się usposobieniem od Paszkowskiej, która zawsze była niezaprzeczalnie wybitną osobą i świetną organizatorką. Wszystkie swoje talenty zaczęła ujawniać już wtedy i od początku znajomości była dla nas wzorem zaangażowania w pracę. Kiedy rozstałyśmy się i każda poszła w swoją stronę, Paszkosia dalej rozwijała swoje konspiracyjne i organizacyjne umiejętności. Bardzo mi tym imponowała i choć niektóre jej zachowania wydawały się czasem dziwaczne, to jednak wyczuwałam w koleżance desperację i siłę niepospolitej kobiety. Obie z Arciszówną ufałyśmy jej całkowicie.

Oprócz zajęć na Kursach i spotkaniach towarzyskich sporo czasu spędzałyśmy w bibliotece. Chodziłyśmy tam nie tylko po to, by czytać książki. Biblioteka była miejscem, w którym spotykała się młodzież o różnych poglądach, ale najwięcej było „organiczników”, czyli przyszłych narodowców. My, radykalnie myślące już w czasach gimnazjalnych, zarażone ideą socjalizmu, często do późna spierałyśmy się z nimi, choć prawdę rzekłszy, z nas trzech tylko Maria Paszkowska potrafiła robić to przekonywająco.

Właśnie w bibliotece zetknęłam się z „Ujeżdżalnią”, dobrze zorganizowaną grupą młodzieży studenckiej, która prowadziła tam całkiem sprawną agitację wśród polskich studentów. „Ujeżdżalnia”, w odróżnieniu od mocno socjalizującej Gminy Petersburskiej, z którą od samego początku poczułam się związana, miała radykalny, raczej narodowy charakter.

Przez Łukaszewicza poznałyśmy też przedstawicieli Narodnej Woli – organizacji skupiającej radykalną młodzież rosyjską. Jej członkami byli rosyjscy studenci zarażeni ideą socjalizmu, ale z nimi jakoś nie czułyśmy się dobrze, toteż kontakty nasze pozostawały dosyć luźne.

To były czasy, w których dysputom i sporom nie było końca. Wszystkie angażowałyśmy się bardzo w życie studenckie i chwilami stawało się ono dla nas ważniejsze nawet od samej nauki. Trzymałyśmy się razem, ale bynajmniej nie byłyśmy nierozłączne jak inne dziewczęta na Kursach. Te, które razem wynajmowały kwatery, często nie odstępowały się na krok, przyjmując tych samych gości i razem bywając w tych samych domach.

Być może nieśmiałość i lęk kazały im unikać swobody i pokus wielkiego świata.

My lubiliśmy się bardzo i chętnie przebywaaliśmy w swoim towarzystwie, ale każda z nas miała też własny krąg znajomych, z którymi spotykaliśmy się niezależnie.

Pani Maria przerwała na chwilę i wsunęła prawą dłoń pod kuchenny obrus.

– Z tego okresu pozostało mi zdjęcie, które od lat tu przechowuję i czasem spoglądam na nie, przypominając sobie ludzi, z którymi drogi moje dawno się rozeszły – mówiła dalej, szukając wciąż czegoś pod serwetą. – Wtedy jednak dla niektórych z nich gotowa byłam na wiele.

Dokończyła i w końcu odwinęła na stół serwetę, spod której wyłoniła się ukryta pod blatem maleńka szufladka.

Maria wysunęła ją nie bez pewnego trudu i wydobyła z wnętrza oprawioną w ramkę fotografię za szkłem. Na krótko zatrzymała wzrok na fotografii, po czym podała ją Karolinie.

– Dlaczego nie powiesiła pani tego na ścianie w salonie? – zapytała dziewczyna, uważnie przyglądając się osobom uwiecznionym na zdjęciu.

Maria, uśmiechając się lekko, czas jakiś zastanawiała się nad odpowiedzią, która okazała się dużo trudniejsza, niż mogłoby się zdawać. Wbicie gwoźdźcia w ścianę nie stanowiło przecież problemu ani dla niej, ani dla służącej, a już na pewno nie dla dozorca, który nie odmówiłby Marii niczego.

– To trochę skomplikowane – zaczęła powoli, zastanawiając się nad każdym słowem. – Lubię ją mieć pod ręką.

Karolina zdała sobie sprawę z tego, że ta skąpa odpowiedź przypuszczalnie będzie musiała jej wystarczyć. Maria wyraźnie nie chciała rozwijać tego wątku, a Karolina czuła, że nie powinna być zbyt dociekliwa. Dla niej grupa młodzieży patrząca ze starej fotografii to ludzie obcy i nieznani, ale Maria musiała mieć jakieś ważne powody, dla których nie powiesiła fotografii obok rodzinnych zdjęć.

– Życie płata nam figle – powiedziała po dłuższej chwili – i drogi ludzi rozchodzą się nieraz w zupełnie przeciwnych kierunkach. Dawni przyjaciele nagle stają się wrogami i czasem dziwimy się, że kiedykolwiek mogliśmy się z nimi znaleźć na wspólnej fotografii. Teraz odwiedzają mnie

czasem ludzie, dla których biografia kilku z tych osób może być trudna do zaakceptowania...

Karolina zastygła w oczekiwaniu na to, co jeszcze mogło paść teraz z jej ust.

– Ci, którzy w tamtych czasach pomagali sobie i byli przyjaciółmi, teraz czasem z gruntu się nienawidzą. Taka już nasza polska natura: dobrze nam z sobą tylko wtedy, gdy z Polską jest źle, bo kiedy przychodzi czas budowania, skaczemy sobie do oczu i najchętniej zepchnęlibyśmy z drabiny każdego, kto chciałby budować ciut inaczej. Nie rozumiemy i nie tolerujemy kompromisów. Akceptujemy jedynie to, w co sami wierzymy. Innych, choćby kiedyś byli nam braćmi, zatłuklibyśmy kamieniami za to, że ośmielają się myśleć inaczej.

– Łatwiej zbudować państwo, niż ukształtować naród – powiedziała po chwili ze smutkiem Maria, ale już wkrótce potem wyraz jej twarzy zmienił się i oznajmiła dużo weselszym tonem: – Z tym zdjęciem łączy się dosyć zabawna historia... Otóż, jak już wspomniałam, każda z nas trzech miała prócz grona wspólnych także osobnych znajomych. Spotykałyśmy się z nimi i trochę konspirowałyśmy.

Ja związana byłam z Gminą Petersburską, z której to organizacji wywodziło się wielu bojowników działających później w Warszawie. Niektórzy z nich to członkowie Proletariatu albo – tak jak i ja w trzy lata później – działacze zasilający jego przerzedzone aresztowaniami szeregi. Zdjęcie to zostało zrobione w roku bodaj 1882, po dosyć komicznej wpadce, jaką zdarzyło nam się przeżyć.

Otóż pewnego późnojesiennego wieczoru spotkaliśmy się wszyscy w mieszkaniu małżonków Bielskich, na piątym piętrze kamienicy nieopodal centrum miasta. Nikt z nas nie wiedział, że służąca Bielskich donosiła policji, toteż często odwiedzaliśmy sympatycznych gospodarzy i w ich mieszkaniu czuliśmy się bezpieczni. Tego wieczoru, według wcześniejszych ustaleń, miał odczyt Bronisław Białobłocki. Nikt z nas nie spodziewał się, że zostanie on zakłócony nagłym wtargnięciem carskiej policji. Kiedy więc w salonie Bielskich pojawił się przystaw (urzędnik carskiej policji), wywołał wśród zebranych pomieszenie, czego jednak za wszelką cenę staraliśmy się nie okazywać.

Prystaw sięgnął po rękopis wystąpienia, wyjął go z rąk oniemiałego Białobłockiego i uważnie zaczął mu się przyglądać.

– Polacy? – zapytał, podnosząc oczy na zebranych.
– Polacy – odparliśmy prawie jednocześnie.
– Co to za zebranie? – pytał dalej, machając rękopisem.
– *Nowosielje* (przenosiny do nowego mieszkania) – odpowiedziała Bielska z promiennym uśmiechem, podsuwając policjantowi talerz z ciasteczkami.

Policjant wziął jedno z ciastek i nie dziękując gospodyni za poczęstunek, podał Bielskiemu rękopis Białobłockiego.

– *Na ruski pieriewodi* (tłumacz)! – zażądał.

Biedny Bielski, dzierżąc referat w drżących dłoniach, bąkał coś i dukał, na oczekaniu zmieniając wywrotową treść notatek w kulawy wywód o literaturze. Po wyjściu policji w panice rzuciliśmy się opróżnić mieszkanie Bielskich z kompromitujących materiałów. Część z nich ktoś całkiem bezmyślnie, w pośpiechu, wyrzucił przez okno. Pakiety spadły na ulicę i na dach innego dwupiętrowego budynku. Wtedy nagle oprzytomnieliśmy. Zrozumieliśmy, że nie możemy tego tak zostawić.

Dotychczasowe, powodowane paniką działania były całkowicie pozbawione sensu. Kiedy więc pozbywszy się z domu kompromitujących materiałów, oczekiwaliśmy przybycia żandarmów, próbowaliśmy ułożyć dalszy plan i uzgodnić wiarygodną wersję dla przesłuchujących nas śledczych.

W efekcie tych rozważań Adam Zakrzewski pobiegł na ulicę, żeby pozbierać wyrzucone wcześniej papiery, z którymi natychmiast się ulotnił i nie wrócił już do mieszkania Bielskich. Czesław Meyro i Włodzimierz Zubow wdrapali się na dach budynku, gdzie wylądowały pozostałe pakiety, i przesiedziawszy tam najpierw kilka godzin, dopiero pod osłoną nocy zeszli z dachu i przenieśli wszystko w bezpieczne miejsce.

To było dla nas wszystkich naprawdę trudne przeżycie i zakończyło się szczęśliwie jedynie dlatego, że przystaw okazał się Polakiem o nazwisku Łebkowski, pochodzącym z Mińszczyzny. Uchroniło to nas wszystkich przed gruntowną rewizją i aresztowaniem.

Myślę, że Łebkowski i jego pomocnik, też zresztą Polak, doskonale znali język polski i świetnie poradziłoby sobie ze zrozumieniem tekstu, ale nie chcąc nam zaszkodzić, z całego zajścia nie sporządzili nawet notatki. Zresztą to właśnie przystaw Łebkowski wskazał dyskretnie któremuś z gości, kto w mieszkaniu Bielskich był donosicielem.

Na drugi dzień służąca Bielskich dostała odprawę, a my wszyscy spotkaliśmy się w atelier fotograficznym, żeby na wspólnym zdjęciu uwiecznić uczestników zdarzenia.

Zrealizowanie tego pomysłu było również bardzo nierozsądne, bo gdyby ta fotografia wpadła kiedyś w ręce carskiej policji, całkowita dekonspiracja byłaby nieuchronna.

Maria uśmiechnęła się blado i włożyła zdjęcie do szufladki.

– Przez wiele lat strzegłam go jak oka w głowie i tylko raz pokazałam Ziukowi. Miałam świadomość, że posiadanie tego zdjęcia było kiedyś dla mnie niebezpieczne, i z tego co wiem, wiele osób pozbyło się swoich już dawno. Niektórzy ze względów bezpieczeństwa, a inni z niechęci do tych, z którymi później nie zamierzali mieć już nic wspólnego.

Piłsudka domknęła szufladkę i Karolinie wydało się, że trochę zbladła, ale po krótkiej przerwie na jej policzki wrócił lekki rumieniec. Dziewczyna starała się nie wykonywać żadnych zbędnych ruchów i dać Piłsudskiej czas na odpoczynek. Wcale nie spieszyło się jej do zimnego pokoiku na drugim piętrze. W ciepłym i przytulnym mieszkaniu Piłsudskiej czuła się dużo lepiej niż u siebie, a towarzystwo Marii przestało ją onieśmielać.

Skrepowanie obecnością Piłsudskiej czuła tylko na początku, kiedy jeszcze nie wiedziała, jak bardzo bezpośrednią i ciepłą jest osobą. Wielki szacunek, graniczący z uwielbieniem wobec Marszałka, jaki wyniosła z rodzinnego domu, i świadomość, że znajduje się w miejscu, w którym tworzyła się historia, początkowo lekko paraliżowały Karolinę, ale to minęło i teraz w mieszkaniu na pierwszym piętrze czuła się naprawdę dobrze.

Bardzo nie chciała, żeby pani Maria krępowała się jej obecnością, dlatego cierpliwie przeczekiwała przerwy w opowiadaniu, najwidoczniej niezbędne dla uspokojenia nadwątlonego chorobami serca.

– Kiedy teraz wspominam tamte czasy – powiedziała Piłsudska – nieraz śmieję się z tego, co wtedy wygadywałam. Prawdę mówiąc, nie całkiem to wszystko rozumiałam i w moim zaangażowaniu w konspirację więcej było młodzieńczego zapału niż rozsądku.

Dopiero później przekonałam się, że wizje przyszłości naszego kraju dla wielu ludzi były całkowicie odmienne. Z tym socjalizmem to też wyszło całkiem inaczej, niż oczekiwałam. Wkrótce zresztą przestałam wypowiadać się na tematy, o których miałam dosyć blade pojęcie. Zaangażowanie

ideologiczne pozostawiłam Paszkowskiej, ponieważ działała ona prężnie i skutecznie i w niedługim czasie zorganizowała całkiem sprawnie funkcjonującą strukturę „dromaderek”, czyli kobiet kolportujących ulotki i nielegalną prasę.

Przez czas jakiś dzielnie sekundowała jej w tym Arcyszówna, wciąż jeszcze zakochana w Józefie. Ostatecznie jednak z jej związku z Łukaszewiczem nic nie wyszło i Arcyszówna wyszła za mąż za Wincentego Januszewicza. Ale to było już później.

Ja wtedy na pewien czas skierowałam się ku sprawom osobistym, bo w moim sercu zagościło uczucie nowe i fascynujące, choć, jak się potem okazało, niezbyt głębokie.

Jego obiektem stał się Marian Juszkiewicz, nieco starszy od nas kolega, rozpoczynający właśnie karierę urzędniczą w Ministerstwie Kolejnictwa.

Marian podobał mi się bardzo, a i ja zrobiłam na kawalerze niemałe wrażenie, gdyż jego wizyty w naszym mieszkaniu stały się częste, a w rozmarzonych oczach przystojnego młodzieńca widziałam uczucie, które wtedy zdawało mi się wielkie. Wkrótce więc doszłam do wniosku, że Juszkiewicz może być dla mnie idealnym towarzyszem życia.

Mimo młodego wieku, a może właśnie dlatego, że byłam naprawdę bardzo młoda, po ponad roku od przyjazdu do Petersburga wyszłam za mąż za Mariana Juszkiewicza, który był naprawdę doskonałą partią, a poza tym odznaczał się urodą i dobrymi manierami, co nadzwyczaj podobało się mamie.

Dowiedziawszy się o planowanym przez nas małżeństwie, rodzice wcale mu się nie sprzeciwiali i bynajmniej nie naciskali na zmianę decyzji. Oboje byli już chyba zmęczeni moimi eskapadami z bibułą oraz ciągłym strachem, tak więc zapewne potrzebowali odrobiny wytchnienia. Łudzili się, że zamążpójście odmieni moje zwyczaje i sprawi, że przestanę się narażać. W tamtych czasach małżeństwu przypisywano magiczne znaczenie, a fakt wciśnięcia obrączki na palec choćby najbardziej płochej dziewczyny miał sprawić, że przemieni się ona w rozsądną, zapobiegliwą damę o kształtach Afrodyty i mózgu sędziwej matrony.

Po kilku naradach rodzinnych ustalono więc, że mimo młodego wieku najlepiej dla mnie będzie, jeśli wstąpię w związek małżeński, a że przyszły mąż wywarł na wszystkich korzystne wrażenie, ta szybka decyzja nie wzbudzała już w nikim niepokoju. Juszkiewicz był dla nich gwarantem

tego, że w odległym od Wilna Petersburgu będzie czuwał nade mną ktoś bliski, kto być może okiełzna moje usposobienie i z kim będę musiała się liczyć.

Ceremonia ślubna i przyjęcie weselne były eleganckie, choć niezbyt okazałe. Oboje ładni i młodzi, cieszyliśmy się tym dniem, jednakże później okazało się, że każde z nas cieszyło się z innego powodu.

Małżeństwo z Marianem od początku nie było idealne, ale gdy teraz o tym myślę, muszę przyznać, że sporo w tym było mojej winy. Zbyt młoda, by dobrze wypełniać rolę żony, wkrótce zrozumiałam, że w rzeczywistości nie pałam do niego aż tak gorącym uczuciem, by bez reszty poświęcić się domowi i zapomnieć o dotychczasowym życiu.

Juskiewicz był typowym urzędnikiem, który wszystkie swoje życiowe cele łączył z posadą i tym, co wiązało się ze zdobyciem oraz utrzymaniem odpowiedniej pozycji społecznej.

Przed ślubem wynurzenia kilkunastoletniej narzeczonej traktował niezbyt poważnie, tak jak zazwyczaj traktuje się niegroźną paplaninę młodziutkiej pensjonarki. Świącie wierzył, że w chwili gdy włoży na mój palec obrączkę, przejmie kontrolę nie tylko nad moim życiem, ale i umysłem.

Pewnie też sądził, że uda mu się decydować o tym, co powinnam, a czego nie powinnam mówić i robić. Młoda żona potrzebna mu była do tego, żeby ulepić ją według własnych upodobań i wcisnąć pomiędzy stare małżonki wpływowych urzędników.

Do samego ślubu wierzyłam, że dla Mariana liczy się nie tylko moja uroda, ale i walory umysłu. Nie oczekiwałam, że w konspiracji zostanę kimś ważnym, i prawdę mówiąc, o to mi nie chodziło. Miałam jednak energię oraz wielką chęć do działania dla Polski i nie wyobrażałam sobie bezczynnego siedzenia w domu. A mój mąż nie przypuszczał nawet, że po ślubie wcale nie zrezygnuję z konspirowania.

Być może gdyby lepiej poznał mnie i moich rodziców, zrozumiałby, że oczekiwania te są całkowicie nierealne, ale tak się nie stało i w niedługim czasie rozczarowaliśmy się oboje. Pomimo kilku prób ratowania uczucia nie potrafiliśmy się do siebie dopasować.

Jak już wspomniałam, w równym stopniu doznaliśmy rozczarowania. Przed ślubem byłam przekonana, że po ceremonii niewiele się zmieni, a Juskiewicz głęboko wierzył, że małżeństwo zmieni we mnie wszystko.

Różnica poglądów na sprawy małżeństwa stała się w krótkim czasie kością niezgody pomiędzy mną a Marianem.

Z chwilą objęcia ważnego stanowiska w Ministerstwie Kolejnictwa mąż mój zaczął poświęcać się głównie karierze. Dużo czasu spędzał w pracy, ja zaś tęskniłam do dawnych przyjaciół i marzyłam, by pomagać Marysi Paszkowskiej, wciąż będącej dla mnie wzorem prawdziwego zaangażowania.

Prócz przyjaciółek ze stacji miałam wciąż jeszcze tę samą grupę znajomych z Gminy Petersburskiej, z którymi również nie chciałam tracić kontaktu.

Starsi ode mnie konspiratorzy, mocno zaangażowani nie tylko w pracę samokształceniową, ale i w działalność wywrotową, imponowali mi zaangażowaniem i gotowością do walki z zaborcą.

W ich towarzystwie czułam się ważna i potrzebna Polsce, dużo bardziej niż w ponurej kuchni naszego petersburskiego mieszkania. Dbanie o dom nie bardzo mnie zachwycało, więc kiedy Marian zatrudnił służącą, z radością powierzyłam jej robienie porządków i gotowanie, o którym zresztą nie miałam większego pojęcia.

Było to trochę egoistyczne, ale nie potrafiłam zrezygnować z dotychczasowej działalności. I chociaż ani wtedy, ani później nie odgrywałam szczególnie znaczącej roli w trybach konspiracyjnej maszyny, to przecież takich jak ja cichych pracowników było w niej bardzo wielu.

Nie mogłam tego porzucić. Czułam, że kiedy spełniając oczekiwania męża, odsunę się od znajomych, niebawem całkiem stracę z nimi kontakt i przestaniemy się rozumieć. Bałam się też, że przyjaciele ze względu na urzędowe stanowisko mojego męża mogliby przestać darzyć mnie zaufaniem, a tego naprawdę nie potrafiłabym znieść.

Brak porozumienia z Marianem bolał mnie jednak bardzo i gdyby nie grono wspomniałych przyjaciół, szybko stałabym się nieszczęśliwa.

Rola żony okazała się dla mnie trudna, a gdy do rozczarowania małżeństwem dołożył zazdrość Juszkiewicza o kontakty i dowody sympatii, jakie okazywali mi inni mężczyźni, łatwo przyjdzie zrozumieć, dlaczego małżeństwo z nim stało się dla mnie prawdziwie nieznośne.

Nie potrafiłam usiedzieć w domu. Wróciłam więc do konspirowania. Niestety, w bardzo krótkim czasie przekonałam się, że zajęcie to naprawdę nie jest bezpieczne.

Wiosną 1884 roku spora grupa studenckiej młodzieży w Petersburgu została aresztowana przez carską policję pod zarzutem konspirowania na rzecz socjalistów. Pośród tych osób byłam i ja. Dla kilku młodych ludzi z naszego grona, w tym i mnie samej, skończyło się to krótkotrwałym zatrzymaniem. Mnie wypuszczono dzięki interwencji wpływowej wciąż rodziny.

Niestety, chociaż uniknęłam procesu, wkrótce po wyjściu z aresztu musiałam opuścić Petersburg. Władze miasta nie zgadzały się na moje pozostawanie w jego granicach. Toteż przyszedł czas na zmiany i znowu musiałam podjąć decyzję, co dalej ze sobą robić.

Tak więc pomimo starań Juszkiewicza moje dalsze mieszkanie w Petersburgu okazało się niemożliwe, i to zarówno dlatego, że stałam się znana tamtejszej policji, jak i ze względu na męża – nie chciałam łamać mu kariery. Nie posłuchałam też nalegań mamy i postanowiłam nie wracać do Wilna. Kiedy już raz wyprowadziłam się z rodzinnego domu, nie wyobrażałam sobie, że mogłabym w nim znów pełnić rolę niezbyt grzecznej córki; ni to panny, ni mężatki!

Po burzliwej naradzie z Marianem i jego matką, która przyjechała, dowiedziawszy się o moich kłopotach, postanowiłam wyruszyć do Warszawy. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności matka mojego męża, Wanda Juszkiewicz, mieszkała wówczas w tym mieście.

Jej mieszkanie służyło konspiratorom nie tylko za punkt przerzutowy bibuły, ale i za miejsce ważnych narad, zawsze imponowała mi swoją postawą, pogodą ducha i ciepłym uśmiechem, który nigdy nie znikał z jej twarzy i, rzecz jasna, nie pozostał bez wpływu na moje dalsze życiowe decyzje.

Juszkiewiczowa od lat angażowała się w pracę konspiracyjną i pewnie dlatego doskonale rozumiała wszystkie moje rozterki. Niejednokrotnie miałam więc wrażenie, że z matką Mariana rozumiem się dużo lepiej niż z nim samym.

Juszkiewiczowa mieszkała w centrum Warszawy przy ulicy Hożej i w mojej sytuacji skorzystanie z jej gościny wydawało się całkowicie naturalne.

Niestety jednak nie wszyscy myśleli tak samo. Ani Marian, ani moi rodzice nie byli zachwyceni pomysłem przenosin do Warszawy. Jednakże wobec nakazu opuszczenia Petersburga musiałam przecież gdzieś się

wyprowadzić, a do Wilna, jak już wspomniałam, nie chciałam wracać. Marian pocieszał się myślą, że po kilku miesiącach rozłąki odechce mi się konspirowania, a on, wykorzystując znajomości, załatwi jakoś cofnięcie urzędowego nakazu. Nie wyprowadzałam go z błędu, żeby nie zaognić sytuacji, ale zupełnie nie martwiłam się utyskiwaniami rodziny, a wyjazd do Warszawy wydawał mi się najlepszym ze wszystkich rozwiązań.

Nie ja pierwsza opuszczałam carską stolicę, kierując się w tamtą stronę. W Warszawie było już całkiem duże grono moich przyjaciół, których poznałam właśnie w Petersburgu lub w Wilnie. Większość rodaków wydalonych ze stolicy Rosji jechała do dawnej stolicy Polski, by tam budować nowe struktury i rozkręcać konspirację.

I tak w Warszawie spotkałam tych samych ludzi, z którymi w Petersburgu przeżyłam już niejedno.

W Warszawie co rusz powstawały nowe organizacje potrzebujące ludzi do mrówczej pracy. Założyciele Proletariatu też pochodzili z Petersburga i chociaż wielu z nich zostało aresztowanych jeszcze przed moim przyjazdem, to jednak na wolności pozostali i tacy, których znałam i którzy pomimo trudności i licznych zatrzymań mieli jeszcze siłę i ochotę do działania.

– Nie tęskniła pani za mężem? – zapytała Karolina, przyglądając się pani Marii, która zauważyła, że spojrzenie miłego jej gościa jest uważne i jakby trochę nieufne. Różnica wieku dzieląca obie kobiety musiała powodować takie sytuacje, z czego Piłsudska już wcześniej zdała sobie sprawę. Nie wszystko jednak dało się wprost wytłumaczyć i dlatego Maria postanowiła nie zaprzętać sobie tym głowy.

– Wtedy o tym nie myślałam – powiedziała, wruszając lekko ramionami.
– A poza tym miałam przecież mieszkać z matką Mariana, więc wszyscy byli spokojni, że choćbym chciała, to nie zbłądzę!

Zważywszy moje rozczarowanie małżeństwem i pretensje, jakie wciąż miał do mnie Juszkiewicz, konieczność opuszczenia Wilna była dla mnie nie najgorszym wyjściem z kłopotliwej sytuacji.

Powiedziawszy to, Maria roześmiała się i puściła oko do Karoliny, po czym dodała tonem usprawiedliwienia:

– Wiedziałam, że mąż mój będzie nas odwiedzał, a poza tym czułam, że raczej nie będę tęsknić, bo już przekonałam się, że nasze małżeństwo nie jest udane.

Prawdę mówiąc, najsmutniejszą wówczas okolicznością stało się dla mnie ostateczne rozdzielenie z Paszkowską, która tak jak i ja aresztowana w 1884 roku, dostała nakaz osiedlenia się w Wilnie na całe trzy lata. Dzielna dziewczyna przeżyła tam początkowo wiele upokorzeń, bo miała trudności ze znalezieniem pokoju. Nikt nie chciał ryzykować wynajmowania lokum samotnej pannie, która za cały majątek miała nakaz codziennego meldowania się na policji. Na posterunku spędzała nieraz długie godziny, bo policjanci mieli za cel uprzykrzenie życia tym, którzy się narazili władzy.

To były bardzo trudne chwile dla mojej kochanej Marysi, ale gdy wreszcie poukładała sobie swoje sprawy, jak zwykle ochoczo zabrała się do roboty. Energiczna i gotowa do ciężkiej pracy, wkrótce stała się bardzo ważną postacią w wileńskim świątku.

Paszkowska nie była ładna ani elegancka, ale schludność oraz inne osobiste walory przysparzały jej wszędzie szacunku i popularności. Szybko też pojawiało się przy niej grono przyjaciół, gotowych nie tylko okazywać jej lojalność i przywiązanie, ale też pracować przy kolportowaniu pism i ulotek pod nadzorem tej nieustraszonej kobiety.

Kiedy po krótkiej, niestety, warszawskiej przygodzie wróciłam do Wilna, spotykałyśmy się bardzo często. Ale niedługo cieszyłyśmy się swoją przyjaźnią. Wyrok Paszkowskiej skończył się niebawem i wtedy Marysia natychmiast opuściła Wilno i wyruszyła do Warszawy.

Tam też, jak wszędzie, kontynuowała swoją działalność.

Z tamtego petersburskiego okresu do dziś zostały mi przyjaźnie, które okazały się dużo trwalsze od tych późniejszych, bo jak się panna zapewne jeszcze przekonasz, więzy młodości zawsze są sercu najmiłsze.

Decyzje

Piłsudska odwróciła głowę w kierunku okna i westchnęła cicho. Wieczorny mrok spowił ulicę Szlak i przez niezastłonięte szyby widać było oświetlone już okna sąsiedniej kamienicy.

Karolina w ciszy zastanawiała się nad ostatnim zdaniem wypowiedzianym przez Marię i jej myśli na chwilę poszybowały w zupełnie inne miejsce.

Z niejakim smutkiem doszła do wniosku, że jej osobiste doświadczenia są diametralnie różne od doświadczeń Piłsudskiej.

Wprawdzie tak jak sąsiadka lata najwcześniejszej młodości Karolina miała już za sobą, ale jej chmurne dzieciństwo w niczym nie przypominało tego, jakie przeżyła Maria.

Śmierć ojca na wojnie wytyczyła nowe smutne tory dla jej rodziny, i to nie tylko przez problemy finansowe. Melancholia matki i jej ciągły lęk o życie i zdrowie dzieci bardzo zahamowały ich aktywność. Młodszy brat Karoliny różnie radził sobie z matczynymi niepokojami, ale nigdy nie dał się zamknąć w czterech ścianach domu. Inaczej niż Karolina, która czując się w obowiązku wspomżenia rodzinnego budżetu, zamieniła spotkania z rówieśnikami na wieczorne przesiadywanie pod lampą z robótką w rękach.

Tak minęło jej kilka smutnych lat i kiedy spostrzegła wreszcie, że z miesiąca na miesiąc staje się odludkiem, nie potrafiła już zmienić ani siebie, ani tym bardziej nastawienia rówieśników, którzy dawno przestali ją zauważać. Jedynym więc marzeniem Karoliny stało się w końcu wyrwanie z rodzinnego miasteczka i rozpoczęcie nowego życia, z dala od miejsc, które kojarzyły jej się z biedą i smutkiem.

Niedogodności skromnego bytowania potrafiła jakoś znieść, ale smutku zasnuwającego wciąż jej młode życie miała naprawdę serdecznie dość.

Karolina czuła, że musi wreszcie wyrwać się z objęć przydługiej żałoby, która zatrzymała jej kilka lat życia, zmieniając lata naturalnej beztroski w czas przygnębienia i samotności.

W końcu uświadomiła sobie, że studia w Krakowie są dla niej jedyną szansą na zmianę dotychczasowego losu. Podjęła wtedy decyzję, która była stanowcza i nieodwracalna, toteż nawet matka musiała się z nią pogodzić.

Mieszkała w Krakowie już kilka lat, ale czas spędzony na stacji nie różnił się bardzo od tego, który przeżyła w rodzinnym domu. Cieszyła się atmosferą wielkiego miasta i całkiem nowymi możliwościami, jakie się przed nią otwierały, ale ze względu na szczupłe finanse w dalszym ciągu nie mogła z nich w pełni korzystać. Czasem było jej smutno z tego powodu, ale pod koniec edukacji, spędzając godziny nad książkami, obiecywała sobie, że zrobi wszystko, aby nie wracać do miasteczka, które niezmiennie kojarzyło jej się z upokorzeniem i smutkiem.

Od kiedy zamieszkała na Szlaku, rozpoczęła kolejny etap życia i chociaż bieda dalej zaglądała jej w oczy, cieszyła się, że potrafi być uparta.

Teraz, w kuchni mieszkania pani Piłsudskiej, uświadomiła sobie nagle, że nie przypadkiem się tu znalazła. Przewrotny los doświadczył ją okrutnie, pozbawiając ojcowskiej opieki, ale za to postawił na jej drodze tę niezwykłą kobietę, której historia i doświadczenie mogły przydać się Karolinie do określenia własnej drogi.

Postanowiła więc wykorzystać tę przychyłność losu.

Maria oparła dłonie o blat, po czym podniosła się z miejsca, zamierzając zebrać ze stołu puste talerze. Karolina jednak była szybsza i zrobiła to za nią.

Stojąc przy jasnym kuchennym kredensie, Piłsudska z przyjemnością przyglądała się, jak dziewczyna sprawnie zmywa i wyciera naczynia. Kiedy wszystkie już odstawiała na stosik, gospodyni otworzyła przeszkloną szafkę kredensu i powkładała je na swoje miejsca.

– Przejdźmy do salonu – zaproponowała wreszcie, wyjmując z oszklonej witryny talerzyk z kruchymi ciasteczkami.

– Ostatnia porcja moich zapasów z tego, co przed chorobą upiekła Hania
– powiedziała po chwili, wskazując upudrowane cukrem złociste zawijaski.
– Jeżeli panience posmakują, to mogę dać przepis albo nauczyć pieczenia, bo to bardzo proste. Trzeba tylko w piecu napalić, ale gdyby pani Karolina wyraziła życzenie, Wincenty może to zrobić...

Zamilkła. Nie chciała wydać się natrętna i chociaż znajomość z sąsiadką była dla Marii miłą okolicznością, to jednak postanowiła nie narzucać dziewczynie swojego towarzystwa.

Mieszkanie na Szlaku, które jeszcze pięć lat temu gwarne było i pełne ludzi, teraz odwiedzali czasem tylko najwierniejsi i najwytrwalsi przyjaciele Marii. Były to przeważnie koleżanki z lat młodości z Petersburga lub Wilna, kilka pań z Ligi Kobiet oraz nieliczni znajomi poznani kiedyś przez Ziuka. Ci jednak pojawiali się na Szlaku rzadko, bawiąc zazwyczaj w Krakowie przejazdem, w drodze w góry albo do Wiednia.

Dawniej Maria spotykała się z nimi w ulubionych przez wszystkich kawiarniach, ale od kiedy podupadła na zdrowiu, niezbyt często wychodziła z mieszkania i wolała przyjmować gości w domu. Odwiedziny stały się rzadsze, a od pewnego czasu atmosfera spotkań z przyjezdnymi bywała ciężka i pełna niedopowiedzeń.

Zazwyczaj nie pytała o Ziuka, bo o jego działalności i pracy dowiadywała się co dzień z gazet, które niezmordowany Wincenty wsuwał w szparę pod drzwi jej mieszkania. Odkąd Piłsudski przeprowadził się do Warszawy, ich drogi właściwie się rozeszły i nie mieli już żadnych wspólnych spraw, oczywiście poza aktem małżeństwa.

Maria przypuszczała, że tak się stanie, bo kiedy tylko dowiedziała się o istnieniu Aleksandry, natychmiast zrozumiała, że to nie jest przelotny romans jej męża. Ziuk nie miewał przelotnych romansów. Zawsze podobał się kobietom, ale nie miał czasu na flirty i uwodzenie. Szczerbińska od początku stała się dla Marii poważną konkurentką i chociaż Józef nieraz obiecywał jej zdystansować się od tej kobiety, naprawdę nigdy tego nie zrobił i nie zaprzestał z nią kontaktów.

Wspólnym znajomym nie bardzo się to podobało, ale tylko nieliczni, tak jak Wojciechowscy, stanowczo dawali temu wyraz.

Maria była lubiana przez znajomych Ziuka i dawniej czasem słyszała od niektórych krytykę postępowania męża, choć serdecznie tego nie znosiła.

Relacje z Józefem uważała za całkowicie prywatną sprawę i nie zamierzała na ten temat z nikim rozmawiać. Piłsudski zresztą zachowywał się podobnie i chociaż wielu namawiało go, by dla swojego dobra oraz powagi urzędu załatwił wreszcie rozwód z Marią, wbrew plotkom, kolportowanym szeroko przez różnej maści sługusów, wcale jej o to nie naciskał.

Dobrze wiedziała, że uzyskanie teraz przez męża rozwodu nie byłoby wcale niemożliwe i gdyby tylko o to się postarał, dopiąłby swego bez wielkich trudności, ale przecież przysięgał Marii jako żonie, a do przysięgi miał stosunek szczególny. Wobec kategorycznej odmowy zwolnienia go z danego słowa nie pozostało mu nic innego, jak zaakceptować decyzję Marii.

Kobiety często zakochiwały się w Józefie i Maria nieraz widywała wpatrzone w męża rozanielone spojrzenia pań w najróżniejszym wieku.

– Jest wielkim człowiekiem – powtarzała sobie za każdym razem, starając się nie słyszeć przyspieszonego bicia własnego serca.

– Jest wielkim człowiekiem – powiedziała po raz pierwszy, chowając do koperty list od Aleksandry Szczerbińskiej, który znalazła przypadkiem w jego biurku.

Było to jeszcze w mieszkaniu na Topolowej. Jej poprzednia pomoc, Genowefa, pochodziła ze wsi i pewnego razu poprosiła Marię o kilka dni wolnego, bo chciała pojechać do rodziny, by pomóc w gospodarstwie. Józefa nie było w Krakowie, a ona szykowała się do wyjazdu do Wilna, chętnie więc zgodziła się zwolnić wcześniej Gienię, która przy pakowaniu walizki nie była jej wcale potrzebna.

Mieszkanie było porządnie wysprzątane, a meble pozasłaniane pokrowcami, ale podczas robienia porządków zapodziało się kilka drobiazgów niezmiernie potrzebnych w podróży. Wszystko po kolei udawało się odnaleźć, prócz rzeczy najważniejszej, bez której podróż kolejną nie mogłaby dojść do skutku.

Nie mogła znaleźć biletów kolejowych, które Ziuk kupił dla niej i jej przyjaciółki dwa tygodnie wcześniej. Przeszukawszy już wszystkie zakamarki mieszkania, postanowiła w końcu zajrzeć do gabinetu i sprawdzić, czy bilety nie leżą gdzieś na biurku.

Dotąd zazwyczaj nie dotykała męzowskich szpargałów, ale tym razem była tak zdesperowana bezowocnymi poszukiwaniami, że w końcu poszła przeszukać gabinet.

Bilety leżały na biurku, wsunięte pomiędzy książki, i Maria nie musiała bardzo się trudzić, żeby je znaleźć – spory fragment kartonika z charakterystycznym nadrukiem austriackiej kolei natychmiast przyciągnął jej uwagę. Westchnęła z ulgą i całkowicie uspokojona przysiadła na wygodnym krześle Józefa. Nieprzyjemne uczucie, które pojawiło się w chwili, gdy postanowiła złamać wyraźny zakaz męża, by nie dotykać niczego na jego biurku, też już gdzieś znikło i Maria czuła teraz tylko graniczące z radością zadowolenie z tego, że długie i męczące poszukiwania zostały uwieńczone sukcesem.

Od śmierci jej Wandeczki mijał właśnie rok i Maria zamierzała udać się do Wilna, żeby odwiedzić grób córki i spotkać się ze swoją matką. Siedziała teraz wsparta o blat biurka, zmęczona, ale szczęśliwa, i wtedy ujrzała kopertę. Bładoniebieska, adresowana równym, lekko pochyłym pismem, wystawała z szuflady biurka.

Maria delikatnie pociągnęła za róg koperty i ostrożnie, żeby nie uszkodzić listu, wydobyla go z zamkniętej na klucz szuflady. Z bijącym sercem wydostała z koperty złożoną we czworo kartkę i zaczęła czytać. Nie było to jednak proste. Już po pierwszych wersach dłonie Marii zaczęły drżeć, a jej oczy zasnuła mgła, zza której przez dłuższy czas nie potrafiła dojrzeć liter. Dobry humor, w jaki wprawiło ją odnalezienie biletów, uleciał natychmiast i kiedy Maria potem wspominała tę chwilę, uświadamiała sobie za każdym razem, że od tego momentu jej dobry nastrój właściwie nie powrócił już nigdy. Tamtego sierpniowego dnia w gabinecie Józefa zakończyło się szczęśliwe życie Marii, a to, co los miał dla niej w zanadrzu, nie było już nigdy bez troskie.

Teraz, jesienią 1920 roku, Józef Piłsudski miał nową rodzinę, o której Maria wiedziała to i owo, bo chociaż starannie unikała tego tematu, zawsze przy spotkaniach ze znajomymi komuś przypadkiem lub celowo wyrывała się jakaś informacja o Aleksandrze i jej dwóch córkach.

Kiedy jeszcze bywała w Zakopanem, plotki i ploteczki goniły ją niemal po ulicach, a ciekawsko-współczujące spojrzenia zmrużonych oczu przewiercały ją niemal na wylot. Dlatego właśnie ograniczyła wyjazdy z Krakowa i chociaż mąż przyjaciółki ofiarował się kilkakrotnie, że zawiezie Marię w góry samochodem, nie chciała ruszać się z domu.

Życie Piłsudskiej zmieniło się, ale swój los przyjmowała z godnością i zrozumieniem. Nie zamierzała popadać w zgorzknienie ani walczyć

z całym światem. Czuła żal, chociaż do końca nie umiała określić do kogo. Do Ziuka?... Do Aleksandry?... Być może, chociaż z upływem lat coraz wyraźniej zdawała sobie sprawę z tego, że koło jej męża zawsze kręciło się dużo kobiet. Wszak i ona zajęła w jego sercu miejsce, które kiedyś już było zajęte.

Teraz to miejsce zajmuje nie jedna kobieta, ale trzy.

Liczne choroby, które zaczęły nękać ją po niespodziewanej i przedwczesnej śmierci córki, sprawiały, że uświadomiła sobie kruchość życia i nieuchronne odchodzenie młodości. Historia jednak przez kilka lat jeszcze nie dawała Piłsudskiej schować się w cieniu i do końca wojny Maria wciąż była aktywna i pełna zapału do pracy. Dopiero po ostatecznym wyprowadzeniu się męża z Krakowa zaczęła stopniowo wycofywać się z życia publicznego. Na swoje małżeństwo patrzyła teraz z dystansem i lekkim żalem.

Wychodząc za mąż za młodszego o dwa lata od siebie mężczyznę, mogła przewidzieć, że kiedyś w pobliżu Józefa pojawi się młodsza kobieta, gotowa dać mu szczęście oraz to, czego ona dać mu nie mogła – dzieci. Tego niestety, choć bardzo się starała, Maria nie mogła już zmienić, bo kiedy osiągnąwszy względną stabilizację, chciała obdarzyć Ziuka potomkiem, było już na to za późno – wiek i biologia zrobiły swoje. Maria bardzo pragnęła chociaż raz jeszcze zostać matką i nawet po śmierci Wandzi ufała, że jej się to uda, ale – niestety – Bóg miał wobec nich całkiem inne plany i malutkie córki Józefa Piłsudskiego nie były jej córkami. Mogła to pewnie przewidzieć, bo choć list, który znalazła w papierach męża, zasmucił i zaskoczył Marię, to jednak był niewątpliwie konsekwencją ciągłych wyjazdów Józefa i związanych z nimi rozstań.

W pierwszych latach małżeństwa starała się wszędzie towarzyszyć mężowi, ale od momentu kiedy osiedli w Krakowie, na przekór oczekiwaniom Marii wszystko się zmieniło.

Potem Piłsudski został brygadierem, komendantem, wodzem i nadzieją narodu, a wtedy już, jak każdy charyzmatyczny przywódca, miał nieprzebrane zastępy wielbicielek. Były wśród nich, rzecz jasna, także oddane sprawie, odważne dziewczyny, które, jak panna Szczerbińska, imponowały mu nie tylko urodą, ale i poświęceniem.

Piłsudski lubił i szanował kobiety, a i sam był przez nie kochany. Maria doskonale zdawała sobie z tego sprawę, a mimo to nie udało jej się

zapobiec temu, co nieuniknione.

Nie odczuwała nienawiści do Aleksandry, a już na pewno nie miała żalu do ich córek, z których jedna nosiła imię po jej ukochanej Wandzi. Czuła jedynie zawód i żal, że została zdradzona przez człowieka, któremu ufała bez reszty. Kiedy z dwóch starających się o nią mężczyzn wybrała Józefa, nie przypuszczała, że tak zakończy się jej małżeństwo.

Dar jej miłości okazał się dużo więcej wart niż to, co pod względem uczuć otrzymała w zamian.

Życie płynęło jednak dalej i żadna siła nie mogłaby odmienić tego, co już się stało, dlatego należało zachować powagę i godność, a z tym Maria nigdy dotąd nie miała problemu.

Samotność bywała trudna, bo chociaż przyjaciele nie zapominali o niej, to jednak Piłsudska nie czuła się jeszcze aż tak stara, by żyć już wyłącznie wspomnieniami.

Jesienią 1920 roku miała pięćdziesiąt pięć lat.

Mieszkania na Szlaku nie odwiedzali już młodzi ludzie, dlatego obecność Karoliny sprawiała Marii przyjemność. Na tyle dużą, że zapragnęła gościć ją u siebie częściej.

Ciekawość dziewczyny i zainteresowanie, jakie okazywała, dawały Piłsudskiej możliwość przywoływania wspomnień, które nie były bolesne. Opowiadając swoje dzieje, opisywała miejsca, czasy i ludzi, z którymi niegdyś stykała się na co dzień, a którzy przecież tworzyli historię.

Dla każdej z kobiet ten wspólnie spędzony czas miał nieco inny wymiar. Karolinie opowieści Piłsudskiej dawały możliwość zajrzenia za kulisy wielkiego spektaklu, któremu na imię historia, Marii zaś opowiadanie o własnym życiu pozwalało na powtórne przyjrzenie się jego pięknym, choć czasem trudnym momentom.

Każda z kobiet czerpała więc inną przyjemność z obcowania z tą drugą i chociaż ich wzajemny stosunek bardziej przypominał relację nauczycielki i uczennicy, nie przeszkadzało to ani Marii, ani Karolinie. Nie wiedziały, ile wieczorów spędzą jeszcze ze sobą, ale starsza i bardziej doświadczona Maria czuła, że młodzieńka znajoma wkrótce nie będzie już miała dla niej czasu. Takie są prawa życia i prawa młodości. Na razie zagubiona nieco w wielkim mieście dziewczyna potrzebowała kontaktu z sąsiadką, która przyjmując ją w swoim mieszkaniu, dawała poczucie bezpieczeństwa. W każdej jednak chwili mogło się zdarzyć, że u boku młodej panny pojawi

się ktoś, kto z racji zbliżonego wieku wyda się jej ciekawszy i bardziej atrakcyjny.

Życiowe doświadczenie przypominało Piłsudskiej, że młodzi odchodzą czasami nagle i niespodziewanie, zostawiając w sercach życzliwych im osób pustkę i żal.

Na razie jednak miła dziewczyna z ochotą słuchała wynurzeń Marii, a ta z kolei dobrze czuła się w towarzystwie młodej osoby. Tęskniła bardzo za nieżyjącą już od parunastu lat córką, za zaprzyjaźnionym z nią Walerym Sławkiem, którego lubiła i który wciąż jeszcze czasami ją odwiedzał. Tęskniła za Basią Wołk, jej siostrą Kazią Hłakowiczówną oraz za całą rzeszą młodych ludzi w mundurach, którzy odeszli z życia Marii ostatecznie i na zawsze. Pozostały po nich jedynie wspomnienia i żal, którego nie mogłoby utulić najwierniejsze nawet grono starych przyjaciół. Marii potrzeba było młodości, chociażby cudzej, ale niosącej energię i radość. Brakowało jej tego bardzo. Wizyty Karoliny stały się więc dla niej ożywczym powiewem, dzięki któremu mogła znowu, chociażby tylko w opowiadaniu, przeżywać własną młodość i czasy bezpowrotnie minione. Zamierzała wykorzystać to jak najlepiej.

Herbata

Maria ruszyła przodem i gdy Karolina otworzyła przed nią na oścież drzwi salonu, uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością.

– Dziękuję panience – powiedziała i weszła do środka. Dziewczyna, nie czekając na zaproszenie, usiadła na krześle odsuniętym od stołu, ale Piłsudska pokręciła głową, wskazując niewielki, zgrabny fotelik.

– Te krzesła nie są zbyt wygodne – wyjaśniła. – Lepiej panience będzie na tym foteliku. A ja zaraz siądę w fotelu pod lampą, ale najpierw przygotuję poczęstunek.

Zatrzymała się przy kredensie, otworzyła jego dębowe drzwiczki i wyjęła dwie ładne, błękitne filiżanki z cienkiej porcelany.

– To moje ulubione cacuszka – powiedziała, oglądając je pod światło. – Mój mąż nigdy nie wypiłby herbaty w czymś takim.

Zaśmiała się i dodała po chwili:

– Zawsze dokuczał mi, że kupiłam komplet naporstków, bo dla niego zwykła szklanka to było zawsze za mało.

Maria postawiła filiżanki i ciastka na małym stoliku, który stał przy dużym fotelu pod lampą. Jego blat przykryty był haftowaną serwetką. Drobnutki krzyżykowy wzór przywołał w Karolinie wspomnienia innego pokoju i innej lampy, pod którą upłynęło wiele godzin jej życia.

– To był stolik, na którym mąż stawiał swoje pasjanse – powiedziała Piłsudska, prostując plecy. – Kiedy tu mieszkał, nigdy go nie używałam, ale teraz...

Machnęła ręką i nie kończąc myśli, wyszła z pokoju.

– Może pani pomóc?! – zawołała Karolina, zła, że nie zapytała o to wcześniej.

– Nie trzeba – odpowiedziała Maria z korytarza.

Karolina uniosła lekko rąbek serwetki i umyślnie omijając wzrokiem haft, przyjrzała się blatowi stolika. Mebel nie wyróżniał się niczym szczególnym, a jednak dziewczyna poczuła wzruszenie, uświadomiwszy sobie, że nie tak dawno temu dotykał go Naczelnik Państwa.

W końcu delikatnie opuściła serwetkę i uważnie rozejrzała się po pokoju. Salonik w słabym świetle stojącej lampy wydał jej się teraz jakiś inny niż za dnia. Duży stół, komoda, niewielki kredens oraz dwa różnej wielkości fotele i kilka krzeseł stanowiły całe umeblowanie pokoju. W kącie tkwiła jeszcze nieduża, niezgrabna kanapa, przykryta brązową narzutą.

Karolina nie patrzyła na salonik tak, jak się patrzy na schludny fragment mieszkania sympatycznej sąsiadki, ale jak na miejsce, w którym do niedawna odbywało się wiele ważnych spotkań i brzemiennej w skutki rozmów.

Przy stoliku, na którym stał talerzyk z ciastkami, Komendant spędzał długie godziny, oddając się rozmyślaniom o przyszłości Polski.

Dla Karoliny dziwne było to, że właśnie ona, a nie jej zakochany w legendzie Komendanta ojciec, siedzi tu i rozmawia o czasach i ludziach, którzy bywali tu niegdyś, a teraz piastują wysokie stanowiska w Warszawie.

Dziewczyna gwałtownie pokręciła głową, jakby chciała pozbyć się jakiejś niewesołej myśli. Zawsze kiedy przypominała sobie ojca, robiło jej się smutno.

Pani Maria wróciła do pokoju, niosąc na tacy porcelanowy dzbanuszek, ale gdy odstawiwszy tacę na stół, podniosła go, by nalać herbaty do filiżanek, jej dłoń zadrżała niebezpiecznie. Natychmiast przytrzymała go drugą ręką, ale i to nie pomogło, poniechała więc kolejnej próby.

– Musi sobie pani sama nalać herbaty – westchnęła, patrząc smutno na Karolinę – bo jak widać, dzbanek jest dla mnie za ciężki. Mam słabe ręce i nie chciałabym panienki oparzyć.

Usiadła w fotelu należącym kiedyś do jej męża. Raz jeszcze westchnęła głęboko, położyła głowę na małej poduszeczce leżącej na jego oparciu i na chwilę przymknęła oczy. Przez twarz Piłsudskiej przemknął gwałtowny skurcz, który mógł świadczyć o fali przeszywającego bólu. Karolina jednak nie potrafiłaby odgadnąć, czy ból ten pochodził z ciała, czy z duszy pani Marii. Nie ulegało jednak wątpliwości, że sprawa z czajniczkiem popsowała jej nastrój.

Kobieta siedząca teraz w głębokim fotelu wydała się Karolinie mniejsza niż jeszcze przed chwilą. Skulone plecy i przyciśnięte do tułowia ramiona nadały całej postaci smutny wygląd, którego przyczyny mogła się jedynie domyślać. Wyraz twarzy Marii też się zmienił i zdawało się, że coś nieprzyjemnego zaprzętało teraz jej myśli.

– Nie wiedziałam, że starość przyjdzie do mnie tak szybko – mruknęła wreszcie Piłsudska, rozcierając dłonie tak, jakby poczuła chłód.

Dzięki staraniom Wincentego w mieszkaniu na pierwszym piętrze było ciepło i przytulnie.

Po zimnie panującym w jej słabo ogrzewanym pokoiku na górze to ciepło Karolina odczuwała dużo silniej niż pani Maria, dlatego też nieco dziwny wydawał się dziewczynie ten gest rozcierania dłoni, który zauważyła u gospodyni już wcześniej.

Nie chciała dopytywać, czy sąsiadka odczuwa zimno, więc wskazując leżący na brzegu kanapy pled, dyplomatycznie zapytała:

– Może zechce się pani okryć?

Maria spojrzała na nią zaskoczona, lekko przy tym marszcząc brwi.

– Nie jest mi zimno – powiedziała. – Czasem tylko w środku czuję chłód, ale to chyba z emocji...

Dziewczyna grzecznie się uśmiechnęła i pokiwała głową, jakby chciała pokazać, że rozumie, co Maria ma na myśli. W rzeczywistości jednak wcale tego nie rozumiała. Niedomaganie ciała było dla Karoliny czymś, czego nie potrafiła pojąć. Sama dotąd nie chorowała, a i jej bliscy właściwie też byli zdrowi. Wyjątek stanowiła nawracająca melancholia matki, ale to, zważywszy na sytuację, w jakiej znaleźli się po śmierci ojca, było całkowicie zrozumiałe.

Matka Karoliny była w wieku pani Marii, ale dziewczynie czasem zdawało się, że jest od Piłsudskiej dużo starsza. Tylko w takich jak ta chwilach, kiedy słabość fizyczna widocznie wpływała na całe samopoczucie Piłsudskiej, Maria wyglądała na więcej lat, niż miała w rzeczywistości. Kiedy jednak snuła swoją opowieść, przeżywając na nowo wszystkie kolejne etapy barwnej przeszłości, w oczach kobiety pojawiał się żar, w cudowny sposób ujmujący jej lat, i Karolinie trudno było uwierzyć, że siedzi przed nią ta sama kobieta, która kilka dni wcześniej miała trudności z wejściem na schody.

Warszawa

Maria przez chwilę przyglądała się błękitnej filiżance, znad której unosił się obłoczek pary. Herbata była gorąca i pachniała bardzo przyjemnie. Kobieta sięgnęła po filiżankę i upiła z niej niewielki łyk, po czym spojrzała na Karolinę.

– Jak więc już wcześniej mówiłam, z Petersburga pojechałam do Warszawy – zaczęła powoli, a na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu. – Tam od razu znalazłam się w kręgu znanych mi osób. Byli to działacze dawnego Proletariatu, a właściwie jego niedobitki.

Szerokie grono członków tej radykalnej partii trafiło do Cytadeli, a potem na Sybir, ale jak zwykle znalazło się kilka osób, które uniknąwszy kazamatów, gotowe były kontynuować pracę konspiracyjną.

W tym odmłodzonym i odnowionym gronie zmieniło się trochę nastawienie ideologiczne, które do 1882 roku nie miało wcale charakteru niepodległościowego. W ogóle początkowo Proletariat niewiele miał wspólnego z patriotyczną walką o wolność, ale w okresie kiedy ja mieszkałam w Warszawie, od jakiegoś czasu ruch socjalistyczny przynajmniej częściowo akceptował już niepodległościowe hasła, tak więc sprzyjali mu ludzie, którym bliska była walka o wolność.

Kiedy zabrakło mężczyzn, do roboty wzięły się kobiety i w krótkim czasie powstało całkiem duże grono, skupione przy dwóch dzielnych paniach.

O Marysi Bohuszewiczównie oraz Rózi Feksenhardównie słyszałam jeszcze w Petersburgu i już wtedy bardzo pragnęłam z nimi pracować. To były ciężkie czasy dla warszawskich socjalistów, ale jasne było, że mimo licznych aresztowań i ciężkich wyroków szybko znajdą się ludzie, którzy znów coś zorganizują. Tak też się stało i wkrótce w Warszawie

najważniejszą postacią ruchu rewolucyjnego została Maria Bohuszewiczówna. Córka powstańca styczniowego i cioteczna wnuczka samego Tadeusza Kościuszki tradycje patriotyczne i umiejętności organizacyjne miała, rzecz jasna, we krwi. W tamtym czasie Marynia miała zaledwie dwadzieścia jeden lat i pracowała jako prywatna nauczycielka dzieci z zamożnych rodzin. Bohuszewiczówna była mądra, pracowita, a do tego śliczna i pewnie dlatego bardzo ją polubiłam i równie mocno podziwiałam. Nie tylko werbowała nowych zapaleńców, ale i osobiście pilnowała pracy drukarni.

Była świetną organizatorką i bardzo sprawnie uruchamiała coraz to nowe warsztaty, które dawały pracę robotnikom, ale też w dużej mierze zaspokajały potrzeby partyjne. We wszystkim pomagała jej Różia Feksenhardówna. Dziewczyny razem nadzorowały działalność wydawniczą i stworzone przez siebie warsztaty. Obie bardzo młode, ale imponowały wszystkim swoim zapałem i determinacją.

Marysia Bohuszewiczówna oddała sprawie nie tylko swój czas i siły, ale też niewielki majątek, który został jej i jej bratu w spadku po rodzicach. To była bardzo dzielna dziewczyna. Skupili się przy niej nie tylko dawni działacze nieistniejącego już Proletariatu. Wciąż pojawiali się nowi, niestety nie zawsze szczerzy i uczciwi ludzie, ale większość sumiennie pracowała dla dobra organizacji. W tym właśnie środowisku wykiełkowała wtedy idea powołania pisma, które ostatecznie zmaterializowało się później jako „Głos”. Pismo to znane było i cenione przez wielu, często różniących się w poglądach publicystów, którzy na jego łamach drukowali swoje artykuły, co zapewniało gazecie bardzo różnorodne grono czytelników.

Mieszkałam teraz w Warszawie i znów czułam, że robię coś ważnego. Jak większość zatrudnianych przez Bohuszewiczównę kobiet, dla kamuflażu udzielałam prywatnych lekcji. W organizacji byłam odpowiedzialna za składowanie i zabezpieczenie konspiracyjnej literatury oraz za utrzymywanie korespondencji z socjalistami z innych krajów. To wtedy nauczyłam się dobrze kamuflować przesyłki i organizować sieć bezpiecznych adresów. Nie narzekałam więc na brak zajęć. Niestety, moja konspiracyjna działalność nie trwała długo, bo od pewnego czasu w nasze szeregi zaczęli przenikać dobrze wyszkoleni carscy agenci. Za ich przyczyną coraz częściej zatrzymywano kogoś z naszych. Do aresztu trafiali nie tylko aktywni działacze, ale i zwykli robotnicy sympatyzujący

z ruchem. Wreszcie w nocy z 29 na 30 września 1885 roku zostałam aresztowana wraz z dużą grupą konspiratorów. Jednej nocy z naszego grona zatrzymano pięćdziesiąt pięć osób, z Marią Bohuszewiczówną na czele.

Aresztowania były konsekwencją prowadzonej przez carskich szpicli długotrwałej penetracji naszego środowiska. W wielu miastach Królestwa zatrzymano mnóstwo ludzi, najwięcej zaś w okręgu łódzkim, gdzie uwięziono dużą grupę sprzyjających nam robotników.

Jak zwykle w takich przypadkach aresztowania stały się też przyczyną ludzkich tragedii. Jedna z zatrzymanych wtedy robotnic powiesiła się w Cytadeli, być może w obawie przed procesem... Nie ona jedna zresztą była śmiertelną ofiarą aresztowań. Po procesie i wyroku w drodze na Syberię zmarli Marysia Bohuszewiczówna, Różia Feksenhardówna i Konstanty Strzemiński. Kilka innych osób dotarło do miejsc swojego przeznaczenia i jakoś przeżyło zesłanie. Jedynie trzem przeznaczonym do aresztowania osobom udało się uciec i uniknąć kary. Wśród nich był Witold Jodko-Narkiewicz, który później współpracował z Ziukiem.

Z Witoldem spotykałam się potem bardzo często i nieraz wspominaliśmy tamtych kolegów, których osiągnęła surowa kara za ich poświęcenie i marzenia.

Znowu znalazłam się w areszcie, ale tym razem moja sytuacja wyglądała znacznie gorzej niż poprzednio. Nie po raz pierwszy zostałam zatrzymana przez carską policję, ale w Wilnie lub Petersburgu to było zupełnie co innego. Wtedy byłam bardzo młoda i moje „przewiny” wobec zaborcy można było kłaść na karb naiwności i wieku. Tak zresztą tłumaczyli mnie adwokaci, sowicie opłacani przez rodzinę. Teraz moje zatrzymanie mogło mieć bardzo poważne konsekwencje, gdyż w oczach carskich urzędników poprzednie nauczki nie miały żadnego wpływu na moje postępowanie, a czyny zabronione powtarzałam nieprzypadkowo.

Wobec wciąż odradzającego się ruchu socjalistycznego władze nie zamierzały być pobłażliwe i zarówno metody walki z nim, jak i kary stawały się coraz surowsze i dotkliwsze.

Na szczęście moja rodzina i tym razem nie pozostawiła mnie złemu losowi. Tato, choć już schorowany i zmęczony, wciąż miał pewne wpływy,

dlatego że był świetnym lekarzem, a co najważniejsze, dobrym i bardzo zacnym człowiekiem. Stryj zaś piastował podówczas urząd asystenta sekretarza senatu, co dawało mu pewne możliwości, przede wszystkim znajomość wielu wpływowych ludzi w Wilnie i innych miastach. Mąż mój, Marian Juszkiewicz, jak wspominałam już wcześniej, był urzędnikiem w ministerstwie.

Wszyscy trzej mężczyźni wspólnymi działaniami osiągnęli zamierzony cel, a ja miałam przykazane milczeć i nie robić niczego, co mogłoby pokrzyżować ich plany.

Siedziałam cicho w areszcie i bez protestu stosowałam się do tego kategorycznego nakazu.

Nieoceniona rodzina wyciągnęła mnie z aresztu, ale moja przygoda z Warszawą skończyła się definitywnie.

Za całą karę dostałam nakaz powrotu do Wilna, z zakazem opuszczania miasta. Była to decyzja, która prawdziwie ucieszyła zarówno mojego męża, jak i pozostałą rodzinę.

Kiedy wracaliśmy razem do Wilna, od wszystkich moich wybawicieli po raz pierwszy stanowczo i w ostrych słowach dowiedziałam się, co myślą o moim postępowaniu, a ja, wdzięczna, że nie muszę jechać na Syberię, nie zamierałam się z nimi spierać. Przynajmniej nie tym razem.

Nakazodawca zaufał zapewnieniom bliskich, że roztoczą nade mną należyłą opiekę. Nikt jednak z rodziny Koplewskich nie łudził się, że będzie to możliwe, bo chociaż zebrała się cała wileńska familia, więcej było wzdychania i żałowania mnie niż napomnień. Wcześniej przecież nie szczędzono mi ich – bez żadnych widocznych efektów.

Częste wizyty w Wilnie mojego męża i prośby jego matki, Wandy Juszkiewiczowej, abym próbowała ratować nasze małżeństwo, sprawiły, że postanowiłam znów zająć się sprawami osobistymi.

Przez jakiś czas nawet wydawało mi się, że życie z Marianem byłoby możliwe, ale złudzenie to nie trwało długo. Zbyt wiele różnic było pomiędzy nami i zbyt wiele wymagał ode mnie mój mąż.

Konkretnym owocem drugiego miodowego miesiąca stała się córeczka Wanda, ale pomimo jej przyjścia na świat nasze wspólne życie nie było już możliwe. Marian przez jakiś czas wierzył, że dziecko odmieni mnie wreszcie i rola matki każe mi zapomnieć o mrzonkach, ale stało się inaczej. Ani urodzenie córki, ani błyskotliwa kariera męża nie wpłynęły na mnie

uspokajająco i kiedy w pełni uświadomiłam sobie, czego ode mnie oczekiwano, wpadłam w prawdziwą rozpacz, którą lekarze przypisywali początkowo trudom sprostania całkiem nowej roli.

Wszyscy uspokajali mnie, że przygnębienie minie i że już niebawem, radując się macierzyństwem, zapomnę o smutkach i poczuję radość życia. Niestety, nic takiego nie chciało się wydarzyć i chociaż bardzo kochałam Wandeczkę, dalsze wspólne życie z jej ojcem wydawało mi się niemożliwe. Juszkiewicz robił karierę, a mnie wszystkie jego działania wydawały się głupie. Do tego dochodziło zupełne niezrozumienie w sprawach intymnych.

Poniosłam klęskę, ale wcale nie zamierzałam się poddawać. Byłam młoda, wciąż atrakcyjna i miałam grono przyjaciół gotowych mi pomagać.

Marian przestał w końcu przyjeżdżać do Wilna i zajął się swoją karierą. Ja zaś zamieszkałam w domu rodzinnym na Zarzeczu, gdzie po śmierci taty mama pomagała mi wychowywać dziecko. Siostry odwiedzały nas rzadko. Obie wyjechały już z Wilna do majątków swoich mężów i zajęte codziennymi troskami, nie miały wiele czasu na przyjazdy do miasta. Czasami wydawało mi się, że Konstancja i Wiktoria bały się trochę o swoje rodziny.

Moje pomysły, kończące się raz po raz kolejnymi zatrzymaniami przez policję, napawały je przerażeniem i lękiem o spokojność najbliższych. Na wszelki wypadek więc wołały trzymać się z daleka i raczej przyjmować u siebie matkę, niż pokazywać się w domu na Zarzeczu.

Mama nie była aż tak lękliwa i chociaż nieraz załamywała nade mną ręce, to w głębi ducha sprzyjała moim pomysłom i cieszyła się, że jej kochany mąż miał we mnie swoją dzielną następczynię, ale o tym powiedziała mi dopiero na krótko przed śmiercią w 1910 roku.

Po pierwszym nieudanym małżeństwie wiedziałam już, czego poszukiwać w mężczyznach. Rozumiałam, że zwykła stabilizacja nie jest moim przeznaczeniem, a i rola spokojnej pani domu zupełnie mi nie odpowiadała. Kiedy więc Wandeczka z noworodka stała się niemowlęciem, zaczęłam obmyślać plan zakończenia nieudanego związku.

Nie byłam miła dla Mariana i on dla mnie też nie był miły. W jego zachowaniu pojawiła się gwałtowność, której wcześniej nie było. Nie

chciałam już czekać na poprawę naszych relacji, bo nie wierzyłam, że kiedykolwiek nastąpi. Zawiodłam oczekiwania męża, ale ja też czułam się oszukana. Żal mi było jedynie kontaktów z matką Mariana, która widziała, że nie pasujemy do siebie, ale cierpiała bardzo z powodu naszego rozstania. W końcu rodzina dogadała dobrych prawników, którzy zajęli się rozwodem. Sprawa ciągnęła się jednak niespodziewanie długo. Ostatecznie moje małżeństwo zakończyło się w 1899 roku. Na razie byliśmy z Juszkiewiczem w separacji.

Wandzia widywała swojego ojca, bo Marian odwiedzał Wilno, a kiedy dorastała, miała stały kontakt z babcią Juszkiewiczową, która po kilku latach przeniosła się do Wilna z Warszawy. Moja córka odziedziczyła po niej nie tylko imię, ale i charakter dzielnej kobiety.

Maria podniosła się i sięgnęła po zdjęcie wiszące obok kilku innych nad fotelem. Przyglądała mu się przez chwilę, po czym podała je Karolinie.

Fotografia przedstawiała uśmiechniętą dziewczynkę w krakowskim stroju.

– To moja córeczka Wanda – powiedziała. – Była już całkiem dużą panią, a zdjęcie to matka przysłała mi do Londynu, gdzie w 1901 roku spędzaliśmy z Ziukiem święta Bożego Narodzenia.

Piłsudska wstała i podeszła do kredensu, z którego wcześniej wyjęła filiżanki, i odsunęła niedużą szufladkę ukrytą pod blatem mebla. Po chwili wyjęła z niej cienką kopertę ze zdjęciami.

– Mam tu jej fotografie z wcześniejszego okresu, ale tę w ramkach lubię najbardziej – powiedziała, drżącymi z przejęcia dłońmi wyjmując kolejne błyszczące kartoniki. Wkrótce potem na stoliku obok filiżanek pojawił się nieduży czarno-biały stosik zdjęć, na których ładna panna w różnych etapach swojego życia uśmiechała się do obiektywu.

Maria milczała, podając Karolinie kolejne fotografie, aż zatrzymała się przy najwcześniejszych, przedstawiających całkiem malutką dziewczynkę z dużą kokardą we włoskach. Pogładziła delikatnie błyszczący papier zdjęcia i schowała je z powrotem do koperty.

Z powrotem w Wilnie

Rozwiązanie mojego pierwszego małżeństwa dokonało się w kościele ewangelickim w Warszawie. Trwało to bardzo długo. Choć początkowo sądziłam, że unieważnienie małżeństwa będzie jedynie formalnością, bardzo się myliłam. W sprawie rozwodu jeździłam kilkakrotnie do Warszawy i za każdym razem spotykałam się z Marią Paszkowską, która wtedy na dobre zadomowiła się już w tym mieście – mówiła dalej Piłsudska, chowając do koperty obejrzone zdjęcia.

– Po aresztowaniach z września 1885 roku, które znowu przerzedziły szeregi zaangażowanych w konspirację socjalistów, przyszedł czas na kolejne odbudowywanie struktur.

I znów we wszystkich miastach, gdzie doszło do aresztowań, jak Feniks z popiołów odradzały się i powoli rozbudowywały struktury. Miejsce dawnych organizatorów konspiracji zajmowali ci, którym udało się uniknąć aresztowań, oraz całkiem nowi, gotowi do walki z caratem ochotnicy.

Talenty organizacyjne Paszkowskiej rozkwitły w pełnej krasie.

Marysia nawiązała kontakty ze wszystkimi, których carskim żandarmom nie udało się zamknąć. Odnowiła też znajomości z osobami poznanymi w Petersburgu lub Wilnie i umiejętnie, z charakterystycznym dla siebie uporem, plotła konspiracyjną sieć.

Dzięki niespożytej energii i dużej inteligencji wkrótce znowu zorganizowała sprawnie działającą armię „dromaderek”, roznoszących ulotki i pomagających rodzinom uwięzionych.

Dzielnie pomagały jej w tym inne kobiety. Niektóre z nich, jak Henryka Pobjewska, nazywana „babcią Wspólną”, czy Izabela Gizbert-Studnicka, matka Władysława i Wacława Studnickich, nazywana „babcią Wilczą”, czy też wreszcie matka Mariana, Wanda Juskiewiczowa, nazywana „babcią

Hożą”, były dużo starsze od „dromaderek”, ale bardzo angażowały się w prace konspiracyjne. Ich mieszkania służyły za miejsca spotkań, składy drukowanych ulotek i broszur, a czasem za noclegownie dla przyjezdnych. Pseudonimy tamtych „babć” brały się od nazw ulic, przy których mieszkały, a ich odwaga i zaangażowanie, a także ofiarność były absolutnie bezprzykładne.

Maria zamyśliła się i marszcząc lekko brwi, wyciągnęła z rękawa wełnianej sukni niedużą chusteczkę, po czym wytarła w nią nos.

– Paszkowska używała pseudonimu „Gintra” i swoje życie w Warszawie całkiem podporządkowała pracy konspiracyjnej – powiedziała, podnosząc wzrok na Karolinę. – „Dromaderki” przygotowywane były przez samą Paszkowską, drobiazgowo opracowującą każdą akcję, pilnie przestrzegającą najdrobniejszych nawet zasad konspiracji. Dziewczęta były podporządkowane jej całkowicie i naprawdę świetnie pracowały, przenosząc i przewożąc ogromne ilości materiałów. Sama Marysia niejednokrotnie uniknęła aresztowania. Działała z wielkim rozmachem, w absolutnie cudowny sposób wyplątując się z każdej poważnej wpadki.

Stale inwigilowana i nieraz zatrzymywana przez carską policję, Paszkowska zawsze potrafiła jakoś się wykręcić, a kiedy tylko zwalniano ją po przesłuchaniach, natychmiast wracała do czynnej pracy. Miała po prostu prawdziwy dar konspirowania, pozwalający jej nie tylko sprawnie organizować działalność dużej grupy ludzi, ale także wychodzić obronną ręką z wszelkich opresji, kiedy to po aktorsku udawała naiwną, głupią lub pomyloną istotę. Była tak barwną, a przy tym skromną postacią, że później stała się bohaterką bardzo ładnej nowelki Daniłowskiego *Paltocik*.

Maria na chwilę zamilkła, a Karolina usiłowała wyobrazić sobie życie tych młodych kobiet, dla których groźba aresztowania nie była wystarczającym powodem, by siedzieć spokojnie w domu.

Nie znała Warszawy. Właściwie oprócz Krakowa widziała tylko Lwów, i to jedynie przez trzy dni, które spędziła tam z rodziną, na krótko przed wybuchem wojny. Kiedy jechali pociągiem do Lwowa, ojciec oznajmił wszystkim, że zamierza częściej organizować takie wycieczki. Chciał, żeby

jego dzieci poznały duże miasta i dzięki temu łatwiej zdecydowały, co kiedyś w życiu będą robić.

Po pierwszej wycieczce miały przyjść następne, ale do żadnej już nie doszło, tak więc teraz, słuchając opowieści Marii, Karolina bardzo tego żałowała. Nie znała Warszawy, Wilna, Lublina ani Łodzi. Nie miała pojęcia, jak wygląda Polesie, Śląsk czy Wielkopolska. Dla niej te nazwy nic nie znaczyły.

Nie zamierzała jednak przerywać sąsiadce i tylko z rzadka zadawała jakieś pytanie, chcąc lepiej i bardziej szczegółowo wyobrazić sobie miejsca z opowieści Piłsudskiej.

– W niedużym mieszkaniu Marysi, zwanym przez przyjaciół „Parlamentem”, panował na co dzień prawdziwy ruch, bo prócz „dromaderek” roznoszących ulotki, czasopisma i zapomogi dla rodzin uwięzionych socjalistów spotykali się tam też mniej lub bardziej zaangażowani w pracę znajomi. Cały system okiennych znaków – w postaci ustawianych w ustalony wcześniej sposób kwiatków w doniczkach, spuszcanych lub do połowy podniesionych rolet czy wreszcie oryginalnie drapowanych firan – zawiadamiał przybywających do Gintry gości o ewentualnych zagrożeniach.

Fakt, że obsesyjnie przestrzegała zasady, by w miejscu zamieszkania nie trzymać niczego, co świadczyłoby o jej zaangażowaniu w pracę konspiracyjną, uchronił nie raz Paszkowską przed poważnymi konsekwencjami.

Nie wszyscy jednak mieli tyle szczęścia, co ona, toteż co jakiś czas ktoś trafiał do aresztu.

Zazdrościłam Paszkowskiej zarówno ogromnego zapału, jak i świetnie zorganizowanej roboty. Moje krótkie, utrzymywane w tajemnicy przed policją wizyty w Warszawie były dla mnie wówczas bardzo przygnębiające ze względu na brak możliwości jakiegokolwiek działania. Wiedziałam jednak, że etap „dromaderki” mam już za sobą, i rozumiałam, że na razie nie ma do niego powrotu.

W moim życiu wszystko się zmieniło. Miałam dziecko, dług wdzięczności wobec rodziny oraz nakaz pobytu w Wilnie. Dlatego nie mogłam już się narażać, a mimo to...

Chciałam jednak coś robić, bo bezczynność była dla mnie zbyt trudna. Wierzyłam, że każdy cios osłabiający siłę zaborców jest ze wszech miar

słuszny i uzasadniony, ale nie mogłam za bardzo się angażować.

W szeregach socjalistów już wtedy spotykało się rozmaitych ludzi, czasami tak bardzo różniących się poglądami, że aż trudno było zrozumieć, jak w ogóle mogą ze sobą współpracować. Jednak pomimo różnic pomagaliśmy sobie i chociaż czasem dochodziło do kłótni, w obliczu władz zawsze byliśmy wobec siebie lojalni.

Wśród pierwszych socjalistów, szczególnie tych starszych wiekiem, znajdowali się nawet powstańcy styczniowi.

Może to pannie wydać się dziwne, ale takie wtedy były czasy. Zmiany w sposobie myślenia sprawiały jednak, że dla dużej grupy młodych ludzi idee powstań narodowych były całkowicie obce i odchodziły do lamusa. Sytuacja międzynarodowa sprzyjała działalności socjalistycznej, do której młodzi Polacy pragnęli dołączyć. Smutne doświadczenia wcześniejszych nieudanych zrywów pokazały, że samotna walka nie ma większego sensu i skazana jest na niepowodzenie. Nikt nie chciał już ginąć na darmo i pewnie dlatego poszukiwaliśmy sprzymierzeńców tam, gdzie dało się ich znaleźć.

Wielu konspiratorom wydawało się, że ścisła współpraca z socjalistami rosyjskimi, i nie tylko rosyjskimi, pozwoli wykorzystać ich struktury i doświadczenie do wspólnej walki z caratem. Sporo w tym było racji, ale później okazało się, że tak naprawdę z tym socjalizmem wielu z nas całkiem nie było po drodze. Wtedy jednak wierzyliśmy, że to jest dobry kierunek, bo jak uczyło powstańcze doświadczenie, samotna walka skazana była na niepowodzenie.

Socjalizm idący ze Wschodu hołdował całkiem innym zasadom niż nasze. Wśród polskich socjalistów byli jednak i tacy, którym zasady te stały się bliskie. Różnice w poglądach oddalały ludzi i przez to niejednokrotnie rozchodziły się drogi bliskich sobie dotąd osób. W konspiracji, tak jak w życiu, wszystko ewoluowało i stale się zmieniało.

W tym czasie wracali nieraz z Syberii zesłańcy, którzy w 1863 roku chwycili za broń. Legenda powstania wniosła bardzo ważny wkład w wychowanie kolejnego pokolenia Polaków.

Niektórzy z powstańców kończyli właśnie kary zsyłki i wracali do niby swoich, ale już całkiem innych miejsc. Część z nich wciąż jeszcze potrafiła rozgrzewać młode umysły.

Tak właśnie było z Piłsudskim. Na Syberii Ziuk zetknął się z jednym z organizatorów powstania styczniowego, który cudem uniknął kary śmierci, zamienionej mu na zesłanie ze względu na to, że był poddanym francuskim. Był to Bronisław Antoni Szwarce.

To właśnie kontakt ze Szwarcem w dużej mierze ukształtował stosunek Piłsudskiego nie tylko do powstania styczniowego, ale i do samej walki o niepodległość. Znajomość ta była dla mojego męża bardzo ważna i na dalekiej Syberii ostatecznie zakończyła się patriotyczna edukacja Ziuka. Ja też spotykałam wówczas ludzi podobnych Szwarcemu.

Po trudnych doświadczeniach z Petersburga i Warszawy początkowo niewiele angażowałam się w działalność konspiracyjną, ale gdy wróciłam do Wilna, miałam już całkiem spore znajomości i markę osoby godnej zaufania.

Nie zamierzałam jednak zapominać o swojej podstawowej teraz roli, roli matki, o której zresztą nieustannie przypominała mi moja własna mama.

I tak w miarę upływu czasu mieszkanie na Zarzeczcu stawało się coraz mniej spokojne. Bywali u nas ludzie, bardziej lub mniej zaangażowani w polskie sprawy, ale ja, wzbogacona własnymi doświadczeniami oraz zasadami konspiracji, postępowałam nad wyraz rozsądnie. Porządnie wyedukowana przez Paszkowską, zachowywałam wszelkie możliwe środki ostrożności. W mieszkaniu nie trzymałam nigdy żadnych kompromitujących materiałów, a poza tym, mając na względzie bezpieczeństwo mamy i córki, częściej bywałam u innych, niż przyjmowałam u siebie.

Wkrótce wciągnęłam się w różne działania i chociaż w tym czasie nie biegałam z ulotkami, to przecież bywałam organizatorką ciekawych spotkań, a w moim domu, pod pozorem wieczorków towarzyskich, spotykali się ludzie zaangażowani w działalność konspiracyjną.

Kiedy Wandeczka skończyła roczek, wróciłam do wyuczonego na Kursach zawodu – zajęłam się nauczaniem. Udzielałam zwykle prywatnych lekcji młodym pannom ze średnio zamożnych domów, a przy okazji uczyłam je historii ojczyzny i znajomości polskiej literatury. Nie było to dobrze widziane przez władze, więc nauczalam dziewczynki, zachowując

wszelkie zasady konspiracji. Uczone przez prywatne nauczycielki dzieci zawsze wiedziały, czego im mówić nie wolno, i nigdy nie relacjonowały nikomu, czym zajmowaliśmy się podczas naszych lekcji. W ten sposób najmłodsze pokolenie Polaków od najwcześniejszych lat uczone było konspirowania.

Byłam ostrożna, ale na szczęście znowu czułam się potrzebna. Zupełnie nie brałam pod uwagę, że i to przecież może się kiedyś skończyć.

W moim nowym życiu pojawiło się jednak wówczas coś jeszcze, czego dotąd nigdy nie czułam tak intensywnie. Rozbudzona kobiecość zaczęła domagać się swoich praw, których nie mogło zaspokoić jedynie macierzyństwo. Już nie byłam Marysią flirtującą z rówieśnikami, ale Marią, kobietą dojrzałą, ładną i sądząc z ilości okazujących zainteresowanie mną wielbicieli, pociągającą.

Wkrótce też w moim życiu pojawił się mężczyzna, którego potraktowałam poważniej niż innych, bo i on też poważnie traktował spotkania ze mną.

Kiedy Karolina usiadła przy kulawym stoliku w swoim pokoju, żeby zanotować najważniejsze fragmenty opowieści Marii, była już prawie północ. Płomień świeczki wciśniętej w dziurawy kieliszek do jajek drgał podejrzanie często i dziewczyna bała się, że zaraz zgaśnie. Nie chciała odpalać kolejnej, przedostatniej już w zapasie świecy.

Od pewnego czasu starała się oszczędzać światło elektryczne, bo w tym miesiącu nie miałyby za nie z czego zapłacić. Obmyśliła więc metodę, która sprawdzała się znakomicie. Zeszyty i klasówki swoich uczniów przeglądała i oceniała zaraz po powrocie do domu, a jeżeli nie zdążyła tego zrobić, wstawiała wcześniej, żeby przy słabym jeszcze świetle poranka dokończyć sprawdzanie. Od kiedy jednak postanowiła spisywać opowieści Marii, wprowadziła korektę w rozkładzie dnia, gdyż te właśnie zapiski starała się robić o poranku.

Problem jednak tkwił w tym, że historii opowiadanych przez Piłsudską było bardzo dużo i po przespanej nocy część z nich mieszała się Karolinie lub po prostu wylatywała z głowy. Zmuszała się więc, by wieczorem zapisać choć trochę.

Karolina początkowo nie chciała informować Marii, że robi notatki z ich rozmów, ale kiedy nocą siedziała w wyziębionym pokoju nad swoimi zapiskami, zdecydowała się jej o tym powiedzieć.

Wracając z pracy, zapukała nieśmiało do drzwi sąsiadki i przez dłuższą chwilę czekała, aż się otworzą. Kiedy w końcu Piłsudska stanęła w progu i popatrzyła na Karolinę, na jej twarzy pojawiło się zdumienie, gdyż tego dnia nie były umówione na spotkanie.

Wobec swoich notatek Karolina nie miała jeszcze żadnych konkretnych planów, ale dla spokoju sumienia i własnej wygody wolała mieć zgodę Piłsudskiej na spisywanie jej wspomnień. Poza tym notując na bieżąco, podczas rozmowy, uniknęłyby ślęczenia po nocy, co w niedogrzanym mieszkaniu bynajmniej nie było przyjemne.

Maria wpuściła Karolinę do mieszkania, ale dziewczyna postanowiła od razu wyjaśnić, o co chodzi.

Piłsudska wydała się zaskoczona jej wyznaniem, a milczenie i nagłe ściągnięcie brwi wskazywały na to, że intensywnie się nad czymś zastanawia.

– Nie wiem, czy powinnam się na to zgodzić – powiedziała po krótkim namyśle. – W mojej obecnej sytuacji...

Karolina w pierwszej chwili poczuła się trochę nieswojo, ale zaraz potem uśmiechnęła się szeroko i klasnęła w dłonie.

– Pani życie było... jest tak ciekawe i tak barwne, że mogłoby nawet stać się tematem powieści! – wykrzyknęła z entuzjazmem, a na jej policzki wystąpił rumieniec.

Piłsudska zamachała rękami i patrząc na dziewczynę, wybuchnęła śmiechem.

– Hola, panienko! Co też mi tu panna opowiada?! Powieści? Nie przesadzajmy, nie przesadzajmy! Moje życie rzeczywiście było ciekawe, ale... – powiedziała, przyglądając się teraz pełnej niepokoju minie Karoliny, po czym dodała uspokajającym tonem: – Dobrze, zastanowię się. A notatki może panna sobie robić! To mi wcale nie przeszkadza...

Karolina jeszcze raz klasnęła w dłonie i nie mogąc powstrzymać radości, chwyciła dłoń Piłsudskiej i mocno ją uścisnęła.

– Bardzo, bardzo pani dziękuję – powtarzała, potrząsając chłodną ręką Marii, która śmiała się teraz głośno i szczerze.

– To chyba raczej ja powinnam być pannie wdzięczna – powiedziała w końcu, gładząc drugą ręką dłoń Karoliny, po czym dodała z uśmiechem: – Nie sądziłam, że kogoś mogą jeszcze zainteresować moje historie... Los, jak widzę, lubi robić niespodzianki. Nawet takie, które stają się prezentami... Prawda?

Karolina z wdzięczności jeszcze raz uścisnęła dłonie Piłsudskiej i ucałowała ją w obydwie policzki. W następnej chwili zaś pożegnała się i radośnie pomknęła na górę po drewnianych schodach. Fakt, że Maria okazywała jej swoją sympatię, miał dla dziewczyny ogromne znaczenie, a obcowanie z tą kobietą było od początku prawdziwą przyjemnością. Nadchodził jednak czas dużo intensywniejszej pracy w szkole i Karolina zdawała sobie sprawę z tego, że na kolejny taki wieczór będzie musiała trochę poczekać.

Wizyty

Dopiero po świętach Bożego Narodzenia Karolina znalazła trochę więcej czasu, żeby odwiedzić Piłsudską. Służąca pani Marii, Hanka, wyzdrowiała i wróciła do pracy, toteż Karolina nie pukała już każdego dnia, żeby sprawdzić, czy sąsiadka czegoś nie potrzebuje. Zwykle tylko, wracając z pracy do domu, machała Marii, jeżeli widziała ją w oknie salonu. Jednak od ostatniej wizyty minęło już sporo czasu i dziewczyna zdążyła zatęsknić za przytulnym mieszkaniem sąsiadki.

Przed świętami miała w szkole wiele obowiązków, do których doszły jeszcze jakieś loterie i kwesty organizowane w okresie jesienno-zimowym w miejscowej parafii.

Energiczny proboszcz angażował do pomocy wszystkich młodych wiernych. Ksiądz doskonale wiedział, że takie zebrania, połączone ze wspólną pracą, są atrakcyjne zarówno dla panien, jak i dla kawalerów, i to nie tylko ze względu na chęć czynienia dobra.

Łącząc przyjemne z pożytecznym, miał ksiądz dobrodziej wielkie osiągnięcia nie tylko w pomaganiu biednym, ale też w łączeniu par w małżeństwa.

Proboszcz posługiwał w parafii długo, dlatego był naprawdę dobrze zorientowany w potrzebach najbiedniejszych wiernych. Pomaganie im uważał za najłatwiejszy sposób realizowania przykazania miłości bliźniego. Tego też uczył młodych odwiedzających budynek parafii.

Przy okazji spełniania dobrych uczynków odbywały się też, rzecz jasna, całkiem udane spotkania towarzyskie. Młodzi ludzie garnęli się więc do pomagania i cieszyli się zarówno pożytecznie spędzonym czasem, jak i wzajemną obecnością.

Karolina poznała w parafii kilka sympatycznych osób i choć były to w większości dziewczęta, to jednak fakt, że wreszcie znalazła sobie młodych przyjaciół, miał dla niej ogromne znaczenie.

Oczywiście od czasu do czasu zaglądała do Marii, aby upewnić się, czy sąsiadka czegoś nie potrzebuje, ale gdy pewnego dnia drzwi otworzyła jej całkiem zdrowa służąca, Karolina uznała, że Maria jest teraz pod dobrą opieką.

W końcu przyszły święta Bożego Narodzenia, które Karolina spędziła z rodziną. Na dwa tygodnie ferii wyjechała z Krakowa, a kiedy do niego wróciła, postanowiła wreszcie odwiedzić sąsiadkę. Przed Wigilią była u Piłsudskiej tylko z krótką wizytą, żeby jej wręczyć samodzielnie wyhaftowaną poszewkę na poduszkę. Pani Maria była szczerze wzruszona gestem dziewczyny i podarowała jej dwie powieści Żeromskiego, które kupiła specjalnie dla niej.

– Wiem, że lubi pani książki – powiedziała, wręczając świąteczne zawiniątko – więc mam nadzieję, że to sprawi pani przyjemność. Pana Żeromskiego znam osobiście, bo nieraz bywał u nas gościem w Zakopanem i w Krakowie. Spotykałam go również, kiedy pracowałam jako redaktorka przy wydawaniu książek... Niestety już go nie widuję, dlatego nie mogę poprosić o dedykację dla pani.

Maria uśmiechnęła się smutno i dodała:

– Nie umniejsza to, rzecz jasna, jakości dzieła. Żeromski świetnie pisze.

Karolina z radością przyjęła podarunek, a po jej rozpromienionej twarzy widać było, że jest z niego bardzo zadowolona. Kiedy wychodziła z mieszkania Marii, obiecała sąsiadce, że niebawem znów ją odwiedzi.

Po zimowych feriach wróciła z nowymi siłami do pracy i już pierwszego dnia postanowiła zrealizować obietnicę daną Piłsudskiej. Mijając drzwi jej mieszkania, zatrzymała się i zapukała, żeby się przywitać.

Maria zaprosiła dziewczynę do środka, ale Karolina wymówiła się, wskazując ciężką walizkę, jaką miała ze sobą.

– Teraz nie mogę, ale za kilka dni chętnie panią odwiedzę, żeby znowu posłuchać ciekawych opowieści – powiedziała, uśmiechając się promiennie, i uściskawszy serdecznie Piłsudską, pomaszerowała na górę.

Dni jednak mijały, a Karolina nie mogła jakoś znaleźć wolnej chwili, żeby odwiedzić Marię. Wprawdzie okres ten był dużo spokojniejszy niż w pierwszej fazie ich znajomości, kiedy to trwała wojna z bolszewikami, ale pracy wciąż miała dużo. Odkąd Karolina zaangażowała się w działania parafii, nie miała za wiele czasu dla siebie.

Wizyty w mieszkaniu Marii musiały odbywać się w godzinach popołudniowych, gdyż po dwudziestej pierwszej Piłsudska bywała już zbyt zmęczona, by podejmować gości. Czas biegł jednak nieubłaganie i kiedy pewnego dnia Karolina spotkała sąsiadkę przed domem, zauważyła, że Maria bardzo zmizerniała i schudła.

Trapiące Piłsudską choroby najwidoczniej nie zamierzały ustąpić i chociaż ta próbowała im się nie poddawać, wyglądało na to, że w nierównej walce stopniowo przegrywa.

Lęk o męża i o wynik wojny polsko-bolszewickiej, który trapił Marię podczas jesiennych spotkań z Karoliną, musiał zadziałać na niekorzyść Marii i miał istotny wpływ na jej obecny wygląd.

Karolina przejrzała zeszyt z całkowicie uporządkowanymi już notatkami z wcześniejszych rozmów. Nie miała wątpliwości, że Maria zgodzi się ją przyjąć, bo wielokroć dawała odczuć dziewczynie swoją sympatię. Pozostawała jedynie kwestia ostatecznego umówienia wizyty albo od razu najlepiej kilku wizyt, bo w młodzięcym życiu Marii wydarzyło się tak wiele, że aby wszystko spisać, Karolina potrzebowała naprawdę dużo czasu.

Siarczysty mróz malował na szybach bajkowe wzorki, kiedy obie kobiety usiadły razem w saloniku Piłsudskiej. Na dworze było już prawie ciemno. Karolina rozłożyła na stole swój zeszyt i czekała. Lubiła przytulne ciepło mieszkania Marii.

W swoim pokoiku Karolina nie marzyła już tak jak dawniej, bo mogła sobie teraz pozwolić na zakup węgla. W szkole udało jej się zarobić trochę więcej pieniędzy, gdyż jedna z koleżanek chorowała przed świętami i oprócz Karoliny nie znalazł się nikt, kto chciałby ją w tym czasie zastępować.

Nieoceniony Wincenty pomógł dziewczynie kupić bardzo dobry węgiel, którego nie trzeba było wiele, by po wrzuceniu do żeliwnej „kozy” szybko ogrzać cały pokój. Oprócz tego pod jej nieobecność dozorca wymienił

w piecyku zużyte części i teraz o swoim malutkim mieszkanku Karolina nie myślała już z niechęcią, ale z niejaką przyjemnością.

Nie zmieniało to oczywiście faktu, że mieszkanie Marii w dalszym ciągu wydawało jej się dużo miłszym i przytulniejszym miejscem do spędzania zimowych wieczorów.

Teraz Maria Piłsudska, zagłębiona w starym fotelu, który wydał się Karolinie dużo większy niż wcześniej, zastanowiła się chwilę i na nowo rozpoczęła swoją opowieść.

Uczucia

Romana Dmowskiego poznałam w Wilnie na początku roku 1894 na jednym ze spotkań towarzyskich – bodajże u Wojtkiewiczów. W spotkaniach tych uczestniczyli przeważnie przedstawiciele młodej wileńskiej inteligencji, urzędnicy, lekarze i nauczyciele, a właściwie nauczycielki, bo w tym zawodzie dużo było kobiet. Panie uczące polskie dzieci po domach, wśród których to pań byłam też i ja, stanowiły grupę patriotycznie nastawionych łączniczek pomiędzy średnio i dobrze sytuowanymi środowiskami. Niektóre z nas wykonywały regularną pracę konspiracyjną i tajemnicą poliszynela było, że od nauczycielek dużo można się było dowiedzieć o tym, czego nie opisywały oficjalne gazety, a nawet dostać jakieś ciekawe materiały.

W Wilnie nie byłyśmy aż tak dobrze zorganizowane jak w Petersburgu czy Warszawie, gdzie pod przykrywką udzielania lekcji „dromaderki” prowadziły regularną walkę konspiracyjną. W tym pięknym mieście na wzgórzach było nieco inaczej, dużo spokojniej, choć nie znaczy to wcale, że nic się nie działo.

Niektóre z kobiet trudniących się wówczas nauczaniem znałam jeszcze z gimnazjum, inne dołączyły do nas, pragnąc nawiązać kontakt z patriotycznie nastawioną inteligencją polską w Wilnie. Nauczycielki przeważnie spokrewnione były z aktywnymi działaczami wileńskiej konspiracji i stąd na naszych wieczorkach, organizowanych w prywatnych mieszkaniach, spotkać można było bardzo ciekawych ludzi z różnych formacji politycznych, a także z różnych części rosyjskiego zaboru.

To były piękne czasy! Spory polityczne nie były nazbyt gorące, toteż spotkania ludzi o różnych poglądach były możliwe, a nawet częste. Wszystkich – z prawa i z lewa – łączyła nienawiść do zaborcy, tak więc

każdego, kto cierpiał prześladowania, traktowaliśmy jak bratnią duszę. Prywatnie spotykali się i nawet lubili wzajemnie ludzie, którzy w dzisiejszych czasach odsądzają się od czci i wiary.

W kręgu wileńskiej inteligencji Dmowski pojawił się więc nie przypadkiem.

Wcześniej mieszkał w Warszawie i był jednym z organizatorów wielkiej demonstracji z okazji obchodów stulecia uchwalenia Konstytucji 3 maja. Po samej demonstracji udało mu się uniknąć kary, gdyż od razu zbiegł za granicę.

Podróżując po Europie, z pewnego oddalenia zastanawiał się, którą pójść drogą, ale kiedy, gotowy do działania, postanowił wreszcie wrócić do Warszawy, zatrzymano go już na stacji granicznej. Okazało się, że żandarmi wcale nie zapomnieli o Dmowskim.

Po kilkumiesięcznej odsiadce zwolniono go za kaucją i wręczono nakaz osiedlenia się w Mitawie, dokąd przyjechał z końcem 1893 roku.

Senne to i zaciszne miasteczko leży około 200 kilometrów od Wilna, nieopodal Rygi, toteż pan Roman, znudzony atmosferą prowincji, wkrótce zaczął coraz częściej pojawiać się w Wilnie.

Ważne wieści szybko się rozchodzą, więc niedługo po swoim przyjeździe nawiązał kontakt z wieloma aktywnymi politycznie osobami. Wkrótce też zaczął przychodzić na zebrania organizowane pod płaszczykiem spotkań towarzyskich.

Zgodnie z nakazem wciąż jednak mieszkał w Mitawie i tam właśnie bardzo zaprzyjaźnił się z rodziną państwa Studnickich, których najstarszy syn przebywał na Syberii, zesłany za działalność w ruchu socjalistycznym. Córki Studnickich prowadziły w Mitawie tajną polską szkołkę dla panien, więc ich dom zawsze pełen był młodych gości.

Dobrze znałam tę rodzinę, bo z panią Gizbert-Studnicką zetknęłam się już kilka razy podczas pobytu w Warszawie. Niemordowana „babcia Wilcza” z czasów warszawskich teraz chętnie przygarniała pod swój dach i karmiła wszystkich niezamożnych rodaków.

Dobre maniery i ujmujący sposób bycia Dmowskiego bardzo jej się podobały i dlatego przyjmowała go u siebie ze szczególnym zadowoleniem.

Panny Studnickie zrazu niechętnie odnosiły się do nowego gościa, ale z czasem bardzo go polubiły. Odwiedzały też i mnie przy różnych okazjach,

a wtedy zażyłość widoczna pomiędzy Studnickimi a Dmowskim była już bardzo widoczna.

Kiedy z zesłania wrócił wreszcie młody Władysław Studnicki, porozumiał się jakoś z Romanem i chociaż poglądy ich były całkiem różne, dyskutowali godzinami. Każdy z nich miał, rzecz jasna, własne zdanie na temat polityki, ale kultura i wielka sympatia nie pozwalały im na kłótnie.

To były całkiem inne czasy i ludzie jacyś spokojniejsi. Poglądy Dmowskiego na ruch socjalistyczny różniły się znacznie od poglądów osób, z którymi wówczas się stykałam, ale nie oznaczało to wcale, że nie mogliśmy przebywać w swoim towarzystwie. Spotykaliśmy się zawsze, ilekroć nadarzała się ku temu okazja, i były to spotkania nie tylko przyjemne, ale i pożyteczne.

Maria westchnęła i pokręciła głową, a Karolina, korzystając z chwili przerwy, powiedziała:

– Teraz trudno sobie wyobrazić, że tak mogłoby być!

Właśnie przypomniawszy sobie zaciekle kłótnie pomiędzy dwoma starszymi kolegami z pracy. Jedyni poza księdzem katechetą przedstawiciele płci męskiej w szkole wiedli nieustanne spory na tematy polityczne, gdyż pan Nowacki, historyk, był zwolennikiem narodowców, a stary polonista, pan Kalinowski, był prawdziwym apologetą Marszałka Piłsudskiego. Do ich rozmów wtrącał się czasem ksiądz Maciejak, ale tylko w charakterze rozjemcy, gdy atmosfera dysputy stawała się nazbyt gorąca. Karolinie nigdy nie udało się wywnioskować, do której opcji najbliżej jest księdzu, a kiedy pewnego dnia zdenerwowany Kalinowski wprost go o to zapytał, wikary roześmiał się i powiedział krótko:

– Mnie najbliżej jest do Pana Boga.

Adwersarze zamilkli i choć do końca dnia nie odezwali się do siebie, to jednak odpowiedź wikarego przyniosła taki skutek, że przez kilka tygodni w pokoju nauczycielskim nie rozmawiano na tematy polityczne.

Maria spojrzała na Karolinę.

– Istotnie było inaczej – powiedziała, kiwając głową. – Rzecz jasna, zdarzały się spory, a czasem nawet prawdziwe kłótnie, ale łączyło nas wiele, a przede wszystkim to, że wszyscy byliśmy Polakami i nikt nigdy o tym nie zapominał. Mieliśmy wspólną ideę, jaką było odzyskanie wolności, i chociaż rozmaicie widzieliśmy drogę, która ku temu wiodła – cel był ten sam i dla wszystkich najważniejszy.

– Dmowski był starszy ode mnie o rok – podjęła po chwili – i kiedy pojawił się na jednym z wileńskich spotkań, od razu zwróciłam uwagę na tego dość przystojnego i błyskotliwego mężczyznę. Wszyscy go słuchali i w jego sposobie bycia było coś takiego, co absolutnie nie pozwalało pozostawać obojętnym.

W późniejszych latach Dmowski podobno stał się nieco złośliwy i poznałam kilka osób obawiających się jego ciętego języka, ale wtedy, w Wilnie, nie można mu było nic zarzucić.

Maria roześmiała się i przez jakiś czas jeszcze uśmiechała się do swoich myśli. W końcu podniosła głowę i popatrzyła na Karolinę roziskrzonym wzrokiem.

– Inteligencja Romana oraz fakt, że przy każdym spotkaniu stawał się centralną postacią towarzystwa, miały dla mnie niebagatelne znaczenie – powiedziała. – Wtedy jeszcze nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale to właśnie charyzma Dmowskiego sprawiła, że wydawał mi się prawdziwie pociągający. Takiego mężczyzny nie można wszak nie zauważyć. Poza tym widziałam niemal od początku, że Roman obdarzał mnie szczególnymi względami, i chociaż nigdy się nie narzucał, wiedziałam, że jego podróże do Wilna z dalekiej Mitawy są dużo częstsze niż potrzeba.

Opuszczając wyznaczone mu przez carskie władze miejsce, Dmowski narażał się na nieprzyjemności, ale zupełnie się tym nie kłopotał, a mnie oczywiście schlebiało, że naraża się właśnie dla mnie, bo co do tego wkrótce już nie miałam wątpliwości. Widziałam to ja, widzieli znajomi, a także moja matka, która szczerze polubiła Dmowskiego. Zacieśnwszy więc znajomość z Romanem, miałam możliwość oglądać go w Wilnie często. Nawet bardzo często. Po kilku herbatkach w domach przyjaciół zaczęliśmy się spotykać we dwoje, a później Roman stał się częstym gościem w naszym domu.

Od początku mieliśmy mnóstwo wspólnych tematów. Nasze rozmowy przeciągały się nieraz do późnych godzin i niejednokrotnie wydawało się, że mogłyby nie mieć końca.

Dmowski opowiadał mi o swojej rodzinie, dotychczasowym życiu i podróżach, ale także o przemyśleniach, które wobec moich skromnych doświadczeń i bardzo niewystarczającej politycznej edukacji wydawały się całkowicie inne. Kiedy rozmawialiśmy, nieraz przez kilka godzin, przypominały mi się czasy petersburskie i gorące studenckie dyskusje.

Teraz, dziesięć lat później, inaczej już patrzyłam na sprawy polityki i nieco lepiej je rozumiałam, ale jakiś czas temu postanowiłam nie wypowiadać się o sprawach, w których nie czułam się zbyt biegła, toteż emocje, które towarzyszyły prowadzonym przeze mnie rozmowom z Dmowskim, były całkiem innego typu niż te z czasów petersburskich.

Niezbyt długi pobyt w Warszawie pozwolił mi poznać wielu ciekawych ludzi. Z niektórymi z nich kontaktował się również Dmowski i mimo że z przekonania dystansował się od socjalizmu, współpracę tę wspominał bardzo dobrze.

„Głos”, który próbowała wydawać kiedyś Bohuszewiczówna, w końcu rzeczywiście powstał i w czas jakiś po naszym aresztowaniu stał się pismem wydawanym systematycznie. Artykuły do „Głosu” pisywało wówczas wiele wybitnych osób, w tym gronie znalazł się też i Dmowski.

Podczas spacerów po Wilnie sporo czasu zajmowało nam więc wspomnianie Warszawy, osób i miejsc ważnych dla nas i miłych.

Roman miał wiele takich ulubionych miejsc. Urodził się i wychował w Warszawie, w rodzinie szlacheckiej wprawdzie, ale mocno zubożałej. Jego rodzice mieszkali na Kamionku, na peryferiach miasta. Ojciec, stary pan Dmowski, miał tam nieduży warsztat brukarski. Matka gospodarowała skromnymi dochodami i samodzielnie doglądała domu, bo na żadną służącą zwyczajnie nie było ich stać. Oboje Dmowscy musieli więc ciężko pracować, żeby wyżywić liczną rodzinę.

Roman był trzeci z siedmiorga rodzeństwa i – tak jak dwaj starsi bracia – początkowo bynajmniej nie pasjonował się nauką, o czym wymownie świadczył fakt, że powtarzał kolejno zarówno trzecią, jak i czwartą klasę. Do czasów dzieciństwa miał zresztą dosyć osobliwy stosunek. Kiedy ze śmiechem opowiadał o latach spędzonych w szkolnej ławie, nie bardzo potrafiłam wyobrazić go sobie jako zwykłego nieuka repetującego rok po roku dwie kolejne klasy, bowiem gdy go poznałam, był całkowitym zaprzeczeniem siebie z lat chłopięcych.

Po burzliwym okresie niechęci do książek przeszedł metamorfozę i stał się bardzo mądrym, odczytanym człowiekiem, który po ojcu odziedziczył zamiłowanie do systematycznej pracy i pokonywania trudności.

Możliwości, jakie dawało mieszkanie w wielkim mieście, niewątpliwie nie pozostały bez wpływu na los synów starego brukarza. W domu nie było czasu ani miejsca na mrzonki i głupstwa, bo państwo Dmowscy nie mieli

żadnego majątku, prócz tego, czego dorobili się sami. Pracowitości uczyli też swoje dzieci. Kiedy młody Roman zrozumiał, że czas spoważnieć i zdobyć wykształcenie, w cztery lata skończył uniwersytet i otrzymał dyplom kandydata nauk przyrodniczych.

Studia rozpoczął późno, a oprócz nauki interesował się też polityką. W tym czasie wciągnął się więc w pracę konspiracyjną i oczywiście naraził się carskim władzom.

Kiedy tylko odebrał dyplom ukończenia studiów, natychmiast wyjechał do Szwajcarii, a stamtąd do Paryża. Podróżował, a przy okazji przyglądał się funkcjonowaniu wolnych narodów i z tej perspektywy próbował odnaleźć swoją drogę. Kiedy znalazł i określił własny życiowy cel, gotów był do powrotu. Wiedział, czego chce i z jakimi ludźmi może to osiągnąć. Spakował walizki, kupił bilet na pociąg, a potem to już panna wiesz – wpadł w łapy żandarmów i wylądował w Mitawie. Stare listy gończe nie straciły wcale swej ważności.

Walenty Dmowski nie doczekał ukończenia studiów przez syna, ale ukochana matka Romana była z niego bardzo dumna.

Kierunek studiów Dmowskiego nie był obojętny dla naszej znajomości. Zamiłowanie do przyrody, pogłębione zarówno przeze mnie, jak i przez niego studiami przyrodniczymi, dawało możliwość prowadzenia rozmów na tematy obojgu nam bliskie.

Oczywiście niech sobie panna nie wyobraża, że rozmawialiśmy jedynie o muchach, pszczołach i pelargoniach. Spotkania nasze z wolna przeradzały się we flirt, Roman okazał się inteligentny i w pewien skromny sposób elegancki.

Dmowski podobał mi się coraz bardziej i chociaż przez różnice poglądów na życie społeczne nieraz sprzeczałyśmy się, to szczerze mówiąc, różnice te nie miały dla mnie nadzwyczajnego znaczenia. Wydawało mi się, że i jemu to nie przeszkadza. Mocno zaangażowany w prace Ligi Narodowej, pobłażliwie traktował moje sympatie do socjalizmu i idealistyczne, jak to określał, poglądy na ludzi. Ja zaś bardzo lubiłam rozmawiać z Romanem i bawiło mnie jego barwne opisywanie relacji społecznych, które często kojarzyły mu się z walką gatunków.

Zdaniem Dmowskiego każdy naród ma własny instynkt samozachowawczy, pozwalający mu przetrwać dziejowe burze i tak dostosować się do niekorzystnych warunków, żeby uchronić swe

najcenniejsze walory dla przyszłych pokoleń. Opisywał to barwnie na przykładach kolonii bakterii lub przetrwalnikowych form małych morskich organizmów.

Cieszyło mnie wówczas, że zdobyte na Kursach wykształcenie pozwala mi rozumieć te często zawile wywody. Byłam dumna, że nasze spotkania nie były jedynie flirtem, bo to, że oprócz wzajemnego upodobania mieliśmy o czym ze sobą rozmawiać, nie pozostawało obojętne dla naszych kontaktów.

Moje życie w Wilnie płynęło więc spokojniej niż w Petersburgu czy Warszawie, ale nie oznacza to bynajmniej, że nic się tam wtedy nie działo.

W naszym mieszkaniu bywali różni ludzie, których gościłam, nie bacząc na to, czy ich zapatrywania polityczne skrecają na prawo, czy na lewo. Skoro zaś przychodzili i nie przeszkadzała im wzajemna obecność, znaczyło to, że można prawdziwie się lubić mimo różnic poglądów.

Kiedyś na przykład przyjechał do Wilna Leon Wasilewski, współpracujący wówczas w PPS-ie z Marysią Paszkowską. Jego żonę, Wandzię Zieleniewską, poznałam jeszcze w Petersburgu na Kursach Bestużewskich i bardzo się wtedy polubiłyśmy. W 1893 roku Wasilewscy przeprowadzili się do Lwowa, a po kilku miesiącach Leon przyjechał do Wilna w interesach. Po przyjeździe skontaktował się ze mną, a ja poświęciłam mu trochę czasu i przez kilka dni oprowadzałam go po Wilnie.

Często w tych wędrowniach i wycieczkach za miasto uczestniczył też Dmowski i wtedy naprawdę dobrze czuliśmy się w swoim towarzystwie. Być może fakt, że Wasilewski pierwotnie działał w Lidze Narodowej, spowodował, że obaj panowie od razu znaleźli wspólny język. To, że teraz już byli w całkiem różnych ugrupowaniach, wydawało im się w niczym nie przeszkadzać. Pewnie sprawiła to sympatia, jaką od razu do siebie poczuli.

Roman potrafił być ujmujący i bardzo zabawny.

Pomimo skromnych środków finansowych robił też wiele, by zachować elegancję, co często okazywało się bardzo trudne. Jedna z panien Studnickich opowiadała mi o tym, jak kiedyś przed ważnym wyjściem zastała Dmowskiego zamalowanego czarnym tuszem wypłowiałe na szwach nici starego surduta. Był to paradny, ale i wzruszający widok.

Dmowski śmiał się czasami ze swojej biedy, ale znosił ją z godnością. Miałam wówczas nieodparte wrażenie, że w jego przypadku bieda to stan całkiem przejściowy, gdyż Roman ma w sobie godność i elegancję zubożalego arystokraty, a przy tym upór i pracowitość człowieka z ludu. Tacy ludzie nie są stworzeni do ubóstwa...

Mijały tygodnie naszej znajomości, a mnie coraz bardziej podobał się ten uprzejmy, przystojny mężczyzna, który w dyskusjach bez trudu radził sobie z adwersarzami, zaś wobec mnie był delikatny w taki sposób, o jaki przy pierwszym kontakcie trudno by go było nawet podejrzewać.

Potem z biegiem lat podobno się zmienił, a z relacji kilku przyjaciół wiem, że w dyskusjach czasem potrafi być przykry. Ostry dowcip Dmowskiego już wtedy sprawiał, że niektórzy mniej pewni siebie ludzie w jego obecności rzadko się odzywali, ale ja nigdy nie bałam się Romana, w jego towarzystwie czułam się dobrze.

Cóż, polityka zmienia ludzi. W tamtych czasach jednak, pomimo twardego charakteru, Dmowski czasem bywał ciepły, ale doświadczyli tego chyba jedynie jego najbliżsi, szczególnie matka. Jednak polityczne zaangażowanie Romana spowodowało, że na rodzinne spotkania zwyczajnie nie mógł sobie pozwolić.

Podczas spacerów ulicami Wilna dużo opowiadał o swojej rodzinie, jakby w ten sposób chciał się do niej zbliżyć.

Kilka lat później poznałam matkę i starszego brata Romana w Zakopanem. To bardzo mili, choć skromni ludzie i widać było, że są kochającą się rodziną.

Wtedy oczywiście byłam już żoną Ziuka, ale nie zaprzeczę, że często zastanawiałam się nad tym, jak potoczyłoby się moje życie, gdybym w tamtym czasie podjęła inną decyzję...

Karolina podniosła wzrok znad notatek i uważnie przyjrzała się Marii. Przez chwilę wahała się przed zadaniem pytania, które samo cisnęło jej się na usta. Nie chciała wydać się niegrzeczna, ale wiedziała, że jeśli to pytanie ma paść, powinno paść właśnie teraz.

– Nie żałuje pani swojej decyzji? – zapytała na tyle cicho, że pani Maria mogłaby udać, iż nie dosłyszała pytania.

Piłsudska westchnęła, głośno wytarła nos i z nutą melancholii powiedziała:

– Nie wiem, jak potoczyłoby się moje życie, gdybym bez reszty poddała się chmurnemu urokowi Dmowskiego. Urokowi człowieka, którego mniej surowe oblicze dane mi było poznać pewnie jako jednej z nielicznych...

Powiedziawszy to, spuściła głowę i chwilę bawiła się niewielką batystową chusteczką.

– Dmowski ma w sobie wielki upór i żelazną wolę – powiedziała po chwili krótkiego odpoczynku. – Takim go wówczas poznałam, a teraz już z innej perspektywy, śledząc jego losy, jestem pewna, że pozostał takim do dziś. Dla tego człowieka życie jest drabiną, po której wspina się spokojnie krok za krokiem.

Dmowski to człowiek na wskroś oddany polityce i idei. Od dawna był zagorzałym przeciwnikiem socjalizmu i to, co dla mnie było wtedy ważne – wzbudzało jego naturalny opór. Nieraz potem rozważałam sobie, że gdyby nasze relacje poszły dalej, usłyszałabym w końcu szczerze, co naprawdę sądzi o moim sposobie myślenia, ale wtedy cierpliwie, jak dziecku, tłumaczył mi swój punkt widzenia na politykę.

Pomimo znacznej różnicy poglądów dobrze się czułam w towarzystwie Romana. Było tak do czasu, kiedy nasze kontakty stały się rzadsze, a relacje napięte... To jednak działo się już kilka miesięcy później...

W roku 1894 w Wilnie nie byłam już samowolną i zbyt pewną siebie gimnazjalistką.

Pewności siebie, rzecz jasna, nie brakowało mi i wtedy, ale butę rozpieszczonej nieco nastolatki zastąpiły powściągliwość i kokieteria dojrzałej kobiety. Lubiłam Dmowskiego, a poza tym cieszyło mnie to, że mu się podobam. To był nietuzinkowy mężczyzna, a ja po pierwszym małżeństwie z przystojnym, ale miernym Juszkiewiczem potrzebowałam człowieka czynu, który zawładnie moją duszą i zaspokoi ciało.

Kiedy poznaliśmy się, oboje mieliśmy za sobą sporo rozmaitych doświadczeń, Roman zapewniał mnie jednak, że niczego w życiu nie żałuje. Fakt, że znalazł się w pobliżu Wilna, potraktował jako szczęśliwy dla siebie zbieg okoliczności.

Tak w każdym razie wówczas twierdził, a mówił to w taki sposób, że mu wierzyłam. Dla mnie samej obecność Dmowskiego w Wilnie również nie była obojętna.

Osadzeni nakazem carskich władz w pobliżu siebie, znajdowaliśmy czas, by spotykać się i rozmawiać. I chociaż nie zawsze zgadzaliśmy się ze sobą,

to jednak drobne sprzeczki nigdy nie zamieniały się w kłótnię...

Maria westchnęła głęboko i położywszy głowę na oparciu fotela, przymknęła oczy. Na jej twarzy pojawił się delikatny, smutny uśmiech. Karolina, pochylona nad stołem, przez chwilę notowała coś jeszcze w swoim niebieskim brulionie, ale kiedy podniosła wzrok, zorientowała się, że Piłsudska usnęła. Widocznie zmęczyło ją opowiadanie. Oddychała równo przez lekko otwarte usta, na których wciąż jeszcze gościł ten sam delikatny uśmiech.

Karolina patrzyła na Piłsudską, uważnie studiując rysy jej twarzy, łagodniejsze w tej chwili i wygładzone. Nie było w nich pojawiającego się czasem zatroskania czy zwyczajnego smutku.

Dziewczyna próbowała wyobrazić sobie Marię jako piękną, młodą kobietę i teraz, kiedy Piłsudska spokojnie spała, nie miała z tym najmniejszych trudności. Ślady dawnej urody wciąż jeszcze można było rozpoznać na twarzy pięćdziesięcioletniej damy, która potrafiła ciekawie i godnie żyć.

Piłsudska westchnęła przez sen i jej powieki zadrgały. W tym momencie lekko uchylone drzwi salonu otworzyły się szerzej i w progu stanęła Hanka. Widząc, że jej pani zasnęła, podeszła bliżej i uważnie przyjrzała się jej twarzy.

– Pani jest zmęczona – oznajmiła półgłosem, nie patrząc na Karolinę, a jej mina w tej chwili bynajmniej nie była przyjazna. Karolina podniosła się więc ze swojego miejsca i starając się zrobić to cicho, dosunęła krzesło do stołu. Zebrała swoje notatki oraz cienki ołówek i spojrzawszy jeszcze raz na Piłsudską, odwróciła się w kierunku drzwi. Hanka w tym czasie przykrywała Marię miękkim pledem, ale gdy Karolina znalazła się na korytarzu, dogoniła ją i powiedziała ostrym tonem:

– Panią Marię męczą takie spotkania, a serce ma słabiutkie i trzeba na nią uważać.

Karolina pokiwała głową, a Hanka dodała:

– Ale niech sobie pani przychodzi. Byle tylko pani za bardzo jej nie męczyła...

– A czy jutro mogę zajrzeć? – zapytała półgłosem. Służąca Piłsudskiej zmarszczyła brwi, ale lekko skinęła głową.

– Sama do panny zapukam i powiem, czy może. Naturalnie jak pani zaprosi.

– Rzecz jasna – powiedziała Karolina i pożegnawszy się, wyszła z mieszkania Piłsudskiej.

Kiedy Hanka zamknęła za nią drzwi, Karolina stała jeszcze chwilę na wycieracze i patrzyła na schody, usiłując przywołać w wyobraźni wszystkich tych, którzy jeszcze niedawno po nich chodzili. Sądząc z opowieści Wincentego, bywało tu naprawdę wielu ludzi.

O dobrą atmosferę dbała pani Maria, ale pewnie i naburmuszona Hanka. Choć gwar na schodach dawno umilkł i kobiety nie musiały już pilnować spokoju Komendanta Piłsudskiego, obie zostały w tym miejscu. Prawie szczęśliwe.

Miłość

Następnego dnia Maria i Karolina znów zasiadły w salonie Piłsudskiej.

– Józefa Piłsudskiego widywałam wcześniej, bo jeszcze zanim mi go oficjalnie przedstawiono, zwróciłam uwagę na chudego mężczyznę o chmurnym spojrzeniu i nieco nieuporządkowanym zaroście. Kiedy w 1892 roku Józef wrócił z Syberii, przez kilka miesięcy przebywał w Wilnie, w domu rodzinnym przy ulicy Tatarskiej, bodaj 22. Potem Ziuk pojechał do Warszawy, by znów po kilku miesiącach powrócić do naszego miasta. Osobiście poznaliśmy się więc dopiero w drugiej połowie 1893 roku w mieszkaniu państwa Rymkiewiczów przy ulicy Święcijańskiej. Wówczas dobrze znałam już Dmowskiego, który wtedy wydawał się mi przeznaczony.

Od kiedy Ziuk wrócił do Wilna z zesłania, pozostawał pod nadzorem policyjnym, z czego, rzecz jasna, zdawał sobie sprawę. Pewnie też dlatego nie od razu włączył się do pracy konspiracyjnej. Jak zwykle potrzebował trochę czasu, żeby dokładnie rozeznac się w sytuacji i przyzwyczaić do nowych okoliczności.

Po pięciu latach, które spędził na Syberii, nie wiedział, co ze sobą zrobić. Myślał o studiach prawniczych, nie pociągał go handel ani praca urzędnicza, a do inżynierii nie czuł powołania. Dość przypadkowo zetknął się w Wilnie z tworzącą się organizacją socjalistyczną i postanowił do niej przystać.

Od początku nie miał odpowiadających swoim planom kontaktów z konspiratorami, a jego znajomość aktualnych struktur i zależności była absolutnie niewystarczająca. Piłsudski nie zamierzał rezygnować z udziału w walce z caratem, ale nie chciał popełnić błędu, który skutkowałby jego

powrotem do Tunki czy jakiejś innej syberyjskiej dziury. Zresztą po latach przebywania wśród zesłańców wrócił dojrzały i bogatszy w wiedzę.

Bardzo patriotycznie nastawiona rodzina Piłsudskiego wychowywała swoje liczne potomstwo w umiłowaniu ojczyzny i pragnieniu jej oswobodzenia, jednak to właśnie na Syberii dopełniła się polityczna i patriotyczna edukacja Ziuka. Na zesłanie wyjeżdżał jako młokos, a wrócił jako dojrzały do działania, w pełni ukształtowany człowiek.

Pięć lat rozłąki z bliskimi nie było karą na tyle dotkliwą, by złamać młodego człowieka, a biorąc pod uwagę, że czas spędzony na zesłaniu Józef mógł w znacznej mierze poświęcić na samokształcenie, okazało się, że wyrok, jaki otrzymał wówczas, przyczynił się w dużej mierze do jego osobistego rozwoju.

W syberyjskiej głuszy spotkał wielu wykształconych Polaków, którzy tak jak i on tęsknili za ojczyzną. Towarzystwo polskich zesłańców okazało się całkiem sympatyczne i choć kłopoty finansowe i nuda doskwierały wszystkim po równo, to jednak i tam zdarzały się sytuacje ciekawe, miłe, a nawet porywające.

Karolina podniosła wzrok znad notatek i uważnie przyjrzała się Piłsudskiej.

– Porywające?

– A tak właśnie! – Maria klasnęła w dłonie i uśmiechnęła się szeroko. – Uczucia przecież nie znają granic i poruszają serca nawet w najdziwniejszych i najprzykrzejszych okolicznościach. Ludzie kochają się i nienawidzą pod każdą szerokością geograficzną, o czym może świadczyć niejedna syberyjska opowieść. Ja w każdym razie znam takich kilka, w tym też historie bliskich mi osób. Jednak niewiele z nich zakończyło się szczęśliwie.

– To znaczy? – zapytała Karolina, ciekawie nastawiając uszu. Czuła, że wstęp zrobiony przez Piłsudską jest nieprzypadkowy. Nie była jednak pewna, czy sąsiadka zechce rozwinąć ten wątek. Maria jednak nabrała powietrza i pokiwała głową, z czego dziewczyna wysnuła wniosek, że jednak dowie się czegoś więcej.

– Kiedy Ziuk przebywał na Syberii, poznał tam pannę Leonardę Lewandowską, która mieszkała w Tuncie z siostrą i szwagrem. Dziewczyna starsza była od Józefa o kilka lat, ale oboje przypadli sobie do gustu i spotykali się bardzo często, dobrze czując się w swoim towarzystwie.

Poza tym Leonarda opiekowała się nim, prowadząc mu skromne gospodarstwo domowe. Panna Leosia wróciła jednak prędkiej do Polski i ich losy już się nie zbiegły...

– Nie próbowali się odszukać? – zapytała Karolina.

Piłsudska machnęła tylko ręką i powiedziała wymijająco:

– Po prostu drogi się rozeszły, ale przyczyn tego dokładnie nie zgłębiałam, a potem Leonarda umarła. Wcześniej umarła, ale szczegółów nie znam...

Nie chciała rozwijać tego tematu, choć nie było prawdą, że niewiele wiedziała. O syberyjskim romansie Józefa wiedziała całkiem dużo, i to nie tylko od niego, ale też od jego przyjaciela Bronisława Szwarcego.

Poza tym kiedy urządzali z Józefem swoje pierwsze mieszkanie, znalazła pakiecik listów panny Leonardy, a i od samego Ziuka wiedziała, jaki rodzaj zażyłości łączył go kiedyś z Lewandowską.

Kilka razy rozmawiali o Leonardzie, ale Maria nie mówiła, że wiedziała o istnieniu tamtych listów, które znikły potem z ich mieszkania, razem z innymi rzeczami męża. Maria wiedziała też, że Lewandowska nie zmarła naturalną śmiercią – wkrótce po tym popełniła samobójstwo.

Ziuk, poruszony wiadomością, jaką otrzymał od znajomego, zdradził jej ten fakt i wtedy opowiedział Marii o czasach, gdy mieszkał z Leosią w Tunce pod jednym dachem, żyjąc z nią jak mąż z żoną.

Po tamtej rozmowie Maria postanowiła nigdy więcej nie rozmawiać na ten temat z Józefem. Nie chciała, by wspomnienie Leonardy legło pomiędzy nimi cieniem, i chociaż samobójcza śmierć dziewczyny sugerowała, iż mogła czuć się przez Ziuka oszukana, to jednak, nie znając wszystkich szczegółów tej historii, Maria nie zamierzała wyrokować o tym, co pomiędzy nimi zaszło. Nie chciała też zaprzętać sobie myśli czymś, czego żadną miarą nie mogła zmienić. Uznała więc, że śmierć Leonardy pozostała faktem, który nie powinien mieć wpływu na ich szczęście.

Tak w każdym razie obiecywała sobie wtedy, teraz jednak, gdy w samotności wracała kolejno do różnych etapów swojego drugiego małżeństwa, postać Lewandowskiej pojawiała się jako zasłane mgłą zapomnienia źródło nieokreślonego żalu, który w ostatnim czasie Maria odczuwała silniej niż kiedykolwiek wcześniej.

Otrząsnąwszy się z niewesołych myśli, spojrzała na Karolinę i uśmiechnęła się przepraszająco. Poprawiła się w fotelu i podparłszy brodę

dłonią, kontynuowała swoją opowieść:

– Jak więc mówiłam, po powrocie z Syberii Józef rozglądał się bardzo dokładnie, by w nowej rzeczywistości znaleźć dla siebie jakieś niepoślednie miejsce.

Mąż mój zazwyczaj wpierw się wszystkiemu przygląda i zanim podejmie jakiegokolwiek działania, musi dokładnie wszystko rozpatrzeć i przemyśleć. Czasem wiąże się to z chwilowym pomieszaniem i czymś w rodzaju załamania, jednakże stan ten nigdy nie trwa długo, a po wyjściu z niego Józef zaczyna działać ze zdwojoną energią i siłą.

Po powrocie z zesłania dużo staranniej niż wcześniej wsłuchiwał się w swój głos wewnętrzny, który nakazywał mu nie tylko ostrożność, ale też, co ważniejsze, rozsądek.

Piłsudski znany był już policji i obserwowano go jako potencjalnie groźnego wywrotowca, musiał więc uważać, żeby znów nie powrócić tam, gdzie zmarnował ostatnie pięć lat swojego życia. Poza tym brakowało mu formalnego wykształcenia.

Przed wyjazdem Józef przez rok studiował w Charkowie medycynę, ale nie podobało mu się na tamtejszym uniwersytecie, spróbował więc przenieść się do Dorpatu, co jednak ostatecznie mu się nie udało. Nie chcąc wracać do Charkowa, skłaniał się do wyjazdu za granicę i kontynuowania studiów na zachodzie Europy, jednakże jego plany pokrzyżowało aresztowanie. Kiedy więc w 1892 roku wrócił do Wilna, był o pięć lat starszy i zaczął martwić się, że dotychczas niewiele osiągnął.

W tym czasie nie znaliśmy się jeszcze i kiedy ja nawiązywałam relacje z Dmowskim, Józef przez kilka miesięcy przebywał w Warszawie, gdzie rozpoczął swoją przygodę z PPS-em.

Wpływ starych Sybiraków, pamiętających powstanie styczniowe, był na niego oczywisty, a Józef potrafił oddziaływać na innych, więc jego wstąpienie do PPS-u musiało mieć konsekwencje. Nurt niepodległościowy w lewicowej partii był niewątpliwie jego zasługą.

Kiedy Józef wrócił do Wilna i zaczął bywać na naszych spotkaniach, jak zwykle skupiał wokół siebie sporą grupę zaciekawionych nim osób. Dla wielu moich gości, w tym dla Romana, walka z caratem nie była żadną walką klasową, a jedynie wojną z najeźdźcą, zaborcą i znienawidzonym wrogiem. Do tej pory jednak lewicowcy nie głosili tak zdecydowanie, jak to czynił Józef, idei wolnościowych. Wyglądało więc na to, że wraz z nim

przyszły do Wilna nowe czasy i pojawili się nowi ludzie. Ludzie związani z Piłsudskim.

Kiedy Maria wypowiedziała ostatnie zdanie, na jej twarz wystąpiły wypieki, a nieco przyspieszony oddech wywołał kaszel. Zamknęła oczy i przysłoniwszy usta dłonią, próbowała się uspokoić.

Tego dnia nieco częściej zatrzymywała się i zamyślała w trakcie opowiadania. Karolina nie wiedziała, czy Piłsudską męczy gorsze samopoczucie, czy może temat rozmowy. Niewątpliwie jednak opowiadanie o wcześniejszych latach życia kosztowało Marię trochę mniej wysiłku. Wreszcie po dłuższej chwili Piłsudska podniosła powieki, a zorientowawszy się, że Karolina obserwuje ją z zatroskaną miną, otworzyła szeroko oczy i uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Niech się panienska nie martwi – powiedziała. – Rzeczywiście nie czuję się najlepiej, ale naprawdę nie jest ze mną jeszcze całkiem źle. Bywało gorzej, a moje samopoczucie zależy chyba od ciśnienia atmosferycznego... Serce mam trochę słabe, ale moje serce sporo przeżyło, więc się zużyło.

Karolina zajęła się notatkami i dopisując coś na marginesach, zaczęła je poprawiać. W żaden sposób nie chciała popędzać pani Marii, która odwróciwszy teraz głowę w kierunku okna, zamilkła na dłuższą chwilę.

Opowiadanie o Wilnie dziwnie nastroiło Piłsudską. Z miastem tym łączyły ją najmiłsze wspomnienia młodości, więc gdy nadarzyła się ku temu okazja, nie chciała jeszcze kończyć tej opowieści. W tamtym czasie w Wilnie miała wszystko, czego mogła pragnąć młoda kobieta – urodę, uroczą córkę, skromny, ale systematyczny dochód z lekcji i pracy w drukarni, pieniądze na dziecko od ojca Wandeczki oraz pomoc ze strony kochającej matki, a poza tym grono przyjaciół i miłość...

Jeszcze raz przymknęła oczy i westchnęła cicho. Nagle pod powiekami ujrzała jasno oświetlony salon swojego mieszkania w Wilnie. To musiało być późną jesienią, bo Maria widziała siebie, jak siedzi w ciemnobłękitnej sukni na ustawionej pod ścianą kanapie.

Po pokoju kręcili się rozgadani i roześmiani znajomi, a przy oknie stali podobni do siebie dwaj mężczyźni, Józef i Jan Piłsudscy. Mieszkając

osobno, bracia spotykali się czasem w domu Marii i wtedy Jan niemal nie odstępował Józefa.

Pod przeciwległą ścianą, na niezbyt wygodnym drewnianym krześle siedział Roman Dmowski i ze zmarszczonym czołem przeglądał, a w każdym razie zdawać by się mogło, że przegląda jedną z broszur PPS-u, którą Maria pożyczyła mu tego dnia.

Działo się to wkrótce po przyjeździe Piłsudskiego z Warszawy. Właśnie poznali się oficjalnie i Józef zaczął bywać w domu Marii.

Z jego przybyciem bardzo wiele się zmieniło, a w salonie Juszkiewiczowej pojawiło się nieznane dotąd napięcie, wyczuwalne tylko przez niektórych zaprzyjaźnionych z domem gości.

Józef Piłsudski i Roman Dmowski starali się siebie unikać, a gdy przypadkiem znaleźli się w jednym pomieszczeniu, zajmowali miejsca najbardziej od siebie oddalone.

Tamtego wieczoru z siedzącą na kanapie kobietą w błękitnej sukni każdego z tych mężczyzn łączyła bardzo silna energia.

Chmurne i gniewne chwilami spojrzenia obu panów uświadomiły Marii, że dłużej tak być nie może. To, co działo się pomiędzy nią a nimi, miało tak silny ładunek, że nie sposób było dłużej ciągnąć tej sytuacji bez ryzyka katastrofy. Maria wiedziała o tym i chociaż wcale nie było to łatwe, rozumiała, że przyszedł czas na ważne decyzje. Sytuacja wymagała tego, że jeden z mężczyzn musiał z jej salonu zniknąć.

Piłsudska posmutniała i opuściła głowę. Karolina widziała, że jej opowieść doszła do trudnego momentu, z którym pomimo upływu lat Maria dotychczas sobie nie poradziła. W końcu jednak ciekawość dziewczyny zwyciężyła i wzięła górę nad nieśmiałością.

– Czy po wyjeździe z Wilna spotkała pani jeszcze pana Dmowskiego? – zapytała.

Maria spojrzała na nią ze zdziwieniem, jakby całkowicie zapomniała, że Karolina jest teraz w jej salonie.

– Tak, ale z nim prawie nie rozmawiałam, chyba Roman nie miał na to ochoty, więc nie obdarzył mnie większą uwagą, choć wiedziałam, że mi się przygląda. Nie miałam jednak śmiałości przedłużyć krępującej sytuacji, bo przecież czułam, że wobec niego nie jestem bez winy... Do tego Ziuk zawsze był zazdrosny o Romana, więc nie chciałam dawać mu powodów. No cóż...

Westchnęła cicho i po krótkiej przerwie dodała:

– Teraz Dmowski bywa podobno częstym gościem u Lutosławskich. Poznałam ich kiedyś w lepszych czasach. Profesor wykłada filozofię, a jego żona Zofia, z pochodzenia Hiszpanka o panińskim nazwisku Casanova, jest poetką, choć osobiście nie zetknęłam się z jej wierszami... Piękna jest podobno... – westchnęła Maria, po czym spojrzała na Karolinę z uśmiechem.

Ziuk

Dokonałam wyboru. Nie byłam już bardzo młoda i czułam, że czas najwyższy uporządkować swoje sprawy uczuciowe. Bardzo lubiłam Dmowskiego i gdyby Piłsudski nie pojawił się w moim życiu, być może zostałabym jego żoną, ale tego nie mogę być pewna, bo ze strony Romana nie doszło do ostatecznych deklaracji.

Być może fakt, że wciąż jeszcze nie miałam rozwodu, odstręczał trochę Romana, ale Ziukowi wcale nie przeszkadzał i nieraz powtarzał – i to nie tylko mnie – że jest gotów czekać, aż wreszcie będę wolna. I czekał...

Ziuk oczarował mnie i zaczarował niemalże od początku. Był młodszy ode mnie o dwa lata, ale ani dla niego, ani dla mnie nie stanowiło to żadnego problemu. Różnica wieku wcale mnie nie martwiła, gdyż moja matka starsza była od ojca o całe pięć lat, a przecież związek ich był udany i naprawdę szczęśliwy. Oczywiście nie mogę wiedzieć, jak potoczyłoby się ich życie, gdyby dane im było być ze sobą dłużej. Nie przeżywali razem starości, bo tata zmarł wcześniej, na długo przed moim ślubem z Piłsudskim, i nie umiem zgadnąć, czy mój nowy wybranek podobałby się mu, czy nie. Ja w każdym razie wierzyłam, że moje szczęście będzie wieczne, i zamierzałam dbać o to z całych sił.

Na moją decyzję związania się z Ziukiem miało wpływ i to, że chociaż Dmowski był w naszym domu mile widzianym gościem, to jednak Józef zaskarbił sobie większą sympatię mamy oraz Wandzi. Moja córeczka od początku po prostu za nim przepadała. Piłsudski podbił więc serca wszystkich kobiet w domu na Zarzeczu i chociaż do mnie należała ostateczna decyzja, to przecież fakt, że mój wybranek był miły moim najbliższymi, miał dla mnie niebagatelne znaczenie. Chciałam mieć

wreszcie rodzinę, dom i męża, który kochałby Wandzię i z którym doczekałabym się następnych dzieci.

Marzenia te jednak były dosyć odległe i wiedziałam, że na ich spełnienie będę musiała poczekać.

Już w tamtym czasie rozumiałam, że rola żony takiego człowieka może okazać się trudna. Wiedziałam, na co się porywam. Józefa znałam już przecież ponad sześć lat i zanim połączył nas ślub, pracowałam u jego boku przy wydawaniu „Robotnika”. Znowu byłam „dromaderką” i w przemysłnych schowkach fałd ubrania przewoziłam na sobie naprawdę ciężkie pakunki.

Od początku gotowa pomagać mężowi w jego pracy, byłam najzupełniej świadoma wszystkiego, co może się z tym wiązać.

Wreszcie spełniło się nasze marzenie i unieważnienie mego małżeństwa stało się faktem.

Piętnastego lipca 1899 roku w kościele ewangelicko-augsburskim w Paproci Dużej, w guberni łomżyńskiej wzięliśmy ślub. Był on skromny, a równie skromny poczęstunek wcale nie wyglądał jak wesele. Przyjęcie w gronie przyjaciół zorganizowaliśmy dopiero po powrocie do Wilna, w Trokach, w ruinach zamku na wyspie...

Piłsudska przerwała, po czym westchnęła głęboko i powiedziała:

– Piętnastego lipca 1899 roku w ładnym kościele ewangelickim w Paproci Dużej połączyliśmy się z Józefem przed Bogiem przysięgą małżeńską, bo taka była wola nas obojga i nikt nie ma prawa tego rozwiązać, dopóki w tym względzie nie będzie woli obu stron!

Piłsudska podniosła głos i widać było, że kwestia, którą wygłosiła przed chwilą, jest dla niej bardzo ważna. Emocje, jakie przy tym przeżywała, zmieniły jej łagodny wyraz twarzy w chmurę zaciętości.

– Dlaczego ślub odbył się właśnie w tej miejscowości? – zapytała Karolina, której nazwa Paproć Duża zupełnie nic nie mówiła. Piłsudska uśmiechnęła się szeroko i lekko wzruszyła ramionami.

– Życie jest dosyć skomplikowane i czasem trzeba brać to, co nam daje, bez żadnych grymasów i dąsów – powiedziała. – Ani dla mnie, ani tym bardziej dla Ziuka ślub na terenie zaboru rosyjskiego nie był bezpieczny. Przed zawarciem związku małżeńskiego należy przecież dać na zapowiedzi, a nie można było zrobić tego pod przybranym nazwiskiem.

Sprawę dodatkowo komplikowało to, że ja byłam ewangeliczką, w kościele ewangelicko-augsburskim brałam poprzedni ślub. W tym też kościele dostałam rozwód.

Na szczęście w tej trudnej sytuacji pojawiła się jedna, niezaprzeczalnie korzystna dla nas okoliczność. Pastor kościoła ewangelicko-augsburskiego w Paproci Dużej był dobrym znajomym mojego przyszłego męża, który przed ślubem ze mną musiał zmienić wyznanie. Sprawy religii dla Piłsudskiego nigdy nie były najważniejsze i pewnie dlatego nie robił problemu z przejściem z Kościoła rzymskokatolickiego do Ewangelicko-Augsburskiego. Moja skomplikowana sytuacja wymagała więc pewnych poświęceń, ale Ziuk przystał na to bez wahania. Kochał mnie i chciał być ze mną w związku małżeńskim, by, jak to mówił, nikt inny nigdy już nie próbował mnie zdobyć. Śmiałam się zawsze, ilekroć to słyszałam, ale bardzo cieszyła mnie miłość, a nawet zazdrość Józefa i dosyć naiwnie wierzyłam, że stan ten będzie trwał wiecznie.

Znajomy Ziuka, pastor Kacper Mikulski, za młodu ukończył seminarium katolickie i wcześniej był bernardynem. Od początku posługi duszpasterskiej angażował się w działalność patriotyczną, a nawet walczył w powstaniu styczniowym. Mikulski zawsze pomagał wszystkim znajdującym się w potrzebie Polakom, a szczególną opieką otaczał szykanowaną w gimnazjum polską młodzież.

Tak jak i inni bernardyni pracował na rzecz zakonu i z racji tego zobowiązany był czasem kwestować na jego rzecz. Kiedyś więc wyruszył na kwestę, by zbierać datki na potrzeby klasztoru. Podczas swojej wędrówki poznał pastora luterańskiego, który zrobił na nim bardzo dobre wrażenie. Kontakt z tym człowiekiem sprawił, że po pewnym czasie ksiądz Mikulski przeszedł na wiarę ewangelicką, a po kilku latach sam został pastorem kościoła ewangelicko-augsburskiego.

Już jako pastor znalazł się w Łomży, gdzie posługiwał w tamtejszym zborze, przy okazji administrując parafiami w Paproci Dużej i Węgrowie.

Mikulski to doprawdy wspaniały człowiek i zawsze był bardzo oddany pracy niepodległościowej. Jego znajomość z Józefem wzięła się stąd, że w ramach patriotycznej działalności nawiązał współpracę z PPS-em i na plebanii miał skład bibuły, a także bezpieczne mieszkanie dla ukrywających się ludzi. Po powrocie z Syberii Ziuk niejednokrotnie pomieszkiwał u Mikulskiego i wtedy bardzo się polubili. Ta okoliczność

okazała się dla nas nad wyraz korzystna. Zarówno przejście Ziuka z wiary katolickiej na luterzańską, jak i nasz skromny ślub odbyły się dzięki jego zaangażowaniu.

Nie było z tym wszystkim zresztą szczególnie dużo zachodu. Świadkowali nam bracia mojego Ziuka, Adaś i Janek Piłsudscy, gośćmi zaś byli najbliżsi krewni, mama z Wandeczką i znajomi pastora. Mama Józefa nie żyła od wielu lat, a jego ojciec nie przyjechał na ceremonię ani do Trok na wesele, bo wtedy trochę słabował, a zresztą podróżowanie wcale mu się nie podobało. Przesłał nam tylko przez Janka życzenia i błogosławieństwo na wspólną drogę.

Byłam szczęśliwa. Miałam przy sobie kochanego mężczyznę i co dzień mocniej czułam, że jestem mu potrzebna. Robiłam więc wszystko, by Ziuk widział we mnie nie tylko żonę, ale i towarzyszkę konspiracyjnej niedoli. Pewnie dlatego na wiele się godziłam i nie kręciłam nosem na koczownicze życie, jakie w pierwszych latach małżeństwa dane nam było wieść.

Byłam dumna z męża, ale po trosze i z siebie. Kiedy razem pracowaliśmy przy wydawaniu „Robotnika”, wymyśliłam nawet, że nauczę się zecerki, żeby pomagać Józefowi i nie być dla niego ciężarem, ale nie zdążyłam tego pomysłu zrealizować...

Maria westchnęła głęboko i zamyśliła się, przymykając oczy. Położyła głowę na oparciu fotela i Karolinie wydawało się, że za chwilę zaśnie, ale już po chwili otworzyła oczy i całkiem przytomnie popatrzyła na swoją słuchaczkę. W takich sytuacjach zazwyczaj uśmiechała się, tym razem jednak zmarszczyła czoło i powiedziała cichym, ale twardym głosem:

– Ktoś mówił mi, że Ziuk w czasie wojny powrócił do wyznania rzymskokatolickiego... Mój mąż mi jednak o tym wcale nie powiedział, chociaż gdy to się stało, wciąż jeszcze tu mieszkał. Pewnie uznał, że tak mu bardziej odpowiada... Wychował się w rodzinie katolickiej i pewnie dlatego, a zresztą nie wiem...

Zawsze wielką czią otaczał Matkę Boską Ostrobramską i nieraz nawet śmiałam się, że to dziwne, że ta wileńska Maryja wydaje mu się od innych ważniejsza, ale przecież i mnie jej wizerunek wrył się w serce i noszę go ze sobą wszędzie jak wspomnienia dzieciństwa, młodości i uczuć, które tam, w mieście na wzgórzach, przeżywałam bardzo silnie.

No ale co tam! Zmienił wyznanie czy nie, wciąż przecież ważna jest nasza przysięga małżeńska. Składał mi ją przy świadkach i wobec Boga,

który jednak jest dla wszystkich ewangelików, katolików czy prawosławnych. On jest prawdziwy i wielki, a ludzie... No cóż...

Twarz Marii pokrywał teraz mocny rumieniec, a oddech stał się szybszy i nerwowy. Karolina zauważyła, że dłonie Piłsudskiej drżą lekko, a po policzku, który widoczny był pomimo zwróconej do okna głowy, prawdopodobnie spłynęła łza.

– Zmęczona jestem – powiedziała, nie patrząc na Karolinę. – Niech panna przyjdzie jutro, bo dzisiaj już nie mam siły.

Karolina podniosła się ze swojego miejsca i zaczęła zbierać notatki. Piłsudska, nie zmieniając pozycji, w dalszym ciągu siedziała z głową zwróconą w kierunku okna. Nie patrzyła na swego gościa, ale dziewczyna bynajmniej nie miała o to żalu. Czuła się nawet odrobinę nieswojo, bo znów miała wrażenie, że przez przypadek wywołała bardzo silne wzruszenie Marii.

Z niepokojem obejrzała się na drzwi, zastanawiając się nad tym, czy nieco wścibska służąca nie stoi za nimi i nie podsłuchuje. Karolina wolałaby, żeby Hanka nie widziała Piłsudskiej w stanie tak silnego wzruszenia, bo wtedy mało przychylnie nastawienie służącej mogłoby zmienić się wreszcie w całkiem nieprzychylnie. Konsekwencje takiego stanu rzeczy trudno byłoby sobie teraz przedstawić. Wprawdzie Piłsudska wydawała się nie przejmować humorami służącej, lecz jednak fizyczna słabość Marii niewątpliwie nie była sprzymierzeńcem Karoliny. Dziewczyna nie chciała być źródłem smutku sąsiadki, ale rozumiała, że pomimo nieraz trudnych momentów Maria zadowolona jest z tego, że może opowiedzieć jej swoje życie. Życie pełne sytuacji ważnych, czasem nawet fascynujących, ale i niezbyt przyjemnych. Kiedy dochodziła do trudnych momentów, jej twarz powlekał smutek, a w oczach pojawiały się łzy, których nie potrafiła zatrzymać. Pomimo to Piłsudska najwyraźniej nie zamierzała niczego koloryzować. Zrezygnowała z ubarwiania i upiększania swojej historii, traktując spotkania z Karoliną jako pretekst do zrobienia rozrachunku z przeszłością.

Obecność obcej osoby była najwyraźniej dla Marii ważna i Karolina przyzwyczajała się do tego, że chociaż nieraz stawała się mimowolnym świadkiem trudnych emocji, to Piłsudskiej wcale to nie przeszkadzało.

Pozbierawszy swoje rzeczy, zbliżyła się do drzwi salonu. Maria wreszcie odwróciła głowę i powiedziała z uśmiechem:

- Jutro zrobimy na kolację leguminę. Zdaje się, że pannie smakowała.
- O tak, bardzo! – ucieszyła się Karolina i dygnawszy jak uczennica, dodała: – Dobranoc.

Ślub

Następnego dnia znów pojawiła się w mieszkaniu Piłsudskiej, a kiedy Hanka otworzyła drzwi, w nozdrza Karoliny od razu uderzył znajomy słodki zapach.

Leguminy nie podano jednak od razu. Maria zmusiła Karolinę do zjedzenia porcji potrawki z kurczaka, która wydała się dziewczynie nadzwyczaj smaczna, o czym nie omieszkała powiedzieć Hance.

Maria i Karolina siedziały w salonie Piłsudskiej, a służąca, wyraźnie uradowana apetytem gościa, krzątała się w pobliżu, proponując co chwila herbatę lub domowe ciasteczka.

Hanka początkowo niezbyt uprzejmie przywitała się z Karoliną, ale po miłej uwadze dziewczyny na temat jej zdolności kulinarnych twarz kobiety rozjaśnił szczery uśmiech.

– No dzisiaj to panna sprawiła prawdziwą przyjemność mojej Hani – zauważyła Maria. – Kiedy chwala jej gotowanie, jest radosna, że nieba by przychyliła. Jakbyś teraz panna zachciała marcepana, to gotowa do piekła wskoczyć, żeby go panience przynieść. Strasznie łasa na pochwały ta moja Haneczka, ale dobra z niej kobieta i uczciwa jak mało kto.

– Bo też ta potrawka to prawdziwe arcydzieło – zauważyła Karolina, czując przyjemną sytość.

Piłsudska skinęła głową i zmieniając nagle temat, zapytała młodą sąsiadkę o jej pracę w szkole. Dziewczyna opowiedziała krótko o swoim ulubionym uczniu i jego ciągłych psikusach, którymi doprowadzał do rozpaczki większość nauczycieli. Kiedy chłopak nudził się, wymyślał sobie wciąż nowe zajęcia i czasem lekcje z jego udziałem stawały się ciężkim przeżyciem dla pedagogów. Kazio średnio trzy razy w tygodniu lądował w kozie i od początku roku szkolnego trudno byłoby znaleźć choćby jeden

tydzień, w którym nie spotkała go kara. Karolina jednak bardzo lubiła tego urwisa, a Kazio w zamian okazywał jej ogromne przywiązanie i na lekcjach Karoliny nigdy nie rozrabiał. Obie kobiety przez jakiś czas zaśmiewały się z pomysłów chłopca, ale temat w końcu został wyczerpany, więc Karolina rozłożyła wreszcie swój zeszyt z notatkami, a Piłsudska wróciła do opowieści przerwanej poprzedniego dnia.

– Ziuk jawił mi się jako całkowite przeciwieństwo pierwszego męża. Skupiony na swoich myślach i dalekich planach, nie zwracał uwagi na, jak to określał, „błahostki” i pewnie do dzisiaj nie zaprzęta sobie głowy ubiorem czy konwenansami. Naturalnie przystojny, ma w sobie przyrodzoną elegancję, która nie zależy wcale od stroju, a raczej związana jest ze sposobem bycia. Tak też było i podczas naszego ślubu.

Dla Ziuka skromna ceremonia nie miała tak wielkiego znaczenia jak dla mnie. Przez krótki czas zajmowało go to, co wiązało się z uroczystością w kościele, ale już to, co łączyło się z poczęstunkiem czy późniejszym przyjęciem weselnym, niewiele go obchodziło.

Ślub odbył się bez zakłóceń, nieliczni goście dojechali, jak było zaplanowane, a następnego dnia zaczęliśmy nowe życie już jako państwo Piłsudscy. Plan najbliższych tygodni, a nawet miesięcy mąż mój układał w swojej głowie w czasie, kiedy ja zajęta byłam przygotowaniem skromnego wesela.

Józef nie lubi gwarnych imprez, bo w gruncie rzeczy jest trochę odludkiem. Na hucznych weselach chowa się zwykle w kącie z jakimś bliskim znajomym, tak postąpił nawet na swoim własnym weselu.

Mnie wówczas całkiem to odpowiadało. Jedno wesele, zważywszy jego niewesołe konsekwencje, wystarczyło mi w zupełności, toteż na wyspę do Trok zaprosiliśmy niewiele osób.

Nie mieliśmy zresztą wiele pieniędzy, a wobec planów Józefa związanych z przeprowadzką musieliśmy bardzo oszczędzać.

W tym czasie Wandą zajmowała się moja mama, niemłoda już osoba. Wiedziałam, że będzie musiało tak być jeszcze przez jakiś czas.

Do Wilna wróciłam jako żona Józefa Piłsudskiego, ale mieszkaliśmy tam tylko kilka tygodni. Ziuk, zatrudniony przy wydawaniu „Robotnika”, pospiesznie kończył składanie ostatniego wileńskiego numeru. Już wcześniej przygotował go do druku, a po zakończeniu pracy zlikwidował drukarnię i zabrał się do przenoszenia jej w inne, jak mu się wydawało, dużo odpowiedniejsze miejsce.

Drukarnia nasza miała znajdować się teraz w Łodzi, w wynajętym przez Ziuka mieszkaniu w kamienicy przy ulicy Wschodniej 19. Zamieszkaliśmy tam jako państwo Dąbrowscy.

Wcześniej, od czerwca 1895 roku, „Robotnik” wydawany był w Wilnie i pod Wilnem. Od siódmego do trzydziestego pierwszego numeru Ziuk redagował go i składał wspólnie ze Stanisławem Wojciechowskim.

W tamtym czasie pisywał też do „Przedświtu” i składał różne propagandowe broszury, ale zarówno przed, jak i po naszym ślubie „Robotnik” był dla mojego męża najważniejszy.

Zarówno Józef, jak i inni towarzysze z PPS-u twierdzili, że docieranie do ludzi, którzy czekają na gazetę, było nadzwyczaj ważne dla sprawnego działania organizacji.

Co tam ulotki, jakieś szeptane informacje, pięćdziesiąt pięć razy przekręcane po drodze!

„Robotnik” był oczkiem w głowie mojego męża i przez to dla mnie też stał się ważny.

Pracowaliśmy wszyscy dla tej gazety, ale pod koniec wileńskiej współpracy Wojciechowski stracił cały zapał. Przymus ukrywania się i poczucie ciągłego zagrożenia zaczęły mu mocno doskwierać, a fakt, że chciał ustabilizować swoje życie osobiste, miał w tym momencie niebagatelne znaczenie.

Pod koniec 1899 roku Wojciechowski ożenił się z Marysią Kiersnowską, z którą w tamtym czasie współpracowałam przy kolportowaniu „Robotnika” i innych wydawnictw.

Już wtedy lubiliśmy się bardzo, a w późniejszych latach polubiliśmy się jeszcze mocniej.

Do tej pory utrzymuję kontakt z Wojciechowskimi, którzy w trudnej sytuacji rozpadu naszego małżeństwa zawsze jednoznacznie opowiadali się po mojej stronie. Czasem bardzo oddaleni, nigdy nie przestawali być mi

przychylni, co w porównaniu z wielu innymi starymi przyjaciółmi jest dosyć wyjątkowe...

Maria przerwała i przez chwilę rozcierała dłonie. Karolina zauważyła, że gest ten Piłsudska powtarza w chwilach szczególnego zakłopotania i że nie ma to wcale związku z temperaturą powietrza w mieszkaniu.

Hanka dbała o to, żeby w domu było dostatecznie ciepło, a kiedy chorowała, dozorca też bardzo dobrze wywiązywał się z tego zadania.

– Nie mam ja żalu do ludzi – powiedziała Maria wreszcie. – Widziałam sporo indywiduów żerujących na powodzeniu innych i wcale nie żałuję, że już nie muszę się z nimi widywać. Cokolwiek mogłabym powiedzieć teraz o swoim życiu, to na pewno to, że jest wreszcie wolne od kontaktów z miernotami i fałszywymi pochlebcami, których pełno zawsze w pobliżu tych, którym się w życiu powiodło.

Z przyjaciół zostają zwykle prawdziwi, którym zależy na człowieku, a nie na jego koneksjach i możliwościach. O tym niechybnie przekonasz się panna za jakiś czas, bo życie na ogół sprawiedliwie rozdziela radości i troski.

Maria westchnęła i uśmiechnęła się do Karoliny. Jej twarz ozdobiona smutnym uśmiechem wyglądała teraz naprawdę ładnie. Refleksja, którą usłyszała, zapadła dziewczynie głęboko w pamięć i chociaż jej późniejsze losy różniły się od losów Piłsudskiej, to jednak sentencje wygłaszane wówczas przez Marię były nad wyraz trafne i przypominały się Karolinie w różnych ważnych momentach.

– Jakkolwiek mogłabym oceniać teraz swoją sytuację – kontynuowała Maria – cieszę się, że jestem już od tego wolna. Czasem tylko zawita tu jakiś typ, któremu wydaje się, że przez swoje na mnie oddziaływanie uzyska to, czego nie uzyskali inni. Pieszcząc nadzieję, że to właśnie on skłoni mnie do ostatecznego zakończenia małżeństwa, nie rozumie, że ani mnie, ani mojemu mężowi szczególnie na tym nie zależy!

Ziuk nigdy mocno nie naciskał na mnie w sprawie rozwodu i dalibóg są na tym świecie ludzie, którzy mogą temu zaświadczyć. Chociażby sam arcybiskup Kakowski!

Ostatnią kwestię Maria wygłosiła nieco głośniejszym głosem, więc przechodząca przez korytarz Hanka zajrzała zaniepokojona do salonu.

– Czy pani dobrze się czuje? – zapytała, stając w progu.

– Dobrze się czuję, dobrze – rzuciła Maria zniecierpliwionym tonem. – Mówiłam, że możesz już iść do domu. Panna Karolina posiedzi tu ze mną, a Wincenty wieczorem dorzuci do pieca. Przecież to umówione.

– Ale... – zaczęła Hanka, a jej mina wskazywała na to, że bynajmniej nie jest przekonana, czy powinna zostawiać swą panią.

– Nie ma żadnego ale! – przerwała jej Piłsudska, patrząc na Hankę spod zmarszczonych brwi. – Naprawdę nie jestem jakąś pozbawioną rozumu staruchą, której trzeba pilnować jak małego dziecka. Powiedziałam wyraźnie, że dam sobie radę, więc proszę mnie słuchać!

Mówiąc to, klepnęła energicznie dłonią w podłokietnik fotela, a na jej policzki wystąpił silny rumieniec. Widać było, że w tej chwili jest zdenerwowana, więc nie chcąc zaognić sytuacji, Hanka wycofała się do korytarza, mówiąc ugodowo:

– Dobrze, już dobrze, idę, ale gdyby...

– Nie będzie żadnego gdyby... – rzuciła Piłsudska i położyła głowę na oparciu fotela, zaciskając usta.

– Dobra z niej kobieta – oznajmiła po chwili – ale to cerber prawdziwy i czasem trochę mnie irytuje!

Karolina uśmiechnęła się lekko, czując jednak spore zakłopotanie. Z jednej strony zdawała sobie sprawę z tego, że troskliwość służącej może czasami wydawać się przesadzona, ale nie mogła wiedzieć, czy jest tak na pewno. Maria wszak była chora i pewnie dlatego, zostając z nią sama w mieszkaniu, czuła lekki niepokój. Nie wiedziała, czy emocje, które przeżywała Piłsudska, nie staną się w końcu przyczyną pogorszenia jej samopoczucia, a wtedy pozostawanie z nią sam na sam mogło stać się dla Karoliny kłopotliwe.

Nie chciałyby jednak wydać się niegrzeczna i dlatego nie odezwała się ani jednym słowem, czekając na dalszy rozwój wypadków.

Po wyjściu Hanki z mieszkania Maria mrugnęła porozumiewawczo do Karoliny.

– Będzie trochę spokoju – westchnęła i wygodniej usadowiła się w fotelu.

Sięgnęła ręką w kierunku małego stolika do pasjansa, na którym leżało kilka przygotowanych wcześniej numerów „Robotnika”. Wysunęła ze stosiku jeden i sprawdziwszy nagłówek i datę wydania, podała go Karolinie.

– W końcu po naszym ślubie powstał w Wilnie – już bez udziału Wojciechowskiego – ostatni, trzydziesty drugi numer „Robotnika” i po konsultacjach z władzami PPS-u mój mąż postanowił, że ze względu na utrudniony kolportaż gazety musimy przenieść drukarnię do innego miasta, bliżej Warszawy.

Z Wilna było zbyt daleko, żeby sprawnie rozwozić „Robotnika” po całym rosyjskim zaborze, jak też za jego granice. Poza tym ja byłam w tym mieście osobą dosyć znaną i wobec tego praca konspiracyjna stawała się tam zbyt ryzykowna. Nie chcieliśmy narażać mamy i Wandzi, przyszedł więc czas, by wynieść się z Wilna.

Ze względu na konieczność rozłąki z córką nie była to dla mnie łatwa decyzja, ale kiedy zgodziłam się zostać żoną Józefa, zdawałam sobie sprawę, że odtąd nic już nie będzie łatwe.

Wanda musiała chodzić do szkoły, bezpiecznie więc było zostawić ją z matką, ja zaś nie zamierzałam rozstawać się z nowo poślubionym mężem. Wydawało mi się to całkiem naturalne i słuszne, jednak rozstanie z dzieckiem okazało się trudniejsze, niż mi się początkowo zdawało.

Józef czas jakiś szukał miejsca, gdzie moglibyśmy bezpiecznie ukryć się z drukarnią i naszą miłością. Wybór padł na Łódź, robotnicze miasto oddalone tylko o sto kilometrów od Warszawy.

Miasto to ze względu na swoją wielkość i położenie idealnie nadawało się do pracy konspiracyjnej. W tłumie łatwiej było schować się niż na prowincji, a bliskość Warszawy pozwalała sprawnie kolportować „Robotnika”.

Wszystko to wtedy było bardzo ważne i fakt, że przenosimy się do miejsca, które nie jest ani znane nam, ani bliskie, nie miał dla nas najmniejszego znaczenia.

Zaczął się całkiem nowy etap w moim życiu.

– Nie bała się pani? – zapytała Karolina, przyglądając się Marii z niedowierzaniem.

Piłsudka popatrzyła na Karolinę i roześmiała się cicho.

– Taki miódowy miesiąc nie zdarza się każdej kobiecie, bo nie każda kobieta wychodzi za mąż za Piłsudskiego...

Wyjeżdżałam w nieznaną, ale miałam przy sobie kochanego człowieka, i to było najważniejsze. Martwiło mnie, że zostawiam w Wilnie Wandeczkę, ale uznaliśmy, że nie możemy jej narażać, a nasze życie

bynajmniej nie miało być spokojne. Teraz inaczej na to patrzę, ale wówczas w jakiś sposób byłam szczęśliwa, poza tym dumna, że nareszcie w pełni uczestniczę w prawdziwej robocie. Józef opowiadał mi o swoich planach i w tamtym czasie o wszystkim mnie informował. W każdym razie tak mi się zdawało i napawało mnie to dumą i pewnością siebie. Mój mąż podejmował wszystkie ważne decyzje, ale ja miałam w tym swój udział i z takim poczuciem było mi bardzo dobrze.

To, co robiliśmy dla organizacji, było ciężką i niebezpieczną pracą, która nadawała sens naszemu życiu i która obok miłości stała się ważnym spoiwem związku.

U boku Józefa czułam się ważna i gdy wtedy zastanawiałam się nad słusznością podjętej decyzji, dochodziłam do wniosku, że z Dmowskim mogłoby tak nie być. Jego zdaniem kobiety nie powinny mieszać się do konspiracji.

Spierałam się z nim o to nie raz, i to całkiem zajadle, ale on w swych poglądach był nieugięty. Kiedyś nawet powiedział, że gdy kobiety konspirują, sznycle są mniej smaczne. Tego naprawdę i dla mnie było za wiele.

Nie powiedział tego do mnie, ale takie stwierdzenie poruszyło mnie i oburzyło bardzo mocno. Ja chciałam działać, pracować, narażać się nawet i chociaż teraz patrzę na to wszystko z uśmiechem, wtedy gotowa byłam walczyć z każdym napotkanym żandarmem i całą carską armią. Walczyłabym o wolną Polskę, własne przekonania, a przede wszystkim o przekonania mojego męża...

W Wilnie zaraz po ślubie byłam najzupełniej pewna, że Dmowski absolutnie nie ma racji, ale później, gdy moja córka przedwcześnie odeszła, spojrzałam na swoje ówczesne zaangażowanie trochę inaczej... Żal mi było tych lat, gdy mnie przy niej nie było...

Piłsudka westchnęła głęboko i zamyśliła się nad czymś, ale nie trwało to długo. Spojrzała na Karolinę i powiedziała:

– Kiedy po raz drugi wychodziłam za mąż, cała bliższa i dalsza rodzina przyglądała się temu z niepokojem. Wszyscy lubili Józefa, ale zdawali sobie sprawę z tego, że my dwoje razem nie będziemy wieść spokojnego życia przykładowej mieszczańskiej rodziny. Dla stryja, sióstr i ciotek nie było tajemnicą, czym zajmuje się mój mąż, i nikt znający mnie wcześniej nie miał złudzeń, że powstrzymam się od działania i nie będę mu pomagać.

Wszyscy jednak nalegali stanowczo, abyśmy przypadkiem nie narazili mojej córki na niebezpieczeństwo i niepotrzebne zdenerwowanie.

Bardzo poważnie rozważaliśmy z Ziukiem tę kwestię, bo nie sposób było nie przyznać im racji, a nieprzyjemne doświadczenia związane z warszawskim aresztowaniem skłaniały mnie do tego, by ich posłuchać. Nie mogłam pozostać w Wilnie. Musiałam dbać o swoje małżeństwo, by nie okazało się pomyłką, jak to pierwsze. Bardzo kochałam Józefa i dla niego gotowa byłam przewozić nie tylko bibułę czy kolejne numery „Robotnika”; gdyby wtedy była taka potrzeba, przewiozłabym nawet armatę.

Wanda rosła więc sobie spokojnie w domu mojej mamy, a ja wyjechałam do obcego miasta, zabierając ze sobą kilka kuferków skromnej wyprawy i starą maszynę drukarską, która na jakiś czas miała stać się treścią naszego życia.

Łódź i „Robotnik”

Zanim spakowaliśmy walizki, Ziuk kilkakrotnie jeździł do Łodzi, żeby rozeznąć się w sytuacji i znaleźć odpowiednie dla nas lokum. Mieszkanie, na które w końcu się zdecydowaliśmy, zostało wybrane głównie ze względu na potrzeby tajnej drukarni, a mój mąż obejrzał kilkanaście przeznaczonych na wynajem lokali, zanim wreszcie zdecydował się pokazać mi niektóre z nich.

Od początku wiadome było, że w naszym domu, oprócz normalnego życia, toczyć się będzie bardzo poważna praca konspiracyjna. Okazało się jednak, że stało się na odwrót – główny nurt wszelkiej naszej działalności stanowiło wszystko to, co wiązało się z wydawaniem „Robotnika” i przygotowywaniem zaplecza do produkcji podrabianych dokumentów.

Przez pół roku Józef zgromadził całkiem pokaźny zasób „wyprodukowanych” urzędowych pieczęci, wzory paszportów i papierów meldunkowych, które wspólnie z pomagającym mu Kazimierzem Roźnowskim zamierzali przygotowywać dla osób zagrożonych aresztowaniem.

Ich praca trwała po kilkanaście godzin dziennie i z konieczności podzielona była na etapy ściśle związane z rytmem życia kamienicy na ulicy Wschodniej 19.

Musieliśmy uważać, by nie wzbudzać niczyich podejrzeń i aby szum maszyny drukarskiej nie spowodował przypadkiem na nas nieszczęścia.

W kamienicy zameldowaliśmy się jako małżeństwo Dąbrowskich, a mój mąż przedstawił się sąsiadom jako prawnik, głównie po to, by nikomu nie wydawały się podejrzane wizyty odwiedzających nas często różnych osób.

Nowo wybudowany dom przy ulicy Wschodniej spodobał mi się od razu, a czteropokojowe mieszkanie z dwoma osobnymi wejściami, łazienką

i ubikacją całkowicie spełniało nasze oczekiwania.

Jedną z kolporterek „Robotnika”, Marysia Rogowska, która bywała u nas wtedy bardzo częstym gościem, poleciła mi do pomocy w domu młodszą dziewczynę – Józję Pilarską.

Józia sprzątała, gotowała i robiła zakupy, a jej obecność w mieszkaniu wydawała nam się konieczna, gdyż w naszej sytuacji nieposiadanie służącej mogłoby sąsiadom wydawać się podejrzane.

Wokół nas zawsze pełno było donosicieli i z ich aktywnością musieliśmy się liczyć. Kilkunastoletnia Józia nie miała wprawdzie doświadczenia w pracach domowych, ale też nie było to wówczas niezbędne. Jej młody wiek, brak doświadczenia i, prawdę mówiąc, nieokrzesanie dawały nam poczucie bezpieczeństwa. Sama uczyłam Józję prac domowych i przez czas, kiedy przebywała u nas, pilnowałam, by nie weszła tam, gdzie wejść nie powinna.

Trzy z czterech pokoi mieszkania przeznaczone były na nasze potrzeby, a jeden, ostatni, duży pokój z balkonem nazywany gabinetem, krył w sobie maszynę drukarską Bostonka, kaszty z czcionkami oraz wszystkie materiały potrzebne do produkcji pisma.

Rozplanowanie mieszkania było dobre i jego układ całkowicie odpowiadał naszym potrzebom. Ziuk początkowo obawiał się mieszkać na pierwszym piętrze z tego powodu, że w znajdującym się na parterze lokalu mogło być słycać szum maszyny. Na szczęście jednak zajmujący go starsi ludzie cierpieli widać na osłabienie słuchu, a może celowo udawali, że nic nie słyszą, bo czasem przecież wygodniej jest czegoś nie zauważyć, niż wiedzieć zbyt dużo. Słyszeli czy nie, ważne jest, że z ich strony nic nam nie zagrażało. Przez te kilka miesięcy, jakie od października 1899 roku spędziliśmy w tym mieszkaniu, żadnych niepokojących uwag ze strony sąsiadów nie dane nam było usłyszeć.

Podobało mi się na Wschodniej 19 i podobało mi się w Łodzi. Nie dlatego, że miasto jest jakoś szczególnie urokliwe. Szare, smutne ulice z ponurymi, często obdrapanymi kamienicami nie mogły w moich myślach konkurować z położonym na wzgórzach jasnym Wilnem, pełnym wspaniałych kościołów i urokliwych zakątków, jednakże to, że mieszkałam tam z ukochanym człowiekiem, który na moich oczach tworzył historię, było dla mnie tak istotne, że niezbyt piękny krajobraz za oknem nie miał dla mnie najmniejszego znaczenia.

Wprawdzie nie mieliśmy miodowego miesiąca, ale czas spędzany z Józefem był dla mnie bardzo ważny i wydawało mi się, że ciężko pracując z ukochanym mężem, daję mu największy i najdoskonalszy dowód mej miłości.

Drukarnia „Robotnika”, czyli gabinet Ziuka, mieściła się w pokoju, do którego wchodziło się z saloniku. Przez większą część dnia mąż pisał tam artykuły, redagował cudze teksty i prowadził partyjną korespondencję.

W tym czasie służąca robiła zakupy, pomagała mi w przygotowaniu obiadu i sprzątała mieszkanie, co jednak zawsze odbywało się pod moim nadzorem.

Maszynę drukarską Ziuk wraz z zecerem Kaziem Roźnowskim uruchamiali po wyjściu Józia, a po skończonej pracy mąż za każdym razem wstawiał drukarkę do zamykanej na klucz szafki.

Dziewczyna w ciągu dnia pracowała więc dosyć krótko, z czego, rzecz jasna, była zadowolona.

Początkowo nie wydawała nam się zbyt rozgarnięta i miało to dla nas wielkie znaczenie. Pomoc domowa, której potrzebowaliśmy, miała zajmować się tylko tym, co jej zlecono, i jedynie w ściśle określonym zakresie. Niezbyt ładna twarz i dosyć bezmyślne spojrzenie, jakie charakteryzowało naszą Józję, a także protekcja Marysi Rogowskiej były więc dla mnie dostateczną gwarancją.

Od początku ustaliliśmy z dziewczyną reguły obowiązujące w naszym domu. Stanowczy ton Józefa na tyle przestraszył Józję, że już po kilku pierwszych zdaniach rozpląkała się rzewnymi łzami i uciekła do kuchni. Ziuk popatrzył na mnie bezradnie i machnąwszy ręką, skrył się w swoim gabinecie, a ja poszłam za panną, żeby ją uspokoić. Żal mi się zrobiło dziewczyny i zdecydowałam, że od tej pory sama będę się z nią komunikować. Młody wiek i sytuacja ekonomiczna jej rodziny powodowały, że bała się tę pracę stracić, ale też wobec surowej miny i wymagań Józefa bała się ją nawet wykonywać.

Kiedy znalazłam się w kuchni, pogłaskałam płaczącą dziewczynę i spokojnie wyjaśniłam, czego od niej oczekujemy. Jeszcze długo potem omijała mojego męża i zwykle pospiesznie opuszczała pomieszczenie, w którym on przebywał. Miało to zresztą i dobre strony, bo choć w tamtych czasach Józef nie lubił uchodzić za satrapę, to jednak lęk służącej gwarantował nam dodatkowe bezpieczeństwo.

Józia miała zakaz wchodzenia do gabinetu, a kiedy sprzątała w salonie, chodziłam za nią niemal krok w krok. Kiedy była w mieszkaniu, nie spuszczałam jej z oka i nawet gdy mąż mój jeździł do Warszawy albo gdzieś indziej w interesach, nie ruszałam się z mieszkania, chociaż drzwi jego gabinetu zamykane były na klucz.

Kiedy Ziuk przyjmował kogoś u siebie albo gdy w gabinecie przebywali razem z zecerem Kazimierzem Roźnowskim, dziewczyna siedziała w kuchni, ale gdy czasem z jakiegoś powodu zbliżała się do drzwi łączących salon z drukarnią, intonowałam umówioną piosenkę, która była dla męża sygnałem zbliżającego się niebezpieczeństwa.

Józia nigdy nie sprzątała w gabinecie, a kiedy pan domu przebywał tam z Roźnowskim, którego przy służącej nazywałam „sekretarzem”, wynajdywałam jej zajęcia w innej części mieszkania.

Wszystko więc układało się pomyślnie, a ja w okolicach Bożego Narodzenia zatęskniłam za dzieckiem i zaczęłam myśleć o zabraniu Wandeczki do Łodzi.

Moje plany okazały się jednak przedwczesne. Józef lubił Wandzię i moja córka nigdy mu nie przeszkadzała. Z upływem lat przywiązywał się do niej coraz mocniej, ale w tamtym czasie wyraźnie odwlekał moment jej przybycia. Zresztą niewiele doświadczyliśmy tego wspólnego szczęścia, bo już w lutym następnego roku aresztowano nas oboje. Wtedy cieszyłam się, że pomimo ciągłej tęsknoty za Wandzią nie miałam jej przy sobie.

Maria westchnęła i z rozłożonej na stoliku obok fotela sterty papierów i dokumentów wyjęła jakiś fragment gazety.

Karolina pospiesznie przeczytała krótki tekst, z którego wynikało, że carskie służby zlikwidowały w Łodzi tajną drukarnię.

– Z konspiracyjną robotą wpadliśmy dosyć przypadkowo, gdyż do tej pory postępowaliśmy bardzo rozważnie i sami nie doprowadzilibyśmy do wpadki – kontynuowała Piłsudska po krótkiej przerwie. – Regularne ukazywanie się „Robotnika”, który miał już stałą, wyczekującą każdego numeru grupę odbiorców, bardzo denerwowało zaborców, szukających drukarni w różnych miastach. W końcu, dzięki działalności siatki agentów obserwujących kolportaż pisma, znacznie nasilono kontrole w Warszawie i Łodzi.

Nieskuteczność działań policji na terenie zaboru powodowała niezadowolenie zwierzchników w Petersburgu.

Atmosfera stawała się coraz trudniejsza, a nacisk wywierany na miejscową żandarmerię powodował, że aktywność w poszukiwaniu siedziby drukarni wzrosła kilkakrotnie. Do tego celu zatrudniono podobno całą siatkę donosicieli, angażując też w akcję luksusowe kokoty w Warszawie.

Żyliśmy w ciągłym napięciu, ale to nam nie przeszkadzało dalej pracować i kolportować. Każdy nowy egzemplarz ręcznie drukowanej gazety sprawiał nam olbrzymią radość, a sposób działania w łódzkiej kamienicy opracowaliśmy niemal do perfekcji.

Gdyby nie głupi przypadek, mój mąż wydawałby „Robotnika” pewnie jeszcze bardzo długo, ale los widać miał inne plany i nadchodził kres naszej łódzkiej przygody.

Wspólnie z Roźnowskim wydrukowali kolejne dwa numery i przez zaufanych ludzi rozproszili je w kilku miastach, a nawet na prowincji. Na naszej bostonce powstawało w Łodzi około 1800 egzemplarzy pisma, które następnie zaufane osoby odbierały i rozwoziły do różnych miast. Papierowe ścinki paliłam wieczorami w piecach, tak że rano, kiedy w mieszkaniu pojawiała się Józia, niczego już nie było poza gabinetem. Bardzo uważaliśmy na każdy szczegół i dlatego przez kilka miesięcy udało nam się utrzymać wszystko w konspiracji.

Nie wiem, czy dziewczyna zorientowała się w końcu, że w naszym mieszkaniu nie wszystko dzieje się tak jak u innych, ale jeśli nawet tak było, nie dała po sobie nic poznać. Albo do końca była niczego nieświadoma, albo tak dobrze udawała głupią.

To jednak, że nie była całkiem pozbawiona pomysłu, okazało się już wkrótce, gdy podczas wtargnięcia żandarmów na moje polecenie Józia wymknęła się kuchennymi schodami i pobięła ostrzec Roźnowskiego.

Żandarmi wkroczyli do naszego mieszkania w nocy z 21 na 22 lutego 1900 roku, a sprowadził ich niechcący znajomy i współpracownik Ziuka z PPS-u Aleksander Malinowski. Człowiek ten zupełnie nie zdawał sobie sprawy z tego, że prawie od dworca aż do naszego domu był śledzony przez tajnego agenta.

Zanim pojawił się w naszym mieszkaniu na Wschodniej, na polecenie Ziuka kupił w sklepie Tybera na rogu Piotrkowskiej i Zielonej spory zapas papieru. Zakup ten zwrócił uwagę kręcącego się tam szpicla, który przyczepił się do Malinowskiego i postanowił go śledzić.

W bardzo krótkim czasie zorientował się, do którego mieszkania Aleksander zaniósł swój pakunek.

Malinowskiego aresztowano o północy na dworcu kolejowym w Łodzi, gdy po skończonej wizycie chciał opuścić miasto. Do nas żandarmi zapukali o trzeciej nad ranem, krótko po tym, jak zmęczeni położyliśmy się wreszcie spać.

Tego dnia na swoje nieszczęście nocowała u nas Marysia Rogowska, więc i ona wpadła w łapy żandarmów.

Od świtu starałam się nie opuszczać kuchni, by o tym, co się stało, w jakiś sposób powiadomić wchodzącą kuchennymi drzwiami służącą.

Dzięki przytomności mojego umysłu i działaniom Józi uratował się Roźnowski i jeszcze kilka osób, które przechowywały u siebie wydrukowane egzemplarze „Robotnika” i innych kolportowanych w Łodzi czasopism.

Kiedy żandarmi przeglądali zawartość biurka, skrzyni i szafki w gabinecie Ziuka, nie potrzebowali już żadnych dowodów na to, czym tak naprawdę zajmował się „advokat” Dąbrowski.

Nazwisko, jakie przybraliśmy, meldując się na Wschodniej, początkowo figurowało w aktach naszej sprawy i nikt nie łączył adwokata Dąbrowskiego z poszukiwanym od dawna towarzyszem Wiktozem. Dopiero później, w Warszawie, carscy urzędnicy zorientowali się, kogo naprawdę udało im się zatrzymać. Mając w więzieniu nas i Malinowskiego, po wykonaniu sądowej ekspertyzy ze zdumieniem zauważyli, że dokumenty obojga Dąbrowskich wypisane są ręką Malinowskiego, a pieczęcie figurujące w naszych paszportach dziwnym zbiegiem okoliczności do złudzenia przypominają te, które znaleziono w biurku Ziuka.

Tak zakończyła się nasza pierwsza wspólna przygoda.

Opakowaną i opieczętowaną starą maszynę drukarską Boston od razu wyniesiono z mieszkania, a całą resztę „dowodów rzeczowych” zapakowali do tekturowych pudeł przysłani do mieszkania młodzi żandarmi.

Kiedy mój mąż ze smutkiem przyglądał się, jak zabierają jego bostonkę, miałam wrażenie, że w jego oczach zaszklily się łzy. Zrozumiałam, że pierwszy etap naszego małżeństwa właśnie się zakończył. Miesiące, które spędziliśmy w Łodzi, były więc już historią.

Później na kanwie naszej sprawy z drukarnią Gustaw Daniłowski napisał powieść, tytułując ją *Z minionych dni*. Głównym bohaterem powieści jest

Wiktor, czyli postać nosząca jako imię pseudonim konspiracyjny Ziuka. Wcześniej dobrze znałam Daniłowskiego, ale o moim ślubie z Piłsudskim wiedziało niewiele osób i Gustaw widocznie nie został przez nikogo o nim poinformowany. Kiedy więc opisywał losy swojego Wiktora, miał duży problem ze stworzeniem postaci jego małżonki, toteż wymyślił jakąś łzawą Marynię, która w żaden sposób nie była do mnie podobna. W odróżnieniu od męża ominęła mnie więc niepowtarzalna szansa, by stać się bohaterką powieści, czego, rzecz jasna, trochę żałowałam...

Maria roześmiała się, wstała i podeszła do kredensu. Otworzyła oszkloną szafkę, w której na jednej z półek stały książki. Wyjęła jedną z nich i położyła na stole przed Karoliną. Była to powieść Daniłowskiego *Z minionych dni*.

– Egzemplarz z dedykacją dla mego męża znikł już jakiś czas temu, więc w antykwariacie kupiłam sobie drugi. Przecież to pamiątka... – powiedziała pani Maria i usiadła w fotelu. Przez chwilę przyglądała się Karolinie przerzucającej strony powieści, po czym odezwała się znowu:

– Józefa wyprowadzono o świcie, a ja, nie wychodząc z mieszkania, zdążyłam załatwić kilka najpilniejszych spraw.

Dzięki służącej Kazio Roźnowski, uciekając do Wilna, zdołał jeszcze zatrzymać Sulkiwicza, który właśnie wybierał się do Łodzi.

Nie doczekałam już powrotu Józki do mieszkania i nawet nie wiem, czy kiedykolwiek do niego wróciła, bo razem z Marysią Rogowską zostałyśmy zabrane do aresztu.

Nigdy potem nie spotkałam już tej dziewczyny.

Roźnowski też wpadł, już kilka dni później w Wilnie, ale w tym absolutnie nie było naszej winy. Chociaż zatrzymano go z fałszywymi dokumentami, wkrótce jednak rewizja przeprowadzona w wileńskim mieszkaniu Kazimierza spowodowała, że zarówno tożsamość Roźnowskiego, jak i jego konspiracyjna działalność stały się całkowicie jasne. Carscy mieli już więc redaktora i zecera łódzkiej drukarni w swoich łapach.

Aleksander Malinowski doczekał wyroku i po trzydziestu miesiącach więzienia śledczego został skazany na zesłanie do Syberii Wschodniej, ale w drodze udało mu się zbiec i dzięki temu uniknął zsyłki.

Roźnowski nie miał tyle szczęścia i za pracę przy drukowaniu „Robotnika” został skazany na sześć lat i wywieziony w głąb Rosji. My

oboje zaczęliśmy ratować się jakoś z ciężkiej opresji.

Piłsudska zmarszczyła brwi, chwyciła się obiema rękami za poręcze fotela i dosyć gwałtownym ruchem podniosła się z miejsca.

– Chodźmy do kuchni! – zakomenderowała rażno. – Ten mój kochany harpagon zostawił nam pewnie na piecu jeszcze coś do jedzenia.

Rzeczywiście kuchenny stół zastawiony był nakryciami dla dwóch osób, a z płaskiego garnka stojącego na piecu dolatywał słodko-waniliowy zapach.

Piłsudska gestem wskazała Karolinie krzesło, sama zaś zakrzętnęła się przy kuchni. Przyszykowała herbatę i przełożyła leguminę na półmisek, który następnie przeniosła na stół.

– Następnym razem przygotujemy coś innego, bo jeszcze panna pomyślisz, że w tym domu jada się tylko leguminę – powiedziała.

– Ale ja bardzo lubię to danie – odezwała się Karolina z entuzjazmem.

Maria machnęła ręką i uśmiechnęła się szeroko.

– Ja też je bardzo lubię, ale lubię też inne dania, które przyjemnie mi będzie spożywać w pani towarzystwie.

Przez chwilę jadły w milczeniu. Maria nałożyła sobie niewielką porcję, ale inaczej niż poprzednim razem zjadła wszystko z wyraźnym apetytem. Karolina zauważyła, że tego dnia sąsiadka wygląda dobrze i prawdopodobnie dużo lepiej się czuje. Widocznie jej słabe serce funkcjonowało raz gorzej, raz lepiej, w zależności od pogody.

Kiedy Maria skończyła jedzenie, delikatnie odsunęła talerz i powróciła do swojej opowieści.

Znowu w więzieniu

W łódzkim więzieniu jedzenie dawali okropne, ale poza tym nie było tam bardzo źle. Wprawdzie warunki socjalne były dużo gorsze niż te, w jakich przyszło nam przebywać w Cytadeli, ale w Łodzi podczas spaceru udało mi się kilka razy spotkać z mężem, co w Warszawie nie było już możliwe.

Szesnastego kwietnia przewieziono Marysię Rogowską i mnie do warszawskiej Cytadeli, a Ziuk z Malinowskim przyjechali dzień później. Znalazłam się tam już po raz drugi, jednak tym razem byłam dużo starsza niż poprzednio i bardziej bałam się o to, co może się ze mną stać.

Z upływem lat stopniowo opuszczała mnie młodzięcza fantazja, a fakt, że aresztowanie i przyszły proces oddalały mnie znacznie od dziecka, spowodował, że chwilami dopadało mnie uczucie ogromnego strachu, a nawet paniki. Pomimo to trzymałam się dzielnie i podczas przesłuchań starałam się nie okazywać uczuć, jakie mną wówczas targały.

Wszyscy trafiliśmy do dziesiątego pawilonu, miejsca znanego polskim konspiratorom. Wielu znajomych odwiedziło je przynajmniej raz w swoim życiu, a niektórzy, tak jak i ja, bywali tam częściej.

Dopiero tutaj wydało się nasze prawdziwe nazwisko, ale i wtedy oficer śledczy nie zorientował się, że towarzysz Wiktor z PPS-u i Józef Piłsudski to jedna i ta sama osoba.

Potem wszystko się wyjaśniło i, jak się okazało, miało to dla Ziuka niespodziewanie dobre konsekwencje.

W Cytadeli traktowali nas, a szczególnie mojego męża, dużo lepiej niż w Łodzi. Działo się tak pewnie dlatego, że zastępcą naczelnika, a jednocześnie intendentem więzienia był niejaki Aleksy Siedielnikow, ożeniony z Polką.

Z Siedelnikowem znała się dobrze moja dawna przyjaciółka Marysia Paszkowska, która w tym czasie na dobre już zadomowiła się w Warszawie i pracowała między innymi w Kasie Pomocy Więziennej, stowarzyszeniu pomagającym aresztowanym. Kiedy tylko Marychna dowiedziała się o naszym losie, od razu zaczęła działać i wiele zrobiła, żeby wydostać nas z Cytadeli.

Oboje z niepokojem czekaliśmy na proces, ale ci, którym zależało na naszym oswobodzeniu, nie pozostawili nas bez wsparcia. Sprawą Ziuka zajęli się towarzysze z PPS-u, a mnie jak zwykle pomogła rodzina oraz niezastąpiona Paszkowska.

W Cytadeli siedziałam „za sprawę”, a od ukochanego człowieka dzieliło mnie wiele grubych, więziennych ścian. Miałam tam jednak dużo czasu, żeby przemyśleć swoje dotychczasowe życie, a przede wszystkim tęsknić za córeczką, której nie widziałam już wiele tygodni.

Wandzia miała wówczas trzynaście lat i kiedy spotykałyśmy się przy niezbyt częstych okazjach, nieraz wydawało mi się, że bliższa jej była babcia niż własna matka. Uświadamiałam to sobie coraz częściej i czułam się z tym źle. Chciałam jakoś zmienić tę sytuację, ale na razie na nic nie mogłam mieć wpływu.

W końcu obiecałam samej sobie, że jeśli tylko uda mi się uniknąć zesłania lub długiego więzienia, zajmę się Wandeczką i stanę się wreszcie dla niej prawdziwą matką – taką, która jest, a nie taką, która wciąż znika.

X pawilon Cytadeli Warszawskiej

W dziesiątym pawilonie Cytadeli, który od początku istnienia był pawilonem więziennym, siedzieliśmy wszyscy bez żadnego ze sobą kontaktu, ale nasze zeznania wcale od siebie nie odbiegały. Strategię obrony przeciwczyliśmy niejednokrotnie, bo pracując przy drukowaniu „Robotnika”, braliśmy pod uwagę ewentualność aresztowania. Nauczeni własnym doświadczeniem i doświadczeniem wielu naszych towarzyszy, nieraz omawialiśmy to, w jaki sposób należy zachować się i co mówić w razie wpadki, a poza tym wcześniej kilkakrotnie udało nam się spotkać na więziennym dziedzińcu w Łodzi. Do odgrywania swojej roli byłam więc przygotowana przez Ziuka, który na okoliczność wpadki zarówno dla mnie, jak i dla siebie miał opracowanych kilka sposobów postępowania...

Piłsudska przerwała swoją opowieść i z pudełka, które przyniosła ze sobą do kuchni, zaczęła wyjmować stare wycinki prasowe. W końcu uważnie zlustrowała jeden z nich i upewniwszy się, że jest to wycinek, o który jej chodziło, podała go Karolinie.

– To jest prasowa notatka z wizyty Ziuka w dziesiątym pawilonie. Dwa lata temu odwiedził to miejsce i zgromadzonym tam osobom opowiadał, jak wyglądało więzienie w czasie, gdy w nim byliśmy.

Maria pociągnęła nosem i zachichotała cichutko.

– Pan Piłsudski siedział w celi sam i właściwie miał całkiem znośne bytowanie – stwierdziła, uśmiechając się do Karoliny. – Jego cela znajdowała w pobliżu gabinetu przesłuchań, a kiedy Siedelnikow zorientował się, kogo ma pod swoim nadzorem, kazał Ziukowi wstawić do celi szafę. Ja nie miałam aż tyle szczęścia, ale mój pobyt w Cytadeli był za to krótszy.

Moja cela mieściła się w innym skrzydle niż cela Ziuka. Gdyby nie mur, mąż miałby z okna widok na Wisłę, a moje okno wychodziło na dziedziniec pawilonu, gdzie więźniowie odbywali spacer. Kiedy skończyły się przesłuchania, miałam wiele czasu na myślenie, ale i na uparte tkwienie przy oknie, z którego mogłam wypatrywać męża.

Miejsce spacerów podzielone było na kwartały, codziennie spacerowali tam więźniowie nadzorowani przez uzbrojonych żandarmów. W tych warunkach o jakimkolwiek komunikowaniu się osadzonych nie mogło być mowy.

Odległość pomiędzy moim oknem a kwartałem, po którym spacerował Ziuk, była dosyć duża, ale widziałam go często i poznawałam po charakterystycznie lekko pochylonej sylwetce i dobrze mi znanym sposobie chodzenia.

Ja początkowo także siedziałam sama w celi, bo w ten sposób zazwyczaj postępowano ze wszystkimi nowo osadzonymi. Potem kilkakrotnie zmieniali mi towarzystwo, ale żadna z tych kobiet nie zapadła mi jakoś w pamięć...

Maria zamilkła i zamyśliła się, mechanicznie przekładając gazetowe wycinki. Powodowana wspomnieniami, poczuła, że powracają do niej wszystkie rozterki, jakie targały nią wtedy, kiedy tkwiła przy swoim oknie w zachodnim pawilonie i wpatrywała się w dziedziniec, po którym spacerowali więźniowie. Na dziedzińcu tym rosły cztery drzewa – trzy niewysokie grusze i kasztanowiec, które zasłaniały jej widok. Pomimo to Maria każdego dnia tkwiła przy swoim oknie, by wypatrywać ukochanego i obserwować go zawsze, ilekroć jej się to udało.

Piłsudski nie wiedział nawet, że czasem na niego patrzy, z tęsknoty i troski połykając łzy. Kiedy dłużej nie widziała Ziuka, ze strachu odchodziła od zmysłów, bojąc się, że może zachorował.

Wówczas, często zresztą bezskutecznie, dopytywała strażników o jego zdrowie, ale nie dowiedziała się od nich o mistyfikacji, na jaką mąż się zdecydował.

Chęć odzyskania wolności i zobaczenia córki walczyła w niej wtedy z lękiem o Ziuka, który, jak się Marii zdawało, potrzebował jej modlitwy i troskliwego spojrzenia, chociażby z za krat.

Wychodząc wreszcie na wolność, pozbawiała siebie jego widoku. Pewnie dlatego możliwość opuszczenia Cytadeli nie napawała Marii aż taką

radością, jaką powinna.

– Podczas przesłuchań oboje z mężem odpowiadaliśmy na pytania śledczych tak, jakbyśmy nie całkiem wiedzieli, co działo się w naszym własnym mieszkaniu – powiedziała wreszcie, odsuwając od siebie pudełko z wycinkami. – Wprawdzie uparte zaprzeczanie temu, co niepodważalne, nie miało już większego sensu, ale zawsze jeszcze warto było podjąć kolejną próbę ratowania siebie i towarzyszy.

Dzięki staraniom stryja oraz Marysi Paszkowskiej i tym razem udało mi się uniknąć procesu.

Po jedenastu miesiącach od aresztowania, pod koniec stycznia, zostałam zwolniona bez wyroku, gdyż władze carskie uznały, że „jako kobieta miałam prawo z miłości (i zwyczajowego podporządkowania) nie wiedzieć, co robię”. W ten sposób tłumaczono w tamtym czasie działalność polityczną niektórych pań aresztowanych wraz z mężami lub narzeczonymi za pracę konspiracyjną.

Tak stanowiło ówczesne prawo, o czym wiedzieliśmy już wcześniej, i adwokat, który pomagał wydostać mnie z Cytadeli, kategorycznie zażądał, żebym się tego trzymała.

Klauzula ta oczywiście niezbyt dobrze świadczyła o podejściu prawodawcy do inteligencji konspiracyjnych kobiet, ale była furtką, przez którą aresztowane mogły uciekać na wolność.

Ja również uznałam, że nie mam wyjścia i że obrażanie się na ruskie prawo byłoby pozbawione sensu. W obliczu perspektywy spędzenia długich lat w więzieniu lub na zesłaniu wytłumaczenie mojej działalności bezmyślnym zakochaniem wydawało się dużo lepsze niż uznanie przez władze mojej pełnej świadomości. Dzięki staraniom przyjaciół w tym samym czasie na wolność wyszła też Rogowska, którą uznano widocznie za równie pozbawioną rozsądku.

I tym razem, dzięki dawnym koneksjom ojca i intensywnym staraniom stryja, wyszłam na wolność, unikając procesu, po czym pojechałam do Wilna, gdzie po raz kolejny kazano mi zamieszkać.

W obecnej sytuacji nakaz ten wydał się błogosławieństwem zarówno dla mnie, jak i dla mojego dziecka. Wprawdzie z dala od Warszawy nie

mogłam doglądać starań, jakie znajomi podejmowali, aby pomóc mojemu mężowi, ale ufałam im i nie miałam powodu nie wierzyć, że zrobią wszystko, by wydostać Ziuka z Cytadeli.

Paszowska obiecała dopilnować tego i zrobić, co się da, by ratować Józefa, ale jego sprawy niestety wyglądały dużo gorzej niż moje. Śledczy, szczęśliwi z powodu unieruchomienia naszej drukarni, postanowili przypisać Józefowi nie tylko jego własne występki, ale też obarczyć go odpowiedzialnością za inne jeszcze czyny, z którymi zupełnie nie miał nic wspólnego.

W oczach policyjnych zwierzchników mogłoby to znacznie podnieść notowania tych, którzy doprowadzili do naszego aresztowania. Piłsudski, jako członek władz PPS-u, znany był już carskim urzędnikom, dlatego też dodanie do długiej listy kilku dodatkowych zarzutów nikomu nie wydawało się niemożliwe.

Podczas przesłuchań Ziuk udawał, że nie zna odbiorców drukowanego u nas „Robotnika”, i cały czas uparcie twierdził, że poznał jedynie pseudonimy osób, z którymi kontaktował się w Warszawie. Stanowczo zaprzeczał też swej przynależności do jakiegokolwiek partii i starał się zachowywać tak, jakby był jedynie trybikiem w maszynie, której rozmiarów nie znał i nie rozumiał.

Krótko mówiąc, linią obrony mojego męża było odgrywanie głuptasa albo człowieka pomyłonego, który tylko przypadkiem znalazł się w środku całkowicie nieznanego mu maszyny. Zgodne to było z pewnym pomysłem, jaki podsunęto Ziukowi wkrótce po zamknięciu go w Cytadeli.

W tym miejscu Maria przerwała swą opowieść, podniosła się i nalała herbaty do obu pustych już szklanek, po czym znów zajęła miejsce za stołem i oparłszy łokcie o jego blat, kontynuowała rozpoczęty wątek:

– Jeden z zatrudnionych w dziesiątym pawilonie strażników przynosił Ziukowi grypsy od przyjaciół, którzy kontaktowali się z lekarzem psychiatrą Rafałem Radziwiłłowiczem.

Radziwiłłowicz, szwagier Stefana Żeromskiego, sprzyjał naszej pracy i dzięki protekcji kilku osób mocno zaangażował się w pomoc Piłsudskiemu.

W szmuglowanych grypsach Ziuk otrzymał sugestię symulowania choroby psychicznej i wskazówki, jak powinien się zachowywać, by wyglądało to wiarygodnie. Chodziło o to, żeby wydostać go z więzienia

pod pozorem przewiezienia na badania psychiatryczne, niezbędne do uzyskania diagnozy.

W tej sprawie niezwykle pomocny okazał się Siedelnikow, dzięki któremu „konsultacje” psychiatryczne Ziuka odbywały się prawie bez przeszkód.

Początkowo „choroba” Ziuka nie robiła na nikim wrażenia, ale w końcu uparte trwanie przy udawaniu jej objawów dało oczekiwane efekty. Józef schudł bardzo, bo od dłuższego czasu odmawiał przyjmowania posiłków. Kiedy więc wreszcie jego wygląd zaniepokoił więzienny personel, mąż mój doczekał się prawdziwej lekarskiej konsultacji.

I znów dzięki pomysłowi niezastąpionej Paszkowskiej udało się ściągnąć do Cytadeli dyrektora wojskowego szpitala psychiatrycznego imienia Jana Bożego w Warszawie.

Po spotkaniu w cztery oczy doktor Iwan Sabasznikow nie miał wątpliwości, z jak bardzo „chorym” pacjentem ma do czynienia. W czasie długiej rozmowy Piłsudski opisywał mu uroki Syberii, czym zjednał sobie sympatię starego lekarza. Ten podczas rozmowy niedwuznacznie dał do zrozumienia Ziukowi, że uważa go za symulanta. W papierach jednak napisał całkiem inaczej i wydał oczekiwaną przez wszystkich decyzję o konieczności umieszczenia pacjenta w placówce specjalistycznej do dalszej obserwacji.

Piętnastego grudnia 1890 roku przewieziono Józefa do szpitala psychiatrycznego Mikołaja Cudotwórcy w Petersburgu.

Pobyt w tym szpitalu nie należał do najprzyjemniejszych. Ziuk mieszkał w sali z pięćdziesięcioma chorymi psychicznie mężczyznami.

Zachowanie pacjentów, jak również działania personelu szpitala odbiły się mocno na samopoczuciu mojego męża, niemniej jednak to właśnie stamtąd udało się go w końcu wyciągnąć na wolność.

Odbyło się to dzięki doktorowi Władysławowi Mazurkiewiczowi, członkowi petersburskiego PPS-u. Ten młody polski lekarz chorób skóry zatrudnił się w szpitalu Mikołaja i przy pomocy niezastąpionego Sulkiwicza zorganizował skuteczną ucieczkę Józefa.

Mazurkiewicz od początku wiedział, kim jest Piłsudski, i to dzięki jego staraniom uwolnienie Ziuka z nieprzyjemnej sytuacji stało się tylko kwestią czasu. Najpierw jednak odbywający staż doktor musiał zorientować się w sytuacji i opracować skuteczny plan wyprowadzenia „chorego” więźnia.

Piłsudski w dalszym ciągu symulował chorobę psychiczną, a Mazurkiewicz pomagał mu w tym, informując poufnie, jak powinien się zachowywać, żeby nie wzbudzić podejrzeń personelu.

Ponure okoliczności, w jakich przyszło Ziukowi przebywać przez kilka miesięcy, nie mogły pozostać bez wpływu na jego samopoczucie, ale nadzieja na uwolnienie i zaufanie, jakim obdarzył polskiego lekarza, pozwalały mu zachować resztki równowagi.

Z dawnych opowieści mojego ojca znałam trochę działalność niektórych medyków i wiedziałam, że wielu lekarzy obu narodowości pomagało zarówno rosyjskim, jak i polskim konspiratorom. Przymykali oko na dziwne objawy i wpisywali w historii choroby rozpoznania, które z rzeczywistym stanem pacjentów nie miały wiele wspólnego.

Ojciec wiedział to dobrze, bo sam też tak robił, a poza tym doskonale znał środowiska lekarskie, i to nie tylko w Wilnie. Konstanty Koplewski miał bliskich przyjaciół wśród polskich i rosyjskich medyków w Warszawie, w Petersburgu oraz kilku innych miastach.

W tamtym czasie dla wykształconych Rosjan wspomaganie rewolucjonistów było przejawem nowoczesnego, postępowego myślenia i pewnie dlatego przedstawiciele inteligencji niejednokrotnie narażali się dla obcych ludzi.

Tak samo postępowali i polscy inteligenci, choć dla nich pomaganie konspiratorom miało nieco inne znaczenie.

Maria westchnęła głęboko i w zadumie pokiwała głową. Zmarszczyła brwi i ręką wspartą na stole przez moment pocierała nos. Znów kilka razy kiwnęła głową, jakby właśnie odpowiadała sobie na wcześniej zadane w myślach pytanie. W końcu zastygła w bezruchu i przez dłuższą chwilę nie odzywała się ani nie poruszała.

Karolina siedziała, nic nie mówiąc, aż w końcu zaczęła się zastanawiać, co powinna zrobić. Było już całkiem późno, jednak następnego dnia była niedziela i dziewczyna nie musiała iść do pracy. Historia pani Marii wydawała jej się na tyle ciekawa, że nie chciałyby jej przerywać.

Do tej pory opowieść Piłsudskiej płynęła wartko i Karolina bardzo starała się dokładnie notować w swoim niebieskim kajeciku wszystko, co usłyszała. Nie wiedziała, kiedy znów zdarzy się wieczór, który będzie mogła bez reszty przeznaczyć na rozmowę z sąsiadką, toteż postanowiła w pełni wykorzystać poświęcony jej przez Marię czas.

Chociaż spędziły już razem kilka godzin, Piłsudska wcale nie wydawała się być zmęczona obecnością gościa i pomimo późnej pory w żaden sposób jeszcze nie dała Karolinie odczuć, że pragnęłaby się położyć. Tego dnia miała jeszcze widać dużo do powiedzenia.

W końcu Maria ocknęła się z zamyślenia i dość niespodziewanie podniosła się z krzesła.

Zrobiła to jednak zbyt gwałtownie i nagle zachwiała się, jakby zakręciło jej się w głowie. Karolina z niepokojem spojrzała na Marię, która potrząsnęła tylko głową, chcąc w ten sposób powstrzymać dziewczynę. Przez moment stała, zaciskając dłonie na blacie stołu, próbując w ten sposób utrzymać równowagę. Trwało to jednak krótko i w chwilę później Piłsudska odsunęła swoje krzesło i z lekkim westchnieniem ruszyła w kierunku drzwi.

Widać było, że jej samopoczucie nadal jest dobre. Zarówno w geście, jakim zaprosiła Karolinę do opuszczenia kuchni, jak i w sprężystości kroków Piłsudskiej ujawniła się niezwykła u niej energia.

Kiedy na powrót znalazły się w salonie, każda z kobiet zajęła swoje miejsce i po krótkiej chwili milczenia Maria wróciła do przerwanej wątku:

– W szpitalu w Petersburgu jedni pomagali Ziukowi, inni udawali, że niczego nie widzą, jeszcze inni, a takich była większość, naprawdę nic nie widzieli.

W końcu 14 maja 1901 roku udało się doktorowi Mazurkiewiczowi zorganizować ucieczkę Józefa i po opuszczeniu szpitala ulokować go na krótko w umówionym wcześniej mieszkaniu państwa Żukowskich. Pani Żukowska spokrewniona była z Piłsudskimi poprzez swoją matkę, tak zresztą jak i z rodziną Stasia Witkiewicza, u którego bywaliśmy w Zakopanem. Pan Żukowski był delegatem do Dumy, będącej wówczas odpowiednikiem polskiego sejmu, i przewodniczył w niej Kołu Polskiemu. Z tej racji spotykał się często w Petersburgu z Romanem Dmowskim, z którym był nawet zaprzyjaźniony i którego Żukowscy gościli czasem u siebie w domu.

Kiedy Józef pojawił się u nich, Romana w Petersburgu nie było. To oczywiście był bardzo szczęśliwy zbieg okoliczności, gdyż w tamtym czasie ewentualne spotkanie Romana z Ziukiem z różnych względów było niepożądane.

W gościnnym domu Żukowskich mój mąż czekał więc, dosyć zresztą krótko, na kolejny transport, tym razem do Tallina.

Cała akcja nie poszła całkiem zgodnie z planem, gdyż pewne nieprzewidziane utrudnienia uniemożliwiły spotkanie obu mężczyzn z umówionymi wcześniej pomocnikami, którzy mieli na nich czekać przed szpitalem w wynajętych dorożkach.

Sulkiewicza i Demidowicza-Demickiego spotkali nieco później i wtedy już organizacja dalszych etapów ucieczki Piłsudskiego należała do tych mężczyzn.

Doktor Mazurkiewicz postanowił również uciekać z Petersburga, gdyż po tym, co zrobił, nie mógłby już dłużej tam pozostać.

Maria zamyśliła się, a z jej twarzy znikł uśmiech, ustępując miejsca wyrazowi skupienia. Pionowa zmarszczka pomiędzy brwiami wskazywała zaś na to, że kobieta intensywnie się nad czymś zastanawia.

– Niedawno słyszałam od kogoś, że córka Żukowskich, panna Jadwiga, zaręczona jest z Sosnkowskim, którego, rzecz jasna, poznała przez Józefa.

Ziuk był już przypadkowym swatem i zawsze w takich razach bardzo się cieszył, że w czyimś życiu odegrał niepoślednią rolę. Tym razem też zetknął ze sobą dwoje ludzi i chyba w ten sposób spłacił swój dług wdzięczności wobec rodziców Jadwigi. Mam nadzieję, że panna będzie szczęśliwa... – mruknęła i uśmiechnęła się smutno.

– Po ucieczce Józefa carska policja została postawiona na nogi. Rozpoczęły się poszukiwania w całym zaborze. Dyrektor petersburskiego szpitala, Polak, doktor Otton Czeczott, miał poważne kłopoty i w rezultacie stracił stanowisko, ale na szczęście skończyło się tylko na tym i nie wyrzucono go całkiem z pracy. Dotąd miał dobrą opinię i nikt nie zdołał udowodnić mu, że cokolwiek wiedział o planowanej ucieczce. Jedyłą jego winą było zatrudnienie w szpitalu Mazurkiewicza, ale to zrobił na polecenie generała-gubernatora Petersburga, więc teraz nie można było mieć o to do niego pretensji.

Dowiedziawszy się, że mąż mój jest już na wolności, 24 maja 1901 roku opuściłam Wilno i pojechałam do miejsca, które wcześniej wybrał zaufany

przyjaciel Józefa, Tatar i były pracownik komory celnej – Aleksander Sulkwicz.

Sulkwicz dobrze orientował się, którędy należy uciekać z Petersburga, aby w miarę bezpiecznie opuścić zabór rosyjski.

Udana ucieczka Józefa w krótkim czasie narobiła bardzo wiele szumu i wywołała uczucia radości wśród przychylnych nam ludzi, ale u władz rosyjskich spowodowała emocje całkiem przeciwne. Nic więc dziwnego, że znacznie zaostrzono kontrole graniczne i wyjazd nasz do Galicji należało dokładnie zaplanować i przemyśleć.

Wreszcie przez Tallin i Rygę dotarł Piłsudski z Sulkwiczem na Polesie.

Tak więc dzięki pomocy wielu przyjaciół spotkałam się wreszcie z mężem w majątku Czysto Łuża, dokąd przyjechałam już dzień wcześniej i gdzie z niecierpliwością go oczekiwałam.

U gościnnych właścicieli majątku, państwa Lewandowskich, spędziliśmy kilka pierwszych tygodni, odpoczywając i czekając, aż dzielny Sulkwicz przewiezie przez granicę Mazurkiewicza i załatwi wszystkie formalności związane z naszą dalszą ucieczką.

Marzyliśmy jedynie o tym, żeby bezpiecznie przedostać się do Galicji, gdzie było dużo spokojniej niż w Królestwie.

Sulkwicz działał, a my, ukryci w poleskich lasach, korzystaliśmy tymczasem z gościny właścicieli majątku i po długiej rozłące znów cieszyliśmy się sobą. Ziuk wyglądał mizernie i tak też się czuł tamtej wiosny. Mnie zaś wprost rozpierała duma i radość, że i tym razem udało nam się przechytrzyć Moskali.

W końcu nadszedł dzień, w którym wyruszyliśmy przez Zamość do Galicji. Przez kładkę graniczną na rzeczce Tanew przeprowadził nas na ziemię lwowską niejaki Jan Miklaszewski, kontroler lasów Ordynacji Zamojskiej. Zaczynał się kolejny etap naszego życia.

W drodze

Była miłość, ale były też zmartwienia, które zjawiały się niemal każdego dnia w całkiem pokaźnej liczbie.

Pobyt w szpitalu psychiatrycznym kosztował Ziuka wiele zdrowia, i to nie tylko w sensie fizycznym. Długotrwałe symulowanie choroby i koncentrowanie się na tym, by nie zostać zdekonspirowanym, a – co najtrudniejsze – stałe przebywanie w otoczeniu osób rzeczywiście umysłowo chorych, wszystko to rozstroiło go i bardzo zmęczyło psychicznie.

Kiedy znikło napięcie związane z ucieczką, mąż nieco upadł na duchu i wtedy zdawało mi się, że nie będzie już w stanie wrócić do zwykłej sprawności.

Martwiłam się. W rodzinie Piłsudskich zdarzały się nerwowe załamania, o czym wiedziałam i co, rzecz jasna, napawało mnie lękiem. Nie pokazywałam jednakże nic po sobie i dbając o Ziuka najlepiej, jak mogłam, wciąż powtarzałam, że słabość minie, a siły do niego wrócą. Wierzyłam w to gorąco i robiłam wszystko, by i on w to uwierzył.

Jednak przekonanie męża, żeby się nie poddawał, nie było wcale łatwe, bo Ziuk zawsze był człowiekiem czynu i wszelkie przymusowe oderwanie od pracy fatalnie na niego działało.

Nie tylko uwięzienie, ale i sam przestój w pracy konspiracyjnej stał się dla Piłsudskiego przyczyną załamania, z którego musiał się leczyć.

Kiedy patrzyłam na Ziuka, starając się robić to dyskretnie, miałam wrażenie, że w ciągu ostatniego roku postarzał się o kilkanaście lat.

Podczas aresztowania w Łodzi żegnałam silnego, zdecydowanego mężczyznę, a teraz przy stole w Czysto Łuży pojawiał się jego cień,

zatroškany bardziej o swoje zdrowie niż o świat, który roztaczał się za naszymi drzwiami.

Nie należę jednak do osób słabych, postanowiłam więc nie zamartwić się zupełnie. Ziukowi potrzebna była moja pomoc, ale bynajmniej nie w formie biadolenia. Trzeba było przywrócić mu nadzieję i chęć do życia, bo jak twierdzili lekarze, z którymi konsultowaliśmy się nieraz, siły fizyczne powinien odzyskać niebawem.

W tamtym czasie zaznaliśmy dużo życzliwości i wciąż przekonywałam się, jak wielu ludzi z niecierpliwością czeka na powrót Józefa do zdrowia. Ziuk jednak zdawał się tego nie dostrzegać. Zmęczony i zasłuchany w sygnały płynące z własnego ciała, zastanawiał się wciąż, czy aby na pewno nie jest chory na jakąś straszną lub groźną chorobę. Ja oczywiście też się bałam, że mógł zarazić się czymś w więzieniu lub w szpitalu, jednak nic takiego się nie stało i kiedy okazało się, że ani gruźlica, ani żadna inna przypadłość nie rujnuje organizmu Ziuka, mój mąż uwierzył wreszcie, że całkowite ozdrowienie jest prawdopodobne i możliwe. Na powrót zaczął interesować się tym, co przed aresztowaniem stanowiło treść i sens jego życia.

Z Zamościa pojechaliśmy więc do Kijowa, bo Ziuk uparł się, żeby obeerzeć nową drukarnię „Robotnika”, która ku ogromnemu zdumieniu wszystkich odbiorców pisma zaczęła działać niedługo po naszym zatrzymaniu.

Wcale nie dziwiłam się Ziukowi, bo przecież przez kilka lat, od siódmego do trzydziestego szóstego numeru gazety, był głównym redaktorem i wydawcą pisma. Od kiedy rozpoczął w Lipniszkach pracę wydawniczą, a było to bodajże w 1894 roku, wciągnął się w tę robotę tak bardzo, że zaczął traktować gazetę niemal jak własne dziecko.

Po łódzkiej wpadce, kiedy oboje siedzieliśmy w więzieniu, kolejny numer w miejsce skonfiskowanego trzydziestego szóstego złożył w Londynie Wojciechowski.

Dał mu numer trzydzieści sześć bis, po czym zorganizował dalsze wydawanie gazety. Zakupił maszynę drukarską i zainstalował redakcję w Kijowie. Drukarnia mieściła się w domu Ksawerego Praussa, a redagowaniem gazety zajmował się wówczas dawny znajomy Józefa – Feliks Perl. W czasie gdy odwiedziliśmy Kijów, Perl składał właśnie trzydziesty dziewiąty numer „Robotnika”.

Nie zamierzaliśmy długo zostawać w Kijowie, więc wkrótce wyruszyliśmy w dalszą drogę.

W drugiej połowie czerwca wyjechaliśmy do Lwowa i tam zabawiliśmy czas jakiś.

We Lwowie poznałam doktora Mazurkiewicza, który po ucieczce z Petersburga, dzięki nieocenionemu Sulkiwiczowi, po kilku tygodniach bezpiecznie dotarł do tego miasta.

Szeroko komentowana w konspiracyjnej prasie ucieczka Ziuka z petersburskiego szpitala znana już była w całym kraju i Mazurkiewicz jawił się wszystkim jako bohater, dlatego też nie miał najmniejszych trudności w znalezieniu mieszkania czy posady.

Kiedy spotkaliśmy się w salonie u Poznańskich, doktor zajmował pokój w gościnnym domu Uziembłów i szykował się właśnie do podjęcia pracy w Zakładzie Higieny Uniwersytetu Lwowskiego. Z okoliczności tych był całkiem zadowolony.

We Lwowie mieszkaliśmy u Jodko-Narkiewiczów, na ulicy Kraszewskiego i tam w bardzo szczupłym gronie najbliższych przyjaciół Ziuk dochodził do równowagi, próbując na nowo przyzwyczaić się do normalnego życia. Graliśmy w karty i szachy, żartowaliśmy lub rozmawialiśmy o polityce, a gospodarze bardzo starali się uprzyjemnić nam pobyt.

Z mieszkaniem u Jodków łączą się dla mnie same miłe wspomnienia, chociaż jeden aspekt naszego tam pobytu wydał mi się odrobinę niepokojący. Żona Witolda, Marysia (kolejna Maria w naszym środowisku), była wówczas bardzo piękną kobietą. Smukła i elegancka, przykuwała uwagę mężczyzn i na wszystkich robiła wrażenie.

Jak każda kobieta zauważyłam to od razu i po raz pierwszy poczułam lekki niepokój. Zrozumiałam właśnie, że czas nie pracuje na moją korzyść i pojawiły się u mnie pierwsze objawy starzenia.

Przybrałam nieco na wadze i nie byłam już „piękną panią”, jak niegdyś nazywali mnie znajomi.

Stwierdzenie tego faktu nie było miłe, ale na upływ czasu i powodowane tym zmiany nie mogłam nic poradzić. Pocieszałam się więc faktem, że

jestem żoną wspaniałego mężczyzny, i przyjmując do wiadomości nieuchronność zmian, postanowiłam nie zamartwiać się nimi niepotrzebnie. Zawsze starałam się znajdować miłe aspekty wszelkich okoliczności.

Po pewnym czasie, kiedy Ziuk poczuł się lepiej, zaczęliśmy „bywać” u znajomych państwa Jodków i w ten sposób po raz pierwszy odwiedziliśmy gościnny dom państwa Poznańskich. Poznańscy znani byli we Lwowie ze swej działalności społecznej i pracy na rzecz ruchu ludowego. Pani Zofia, osoba niezwykle mądra i odcytana, pisywała artykuły adresowane do kobiet wiejskich, które później drukowano w dodatku do „Kuriera Lwowskiego”.

Jej zainteresowanie ruchem ludowym wzięło się z przyjaźni z Marią Wysłouchową, której mąż oddał się tej sprawie bez reszty.

W salonie Poznańskich poznaliśmy Wysłouchów. We wtorkowe popołudnia bywały tam zresztą różne lwowskie i nie tylko lwowskie znakomitości. Poznańscy przyjmowali przyjezdnych literatów, między innymi Marię Konopnicką, z którą pani Maria bardzo się przyjaźniła. We wtorki przychodzili do domu przy Mochnackiego różni znani we Lwowie ludzie. Bywali tam Władysław Orkan, Jan Kasprowicz czy chociażby profesor Benedykt Dybowski, bardzo miły i kulturalny pan, wychowawca młodzieży, który był niezmordowanym orędownikiem walki z alkoholizmem. Dybowski założył we Lwowie towarzystwo trzeźwości „Eleuteria”, co niestety stało się dla niego źródłem pewnej nieprzyjemności.

Pani Maria w tym miejscu przerwała swoją opowieść, a w jej oczach pojawiły się wesołe błyski. Po chwili zachichotała i pokręciła głową.

– Kasprowicz, który nie wylewał za kołnierz, dostał onegdaj od profesora ulotkę tego stowarzyszenia i postanowił zrobić Dybowskiemu kawał. Podczas zakrapianego spotkania z producentem wódek Baczewskim namówił go, by swój najnowszy produkt nazwał Eleuteria, co też Baczewski uczynił. Oburzony profesor Dybowski oficjalnie zerwał znajomość z Poznańskimi, gdyż stwierdził, że w żadnym razie nie może bywać w salonie, który gości takich ludzi jak Kasprowicz. W towarzyskim tygłu zawrzało, ale jak to zwykle w takich przypadkach bywa, wkrótce wszystko się uspokoiło.

W tym samym czasie w domu Poznańskich częstym gościem bywał przybyły niedawno z Syberii Bronisław Szwarce, którego Józef poznał na zesłaniu w Tuncie.

Pan Bronisław pracował gdzieś jako urzędnik i wynajmował we Lwowie nieduży pokój, w którym mieszkał z najstarszym synem Józkiem. Dwie jego córki mieszkały w internacie u sióstr zakonnych i do Lwowa przyjeżdżały jedynie na święta i wakacje. W lecie obie Szwarcówny pomieszkiwały u Poznańskich, gdyż niewielka pensyjka owdowiałego ojca nie starczała na utrzymanie wszystkich dzieci.

Smutne to były okoliczności, ale dobrzy ludzie pomagali, jak mogli, i nie dawali swoim popaść w tarapaty.

Jak już kiedyś pannie wspomniałam, Szwarce był jednym z organizatorów powstania z 1863 roku i podczas spotkań w Tuncie wywarł spory wpływ na mojego męża. Był dla Józefa nie tylko wzorem i nauczycielem, ale też prawdziwym przyjacielem.

Chociaż od ich ostatniego spotkania upłynęło wiele lat, obaj panowie wciąż dobrze czuli się w swoim towarzystwie. Oczywiście dużo zmieniło się w relacjach dawnych przyjaciół, jednakże nie wszystko. Ziuk nie był już przypadkowo zesłanym, młodym chłopcem, wpatrującym się w starego powstańca jak w obraz. Teraz doświadczenia obu mężczyzn były podobne, ale mój mąż przez drzwi zawsze puszczał przodem Szwarcego, a gdy prowadzili ze sobą poważne rozmowy, zauważałam coś, czego nie widziałam dotąd i nie zobaczyłam już nigdy później.

W pochyleniu głów, skupieniu i uwadze, jaką poświęcali sobie wzajemnie, wiele wciąż było z relacji nauczyciela i ucznia. Nie byłoby w tym pewnie nic dziwnego, gdyż kontakty Ziuka z ludźmi często polegały na podobnej zależności, jednakże zarówno wcześniej, jak i później w roli nauczyciela czy dowódcy występował zawsze mój mąż, a w tym jednym przypadku wydawało się, że jest inaczej...

Poznańskich odwiedzaliśmy nie tylko w salonie domu przy ulicy Mochnackiego, ale w letnie niedziele byliśmy też zapraszani do Brzuchowic, gdzie ci przemili ludzie mieli swoje letnisko. Ze Lwowa jechaliśmy w trzy powozy do willi, a reszta towarzystwa dołączała do nas, przyjeżdżając pociągiem. To były bardzo miłe wycieczki. Sympatyczni ludzie, ciekawe tematy rozmów, pyszne jedzenie i moje nieszczęsne zabiegi, by rozśpiewać towarzystwo, które za każdym razem pozostawały prawie bez echa. Pomimo wielu starań nie udało mi się nigdy zrobić z gości państwa Poznańskich rozbawionego chóru, ale i tak było wesoło.

W gościnnych domach życzliwych nam ludzi czuliśmy się dobrze, a Ziuk pomału wracał do sił.

Nasz pobyt we Lwowie wspominam z przyjemnością, chociaż wtedy, przyglądając się spokojnemu życiu znajomych rodzin, coraz częściej marzyłam o stabilizacji i własnym mieszkaniu.

Nie byłam już przecież podlotkiem, lecz matką wciąż rozdzielaną ze swym dzieckiem, które przecież nie mogło przerywać nauki w szkole, by wraz z nami wieść koczownicze życie.

W tamtym okresie czas jakiś Wanda mieszkała z nami, ale na koniec wakacji musiałam podjąć decyzję, czy dalej towarzyszyć Józefowi w jego podróżach, czy może wraz z córką osiąść wreszcie w jednym miejscu. Każde rozwiązanie wydawało mi się złe i krzywdzące dla którejś z kochanych przeze mnie osób.

Kiedy byliśmy rozdzieleni, bardzo tęskniłam za mężem i starałam się robić wszystko, co mogłam, by pomóc w jego uwolnieniu. Teraz więc, gdy wreszcie znów mogliśmy być razem, nie potrafiłabym go zostawić. Zmęczony i wciąż jeszcze nie całkiem zdrow Ziuk potrzebował mnie, a i ja potrzebowałam jego. Córka miała dobrą opiekę i chociaż bardzo za nią tęskniłam, czułam, że powinnam dalej towarzyszyć mężowi.

O naszym powrocie do Wilna nie mogło być zresztą mowy. Złamałam zakaz opuszczania tego miasta, toteż mój powrót do Wilna mógłby wiązać się z dużymi nieprzyjemnościami lub wręcz niebezpieczeństwem. W zaborze rosyjskim Józef, rzecz jasna, nie miałby czego szukać.

Kiedy zdecydowałam się towarzyszyć Piłsudskiemu w jego tułaczce, moje dalsze życie zostało nakreślone. W tej sytuacji musieliśmy więc szukać dla siebie miejsca z dala od zaboru rosyjskiego. Okoliczności jednak wciąż się zmieniały i coraz częściej uświadamiałam sobie, że moment osiedlenia się gdzieś na stałe jest jeszcze dosyć odległy.

Pragnęłam unormować nasze życie, ale wkrótce dotarło do mej świadomości, że Józef wrócił nie tylko do mnie, ale także, a może przede wszystkim, do swojej pracy.

U mego boku nabierał sił, nie po to jednak, żeby zatrudnić się w magistracie jako urzędnik, lecz by pracować dla swej idei. Przyszłość upatrywał wówczas w pracy w PPS-ie.

Stamtąd zresztą miał utrzymanie, gdyż jako aktywny działacz partii pobierał niewielkie wynagrodzenie. Żyliśmy skromnie, ale starczało nam na

życie.

Kiedy umarł mój ojciec, znacznie zmniejszyły się rodzinne dochody i wtedy właśnie nauczyłam się gospodarności, a ostra edukacja ekonomiczna, jakiej poddałam się dobrowolnie z rąk Paszkowskiej, teraz właśnie przynosiła owoce.

Tułaczy los i konieczność utrzymania córki wykluczały jakąkolwiek rozrzutność, toteż starałam się ograniczać wydatki, a nawet zaczęłam myśleć o podjęciu pracy. Na razie jednak nie było to możliwe, gdyż czekała nas jeszcze podróż do Londynu. Ziuk potrzebował tam pojechać, by naocznie zorientować się, jak wyglądają sprawy PPS-u.

W czasie rekonwalescencji ani przez moment nie rozważał odejścia z partii. Był jak zmęczony zwierz, który dla nabrania sił kryje się w kniei, ograniczając jakąkolwiek aktywność i zmniejszając potrzeby, by po czasie spokoju i odpoczynku być w pełni sił.

Dla Ziuka jeszcze nie przyszedł ten czas. Na razie wciąż jeszcze poznawał sytuację, by wreszcie mądrze poukładać swoje sprawy. Wymagało to wielu spotkań, rozmów i podróży, w których mu towarzyszyłam, bo tego chcieliśmy i potrzebowaliśmy oboje.

Był koniec lata i wciąż jeszcze cieszyliśmy się kanikułą. Ziuk wracał do zdrowia, a moja córka miała wakacje i na szczęście mogła ten czas spędzać z nami.

Na początku sierpnia we trójkę pojechaliśmy do Tarnowa, gdzie przez kilka dni gościliśmy u państwa Wrzosek. Stamtąd w drugiej połowie miesiąca mieliśmy pojechać do Szwajcarii, ale z różnych względów ostatecznie zrezygnowaliśmy z tych planów i pojechaliśmy do Zakopanego.

Prawdę rzekłszy, na wyjazd do Szwajcarii wcale nie było nas stać, a poza tym nie moglibyśmy tam pojechać z Wandą, która wkrótce musiała wracać do szkoły. W Zakopanem oprócz córki była też z nami moja mama, z którą Wandzia wróciła w końcu do Wilna.

Cieszyłam się, że Ziuk zdecydował pozostać w Zakopanem, bo chociaż zawsze lubiałam podróże, to jednak kilka dodatkowych dni spędzonych w towarzystwie bliskich mi osób miało dla mnie niebagatelne znaczenie.

Pod Tatrami Józef zawsze czuł się bardzo dobrze, więc po wyjeździe mamy i Wandzi postanowiliśmy zostać tam aż do października.

Z dala od tłumów i zgiełku miasta spacerowaliśmy po górskich ścieżkach i szlakach, ciesząc się spokojem pustoszejącego o tej porze roku kurortu.

Taka odmiana była nam bardzo potrzebna. Cisza kołła skołatane nerwy, a piękno krajobrazu zachwycało jak zwykle.

Pobyty w górach chciałam traktować niczym nigdy nieodbytą podróż poślubną i bardzo cieszyłam się każdą chwilą, którą mieliśmy dla siebie. Jednak prawdę mówiąc, było tego niewiele, a i Ziuk wcale nie myślał tak jak ja. Dla mojego męża nasze krótkotrwałe odosobnienie wiązało się raczej z potrzebą ułożenia na nowo swoich planów, zaś to, że w Zakopanem byliśmy razem, miało dla niego mniejsze znaczenie niż dla mnie.

Całkiem inaczej widzieliśmy nasze wspólne życie, a ja, starając się być dobrą żoną, za wszelką cenę usiłowałam dopasować obraz małżeństwa, jaki wyniosłam z rodzinnego domu, do tego, co ofiarowywał mi wybrany przeze mnie mężczyzna.

Pragnęłam naszego szczęścia i nie chciałam, by moje kolejne małżeństwo okazało się nieudane, postanowiłam więc zrobić wszystko, żeby być nie tylko dobrą żoną, lecz i partnerką, która towarzyszy mężowi w pracy, wspiera go i rozumie.

Z czasem okazało się niestety, że moje oczekiwania i starania rozminęły się z rzeczywistością, ale wtedy jeszcze tego nie wiedziałam.

Odwiedziny u starych przyjaciół i współpracowników oraz spotkania towarzyskie pozwoliły Ziukowi zorientować się w sytuacji politycznej, a długie rozmowy z dawnymi i nowymi przyjaciółmi pozwalały poznać ich nastroje.

Niestety, nie wszystko wyglądało dobrze i mąż był nieraz bardzo zatroskany tym, co donosili mu różni odwiedzający nas goście. Nie czuł się jeszcze najlepiej, a niewesołe wieści nie były wcale lekarstwem.

Wiedziałam o tym i dlatego początkowo z niechęcią popatrywałam na każdego, kto przeszkadzał Józefowi w odpoczynku, jednak wkrótce przestałam sprzeciwiać się tym spotkaniom, bo zrozumiałam, że stopniowy powrót do codziennych problemów był dla Ziuka lepszy niż bezczynność, której czasami poddawał się bez reszty.

Wreszcie minęły dwa miesiące wywczasu i kiedy mąż zdecydował, że pora go skończyć, pojechaliśmy na krótko do Krakowa.

To wtedy podjęliśmy decyzję o poszukaniu lokum w tym mieście.

W Krakowie Ziuk jak zwykle spotykał się z różnymi ludźmi, a ja krążyłam po ulicach, przyglądając się miejscom, w których moglibyśmy zamieszkać. Wieczorami zachodziliśmy do kawiarni Bisanza, gdzie mój mąż znów oddawał się politycznym dysputom, a ja przysłuchiwałam się im albo czekałam na przybycie jakiejś życzliwej duszy, z którą dałoby się porozmawiać o czymś innym niż polityka. Zwykle zresztą pojawiali się i tacy ludzie, tak więc wkrótce poważne rozmowy zamieniały się w przemiłe towarzyskie spotkania.

W naszym kręgu bywali nie tylko politycy. Dużo zabawniejsze wydawało mi się towarzystwo malarzy, aktorów czy pisarzy, wśród nich pojawiali się też bardzo znani i ciekawi ludzie – jak Żeromski, kuzyn Józefa Stanisław Witkiewicz czy nieco młodszy Władysław Reymont. Bywali też aktorzy i reżyserzy teatralni, których rozmowom uwielbiałam się przysłuchiwać.

Ziuk, do niedawna oswiały i smutny, coraz częściej dawał się porwać atmosferze zabawy i wtedy stawał się bardzo dowcipny. Nie zawsze dobrze czuł się w licznym gronie, ale w mniejszych grupach osób zdarzało się, że bywał wesoły.

W Krakowie podobało mi się wszystko: kawiarnie, zabytki i sklepy, uśmiechnięci ludzie i wolność, jakiej do tej pory nie odczułam w żadnym innym mieście. Oczywiście i tutaj musieliśmy uważać, ale atmosfera była mniej duszna. W zaborze austriackim naprawdę żyło się inaczej niż w rosyjskim.

Krążąc samotnie ulicami Krakowa, marzyłam o tym, by mąż mój przypadkiem nie zmienił zdania i zechciał osiedlić się w tym mieście.

Od miesięcy wożąc ze sobą w kilku walizkach niewielki dobytek, pragnęłam wreszcie na dobre wypakować z nich swoje rzeczy i na stałe zawiesić je w jakiejś szafie lub garderobie. Chciałam rozpocząć normalne życie rodzinne z mężem i córką w ładnym mieszkaniu w spokojnym Krakowie, który wydawał mi się do tego wymarzonej miejscem. Na razie jednak moje plany musiały poczekać.

Maria przerwała opowieść i położyła głowę na oparciu fotela. Pomimo nie najlepszego oświetlenia salonu Karolina zauważyła, że Piłsudska

zbladła. W tej chwili na jej twarzy widać już było zmęczenie i dziewczyna zrozumiała, że nie powinna przedłużać wizyty.

– Czy pani dobrze się czuje? – zapytała nieśmiało, zamykając swój zeszyt.

Maria kiwnęła głową, ale nie otworzyła oczu.

– Jestem trochę zmęczona... – wyjaśniła dużo słabszym niż wcześniej głosem. – Wolałabym przełożyć dalszą część spotkania na jutro...

Karolina lekko zmarszczyła brwi i podniosła się ze swojego miejsca. Właściwie miała już plany na niedzielę. Chociaż w szkole nie było zajęć i nie musiała iść do pracy, umówiła się ze znajomymi na wspólny spacer nad Wisłą i nie chciała rezygnować z tego spotkania.

Dziewczyna cieszyła się, że po okresie samotności znalazła wreszcie grono młodych ludzi, z którymi mogła przyjemnie spędzać czas.

Ostatnio rzadziej jeździła do domu i większość wolnych dni spędzała w Krakowie. Nie lubiła siedzieć samotnie w swoim skromnym pokoju, chętnie więc korzystała z wszelkich zaproszeń, a i sama starała się wymyślać ciekawe zajęcia dla najbliższych przyjaciół.

Z tygodnia na tydzień ich krąg poszerzał się. Z rówieśnikami Karolina czuła się doskonale i z pewnym zdumieniem zauważyła, że i oni obdarzają ją sympatią i zainteresowaniem. Wciąż nie potrafiła zrozumieć, jak to się stało, że z przestraszonego odludka zamieniła się teraz w wesołą i tryskającą energią dziewczynę.

W pracy też to zauważono, a i ksiądz z parafii coraz częściej wykorzystywał jej aktywność przy organizowaniu zajęć dla dzieci lub kwest dla potrzebujących. Wcale nie miała mu tego za złe.

Niedostatek pieniędzy także przestał być dla Karoliny dotkliwym problemem. Dzięki nowym znajomym i ich kontaktom udawało jej się dorabiać korepetycjami.

Budżet młodej nauczycielki nieco się powiększył, ale nie miała już czasu, żeby jeździć do matki.

Karolina tęskniła za domem, ale w głębi duszy czuła, że atmosfera w nim panująca bywa nieznośnie duszna. Dziewczyna odzwyczaiła się od ciągłego smutku i przygnębienia i nie za bardzo miała ochotę do tego wracać. Postanowiła jednak, że na wiosnę ściągnie mamę na jakiś czas do Krakowa, by wreszcie rozerwała się nieco i pooglądała uśmiechniętych ludzi.

Wieczna żałoba matki stała się dla Karoliny niezmiernie trudna do zniesienia i chociaż ucieczka ze smutnego domu okazała się doskonałym rozwiązaniem, to jednak fakt, że nie całkiem jeszcze stara matka zachowuje się tak, jakby w życiu nic już nie mogło jej spotkać, wprawiał dziewczynę w zły humor i wywoływał w niej złość.

Pewnie dlatego wspominając poprzednie swoje życie, w żadnym razie nie chciała rezygnować ze spotkań z młodymi ludźmi. Potrzebowała kontaktów z rówieśnikami, ale pragnęła też odwiedzać Piłsudską.

Karolina była świadoma tego, że wizyt u sąsiadki nie powinna odkładać. Czuła, że gdy pani Maria jeszcze bardziej podupadnie na zdrowiu, całkowicie zaniecha spotkań, a wtedy ona swój zeszyt z notatkami będzie musiała odłożyć na półkę.

Nie chciała tego. Czuła, że Maria ma jeszcze bardzo dużo do opowiedzenia.

Wyglądało na to, że w otoczeniu Marii nie było dotąd nikogo, kto wpadłby na pomysł spisania historii tej niepospolitej kobiety. Sama Piłsudska też tego nie zrobiła.

Pomimo ciekawego życiorysu, niepospolitej urody i osobowości była skromną osobą i pewnie nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, jak dużą rolę odegrała w sukcesie męża.

Stając przy nim z własnego wyboru, przyjęła zadanie, jakie przygotował jej los, który nie zawsze sprawiedliwie się z nią obchodził.

Piłsudskiej należała się więc wreszcie uwaga, której Karolina nie potrafiłaby i nie śmiała odmówić.

W tej sytuacji nie pozostało jej więc nic innego, jak pogodzić obydwie spotkania, tak by nie opuścić żadnego z nich.

– O której godzinie miałabym przyjść? – spytała ściszym głosem, pragnąc jedynie tego, by pora, którą zaproponuje Piłsudska, nie była zbyt wczesna. Pomimo że Maria zachowywała się wobec Karoliny bardzo bezpośrednio, aura wielkości otaczająca od lat męża pani Piłsudskiej powodowała, mimo niezaprzeczalnej sympatii, jaką sąsiadka jej okazywała, że mur nieśmiałości nie pozwalał dziewczynie na całkowitą swobodę.

Maria otworzyła oczy i spojrzała na Karolinę. Z rumieńca, który pojawił się teraz na twarzy młodej sąsiadki, wywnioskowała, że jej propozycja sprawiła tylko kłopot.

– Jeżeli panna ma inne plany, to oczywiście... – zaczęła.

Dziewczyna potrząsnęła jednak głową i powiedziała stanowczo:

– Nie, oczywiście bardzo chętnie przyjdę, tylko...

– Tylko?... – zapytała Maria i zaraz dodała ze śmiechem: – Tę randkę masz panna wieczorem czy rano?

– W południe! – sapnęła Karolina, czując, że jeszcze bardziej się czerwieni. Spotkanie, na którym tak jej zależało, mogło się skończyć dopiero wieczorem, ale tego nie zamierzała już mówić.

– W takim razie zapraszam na siedemnastą. Może być? – zapytała, na co Karolina radośnie kiwnęła głową.

Wreszcie Piłsudska podniosła się ze swojego fotela i ruszyła w kierunku drzwi, żeby odprowadzić gościa.

– Jutro Hania ma wolne, więc razem coś przyrządzimy na kolację. Dobrze? – zapytała, uśmiechając się do Karoliny.

– Oczywiście – odpowiedziała dziewczyna. – Przyjdę punktualnie.

Londyn

W niedzielę zjawiała się w mieszkaniu Piłsudskiej z pudełkiem świeżutkich faworków zakupionych w maleńkiej cukierni mieszczącej się przy Rynku. Kiedy wręczała sąsiadce zawiniątko, czuła prawdziwą radość, że stać ją było wreszcie na zakup deseru.

Na widok pudełka Maria uśmiechnęła się i radośnie oznajmiła, że bardzo lubi ciastka z tej cukierni, po czym od razu zaprosiła Karolinę do kuchni.

Ruchy Piłsudskiej nie były tak energiczne jak poprzedniego dnia, ale widać było, że czuje się całkiem dobrze.

– Przygotowałam gulasz z kluseczkami – oznajmiła, wskazując nakryty stół – ale trochę się przy tym zmęczyłam, więc jeżeli panna ma ochotę, proszę utrzyć marchewkę i jabłko na surówkę, bo ja muszę odpocząć.

Karolina odczo chwyciła wiszący na oparciu krzesła fartuch i bez słowa zabrała się do skrobania marchewki. Jabłka leżały w koszyku na stole, toteż dalsze instrukcje wydawały się niepotrzebne.

Gorące kluski stały w miseczce na samym brzegu kuchennej płyty, a pięknie pachnący gulasz znajdował się już w salaterce obok nich.

Piłsudska przestawiła wszystko na stół i nie czekając, aż Karolina skończy trzecią surówkę, usiadła i wsparłszy się łokciami o blat, westchnęła głęboko.

– Serce mam liche i przez to często słabuję. Nawet nie myślałam, że tak mi się zdrowie posypie... Przez tyle lat zdawało się, że to Ziuka serce jest w kiepskim stanie... Czasem bywało, że trzeba go było z fotela na kanapę przенosić, a tutaj nagle klops, on trzyma się i nawet krajem rządzi, a ze mnie powietrze uchodzi jak z dziurawego balona!

Powiedziawszy to, uśmiechnęła się smutno i popatrzyła na Karolinę. Dziewczyna właśnie skończyła przygotowywanie surówki i postawiła ją na

stole. Piłsudska gestem wskazała jej, aby usiadła, a potem przez chwilę rozmawiały o pogodzie i o dzisiejszym spacerze Karoliny. Maria wypytywała dziewczynę o różne codzienne sprawy, o jej znajomych, o pracę. Lubiła rozmawiać z Karoliną i zadawała wtedy bardzo dużo pytań. Widać było, że obecne życie i zwyczaje młodych są Marii trochę obce.

W mieszkaniu przy Szlaku odwiedzali ją jedynie dawni przyjaciele i pewnie dlatego zupełnie nie wiedziała, jak teraz żyje się następnemu pokoleniu, a ponieważ bardzo chciała to wiedzieć, przy każdym spotkaniu jakąś część czasu poświęcały na rozmowę o sprawach Karoliny. W takich momentach Maria dowiadywała się tego, co od jej codzienności było już odległe.

Po zjedzeniu kolacji i krótkim odpoczynku przy stole, pomimo słabych protestów gospodyni, Karolina szybko zmyła naczynia.

Maria widocznie czuła się tym skrępowana i trochę oponowała, w końcu jednak dała za wygraną i gdy dziewczyna kończyła porządkowanie stołu, przygotowała dla obu herbatę.

Karolina zabrała z kuchni sporej wielkości dzbanek oraz talerz z faworkami i przeniosły się do salonu, gdzie gospodyni ustawiła wcześniej na stole błękitne filiżanki i dwa nieduże kryształowe kieliszki, które teraz napełniła nalewką z karafki.

– Odrobinka wiśniówki dobrze nam zrobi i trochę rozjaśni umysł – oznajmiła, przesuwając jeden z kieliszków w stronę gościa.

Po krótkiej krzątaninie usiadły w tych samych co zwykle miejscach i kiedy były już gotowe, Maria umościła się wygodnie w fotelu i wsparłszy czoło na opartej na podłokietniku ręce, zmarszczyła brwi. Widać było, że usiłuje przypomnieć sobie, w którym miejscu przerwała opowieść. Karolina przerzuciła kartki zeszytu i już chciała pomóc Piłsudskiej, ale ta podniosła głowę i z szerokim uśmiechem podjęła przerwany poprzedniego dnia wątek:

– W połowie listopada 1901 roku wyjechaliśmy do Londynu, gdzie Ziuk zamierzał spotkać się z dawnymi towarzyszami z PPS-u.

Na dworcu przywitali nas Filipowicz, Jędrzejowski i Wasilewski, którego poznałam w Wilnie i którego już wtedy zdążyłam polubić.

Po krótkim powitaniu zawieźli nas do domu zwanego Longwood, gdzie przez czas pobytu mieliśmy kwaterę. W domu tym było nam bardzo wygodnie i w nieskrępowany sposób mogliśmy spędzać czas tak, jak nam się podobało. Oczywiście Ziuk jak zwykle przede wszystkim poświęcał się pracy, a ja często musiałam zajmować się sobą.

Zwiedzałam więc miasto, czasem sama, a czasem w towarzystwie męża lub kogoś z przyjaciół.

Józef już wcześniej bywał w Londynie, ale dla mnie wszystko, co widziałam, było nowe, dlatego z radością wykorzystywałam każdą chwilę, którą mąż mógł mi poświęcić. Kiedy nie był za bardzo zmęczony, wyciągałam go do miasta, ale po pewnym czasie zrozumiałam, że te wycieczki nieco go nużą, postanowiłam więc radzić sobie sama.

Wkrótce nauczyłam się poruszać po Londynie i przestałam absorbować Józefa, który dużo bardziej wolał oddawać się swoim zajęciom.

Bardzo interesował się organizacją pracy PPS-u w Londynie, ale nie wtrącał się do niczego, bo jak mówił, wszystko działało jak trzeba. Po raz pierwszy od długiego czasu był zupełnie zadowolony z tego, co zobaczył, i dlatego jego humor poprawił się bardzo.

Święta Bożego Narodzenia spędziliśmy w domu Wojciechowskich w miejscowości Southbourne-on-Sea. Stanisław, który w Wilnie wydawał z Józefem „Robotnika”, pracował teraz w rosyjskiej drukarni tołstojowców, z czego utrzymywał rodzinę.

U tołstojowców drukowano broszury i zakazane książki, które następnie przemycano i kolportowano w Rosji, najczęściej wśród tamtejszej inteligencji.

Patrząc na spokojne życie, jakie gospodarze wiedli w cichej nadmorskiej miejscowości, w pełni rozumiałam, dlaczego zmęczony i wycieńczony ciągłym zagrożeniem Wojciechowski zdecydował kiedyś o zaprzestaniu pracy w Wilnie. Zakładając rodzinę, wiedział, że nie może zapewnić jej bezpieczeństwa, nieustannie narażając się na aresztowanie. Ciągłe napięcie i zagrożenie rujnowały siły i zdrowie każdemu, czego widowym przykładem był w tamtym czasie Ziuk.

Atmosfera domu Wojciechowskich bardzo mi się podobała i prędko zaprzyjaźniłam się z uroczą żoną Stanisława, Marylką. Nasz pobyt mijał więc przyjemnie, z jednym małym wyjątkiem...

Podczas wigilijnej kolacji cały czas myślałam o Wandzi, za którą tęskniłam, i chociaż bardzo starałam się zachować dobry humor, nie było to dla mnie łatwe. Zgromadzeni przy stole mężczyźni nie zauważyli nawet, że tylko udaję wesołość, ale Wojciechowska widziała moje zamyślenie i w pewnej chwili ze zrozumieniem ścisnęła moją dłoń. Była matką dwójki dzieci i rozumiała, co czuję, siedząc z nimi przy wigilijnym stole z dala od swojej córki.

Po świętach wróciliśmy do Londynu, gdzie Ziuk starał się wreszcie włączyć w pracę partyjną, ale z kraju zaczęły napływać niepokojące wiadomości i trzeba było myśleć o powrocie.

PPS nigdy nie było najważniejszą organizacją zrzeszającą członków konspiracyjnych przeciwko władzy. Poza tym w partii pojawili się jacyś nowi ludzie, których dążenia nie odpowiadały Ziukowi. Trzeba więc było rozeznaczyć dokładnie, w jakim kierunku zmierzają ci młodzi, i pomyśleć o wzmocnieniu znaczenia partii.

Mąż bardzo martwił się tym wszystkim i choć teraz czuł się już na siłach, by ostro włączyć się w wir pracy, potrzebował do tego zaufanych ludzi, gotowych mu pomagać.

Bardzo zależało mu na tym, żeby Wojciechowski zdecydował się na powrót do kraju, gdzie trzeba było wesprzeć kulejącą partyjną robotę, ale Stanisław po długich wahaniach odmówił mu ze względu na nie najlepsze zdrowie żony.

Ziuk był rozczarowany, ale nie naciskał. Wiedział, że decyzja Wojciechowskiego jest ostateczna, a za bardzo go cenił i lubił, żeby robić z tego powodu jakieś problemy. Przyznam się pani, że trochę zazdrościłam Marylce, bo chociaż całym sercem wspierałam zawsze Józefa, to bardzo mi się podobało, że Wojciechowski pokazał tak wielkie przywiązanie do żony i rodziny, .

Na początku kwietnia mój mąż, zdenerwowany informacją o aresztowaniu ówczesnych redaktorów „Robotnika” i ogólnie nie najlepszą kondycją PPS-u, postanowił wracać do kraju.

Dziesiątego kwietnia wyruszyliśmy więc w drogę powrotną i przez Kraków, gdzie zaopatrzeni zostaliśmy w fałszywe paszporty, wkrótce

dotarliśmy do Wilna.

Ciągnęły nas tam różne sprawy, również osobiste.

Piętnastego kwietnia 1902 roku w Petersburgu zmarł nagle ojciec Ziuka i na jego pogrzeb do Wilna przybyła duża część rodziny Piłsudskich. Przyczyna smutna, ale pożegnania bliskich są zawsze okazją do spotkań osób, które na co dzień nie mają ze sobą kontaktu. Tak było i w tym przypadku i chociaż oboje musieliśmy uważać, to jednak fałszywe dokumenty dawały nam pewną ochronę.

Bardzo stęskniłam się za swoimi i z prawdziwą radością ujrzałam wreszcie Wandeczkę, która bardzo wypiękniała. W 1902 roku moja córeczka miała już piętnaście lat i była miłą, towarzyską panienką.

Józef dużo przebywał z młodszymi braćmi, ale najczęściej widywał się z ukochaną siostrą, Zofią Kadenacową, zwaną przez rodzinę Zulą. Ziuk bardzo ją kochał, a i ja dobrze czułam się w towarzystwie Zuli, toteż i teraz czasem kontaktujemy się ze sobą. Kadenacowie mieszkają wciąż w Wilnie, tak jak i obaj młodszy bracia męża. Janek, co prawda, po wojnie był przez dwa lata w Warszawie urzędnikiem w Ministerstwie Pracy, ale z tego co wiem, wrócił do Wilna, bo tam pewnie czuje się najlepiej. Zawsze zazdrościłam Ziukowi licznej rodziny i kiedy dobrze działo się w moim małżeństwie, odwiedzałam tych ludzi czasem w Wilnie.

Jednak dwa lata temu, kiedy pojawiłam się w tym mieście, nie zrobili już rodzinnego spotkania, choć doskonale wiedzieli, że przyjadę na groby córki i zmarłej w 1910 roku matki.

Nie było to dla mnie miłe, ale przecież nie mogłam się dziwić. Rodzeństwo Ziuka jest teraz wobec mnie w trudnej sytuacji, dlatego gdy pojechałam do Wilna ostatnim razem, wcale się do nich nie odezwałam. Już po powrocie do Krakowa napisałam do Zuli, że byłam w Wilnie...

Lata lecą i syn Zuli, Czesław, którego znałam od dzieciństwa, jest już oficerem. Czasem zagląda tu do mnie, gdy bywa w Krakowie, bo bardzo go lubię, a i on chyba darzy mnie sympatią. Wiem, że odwiedza też nową rodzinę Ziuka, ale nie rozmawiamy o tym...

Nie potrafię o nich rozmawiać... – powiedziała Maria cicho. Widocznie posmutniawszy, odwróciła głowę i zamyśliła się nad czymś głęboko. Karolina w ciszy dopisywała coś jeszcze w swoim zeszycie, a kiedy jej ołówek zatrzymał się na chwilę, Piłsudska spojrzała na nią, uśmiechnęła się i wróciła do przerwanego wątku.

Rodzina

Jesienią 1902 roku przyjechaliśmy wreszcie do Krakowa. Wynajęliśmy mieszkanie na ulicy Podzamcze i Ziuk od razu zajął się swoją pracą, mnie pozostawiając wszelkie sprawy związane z urządzaniem mieszkania, które od początku niezbyt mi się podobało.

Nie grymasiłam jednak zbyt, bo mąż miał jak zwykle wielkie plany, a ja chciałam wreszcie poukładać jakoś nasze życie.

Ciasne pokoiki zastawiłam pożyczonymi ze składu meblami, trochę byle jak i bez należytego gustu, ale po kilku tygodniach solidnej pracy czułam się na Podzamczu prawie dobrze.

Wandeczka zamieszkała wreszcie z nami i pewnie dlatego niezbyt obszerne lokum wydawało mi się jeszcze ciaśniejsze.

Mimo to byłam szczęśliwa, choć muszę przyznać, że w tamtym czasie nowa sytuacja nie była dla mnie najłatwiejsza. Ziuk często wyjeżdżał, a kiedy wracał, chodził z głową w obłokach.

W naszym małżeństwie wiele się zmieniło, bo mój mąż bez reszty zajął się polityką, a ja tym razem nie towarzyszyłam mu we wszystkich wyjazdach, tak jak to było dotychczas.

Za dużo było dla mnie tych podróży, a i Ziuk chyba wolał mieć więcej swobody w działaniu. Mimo że w tym czasie bardzo dużo podróżował, bardzo dużo też pisał. Były to rzeczy najróżniejsze: artykuły, wspomnienia, listy. Przygotowywał też do druku swoje ważne dzieło, które miało być elementarzem pracy podziemnej. Jego *Bibułę* drukowano potem w „Naprzodzie”.

Zanim na dobre osiedliśmy w Krakowie, mąż zdecydował o przeniesieniu do tego miasta kilku pism wcześniej drukowanych w Londynie. Powoli

więc Kraków stawał się ważnym ośrodkiem pracy socjalistycznej, co w austriackim zaborze wydawało się w miarę bezpieczne.

Sprawy domowe nie za bardzo obchodziły mojego męża, toteż od początku ze wszystkim musiałam borykać się sama. Wcale mi to jednak nie przeszkadzało, bo po latach tułaczki urządzenie naszego gniazdka wydało mi się zajęciem bardzo przyjemnym. Rzecz jasna, zdarzały się i trudne chwile. Przeważnie jednak dobrze sobie radziłam, mając teraz pomoc i towarzystwo pięknej i mądrej panny, na jaką wyrosła moja córka.

Kiedy zostawałyśmy same w Krakowie, było prawie spokojnie, a nieraz nawet wesoło. Czasem odwiedzali nas znajomi, moi albo córki, ale pod nieobecność Ziuka dostawałyśmy też zawsze od niego zadania, które wykonywałyśmy zgodnie z instrukcjami, pełniąc na miejscu ważną rolę punktu kontaktowego. Nasze mieszkanie, jak żartowała Wandeczka, stawało się wtedy kwaterą dowodzenia, w której pod nieobecność dowódcy próbowaliśmy go zastępować, przekazując wszystkie ważne informacje tym, do których miały dotrzeć.

Zdarzało się, rzecz jasna, że z Krakowa wyjeżdżaliśmy razem, szczególnie wtedy, gdy Ziuk wiedział, że w jakimś miejscu zabawi nieco dłużej. We troje jeździliśmy do Zakopanego, Rytra lub Brzuchowic i tam spędzaliśmy trochę czasu ze sobą. Oczywiście Ziuk wszędzie pracował i wszędzie spotykał się z ludźmi, ale kiedy my przyjeżdżaliśmy do niego, zdarzało się, że przestawał myśleć o polityce, i wtedy czas nam płynął mile.

Cieszyłam się, widząc, że Józef dobrze czuje się w towarzystwie Wandy, którą traktował jak własną córkę i dla której miał uśmiech nawet w najtrudniejszych dla siebie chwilach.

Wandzia odwdzięczała mu się zresztą równie dużym przywiązaniem i chociaż czasami trudno jej było dostosować się do naszego dziwnego trybu życia, to jednocześnie cieszyło ją, że często uczestniczy w ważnych spotkaniach i rozmowach.

Ze swoim ojcem Marianem Juskiewiczem Wandzia miała kontakt głównie przez babcię Juskiewiczową, nieocenioną „babcie Wilczą”, która na starość wróciła z Warszawy do Wilna i tam też dokonała żywota. Obie babcie przeżyły jednak wnuczkę i teraz leżą obok siebie na wileńskiej Rossie. Niedługo pewnie i ja do nich dołączę.

Ostatnie zdanie Maria wypowiedziała na tyle cicho, że Karolina mogłaby go nie usłyszeć.

Ale usłyszała i nie wiedząc, co odpowiedzieć, przygryzła dolną wargę i jeszcze niżej pochyliła głowę.

Na szczęście dla Karoliny Piłsudska nie zamierzała poddawać się smutnemu nastrojowi i wkrótce rozpoczęła na nowo przerwany wcześniej wątek.

– Nasze życie płynęło pomiędzy Krakowem a różnymi wyjazdami, które znacznie częściej zdarzały się w lecie, bo jesienią córka wracała do nauki i wtedy już obie pozostawałyśmy w Krakowie. Wandzia uczyła się teraz w liceum, które miało przygotować ją do studiów. Cieszyłyśmy się z tego, że w niedalekiej przyszłości wstąpi na uniwersytet, ale z upływem czasu, obserwując rozwój wypadków, zaczynałam mieć wątpliwości, czy zaangażowanie uczuciowe mojej córki pozwoli jej na to.

Ale po kolei.

Wanda od początku dzielnie znosiła dziwactwa naszego domu i dopiero gdy przenieśliśmy się na Topolową, skorzystała z nadarzającej się okazji, by zamieszkać piętro wyżej.

Na razie jednak żyliśmy na Podzamczu i coraz lepiej czuliśmy się w Krakowie.

Zarówno tam, jak i we wszystkich następnych mieszkaniach masowo odwiedzali nas znajomi i współpracownicy Ziuka.

Jedną z często goszczących u nas osób był Witold Jodko-Narkiewicz, u którego mieszkaliśmy onegdaj we Lwowie, a którego znałam jeszcze z Petersburga.

Jodko od lat współpracował z Ziukiem i to on chyba wpadł na pomysł, by korzystając z wojny rosyjsko-japońskiej, przedstawiciele PPS-u zwrócili się do rządu Japonii z propozycją współpracy przeciwko Rosji. Witold jeździł w tej sprawie w różne miejsca, spotykał się z ambasadorem Japonii w Londynie, aż wreszcie przygotował wyprawę mojego męża na drugi koniec świata. Przyznam szczerze, że choć nigdy nikomu o tym nie mówiłam, byłam o to na niego trochę zła.

Na początku czerwca 1904 roku Józef znowu pojechał do Londynu, skąd statkiem popłynął do Nowego Jorku i po kilku dniach wyruszył do Chicago i San Francisco.

Wraz z Tytusem Filipowiczem w każdym z amerykańskich miast spędzali po kilka dni, aż wreszcie drogą morską dotarli do Tokio. Tam chcieli odbyć ważne rozmowy z przedstawicielami władz japońskich.

To była dziwna wyprawa i dziwny był jej skutek, bo chociaż nikt nie gwarantował Ziukowi powodzenia w negocjacjach z Japończykami, to jednak zaskoczeniem było, że ich fiasko w dużej mierze będzie zawdzięczał Romanowi Dmowskiemu.

Roman wiedział o planowanej wyprawie Józefa i Filipowicza do Japonii i doskonale znał jej cel, jakim było uzyskanie środków na zbrojną walkę z Rosjanami. Z tym pomysłem Dmowski nie zgadzał się, bo uważał, że nie można popychać rodaków do kolejnego nieudanego powstania. Postanowił więc przeszkodzić Ziukowi w realizacji tego pomysłu, uważając, że mieszanie się Polaków w wojnę na Dalekim Wschodzie nie przyniesie nam niczego dobrego, a może jedynie pogorszyć relacje z zaborcą.

Obaj moi niegdysiejsi adoratorzy nie lubili się i pewnie do dziś się nie lubią. Zawsze wiele ich dzieliło, jednakże kiedy przypadkiem spotkali się w Tokio, niemal wpadając na siebie na ulicy, nie tylko przywitali się ze sobą, ale też zdecydowali się porozumieć.

Pomimo niesprzyjających okoliczności spędzili ze sobą wiele godzin na rozmowach i wspólnym zwiedzaniu miasta. To było ich pierwsze od czasów wileńskich tak długie spotkanie i sądzę, że mimo wszystko upłynęło w przyjemnej atmosferze.

Gdyby tak nie było, nie spędziliby ze sobą aż tyle czasu. Niestety nigdy nie poznałam szczegółów rozmowy Józefa z Romanem, bo chociaż bardzo mnie ciekawiły, nie śmiałam o nie pytać.

Ziuka zawsze drażniła kwestia mojej dawnej znajomości z Dmowskim i jego zdaniem byłam chyba ostatnią osobą, która powinna się interesować ich wzajemnymi kontaktami.

Moja Wandeczka próbowała wówczas coś wyciągnąć od Józefa, ale i jej się to nie udało. Przy mnie temat Dmowskiego Ziuk zazwyczaj kwitował zmarszczeniem brwi.

Wkrótce po powrocie Józefa w 1905 roku w wielu krajach Europy rozpoczęły się zamieszki rewolucyjne, które objęły też kilka większych polskich miast we wszystkich zaborach.

W PPS-ie w dalszym ciągu źle się działo i grupa tak zwanych młodych, którym bliżej było do bolszewików niż do niepodległości, usiłowała pozbyć

się „starych”, do których należał Ziuk i jego poplecznicy. „Starzy”, w odróżnieniu od „młodych”, chcieli walczyć o wolność Polski, a nie jednoczyć się w jakąś międzynarodową organizację robotniczą kierowaną z Moskwy czy Petersburga. Ziuk chciał z bojówek tworzyć coś na wzór oddziałów wojskowych do walki o niepodległość, a tamci, wspólnie z rosyjskimi robotnikami, zamierzali walczyć zarówno z caratem, jak i polską burżuazją.

Problemy w partii bardzo martwiły męża i powodowały, że w domu bywał jeszcze rzadszym gościem. Kiedy wreszcie pojawiał się, chmurny, z podkrążonymi oczami, zamykał się w swoim gabinecie, gdzie siedział sam albo z kimś ze „starych” PPS-owców, obmyślając strategię. Zainteresowanie partią, z którą wcale nie było im już po drodze, ustępowało rozważaniom o stworzeniu i wyposażeniu frakcji bojowej, która byłaby zaczątkiem całkiem nowego tworu. Józef bardzo chciał już mieć własną organizację, niezależną od PPS-u.

W tamtym czasie, jak widać, Piłsudski nie miał zbyt wielu powodów do radości i to niestety wciąż było widać po jego minie. W końcu jednak Wandeczce zawsze udawało się rozbawić i rozruszać Ziuka i dzięki niej po chwilach ciężkiej ciszy w naszym domu znów rozbrzmiewał śmiech i przekomarzenia.

Mimo skromnego wyposażenia i wystroju mieszkania dobrze nam było z córką zarówno na Podzamczu, jak i później na Topolowej, ale kiedy mój mąż pojawiał się w Krakowie, bywało trochę trudniej.

Przyzwyczajenia Józefa, a przede wszystkim jego zwyczaj pracowania o najróżniejszych porach dnia i nocy, były dla mnie czymś normalnym, ale dla Wandzi było to niezrozumiałe i dziwne. Wychowana przez babcię w ułożonym, choć pewnie dosyć nudnym rytmie dnia, nie mogła przyzwyczaić się do naszego zwariowanego życia i czasem martwiłam się, że w końcu będzie miała tego dosyć i zechce wrócić do Wilna.

Trochę mnie to niepokoiło, robiłam więc wszystko, by relacje rodzinne układały się dobrze.

Ale na szczęście nie tylko ja się starałam. Sympatia, jaką Ziuk i Wandeczka obdarzali się wzajemnie, sprawiła, że mimo różnic potrafili świetnie się ze sobą dogadać.

Wanda była piękną i mądrą panną i podobnie jak ja kiedyś znała wielu ciekawych ludzi. Czasem zdarzało się, że dzięki niej i my zawieraliśmy

nowe znajomości. Tak było z Walerym Sławkiem, którego po naszym powrocie z Londynu przedstawiła w Wilnie mojemu mężowi.

Walery od dawna zapatrzony był w Ziuka i jego marzeniem było poznać go osobiście. Kiedy więc marzenie to wreszcie się ziściło, zaprzyjaźnili się ze sobą od razu i mój mąż wkrótce obdarzył Sławka wielkim zaufaniem. Ich zażyłość trwa zresztą do dziś, bo tak wiernych współpracowników jak Walery Ziuk dotychczas miał niewielu.

Ja też bardzo lubię i cenię Sławka za prawość charakteru i przywiązanie do naszej rodziny. W tamtym czasie wiele obiecywałam sobie po jego znajomości z Wandeczką. Moja córka kochała Walerego z wzajemnością i dlatego właśnie bywał u nas w Krakowie naprawdę częstym gościem. Oboje piękni, weseli i młodzi, wydawali się wprost stworzeni dla siebie.

Niestety, po latach szczęścia i rodzinnego powodzenia przyszedł rok zły i smutny, w którym zdarzyło się wiele strasznych rzeczy.

W czerwcu 1906 roku podczas akcji bojowej Walery Sławek został poważnie okaleczony. Bojowcy Józefa organizowali czasem napady na carskie kasy lub pociągi pocztowe, żeby zdobyć pieniądze na potrzeby swojej Frakcji Rewolucyjnej.

W okolicach Milanówka pod Warszawą Walery przygotowywał napad na pociąg. Niestety nieszczęśliwym zrzędzeniem losu w jego rękach wybuchła bomba karbonitowa, która omal go nie zabiła. Stracił wówczas oko, kilka palców u obu rąk i ogłuchł na jedno ucho. Jak widać, Pan Bóg darował mu życie, bo pewnie miał wobec Sławka całkiem inne plany.

Do tamtego wypadku Walery kompletnie nie zważał na zagrożenia. Jechał zawsze tam, gdzie było najtrudniej i gdzie niejedni nie odważyłby się pokazać. Za swoją działalność bojową, przez carat nazywaną terrorystyczną, siedział w dziesiątym pawilonie Cytadeli i w kilku innych więzieniach, ale kilkakrotnie uciekał i walczył dalej, nie bacząc na niebezpieczeństwa.

Kiedy Maria opowiadała o swojej córce i Sławku, w jej oczach pojawiały się iskry, a na policzki wystąpił rumieniec, ale młoda sąsiadka nie całkiem rozumiała to, o czym mówiła Piłsudska. Od pewnego czasu miała dosyć niewyraźną minę i w końcu, nie chcąc pozostawiać swych wątpliwości bez wyjaśnienia, zapytała:

– Dlaczego pan Sławek zajmował się takimi rzeczami?

Maria spojrzała na Karolinę ciut nieobecny wzrokiem, jakby nie pojmowała, co w jej opowieści mogło być dla dziewczyny niezrozumiałe. Zaraz jednak zorientowała się, że to, co dla niej jest oczywiste, dla innych wcale takie być nie musi, więc wyjaśniła najprościej, jak umiała:

– PPS-owi, a później organizacjom bojowym potrzebne były fundusze. Z dobrowolnych datków, których, rzecz jasna, też było trochę, nie dało się pokryć wszystkich niezbędnych wydatków, czasem więc trzeba było zdobywać środki w nielegalny sposób.

Nie oni jedni w ten sposób działali. Takie pomysły miało też wielu rzezimieszków, którzy pod hasłami socjalistycznymi tworzyli prawdziwe bandy zbójckie, napadające nawet na prywatnych ludzi. Ziuk martwił się tym bardzo i robił wszystko, by mieć wreszcie własną organizację z przejrzystym i legalnym systemem finansowania. Na razie jednak napaści na pociągi pocztowe albo niewielkie kasy i oddziały banku były również udziałem PPS-u.

Walery był zawsze tam, gdzie było niebezpiecznie. Taki narwaniec, duch niespokojny. Nieraz martwiliśmy się o niego, nie mając dłuższy czas żadnych wiadomości, a potem nagle pojawiał się w Krakowie z uśmiechem na twarzy i nowinami z kolejnych akcji. Tym razem jednak sprawa była poważna i mocno okaleczony Walery cudem uniknął śmierci.

Po wypadku Wanda bardzo martwiła się o jego zdrowie i nawet jeździła do Warszawy, żeby odwiedzać Walerego w szpitalu. Żał mi ich było obojga, bo i Walery cierpiał okropnie, i moja córka cierpiała razem z nim. Pomimo wielu trudnych rozmów, jakie wówczas prowadzili ze sobą, przysięgała mu, że w jej uczuciach nic się nie zmieniło.

Los płata jednak czasami bardzo złośliwe figle i wielka miłość nie ochroniła mojej córeczki. Wandzia zmarła dwa miesiące później... Być może zamartwianie się o ukochanego osłabiło jej organizm i dlatego zapalenie wyrostka robaczkowego akurat dla niej okazało się zabójcze...

Pani Maria znów westchnęła głęboko, a jej oddech stał się nagle nierównomierny. Karolina z niepokojem spojrzała na Piłsudską, która nieco pobladała, jednak po krótkiej chwili uspokoiła się i powiedziała:

– Dawno już nie ma mojej Wandeczki, a Walery do dziś sobie nie ułożył prywatnego życia, chociaż pomimo oszpeceń dalej podoba się kobietom.

Mam duży sentyment do tego człowieka, nie tylko przez wzgląd na córkę. Po śmierci Wandy wciąż widywaliśmy się, i to bardzo często. Bywał

naszym gościem na Topolowej, a potem i tu, na Szlaku, i chociaż jego widok każdorazowo powodował ścisnięcie mojego serca, lubiłam odwiedzić Walerego, bo przypominał mi lepsze czasy, kiedy byliśmy szczęśliwą rodziną...

Do tej pory, choć robi to rzadko, wciąż czasem komunikuje się ze mną.

Piłsudka podniosła się z fotela i zauważywszy niespokojny wzrok Karoliny, gestem dłoni nakazała jej pozostanie na miejscu. Sama wyszła z salonu i prawdopodobnie udała się do sypialni, bo już po chwili z jakiejś odleglejszej części mieszkania dobiegł odgłos wycierania nosa.

Skorzystawszy z nieobecności gospodyni, Karolina wstała ze swojego miejsca, żeby rozprostować kości. Podeszła do okna i popatrzyła na brukowaną ulicę, na której o tej porze bardzo rzadko pojawiali się przechodnie. W bladym świetle ulicznej latarni zobaczyła tylko jedną parę, otuloną ciepłymi płaszczami i szerokimi szalami, a także niedużego, chudego kota, którego nie raz już widywała w pobliżu domu. Kot miał czarno-rude futro, a jego maść była tak oryginalna, że nie sposób go było pomylić z żadnym innym dachowcem. Dziewczyna przyglądała się teraz zwierzęciu i zastanawiała się, czy aby na pewno znajdzie gdzieś szczelinę, w którą mógłby się wcisnąć, żeby się schronić przed mrozem.

Żona Wincentego dbała o bezpieczne koty, uparcie tłumacząc swojemu mężowi, że w walce z myszami i szczurami są nadzwyczaj pomocne. Dozorca jednak miał na ten temat nieco odmienne zdanie i wciąż utyskiwał, że te „cholery kiedyś zajmą całą kamienicę”. Nie potrafił jednak stanowczo przeciwstawić się żonie i kiedy kobieta zostawiała gdzieś uchylone okienko, udawał, że tego nie widzi. Dziwnym zbiegiem okoliczności populacja kotów w kamienicy pozostawała wciąż na podobnym poziomie. Pomimo tego, że na wiosnę zawsze pojawiały się młode kocięta, Wincentowa znajdowała im domy albo wywoziła gdzieś w inny koniec miasta, żeby tylko za bardzo nie dokuczały mężowi.

O tym wszystkim Karolina dowiedziała się od stróża i teraz patrząc na rudo-czarnego kota przemykającego pod ścianą sąsiedniego domu, zatroskała się, czy ten biedak będzie miał gdzie schronić się przed mrozem.

Piłsudka wróciła do salonu i kiedy Karolina usłyszała jej kroki, odwróciła się od okna. Nie potrafiła jednak oprzeć się pokusie, żeby sprawdzić, co się stało z oryginalnym dachowcem, więc znów popatrzyła za okno, ale kota tam już nie było.

– Wzięłam lekarstwa, które przepisał mi doktor, bo gdy wzruszam się, serce mi trochę szwankuje – zakomunikowała Maria, wracając na swoje miejsce. – Zużyło się bardzo to moje serduszko, bo przeżyć i uczyć miało wiele. Zbyt wiele...

Karolina miała nadzieję, że tak jak poprzednio w chwili zmęczenia Maria w odpowiednim czasie uczciwie poinformuje, że ma już dosyć wspomnienia. Na razie więc wróciła do swoich notatek.

Broniś

Następnego dnia Karolina zawitała w mieszkaniu Piłsudskiej późnym wieczorem, gdy służąca Marii wyszła już do domu. Przed południem Piłsudska wybierała się do lekarza i kiedy ustalały termin spotkania, obawiała się, że wyprawa tramwajem może ją zmęczyć. Widocznie jednak nie czuła się źle, bo kiedy Karolina wróciła ze szkoły, Hanka zapukała do jej mieszkanek i oznajmiła, że pani zaprasza ją do siebie w porze kolacji.

Wieczorem Karolina zeszła na pierwsze piętro i znów została ugoszczona przez panią Marię. Po lekkiej kolacji przeszły do salonu i w świetle lampy usiadły na swoich miejscach. Pani Maria trzymała na kolanach nieduży album ze zdjęciami, w którym znajdowały się fotografie osób i miejsc, o których tego dnia zamierzała opowiedzieć.

– Z naszym kolejnym mieszkaniem wiązało się trochę zabawnych historii – zaczęła, uśmiechając się do Karoliny. – Prawie cały dom na Topolowej 16, który po zmianach administracyjnych kilkakrotnie zmieniał swój numer, zamieszkały był przez ludzi parających się pracą konspiracyjną. Byliśmy przekonani, że stróż pracujący na tej posesji był najlepiej opłacanym dozorcą w Krakowie. Każdemu niewygodnemu władzom gościowi chodziło wszak o to, by zaskarbić sobie przychylność Antoniego, bo to on wpuszczał do domu podróżnych przybywających o najróżniejszych porach. Stróż doskonale też wiedział, które mieszkania odwiedzane są najczęściej.

Udając ślepego lub głuchego, dozorca miał się świetnie, za to w domach sąsiadujących z naszą kamienicą policja umieściła kilku szpicli, którzy dniami i nocami obserwowali drzwi i okna naszej kamienicy. Można więc powiedzieć, że przeprowadzając się na Topolową, przyczyniliśmy się znacznie do podreperowania zasobów materialnych nieokreślonej liczby osób.

O tym, że nas śledzono, wiedzieliśmy od dawna i dlatego natychmiast po przeprowadzce kupiłam grube firanki i zasłony, a w oknach salonu wychodzących na Topolową nie rozsuwałam ich nawet w dzień.

Lokal na pierwszym piętrze wzięliśmy po wyprowadzeniu się z niego Rożenów, którzy wynajmowali go przed nami. Rożenowie znaleźli sobie wygodniejsze lokum kilka numerów dalej i opuścili Topolową 16 (choć wtedy dom ten miał jeszcze inny adres) pod koniec 1905 roku. Piętro wyżej znajdowały się dwa mniejsze, puste mieszkania. W jednym z nich od razu zainstalowaliśmy moją Wandeczkę, która potrzebowała nieco spokoju do nauki, a w drugim, początkowo pustym, choć zajmowanym przez byłego Sybiraka, po przyjeździe do Krakowa zamieszkał brat mego męża, Broniś.

My z Józefem zajęliśmy trzypokojowe mieszkanie na pierwszym piętrze. Mieszkaliśmy tam we dwoje, ale trzeba pannie wiedzieć, że w tamtym czasie, aż do połowy 1906 roku, drzwi naszego mieszkania prawie się nie zamykały.

To był bardzo gorący czas, bo rewolucja 1905 roku zatrzęsała naszymi sprawami. Rozłam w PPS-ie i tworzenie przez Ziuka podwalin dla własnej organizacji spowodowały, że w domu mąż bywał rzadkim gościem i po raz kolejny w sprawach przeprowadzki nie mogłam na niego liczyć. Prawdę mówiąc, wcale tego nie oczekiwałam.

Doskonale radziłyśmy sobie z Wandeczką, a uczynni znajomi pomagali nam zawsze, kiedy tylko było trzeba. Zresztą w Krakowie czułam się już bardzo dobrze i bez tego też jakoś dałabym radę.

Ze składu żydowskiego na ulicy Szpitalnej pożyczyłam jeszcze trochę mebli, a tę komodę, którą panna widzi, i krzesła do salonu kupiłyśmy z Wandzią na własność.

Kiedy mąż mój był w Krakowie, przychodzili do nas różni ludzie, którzy potem przeważnie zostawali na kolacji. Obie z córką lubiłyśmy towarzystwo i nie miałyśmy nic przeciwko tym odwiedzinom. To nie zawsze podobało się Ziukowi, ale jak było nie ugościć wymęczonych, często zabiedzonych ludzi, którzy zdrożeni i najczęściej głodni, od progu czuli aromat domowego obiadu lub ciepłej kolacji. Wracając z podróży lub szykując się do dalekiego wyjazdu, wciągali w nozdrza zapachy domu

i po ich często zmęczonych, wychudzonych twarzach było widać, że tęsknią za domowym jedzeniem.

U nas nie było może wystawnie i bogato, ale talerz ciepłej zupy i kromka chleba znalazły się zawsze dla każdego. Co dzień gotowałam z pomocą służącej gar świeżej zupy, w którym mieściło się dużo więcej porcji, niż było nam potrzeba, i naprawdę rzadko zdarzało się, żeby zupa zostawała na następny dzień.

Kiedy gość zasiedziało się, Ziuk, mając czasem dosyć jego wizyty, zniknął za drzwiami drugiego pokoju, w którym miał swoje biurko i papiery, a my z córką zostawałyśmy słuchać opowieści o ludziach i miejscach, których nie znałyśmy. Jednak kiedy mąż długo nie wracał, przyjezdni zazwyczaj orientowali się, że pora się żegnać, więc znikali bezszelestnie, skonfundowani swą przydługą obecnością w naszym mieszkaniu.

Trochę inaczej bywało, kiedy w domu pojawiał się Sławek. Po długich naradach z mężem równie długo rozprawiał z Wandeczką, no i wtedy to ja już z nimi nie siedziałam. Szłam zazwyczaj do kuchni i zajmowałam się domowymi pracami. Ziukowi też chyba nie zawadzała obecność Sławka. Lubił go bardzo, a Walery od początku darzył męża ogromnym szacunkiem i przywiązaniem. O uczuciach Wandy nie będę opowiadać, bo wystarczyło spojrzeć na jej rozanieloną twarz, by zrozumieć, co czuje.

Tak było na Podzamczu i tak bywało na Topolowej, choć pełnia szczęścia nie trwała długo.

Rok 1906, szczególnie zaś jego drugą połowę, wspominam jako czas dla mnie tragiczny.

Obie z córką cieszyłyśmy się z przeprowadzki na Topolową, ale tej radości starczyło ledwie na kilka miesięcy.

Jak już wspomniałam, w czerwcu Walery miał ciężki wypadek, a 14 sierpnia, po kilkudniowej walce z zapaleniem wyrostka robaczkowego, zmarła moja ukochana córuchna, pogrążając mnie w bezgranicznej rozpacz.

Pochowaliśmy Wandę na wileńskiej Rossie, w kwaterze wykupionej przez jej ojca. Kilka lat później obok mojej córki spoczęły obydwie jej babki, a i ja znalazłam sobie nieopodal dobre miejsce, przy którym spoczywają brat i siostra Józefa, zmarli we wczesnym dzieciństwie.

Przez kilka miesięcy po śmierci córki całkiem nie mogłam dojść do siebie. Wciąż przesiadywałam w jej skromnym mieszkanku na drugim

piętrze, w którym tak naprawdę nie zdążyła się dobrze zadomowić. Dotykałam rzeczy i ubrań Wandeczki i płakałam niemal bez przerwy, aż wreszcie mąż zdecydował, że dla mojego dobra trzeba zwolnić puste mieszkanie. Sam znalazł lokatorów, miłą rodzinę państwa Płoskich.

Wiedziałam, że Ziuk ma rację i że dla własnego zdrowia powinnam przerwać ten stan, ale jednak zła byłam na niego, w tamtym czasie zarzucałam mężowi brak serca i zrozumienia dla moich matczynych uczuć.

Kiedy Płoscy zamieszkali na drugim piętrze, nie mogłam już tam chodzić i wtedy większość czasu spędzałam w naszym mieszkaniu. Swoją żalobę przeżywałam sama, bo Ziuk znów często wyjeżdżał, a kiedy wracał, był bardzo zajęty. Nie chciało mi się z nim rozmawiać. Zatopiona we własnych myślach, nie pytałam męża o jego sprawy, a i on nie wyrywał się, by mi o nich opowiadać. Oddaliliśmy się od siebie, ale nie mogłam nic na to poradzić. Stan mego ducha i umysłu nie pozwalał mi tak jak dotychczas troszczyć się o Józefa. Teraz potrzebowałam spokoju i przez kilka miesięcy zajmowałam się wyłącznie sobą.

W tym czasie Ziuk poznał Aleksandrę Szczerbińską, a ja, zanurzona we wspomnieniach i myślach, nie zauważyłam niebezpieczeństwa nadchodzącego z tej strony.

Piłsudska przerwała opowieść i podniosła się ze swojego miejsca. Zmarszczywszy brwi, wolno podeszła do komody, w której, jak Karolina zdążyła się już zorientować, trzymała różne cenne dla siebie pamiątki. I tym razem wydobyla z szuflady średniej wielkości drewniane pudełko ozdobione wypalnymi góralskimi wzorami.

Kiedy odwróciła się do Karoliny, uśmiechnęła się trochę smutno i przechodząc obok stołu, postawiła na nim otwarte pudełko, z którego wyjęła pożółkłe kartki i kilka fotografii.

Przesunęła to wszystko w stronę gościa, a kiedy dziewczyna zajęła się oglądaniem, wróciła na swoje miejsce i rozpoczęła przerwana opowieść:

– Pod koniec 1906 roku przyjechał do Krakowa starszy brat Józefa, Bronisław, który również skazany w procesie za zamach na cara Aleksandra III, dostał znacznie większy wyrok niż mój mąż. Początkowo carskie władze zasądziły mu karę śmierci, ale ojciec Bronisława i Józefa, Wincenty

Piłsudski, sprzedał część majątku, by opłacić kogo trzeba i uratować życie syna. Karę śmierci zamieniono Bronisiowi na katorgę. Kiedy więc Józef wyruszał na zesłanie do Tunki, jego brat jechał znacznie dalej na północ.

Po długiej tułaczce, właśnie w 1906 roku, Bronisław wrócił do Polski i pojawił się w naszym domu żałoby.

Majątek rodzinny, który do małżeństwa wniosła w wianie matka Ziuka, nie należał już do rodziny, wszystkie dzieci Piłsudskich dorosły i urządziły się jakoś, a Broniś po latach oddalenia potrzebował rodziny, spokoju i odpoczynku wśród swoich. Prawdą jest, że z całego rodzeństwa najbardziej związany był z Ziukiem, bo pozostali chłopcy byli dziećmi, gdy zesłano go na katorgę.

Bronisław zamieszkał na Topolowej w mieszkaniu znajomego, który wyjechał z Krakowa. Mieszkanie to znajdowało się piętro wyżej, dokładnie nad naszym mieszkaniem.

Pojawienie się brata mojego męża w kamienicy na Topolowej było ze wszech miar korzystną okolicznością, nie tylko ze względu na Bronisia czy na mnie, ale też z przyczyn konspiracyjnych.

Od 1903 roku odnotowywana byłam w rejestrach miasta jako osoba zamieszkała w Krakowie, ale mój mąż Józef ze względów bezpieczeństwa dotychczas się nie zameldował. Kiedy więc Bronisław udokumentował swój pobyt na Topolowej, szpiegujący nas szpicle sądzili, że to właśnie on jest moim mężem. Myślenie takie uzasadnione było jeszcze i tym, że Broniś znacznie częściej niż Józef przebywał w domu. Poza tym kiedy moja rozpacz nieco zelżała, a i jego nastrój całkiem się poprawił, wychodziliśmy czasami razem do miasta.

Nie zamierzaliśmy wyprowadzać nikogo z błędu, bo dziwna ta sytuacja zapewniała bezpieczeństwo Józefowi, a nam wydawała się całkiem zabawna.

Broniś podobny był do brata i chociaż w młodości Józef nieraz go denerwował, teraz traktował go jak najbliższego członka rodziny. Rzadko go jednak widywał, więc wszystkie ciepłe uczucia przelał na osobę, która zawsze była w domu Ziuka, czyli na mnie.

Maria westchnęła i smutno pokiwała głową, a Karolina postanowiła dowiedzieć się czegoś więcej o losach Bronisława, który wydał jej się postacią interesującą i tajemniczą.

Nigdy nie słyszała o jego istnieniu, a zdjęcie, które leżało teraz przed nią na stole, przedstawiało mężczyznę niezaprzeczalnie podobnego do Marszałka. Ciekawość Karoliny pobudzały dodatkowo notatki i dziwne przedmioty znajdujące się w drewnianym pudełku. Oglądając zdjęcia i drobiazgi niewiadomego pochodzenia, które Piłsudska kolejno kładła przed nią, Karolina poprawiła się na krześle i zapytała:

– Jak to się stało, że brat pana Marszałka uczestniczył w zamachu na życie cara?

Maria podniosła głowę i uśmiechnęła się do Karoliny.

– Do tego spisku wciągnął Bronka starszy Uljanow, brat tego rewolucjonisty od Sowietów, Włodzimierza Lenina – powiedziała. – Broniś, nie wiedząc jakim sposobem, załatwił dla zamachowców kwas azotowy, który potrzebny był, zdaje się, do wyprodukowania bomby. Kwas był stary i okazał się całkowicie nieprzydatny, więc wylali go do Newy, ale zanim do tego doszło, Bronisław uwierzył, że uczestniczy w świetnie przygotowanym zamachu.

Obaj bracia Piłsudscy starali się pomóc spiskowcom i przez jakiś czas nocowali u siebie niejakiego Kanczera, młodego Rosjanina z Petersburga. Człowiek ów korzystał nie tylko z ich gościny, ale też pieniędzy. Jednakowoż Kanczer okazał się słabym konspiratorem, a do tego podłym człeczyną i gdy schwytali go carscy hycle, wydał dokumentnie wszystkich, ze szczegółami opowiadając o całym spisku.

W ten sposób Broniś znalazł się w areszcie, a potem stanął przed sądem, gdzie dostał karę śmierci za butelkę starego kwasu, która nikomu do niczego się nie przydała. Starszy Uljanow też dostał karę śmierci, ale ten wyrok niebawem wykonano. Na szczęście dzięki staraniom ojca karę Bronisława zamieniono na piętnaście lat katorgi i powieszono Bronisia na Sachalin.

Mój mąż też stanął przed sądem jako świadek w procesie i zarówno podczas śledztwa, jak i później zeznawał właściwie prawdę. O całym spisku wiedział niewiele, chociaż, rzecz jasna, przez Bronia miał pewnie kontakt ze spiskowcami. Widocznie jednak zeznania Ziuka, w których przedstawiał siebie jako człowieka niczego nieświadomego

i niezainteresowanego tym, co się dokoła niego dzieje, wydały się na tyle niewiarygodne, że dla spokoju sumienia Ziuka też zesłano na pięć lat na Syberię. W porównaniu z innymi Józef nie miał tam wielkiej krzywdy, za to spotkał ciekawych ludzi i swoją pierwszą miłość, Leonardę Lewandowską, o której już pannie mówiłam.

Trudno nawet porównywać spokojne, choć biedne życie w Tunce, jakiego doświadczył mój mąż, z tym, przez co przeszedł Bronisław.

W każdym razie zdarzenie, w którym obaj Piłsudscy w sposób dość przypadkowy wzięli udział, rozdzieliło ich na wiele lat i oderwało od ojczyzny.

Bronisław, z natury spokojny, łagodny i nieznoszący przemocy, należał do przeciwników terroru i choć kara, jaką poniósł, niewspółmierna była do winy, przyjął ją z pokorą, a czas spędzony na zesłaniu wykorzystał nad wyraz pożytecznie.

Nieraz rozmawiałam z nim o życiu na Sachalinie i nie uwierzysz panna, jak dziwne miałam odczucia. Broniś na zesłaniu wiele lat ciężko pracował przy wyrębie drzew, ale cały wolny czas, jaki tylko udało mu się wygospodarzyć, poświęcał na badanie kultury tubylczych plemion.

Namówił go do tego Rosjanin Lew Sternberg, tak jak i on zesłaniec, z wykształcenia etnograf.

Wspólne obserwacje tak bardzo wciągnęły Bronisława, że wkrótce zaczął publikować artykuły o życiu sachalińskich ludów.

Z czasem bardzo dobrze poczuł się z plemieniem Ajnów, więc zakładał dla nich szkoły, uczył uprawy roli, higieny, a nawet próbował leczyć.

Broniś był pierwszym badaczem, który dokonał spisu członków tego plemienia.

Pewnie wydawało mu się, że pod rosyjską okupacją Ajnowie, podobnie jak i wynaradawiani Polacy, skazani są na stopniową zagładę. Oczywiście miał rację, ale działalność oświatowa, jaką tam prowadził, zdecydowanie mu pomogła i wkrótce carskie władze zaczęły liczyć się z Bronisławem.

Po jakimś czasie kolejny raz zamieniono mu wyrok, tym razem na obowiązek pobytu na Dalekim Wschodzie. Odtąd pobyt na Sachalinie stał się dla Bronisława wcale znośny.

Wiele godzin spędziłam, słuchając jego opowieści. O swoich Ajnach, Gilakach, Orokach i Mangunach Broniś mógł opowiadać bez końca. Wydawało mi się, że wśród nich radził sobie znacznie lepiej niż w kraju, do

którego wrócił po wielu latach nieobecności. Początkowo rzeczywiście zachowywał się dosyć nieporadnie i trochę mnie to martwiło. Kiedy opowiadał o życiu na Dalekim Wschodzie, czuło się, że jakaś część Bronisława tam została. Tak w każdym razie wydawało mi się krótko po jego przyjeździe.

Broniś przywiózł ze sobą mnóstwo zdjęć, dziwne przedmioty, figurki, kajety z notatkami i jakieś woskowe wałki, na których za pomocą fonografu zapisywał mowę Ajnów, ale nikt z nas słuchających go wówczas nie wierzył, żeby dało się to odczytać. Przywiózł też z Sachalina słowniki tamtejszych języków.

Przybycie szwagra wniosło do mego życia ożywczy powiew i co jakiś czas wraz z sąsiadami zbieraliśmy się w naszym salonie, żeby słuchać jego opowieści.

Mówiąc o poprzednim życiu, zapalał się i ożywiał, jakby tamten daleki świat rozciągał się teraz przed jego oczami w całej swej surowości i różnorodności.

Broniś miał dużo do opowiadania, gdyż miejscowi dopuścili go nawet do swych tajemnic, bywało, że uczestniczył w obrzędach sprawowanych przez szamanów. Siedząc w kącie, spisywał wtedy ich słowa, bacznie wszystko obserwując.

Ta mieszanina kultur i światów zafascynowała go tak bardzo, że gdy znalazł się wreszcie w Polsce, zatęsknił za tym, co tam pozostawił.

Pierwsze lata na ojczyściej ziemi nie były dla Bronisława łatwe. Trudno przystosowywał się do nowej sytuacji, a do polityki całkiem stracił zapal. Czasami swoim zachowaniem przypominał mi Ziuka po ucieczce ze szpitala w Petersburgu, bo chociaż wiele ich różniło, w sytuacjach trudnych zachowywali się podobnie. Pod wpływem zmęczenia i wyczerpania Ziuk zapadał się w sobie, a cierpienie duszy ostrą kreską zmieniał rysy jego twarzy. Podobnie było z Bronisławem, ale o moich obserwacjach i spostrzeżeniach nie mówiłam wtedy z nikim.

Z czasem już tylko ja słuchałam historii z Sachalina, bo resztę publiczności Bronisia porwał wir codziennych spraw. Prosiłam go, żeby opowiadał mi o poprzednim życiu, ponieważ wtedy ożywiało się trochę, czułam, że jest mu to potrzebne. Nie przeszkadzało mi nawet, jeżeli w trakcie rozmowy zasnął.

– Zasnął? – Karolina była zaskoczona tym, co usłyszała, a Piłsudska zmarszczyła czoło i na jej twarzy pojawiło się z troskanie.

– No właśnie! – powiedziała. – Bronisiowi zdarzało się czasem przysnąć w pół zdania, szczególnie wtedy, gdy źle czuł się psychicznie. Wydawało mi się, że to może być jakaś choroba, więc w tej sprawie radził się nawet doktorów, bo z upływem czasu te przyśnięcia zdarzały się nawet poza domem. Wyglądało to dziwnie, przecież nikt zdrowy nie zasypia w pół zdania!

Piłsudska gwałtownie wzruszyła ramionami i pokręciła głową, a kiedy spojrzała na Karolinę, miała zmarszczone brwi i lekko ściągnięte usta.

– To, co czasami działo się z Bronkiem, dziwiło i deprymowało słuchających go ludzi, więc zależało mi bardzo, żeby mu jakoś pomóc. Brat mojego męża był smutny i chory z tęsknoty za tym, co pozostawił za sobą, a w kraju swej młodości wciąż nie potrafił się odnaleźć. Z Ziukiem nie rozumieli się już tak jak dawniej, więc teraz, gdy po długoletniej zsyłce powrócił do swoich, musiał znaleźć sobie miejsce i ponawiaływać kontakty.

Mój mąż szedł swoją drogą i nie zamierzał odgrywać dawno zapomnianej roli młodszego brata. Broniś chyba tego od niego nie oczekiwał, ale bywało, że czasem ostro się posprzeczali. Jednak z tego, co opowiadał Ziuk, wynikało, że zawsze tak było. Kłótnie braci nie były więc żadną nowością.

Rewolucyjne poczynania Józefa teraz zupełnie nie pociągały Bronisława, który nie chciał już zajmować się polityką. W każdym razie tak twierdził w rozmowach ze mną.

Nieraz siadywał w naszym salonie przy oknie, z którego widać było tylko kilka kamienic po przeciwległej stronie ulicy Topolowej, odsłaniał zasłonę i bacznie wszystko obserwował. Kiedy tak wypatrywał czegoś na ulicy, która jednocześnie ciągnęła go i odpychała, zastanawiałam się, co z Bronkiem będzie dalej.

Przez pierwsze trzy miesiące najwięcej czasu spędzał w naszym mieszkaniu i wydawało mi się, że niedobrze się czuł, gdy ja z niego wychodziłam. Być może w jakimś stopniu przypominałam mu pozostawioną na Sachalinie żonę, którą poślubił w wiosce Ajnów.

Karolina ożywiła się i uważnie spojrzała na Marię.

– Czy ta kobieta pochodziła z któregoś z tubylczych plemion? – zapytała.

Piłsudska pokiwała głową i wyjaśniła:

– Żona Bronisia, Ciusamma, spokrewniona była z wodzem Ajnów. Nie wiem, kiedy Bronisław się z nią ożenił, ale odbyło się to wedle tamtejszego zwyczaju. W 1903 roku Ciusamma urodziła mu syna, Suezo. Potem na świat przyszła jeszcze ich córka, Kyou, ale Broniek nawet jej nie zobaczył, bo wkrótce po wybuchu wojny rosyjsko-japońskiej wyjechał z Sachalina. Najpierw zatrzymał się w Japonii, na wyspie Hokkaido, a potem przez Stany Zjednoczone wyruszył w podróż do Polski. Po latach tułaczki bardzo tęsknił za krajem.

Piłsudska zamilkła i odwróciła głowę w stronę okna. W pewnej chwili jej twarz rozjaśnił uśmiech. Karolina początkowo nie rozumiała jego przyczyny. Powiodła wzrokiem w kierunku, w którym patrzyła pani Maria. Na gałęzi rosnącego przed ich kamienicą bezlistnego o tej porze roku drzewka siedziały trzy wróble i najwyraźniej czymś zaaferowane, robiły sporo hałasu. Jeden z nich, ciemniej upierzony i nieco większy od dwóch pozostałych, perorował zawzięcie, jakby tłumaczył coś maluchom, które zniechęcone wreszcie lub zmęczone połajankami, zerwały się z gałęzi i odfrunęły.

– Czy pan Bronisław nie tęsknił za żoną? – zapytała wreszcie Karolina. Kobieta lekko wzruszyła ramionami.

– Chyba tęsknił. Chociaż ze mną na ten temat nie chciał mówić. Wydawało mi się czasem, że traktował mnie trochę jak matkę, co nawet nieco mnie bawiło, bo przecież byliśmy równoletkami. W tym pierwszym okresie Broniś potrzebował kogoś, komu mógłby się zwierzać, ale przyznam szczerze, że nie zawsze go rozumiałam. Staralam się jednak być miła i pewnie mi się to udało, bo w moim towarzystwie Bronisław dochodził do siebie.

– Dlaczego brat pana Marszałka nie przywiózł ze sobą rodziny? Skoro mieli ślub z Ciusammą, to chyba mogłaby z nim tutaj przyjechać?

Maria wzruszyła ramionami i lekko się skrzywiła.

– Do dzisiaj nie wiem, czy mógłby, czy nie mógłby ich przywieźć. Nieraz go o to pytałam, ale nigdy nie uzyskałam satysfakcjonującej odpowiedzi. Kiedyś Broniek próbował tłumaczyć mi, że gdyby Ciusamma opuściła plemię, zostałyby przez swoich wyklęta, ale wydało mi się to słabym wytłumaczeniem, więc zareagowałam dość ostro. Wtedy Broniś zamilkł i więcej już nie rozmawialiśmy o jego żonie.

Ziuk twierdził, że ta kobieta całkiem by tu nie pasowała, i przekonał mnie, że Broniś dobrze o tym wiedział...

Maria zawiesiła głos, a Karolina patrzyła na nią, czekając na dalszy ciąg opowieści.

– Nie rozumiem, jak można postąpić tak z własną rodziną! – zaczęła wreszcie dziewczyna, nie kryjąc zniecierpliwienia, ale natychmiast pożałowała zarówno swoich słów, jak i tonu, jakim je wypowiedziała. Nie chciała zrobić Marii przykrości, ale niechcący to uczyniła. Piłsudska splótła oparte na kolanach dłonie i mocno zacisnęła palce, a Karolina odebrała ten gest jako przejaw zdenerwowania i zrobiło jej się przykro. Wcale nie chciała wydać się niegrzeczna, ale stało się i raz wypowiedzianych słów nie można już było cofnąć.

Bronisław Piłsudski porzucił swoją żonę. Józefa też tu już nie było, ale nie tylko oni pozostawiali najbliższych. Z upływem lat Maria dokonywała rzetelnego rozrachunku ze swoim życiem i niejednokrotnie myślała o własnym postępowaniu. Pierwsze małżeństwo oraz ilość czasu, który poświęciła córce, wywoływały u niej żal do samej siebie i tęsknotę za tym, do czego żadną miarą nie można było wrócić.

Maria podniosła się i Karolina odebrała to jako sygnał do zakończenia sąsiedzkiej wizyty. Szybko poderwała się z krzesła, ale gospodyni gestem zatrzymała ją na miejscu.

– Proszę jeszcze pozostać – poprosiła zwykłym tonem, w którym nie było śladu żalu czy urazy.

Dziewczyna zawahała się, ale usiadła.

– Nie chciałabym przeszkadzać, może pani zmęczona – powiedziała, ale Maria pokręciła tylko głową i ponownie podeszła do dębowej komody. Tym razem otworzyła środkową szufladę, pełną jakichś notatek i szpargałów, po czym zaczęła energicznie w niej grzebać.

– Tu gdzieś mam jeden kajet... – wysapała, bo czynność ta okazała się nie być wcale łatwa. W szufladzie znajdowało się dużo papierów i wyjęcie ich sprawiło Marii trudność.

Karolina wstała, gotowa jej pomóc, ale w tym momencie twarz Piłsudskiej opromienił tryumfalny uśmiech.

– Mam! – wykrzyknęła z radością i z dna szuflady wyciągnęła zniszczony kajet, którego poźółkłe kartki słabo osłaniała naddarta okładka. Maria cofnęła się kilka kroków i przysiadła na odsuniętym od stołu krześle.

Położyła zeszyt przed sobą na blacie i bardzo uważnie, jakby dotykała niezwykle cennego przedmiotu, zaczęła przekładać kartki.

Karolina stanęła za plecami sąsiadki i przez jej ramię spoglądała na odnaleziony skarb.

Litery zbladły, ale wciąż jeszcze były widoczne. Kolejne stronicę pokrywało równe, lekko pochylone pismo, a na niektórych kartkach znajdowały się rysunki lub graficzne obrazy terenu lub jakichś bliżej nieznanych sprzętów.

– To jest jeden ze skarbów Bronisia – wyjaśniła Maria, a w jej głosie pobrzmiwało wzruszenie. – Chyba pierwszy, a może drugi zeszyt... Miał ich zresztą dużo.

Kiedy pierwszy raz rozłożył na stole te swoje notatki i zaczął spisywać z nich wszystko to, co wydawało mu się najważniejsze, wiedziałam, że mój szwagier zaczyna zdrowieć. W końcu tak się tym wszystkim zabawił, że prawie nie można go było odciągnąć od tej roboty.

Było z tym zresztą trochę zachodu, bo swoimi papierzyskami zajmował w naszym mieszkaniu prawie cały stół.

Chociaż Ziuk często wyjeżdżał, Broniś nigdy nie siadał przy jego biurku, bo wiedział, że brat byłby z tego niezadowolony. Znał przecież zwyczaje i upodobania Józefa z czasów, kiedy jeszcze mieszkali razem.

Bronisław przychodził do nas zazwyczaj z rana i od tej pory jedyny duży stół w naszym mieszkaniu był przez większość dnia zavalony jego pisaniną. Mnie od tego wszystkiego czasami robiło się słabo, ale nic nie mówiłam. Wtedy właśnie, po okresie największej żałoby, zaczęłam znowu wychodzić z domu. Nieraz umawiałam się z kimś na mieście, a czasem sama krążyłam po ulicach i miejscach, w których niegdyś bywałam z Wandeczką. Rana powoli zablizniała się i nie piekła już żywym ogniem, jak w pierwszych miesiącach po śmierci mojego dziecka. Wracalam do życia, a z tego co pamiętam, Bronisiowi też znacznie się polepszyło. Kiedy zajmował się pracą, zdrowiał, aż w końcu i on zaczął wychodzić i spotykać się z ludźmi.

– Całkiem wyzdrowiał? – zapytała Karolina, na powrót siadając przy stole. Maria przesunęła w jej kierunku zeszyt z notatkami Bronisława Piłsudskiego i dziewczyna delikatnie, jakby dotykała relikwii, zaczęła przekładać jego stronicę.

– Nie wiem, czy całkiem, ale na pewno czuł się już dużo lepiej, chociaż te nagłe zaśnięcia jeszcze mu się zdarzały. Z tego co wiem, w późniejszych latach też nie pozbył się tej przypadłości. Ważne jest jednak, że ogromna praca, którą wykonał na Sachalinie, nie zmarnowała się, i brat mojego męża utrwalił ją w publikacjach i odczytach.

Nie było mu wcale łatwo. Bezcenne materiały i pamiątki, które ze sobą przywiózł, nie bardzo interesowały rodaków. Trochę publikował w zagranicznych pismach podróżniczych, ale w kraju zainteresowanie jego zbiorami było niewielkie, toteż część z nich po prostu sprzedał.

Broniś nie był z wykształcenia etnografem, to przeszkadzało mu w zrobieniu kariery naukowej, ale miał rozległą wiedzę i tyle zgromadzonego materiału badawczego, że profesorowie uniwersytetu zapraszali go na prelekcje.

W końcu dostał propozycję wyjazdu do Władywostoku i objęcia stanowiska kustosza tamtejszego muzeum, ale ją zignorował. Widocznie nie ciągnęło go już na Daleki Wschód...

Znalazł sobie wyboistą ścieżkę, na której poczuł się pewnie i którą znów kroczył śmiało ku własnym celom. Po pierwszej wyprawie do Zakopanego, którą odbyliśmy razem latem 1907 roku, zaczął wyjeżdżać tam sam i tak mocno zaangażował się w pracę na rzecz muzeum regionalnego, że przeniósł się pod Giewont razem ze swoimi kajetami, wałkami i całym skromnym dobytkiem.

– A co z rodziną pana Bronisława? Oczywiście mam na myśli żonę i dzieci – zapytała Karolina, bo ten aspekt życia wielkiego etnografa nie dawał jej spokoju.

– Z tego co wiem, więcej ich już nie widział – odpowiedziała Maria, a Karolina tym razem postanowiła już niczego nie komentować. Wkrótce okazało się, że miała rację, gdyż Maria, nieponaglana w żaden sposób, i tak opowiedziała jej dalszy ciąg dziejów Bronisława.

– Niech no panna tylko nie myśli, że do końca swych dni pozostał sam. Jeszcze mieszkając w Krakowie, odnowił znajomość ze swoją dawną sympatią z czasów młodości, Marysią Bieniewiczówną.

W czasie gdy Bronisław przebywał na Syberii, Marysia wyszła za mąż za urzędnika carskiego, ale gdy jej dawny ukochany wrócił, pani Żarnowska z domu Bieniewiczówna zaczęła regularnie z nim się spotykać.

– A co na to jej mąż? – zapytała Karolina, patrząc na Marię okrągłymi ze zdumienia oczami.

Piłsudka wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się trochę krzywo.

– Tego nie wiem, ale można się przecież domyślić... Maria zamieszkała z Broniem jak z mężem i bywała z nim w różnych miejscach. Ludziom, którzy nie znali ich historii, przedstawiali się jako małżeństwo i przez jakiś czas na pewno byli szczęśliwi. Jeździli do Karlsbadu i Zakopanego, gdzie mieszkali w chałupie Tomka Chyca Olesiaka. Polecił mu ją Ziuk, bo doskonale znał gospodarza. Broniś widocznie też upodobał sobie to miejsce, bo przywiózł tam swoją Marysię.

Karolina uważnie przyglądała się gospodyni, która mechanicznie przesuwając palce prawej ręki po blacie stołu, uśmiechała się do swoich wspomnień.

Dziewczyna nie rozumiała świata, o którym opowiadała jej sąsiadka, a już jego sfera obyczajowa była dla niej całkowicie niezrozumiała i dziwna. Zwyczajnie niektórych ludzi, którzy przez swoje zaangażowanie i poświęcenie sprawie odzyskania niepodległości stanowili kiedyś dla jej ojca wzór patriotyzmu, zupełnie nie godziły się z tym, co wpajano jej w rodzinnym domu. Świętość małżeńskiej przysięgi łączącej dwoje ludzi wydawała się Karolinie tak naturalna i oczywista jak to, że ojciec poległ za ojczyznę, bo udział w wojnie uważał za swój obowiązek i powinność. Wprawdzie zostawił matkę i dwoje dzieci, ale dzięki takim jak on Karolina i jej brat żyli teraz w wolnej Polsce. To była jedyna zdrada, jakiej dopuścić się ojciec – zostawił rodzinę dla Polski.

Święcie w to wierzyła, bo to zwykle słyszała od matki, wpajającej swoim dzieciom wartości, które wydawały się Karolinie niepodważalne. Do tej pory...

– A co z rodziną tej pani?... – zapytała Karolina cicho i bardzo możliwe, że Maria nie usłyszała pytania, bo nie odpowiedziawszy wprost, ciągnęła dalej swoją opowieść:

– Chyba było im ze sobą bardzo dobrze, bo Maria nie wracała do męża. Trwało tak ze dwa lata, ale potem zachorowała na raka gardła i wszystko się zmieniło. Żarnowski kochał żonę, więc załatwił jej operację w Petersburgu, gdzie mieszkał z ich dziećmi. Maria pojechała tam na jakiś czas. Operacja udała się, ale kiedy tylko kobieta poczuła się lepiej, wróciła

do Bronisława. Znów byli razem, a o to, co robił w tym czasie pan Żarnowski, proszę nie pytać, bo tego nie wiem.

Wstrętna przypadłość ma jednak to do siebie, że czasem wraca. Broniś zabrał Marysię do Paryża, ale wtedy jej choroba zaatakowała ze zdwojoną zajadłością. Jego ukochana bardzo podupadła na zdrowiu, a Broniś jak zwykle nie miał pieniędzy na jej leczenie. Wtedy wysłał depezę do Żarnowskiego albo może Marysia napisała do męża, dość, że Jan pojechał po żonę do Paryża, żeby przywieźć ją do kraju...

Co tam się działo w tym Paryżu, tego nie wiem, bo Broniś nie kontaktował się wtedy ze mną.

Być może pisał do Józefa, ale ja o niczym nie wiedziałam. Po śmierci Wandeczki życie innych nie interesowało mnie tak bardzo jak dawniej, a był nawet czas, że w ogóle odechciało mi się żyć...

Rok później Marysia zmarła... – Głos pani Marii lekko się załamał i Karolina nie wiedziała, czy spowodowało to wspomnienie smutnej historii Marii Żarnowskiej, czy raczej wcześniejsze wspomnienie przedwcześnie zmarłej córki.

– Kilka lat po jej śmierci Bronisław napisał wreszcie do mnie krótki list, ale ani słowem nie wspomniał w nim o Marysi. Powiadomił mnie, że dużo podróżował między Szwajcarią, Paryżem a Zakopanem. Doskonale wiedziałam o tym, bo znałam działania Towarzystwa Ludoznawczego, którego był członkiem i jednym z założycieli. Napisał do mnie, że w końcu osiadł w Paryżu i wstąpił do Komitetu Narodowego Polskiego, którego twórcą był Roman Dmowski.

Jego list, choć krótki i niezbyt składny, zrobił mi dużą przyjemność, bo Broniś rzadko się odzywał, jakby zapomniał, że w ogóle istnieje.

To, że pod koniec życia brat mojego męża związał się z obozem narodowym, nie zdziwiło mnie specjalnie. Zawsze trochę rywalizował z Józefem i choć kochali się bardzo, w wielu sprawach mieli różne zdania. Broniś zarzucał Ziukowi egoizm i stawianie zawsze siebie na pierwszym miejscu, w każdej sprawie. Nie mogliby ze sobą współpracować, więc ich drogi rozeszły się całkowicie, ale lubiłam Bronisia i chociaż nie wszystko mi się w nim podobało, to jednak czas, kiedy mieszkaliśmy w jednej kamienicy, bardzo nas zbliżył... – Maria zawiesiła głos, ale Karolina nie odzywała się, przekonana, że na temat listu brata Marszałka nie wszystko jeszcze zostało powiedziane. Nie myliła się.

– Ten list, ostatni znak od brata mojego męża – zaczęła Maria wolno i nieco ciszej – był dla mnie ważny z innego jeszcze powodu. W końcowym zdaniu Bronisław przesłał mi serdeczne pozdrowienia od Romana Dmowskiego i nie ukrywam, że mnie tym wzruszył...

W 1918 roku Broniś utonął w Sekwanie. Ludzie sądzą, że popełnił samobójstwo i, szczerze mówiąc, nie dziwiłoby mnie to zupełnie, bo doskonale wiem, jak bardzo się męczył, kiedy bywał w złej formie. Myślę jednak, że skoro zdarzały mu się te dziwne zaśnięcia, mógł całkiem niechcący wpaść do wody i utonąć.

Dawniej, w Zakopanem, bałam się o niego, kiedy wychodził w góry, wtedy przestrzegałam go, żeby uważał, bo w takim stanie może zlecieć i zrobić sobie krzywdę, jednak wtedy nie bardzo mnie słuchał.

Maria westchnęła głęboko i wyciągnęła z rękawa swetra niewielką białą chusteczkę, którą wytarła nos. Kiedy spojrzała na Karolinę, na jej twarzy widać było zmęczenie. Dziewczyna uśmiechnęła się i odsunęła razem z krzesłem od stołu. Teraz wiedziała na pewno, że powinna już zakończyć wizytę.

– Chyba panią zanudzam? – zapytała Maria, uśmiechając się do Karoliny.

– Nie, absolutnie nie! Jest mi bardzo miło słuchać tych wspomnień, ale wydaje mi się, że jest pani zmęczona, a nie chciałabym stać się przyczyną złego samopoczucia.

Maria pokiwała głową.

– To prawda, czasami wieczorem czuję się nie najlepiej i wtedy brakuje mi mojej Hani. Nie może jednak siedzieć tu ze mną bez przerwy. Kiedy czuję się gorzej, Hania zostaje czasem na noc, ale staram się nie nadużywać jej uprzejmości. Ona ma chorego męża i jego też nie może zostawiać samego... Tyle tu pustych pomieszczeń...

Maria bezradnie rozłożyła ręce, ale natychmiast odgoniła smutne myśli i na twarz przywołała nieco wymuszony uśmiech.

– Na szczęście jakoś sobie radzę – powiedziała – a poza tym potrzebuję spokoju. Polubiłam swoją samotność, a w każdym razie chyba się do niej przyzwyczyłam.

Karolina przysunęła krzesło do stołu i stała teraz obok niego, przyglądając się Piłsudskiej. Czuła się trochę niezręcznie.

– Jeżeli mogłabym jakoś pomóc, to chętnie zastąpię Hanię... – zadeklarowała. – Jestem taka wdzięczna za to, że mogę słuchać pani

wspomnień.

Maria popatrzyła na Karolinę, a zmęczenie i piętno choroby znikły na chwilę z jej twarzy.

– Nic mi nie potrzeba. Nie musi się pani kłopotać, ale... – Piłsudska zawiesiła głos, patrząc teraz uważnie na Karolinę. – Czy umie pani piec ciastka?

Dziewczyna powoli pokręciła głową i nagle uświadomiła sobie, że nie ma wielu umiejętności potrzebnych do prowadzenia gospodarstwa.

– Jakoś nie było okazji. Kiedy pojedę do domu na wakacje... – powiedziała, ale Piłsudska nie dała jej dokończyć:

– Nie trzeba czekać aż do wakacji, chętnie pannę nauczę. Moją Wandeczkę sama wszystkiego uczyłam i niektóre ciasta robiła wprost wyborne... Miała talent do gotowania, ale nie tylko do tego, do innych rzeczy też. Dobrze się uczyła, była ładna... Naprawdę bardzo ładna...

Maria pociągnęła nosem, a na jej twarzy znów pojawił się cień zmęczenia.

– Czasem myślę, że moja córeczka ciągnie mnie do siebie... Tu zresztą niewiele mam do roboty. Bardzo tęsknię za Wandą i nie mogę sobie wybaczyć, że tak mało miała mnie za życia... – wyszeptała ledwie słyszalnym głosem, ale nagle przypomniała sobie o obecności Karoliny i nie chcąc rozstawać się z nią w smutku, dodała: – Zapraszam znowu, jeżeli tylko ma pani ochotę do mnie zaglądać!

Mówiąc to, bacznie przyglądała się twarzy dziewczyny, jakby chciała wyczytać z niej prawdziwą odpowiedź na swoje pytanie, ale Karolina nie zamierzała jej oszukiwać.

– Bardzo chętnie będę dalej korzystać z pani zaproszenia – odpowiedziała i uśmiechnęła się szeroko, po czym skierowała się do drzwi na korytarz.

Pomimo różnicy wieku dziewczyna coraz lepiej czuła się w towarzystwie Marii i wciąż zadawała sobie pytanie, jak to w ogóle jest możliwe. Ciotki i nieliczne grono znajomych jej matki wydawały się Karolinie nudne, a przede wszystkim irytująco wścibskie. Piłsudska zaś, chociaż starsza od niej, miała w sobie tyle uroku i delikatności, że Karolina mogłaby słuchać jej bez końca.

Maria podniosła się z fotela i szła teraz niespiesznie, odprowadzając swojego gościa do drzwi. Kiedy były w połowie korytarza, zatrzymała się nagle, jakby coś sobie przypomniała albo potrzebowała odpocząć. Karolina

odwróciła się, żeby sprawdzić, co zatrzymało gospodynię, i zauważyła, że kobieta zmarszczyła czoło, jakby usilnie chciała sobie coś przypomnieć.

– Bronisław Piłsudski został pochowany na cmentarzu w Montmorency pod Paryżem – oznajmiła w końcu. – Ktoś ze znajomych, nie pamiętam już kto, przysłał mi skromną relację z tej uroczystości... Na jego pogrzebie większość żałobników stanowili członkowie Komitetu Narodowego Polskiego.

Zakopane

Odkąd zamieszkaliśmy w Krakowie, bardzo często odwiedzaliśmy Zakopane – powiedziała Maria przy następnym spotkaniu z Karoliną. – Stąd jest naprawdę blisko w Tatry, ale gdy sięgam pamięcią w jeszcze odleglejsze czasy, przypominam sobie, że to miejsce było zawsze szczególnie bliskie wszystkim osobom związanym z moim mężem.

Podhale odwiedzaliśmy, jeszcze zanim sprowadziliśmy się do Krakowa, bo Ziuk uwielbia tamtejsze powietrze i pod Tatrami zawsze szybko dochodzi do zdrowia.

W Zakopanem rodziły się wielkie plany, a podczas górskich wycieczek mąż mój obmyślał kolejne działania, wymagające z jego strony dużego skupienia. Pewnie dlatego czas, który ludzie zazwyczaj poświęcają odpoczynkowi, w naszej rodzinie wyglądał zgoła inaczej.

Wycieczki górskie, które odbywaliśmy w towarzystwie przyjaciół i znajomych, były chyba jedynym czasem, kiedy nie gadało się o polityce, ale już wieczorne rozmowy zamieniały wypoczynek Ziuka w wojskowe koszary.

Tak było od początku naszego małżeństwa, ale w końcu przyszedł i taki czas, że w wyjazdach do Zakopanego nie towarzyszyłam mężowi. To stało się jednak dopiero później. Kiedy Ziuk jechał ze swoimi podkomendnymi, ja często pozostawałam w naszym mieszkaniu na Szlaku, by tu pilnować interesów.

Maria przerwała, bo jej głos jakby trochę się załamał, ale chrząknęła, zakasła cicho i już po chwili, poprawiwszy się w fotelu, kontynuowała opowieść:

– W Zakopanem rodziły się czasem całkiem szalone pomysły. Wcielano je później w życie, z dobrym lub nieco gorszym skutkiem. To tam chyba

ktoś wpadł na pomysł, żeby pieniądze na bieżące potrzeby organizacji bojowej PPS i uzbrojenie ochotników pozyskiwać z napadów... Mizerne fundusze nie wystarczały na bieżące potrzeby powstającej organizacji bojowej, a ze skromnych datków nie można było uzbroić wojska.

Karolina kiwnęła głową. Wcześniej już słyszała o dziwnym sposobie zdobywania funduszy, jednak w dalszym ciągu nie potrafiła ukryć, że ta wiadomość nieco ją szokuje. Spojrzała przelotnie na Piłsudską i żeby nie pokazywać prawdziwych emocji, nisko spuściła głowę.

Maria zauważyła, jak duże wrażenie na młodej i wrażliwej dziewczynie robią te informacje, ale nastrój, w jakim była tego dnia, powodował, że miała ochotę mówić również o mniej przyjemnych rzeczach.

– Rabowali? – zapytała Karolina, nie podnosząc głowy. Właśnie kolejny raz starała się pogodzić obowiązujący w jej domu idealny portret Marszałka z informacją, która nie do końca do niego pasowała. – Nie rozumiem...

– Tak – powiedziała Maria twardo. – Nie wyobrażaj sobie panna, że wojnę da się robić bez pieniędzy lub ze skromnej jałmużny ziemian, powstańców styczniowych i starych panien!

Patrzyła na dziewczynę chmurnym wzrokiem, a widząc delikatny rumieniec, jakim pokryły się policzki Karoliny, dodała:

– Karabiny, mundury, wyżywienie i bieżące sprawy, jak choćby zatrudnienie ludzi, którzy przecież muszą coś jeść i z czegoś żyć, to są koszty, których nie jesteśmy sobie w stanie wyobrazić. Odezwy, ulotki, cała praca kancelaryjna też przecież kosztują, a oni nie mieli żadnych dochodów, oprócz wpływów z gazet i datków ofiarowywanych przez takich ludzi jak panna Wiktoria Dąbska, o której opowiem później! Akcja pod Bezdanami była trudna i niebezpieczna, ale dzięki niej zdobyli duże pieniądze na potrzeby organizacji. Najpierw Prystorowa wynajmowała mieszkanie w okolicy dworca w Bezdanach, żeby obserwować stację i dostarczać informacji potrzebnych do realizacji zadania...

Maria zamyśliła się, a na jej twarzy pojawił się lekki grymas bólu, który Karolina zinterpretowała jako czysto fizyczny, związany z chorobą, jednak już po chwili zrozumiała, że prawdopodobnie miał on źródło gdzie indziej.

– Czy ta pani długo tam mieszkała? Całkiem sama? – zapytała.

– Chyba ponad tydzień, ale dokładnie nie pamiętam – powiedziała Maria, mocno przy tym marszcząc brwi. – Była z nią jeszcze jedna kobieta... – dodała, a wyraz jej twarzy zmienił się tak bardzo, że Karolina wołała nie

pytać, o jaką kobietę chodzi. – Ja nie byłam w to zaangażowana i chociaż podczas przygotowań Ziuk wpadał czasem do Krakowa, mieliśmy wówczas ze sobą kontakt głównie listowny... Wtedy trochę słabowałam i przez jakiś czas wydawało mi się, że jestem przy nadziei... Cieszyłam się bardzo, ale też bałam się, bo tak naprawdę wcale nie miałam powodów do radości...

Karolina zaczęła intensywnie myśleć, próbując bez zadawania dodatkowych pytań uchwycić sedno tego, o czym mówiła Maria. Nie można było nie zauważyć, że w 1908 roku, kiedy miała miejsce akcja pod Bezdunami, Piłsudska liczyła sobie już ponad czterdzieści lat, co nie jest najlepszym czasem na macierzyństwo.

– Zawsze chciałam mieć więcej dzieci, ale po śmierci Wandeczki pragnienie to stało się dla mnie prawdziwą obsesją. – Maria mówiła teraz cicho i spokojnie, choć głos jej całkowicie zmienił barwę. Czując doniosłość chwili, Karolina bała się nawet poruszyć, by w jakiś sposób nie zakłócić zwierzeń.

– W roku śmierci Wandeczki mój mąż poznał Aleksandrę Szczerbińską, młodszą ode mnie o piętnaście lat pannę, która, tak jak ja kiedyś, angażowała się w pracę konspiracyjną i polityczną. Ziukowi zawsze się to podobało. To ona mieszkała z Prystorową w Bezdanych...

Wiadomość o tej kobiecie zgnębiła mnie jeszcze bardziej i chociaż wcale nie miałam siły walczyć, od początku czułam, że moje małżeństwo jest poważnie zagrożone. Starłam się więc, jak umiałam, ratować to, co z niego zostało, i kiedy Ziuk bywał w domu, próbowałam zapomnieć o własnych zgryzotach i uparcie grać rolę dobrej żony. Chyba mi się to nawet udawało, wszak miałam powody, by sądzić, że moja ciąża w tym czasie jest całkiem możliwa. Niestety, nadzieje okazały się próżne, a miast dziecka pojawiły się poważne kłopoty zdrowotne zakończone operacją. To też jednak zniosłam jakoś i – jak widać – przetrwałam...

Piłsudska wstała ze swojego miejsca i przeprosiwszy Karolinę, wyszła z salonu. Dziewczyna domyśliła się, że gospodyni opuściła mieszkanie, żeby udać się do toalety, która znajdowała się na końcu balkonu wychodzącego na podwórze domu przy Szlaku.

Karolina i lokatorzy z parteru korzystali ze wspólnej ubikacji, ale Piłsudscy mieli do dyspozycji własną niedużą toaletę, do której trzeba było dostać się, przechodząc po nieosłoniętym od wiatru balkonie. Lepsze jednak było maszerowanie przez balkon do własnej ubikacji niż korzystanie

ze wspólnej. To była dodatkowa wada taniego pokoju, na którą Karolina nie mogła zupełnie nic poradzić.

Kiedy Maria wróciła do mieszkania, jej twarz nie była już smutna. Minęła drzwi salonu i zajrzała do kuchni, z której przyniosła talerz czerwonych jabłek i mały srebrny nożyk. Zanim usadowiła się z powrotem w fotelu, stanęła przy stole i obrała duże jabłko. Pokroiła je na ćwiartki i przełożyła na talerzyk. Ten postawiła na małym stoliku należącym kiedyś do jej męża, a duży talerz z jabłkami przesunęła w stronę Karoliny.

– Po akcji w Bezdanach Ziuk ze Sławkiem i Prystorem pojechali do Zakopanego, żeby omówić bieżące problemy i zaplanować kolejny skok, którym miał być napad na kasę w Mozyrzu. W końcu jednak do niego nie doszło.

Do Zakopanego jeździliśmy razem aż do 1907 roku, ale później wszystko się pozmieniało i mój mąż zaczął traktować wyjazdy w góry jako narady wojenne. Wtedy już całkiem nie byłam mu potrzebna...

Ziuk ze swoimi współpracownikami odpoczywał w Zakopanem albo szykował kolejne akcje, ale latem 1907 roku, gdy po raz pierwszy zabraliśmy do Zakopanego Bronisia i naszego sąsiada Edmunda Płoskiego, razem spędziliśmy wakacje. Mąż mój jak zwykle pochłonięty był swoimi myślami, ale ja czas ten wspominam bardzo mile.

Wycieczki w góry urządzaliśmy zwykle w większym gronie. Oboje z mężem byliśmy już dobrze zaprawieni w wędrówkach i poznaliśmy wiele górskich szlaków, których nie znali inni.

Józef dobrze czuł się w Tatrach i w gronie bywalców Zakopanego uchodził za świetnego przewodnika, szczególnie dla nowych adeptów sztuki górskiego wędrowania.

Latem 1907 roku zrobiliśmy kilka dłuższych wypraw, między innymi do Morskiego Oka – przez Halę Gąsienicową, Czarny i Zmarzły Staw, Zawrat i Świstówkę.

Kiedy trzeba było przechodzić przez góry z pomocą łańcuchów i klamer, postanowiliśmy z mężem i Płoskim oddzielić się od towarzystwa i przebyć dalszą drogę źlebem. Trasa ta jednak okazała się trudna i niezbyt bezpieczna. Druga część grupy pokonała niewielki, choć trudny odcinek znacznie prędzej niż my i długo czekała na nasze przybycie.

Na miejsce spotkania dotarliśmy wreszcie bardzo zmęczeni i całkowicie zmoknięci.

Przenocowawszy w schronisku, wracaliśmy na drugi dzień z Morskiego Oka w kierunku Zakopanego i mój mąż wpadł na pomysł, żeby skrócić wędrówkę, omijając szlak. Kiedy weszliśmy w leśne ostępy, zabłądziliśmy i miast skrócić drogę, wydłużyliśmy ją, klucząc po lesie. Nie było to mądre postępowanie i mieliśmy szczęście, że nic złego się nie stało.

Najbardziej jednak ze wszystkich ryzykowna okazała się wyprawa przez Liliowe. Trasę wycieczki obmyślił Ziuk, zupełnie nie wiedząc, jak strome i niebezpieczne zejście nas czeka.

Nie będę ukrywać, że atmosfera panicznego strachu, jaka opanowała kobiety uczestniczące w wyprawie, udzieliła się też i mnie. Wprawdzie wszystkie ubrane byliśmy w spodnie i wygodne do wędrowania buty, ale okropna stromizna, jaka ukazała się naszym oczom, napawała nas prawdziwym przerażeniem. W pewnej chwili zrozumiałam, że Ziuk zupełnie nie orientuje się, którędy nas sprowadzić, i gdyby nie pojawienie się grupy wędrowców prowadzonych przez górala, nasza wycieczka skończyłaby się tragicznie.

Ziuk i tym razem miał sporo szczęścia, czego, rzecz jasna, Broniś nie omieszkał skomentować, ale wyprawa zakończyła się szczęśliwie i prócz wielkiego strachu nic złego się nie stało. Wszyscy skorzystaliśmy z opieki Anioła Stróża, który nie raz bezpiecznie doprowadzał Józefa do domu.

Następnego dnia wracaliśmy łagodną drogą przez Polski Grzebień do Zakopanego i tu, chociaż trasa była łatwa, mąż mój zasnął i sporo czasu minęło, zanim poczuł się na tyle dobrze, by iść dalej.

To była ostatnia tak forsowna wyprawa, bo od tego zdarzenia Józef poniechał niebezpiecznych wycieczek. Miał później zresztą przy sobie wielu takich, którzy nie dopuściliby do tego, żeby Komendant się narażał.

Po 1907 roku podejście Ziuka do wyjazdów w góry uległo zmianie. Zakopane z uroczego miejsca wypoczynku przeobraziło się w miejsce pracy.

– A pani? Przestała pani jeździć do Zakopanego? – zapytała Karolina, uważnie przyglądając się Marii.

– Nie – odpowiedziała Piłsudska, gwałtownie kręcąc głową. – Bywało, że jeździliśmy osobno, bo kiedy współpracownicy mojego męża wybierali się z nim, żeby się naradzać, kobiety wcale nie były im potrzebne. Wtedy mieszkali zwykle w pobliżu siebie w góralskich chałupach, żeby nie tracić czasu na dochodzenie lub dojazdy.

Kiedy zaś do Zakopanego jeździliśmy razem, zatrzymywaliśmy się czasem w Witkiewiczówce u Stasia Witkiewicza, kuzyna i prawdziwego wielbiciela Józefa. Potem wynajmowaliśmy pokój u Zaruskich, ale na kilka lat przed wojną Ziuk upodobał sobie chałupę Chyca przy samej drodze do Poronina, więc to właśnie tam jeździł z Walerym, Sosnkowskim i innymi...

U Witkiewiczów byliśmy kilka razy, zawsze nas tam chętnie goszczono.

Staś Witkiewicz chorował na płuca i dlatego na stałe przeniósł się do Zakopanego, gdzie mieszkał z rodziną i tworzył. Nie on jeden traktował klimat tego miejsca jako terapię dla swojego zdrowia, również Stefan Żeromski przyjeżdżał tam często, żeby leczyć się z gruźlicy, ale w jego towarzystwie mój mąż nieraz czuł się źle. Początkowo wszystko było w porządku, ale z czasem zaczęły ich różnić poglądy i w końcu Żeromski odsunął się od obozu Ziuka. Wydaje mi się, że miało to jakiś związek ze sprawą literata Stanisława Brzozowskiego, który pisywał dla młodzieży. Nie pamiętam już, w jakich okolicznościach padło na niego podejrzenie, że jest carskim agentem, ale wtedy w środowisku kulturalnym Galicji rozpętała się prawdziwa burza. Zwolennicy i przeciwnicy Brzozowskiego poróżnili się z sobą, a mnie przychodziło nieraz wysłuchiwać żalów obu stron, które nie potrafiły już znaleźć wspólnego języka. Później doszłam do wniosku, że sprawa ta potrzebna była do tego, żeby drogi osób, które i tak za sobą nie przepadały, mogły się w końcu bezpowrotnie rozejść. Zawsze przecież znajdzie się jakiś powód...

Za Żeromskim nie przepadał też Walery, który kilkakrotnie przyjeżdżał do Zakopanego w czasie, kiedy i my tam byliśmy. Raz przywiózł tam ze sobą swojego przyjaciela Reymonta, a potem odwiedzali nas też w Krakowie.

Kiedy pan Władysław z Walerym bawili w naszym domu, śmiechom nie było końca. Młodzi panowie wspominali szkolne lata, które dla obu były pasmem bardzo wielu porażek. Kiedy słuchałam ich opowieści, cieszyłam się w duchu, że miałam córkę, bo z synami jest zawsze większe utrapienie...

Mówiąc to, pani Maria ze spodu pudełka wyciągnęła dwa zdjęcia przedstawiające rozbawione towarzystwo na werandzie góralskiego domu.

– Atmosfera Witkiewiczówki bardziej sprzyjała zabawie niż pracy – oznajmiła, z uśmiechem podając zdjęcie Karolinie. – Do codziennych zajęć odwiedzających ją gości należały wędrówki po górach, a dla leniwych wczasowanie na werandzie. Potem wieczorne rozmowy, karty przy winie

lub jakiejś nalewce. Czasem graliśmy w gry towarzyskie albo robiliśmy przedstawienie. Niby nic wielkiego, zwykłe głupstwa, ale zabawa była przednia.

Wieczorami w Witkiewiczówce pojawiali się nie tylko jej mieszkańcy i goście, ale także znajomi i znajomi znajomych, z czego nieraz robił się całkiem pokaźny korowód postaci.

Nie dla wszystkich było to dobre. Ja czułam się tam wspaniale, ale Ziuka męczył różnorodny tłum przewijający się przez dom Stanisławów. Malarze, poeci oraz miejscowi społecznicy często działali mu na nerwy. Lubił ich, a w każdym razie na pewno niektórych darzył sympatią i szacunkiem, ale wciąż zaprzątnięty myślami, nie potrzebował częstego towarzystwa ludzi.

Witkiewicz, pełen uwagi i zrozumienia dla potrzeb kuzyna, starał się zapewnić mu potrzebny spokój, ale gdy Zakopane ostatecznie przestało być dla Ziuka miejscem wypoczynku, znalazł sobie inne kwatery w górach, gdzie było spokojniej.

Piłsudka trochę posmutniała, ale już wkrótce jej twarz rozpozodził szeroki uśmiech.

– To były, rzecz jasna, już późniejsze czasy. W latach, kiedy w Zakopanem bywaliśmy razem, spotykaliśmy wielu literatów. Przyjeżdżał Wacław Sieroszewski, Gustaw Daniłowski, Artur Górski i Michał Sokolnicki oraz niez mordowany Stanisław Wyrzykowski.

Dzięki uporowi i zdolnościom organizacyjnym tego ostatniego zaczęła nabierać kolorów idea stworzenia związku literatów. Teraz jest to nareszcie prawdziwy związek zawodowy, któremu przewodniczy Żeromski, a jego zastępcą jest Kasprowicz.

Dla nas, ludzi związanych ze Spółką Nakładową „Książka”, sprawy pisarzy nie były obojętne. Ziuk interesował się tym jedynie okazjonalnie, ale dla mnie i jeszcze kilku osób z naszego grona literaci nie byli tylko znajomymi i ich sprawy były też w jakiś sposób naszymi.

Oprócz Witkiewicza na Podhale na stałe przenieśli się Władysław Orkan i Jan Kasprowicz. Kupili domy i mieszkali tam sobie spokojnie, żyjąc z dala od miejskiego zgiełku i polityki.

Z Kasprowicza straszny był odludek i nawet w lecie widywaliśmy go bardzo rzadko. Jan mieszkał w Poroninie, a żeby odstraszyć ewentualnych natrętów, na bramie swojego domu powiesił wiele mówiący napis: „Kto w próg ten wchodzi, czyni mi zaszczyt. Kto go mija, robi mi przyjemność”

– powiedziała Maria ze śmiechem, po czym dodała, lekko marszcząc brwi:
– Widzisz więc panna, że wielbiciele gór czasem niezbyt pozytywnie nastawieni są do ludzi.

– W Zakopanem nie zawsze bywało wesoło. Z tamtych czasów szczególnie zapamiętałam 1909 rok, kiedy w górach wydarzyło się nad wyraz dużo nieszczęśliwych wypadków. Zakopane nagle stało się bardzo modne i w sezonie letnim naprawdę trudno było o jakąś przyzwoitą kwaterę. Społeczeństwo zmieniało się, jakby budziło się do życia z zimowego snu. Wśród młodzieży pojawiła się potrzeba rozwijania tężyzny fizycznej i pewnie dlatego modne stały się górskie wędrówki. Grupki nieprzygotowanych turystów wyruszały na szlaki, zupełnie nie zdając sobie sprawy z tego, czym różni się górską wspinaczką od zwykłych wędrówek po lesie. Od wiosny aż do późnej jesieni zdarzyło się w tamtym roku wiele złamań i poważnych otarć, ale także kilka wypadków śmiertelnych, w których zginęli młodzi, a nawet bardzo młodzi ludzie.

Wielu z nich, schodząc ze szlaków, wpadało do szczelin i głębokich wykrotów, a w połowie sierpnia w okolicach Żółtej Turni ześliznęło się i zginęło razem kilku uczestników jednej wyprawy. W tym też nieszczęsnym 1909 roku, w lutym, podczas samotnej wędrówki zginął w Tatrach kompozytor Mieczysław Karłowicz. To była wówczas bardzo głośna sprawa. Śmierć kompozytora przyspieszyła znacznie pracę nad uruchomieniem górskiego pogotowia, którego naczelnikiem został wspaniały człowiek i nasz przyjaciel – Mariusz Zaruski. Do dzisiaj bardzo mile wspominam odwiedziny w pensjonacie u państwa Zaruskich, gdzie raz lub dwa razy mieszkałam z Ziukiem. Potem odwiedzałam ich sama...

Piłsudska wyjęła z pudełka fotografię przedstawiającą sporych rozmiarów dom w stylu góralskim, przed którym stała nieupozowana do zdjęcia grupka osób. Wśród zajętych rozmową kobiet była wysoka, młoda uśmiechająca się do obiektywu dziewczyna. Karolina bez trudu rozpoznała w niej Wandę Juszkiewiczównę.

– Pan Mariusz to naprawdę wspaniały człowiek – ciągnęła Maria, podając Karolinie kolejne zdjęcie. – Od dawna jest zakochany w Tatrach, choć

pochodzi z północy Polski. Całą młodość spędził nad morzem, gdzie był instruktorem jachtingu i uczył pływać młodych żeglarzy.

Tak jak kilka innych znanych mi osób, Zaruscy na Podhalu znaleźli się trochę przypadkiem. Lekarze zalecili Izie, żonie pana Mariusza, kurację klimatyczną, więc małżonkowie przyjechali do Zakopanego, żeby się rozejrzeć. Oboje od razu świetnie poczuli się w górach, a Mariusza Tatry oczarowały tak bardzo, że wręcz się w nich zakochał.

Zaruscy naprędce zlikwidowali dom nad morzem i przeprowadzili się na Podhale, by tam wieść aktywne, niespokojne i pełne różnorodnych pomysłów życie.

Górski klimat wyraźnie sprzyjał Izuni, bo w tamtym okresie czuła się świetnie i oprócz pracy zawodowej znajdowała czas, by pomagać mężowi w realizacji jego zamierzeń i przyjmować gości, których zawsze mieli w bród.

Kiedy latem odwiedzaliśmy Zaruskich, pan Mariusz zabierał nas w góry i bezpiecznie prowadził w miejsca, do których sami pewnie nigdy byśmy nie dotarli.

Po kilku latach pobytu w Zakopanem Zaruski zorganizował brygady wyszkolonych ratowników, czyli Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe, które do dziś pomaga nierozważnym turystom uniknąć śmierci. Pewnie mu tego było mało, bo kiedy TOPR sprawnie już działał, Zaruski rozwinął i doposażył straż pożarną na Podhalu.

Piłsudka przerwała i przez chwilę uśmiechała się do swoich myśli, po czym wolno podniosła się z fotela, podeszła do starej komody i z górnej szuflady wyjęła jeszcze jedno pudełko, w którym również trzymała zdjęcia. Z pliku czarno-białych kartoników wybrała niewielką fotografię przedstawiającą grupę roześmianych mężczyzn.

– To właśnie pierwsi TOPR-owcy Mariusza – oznajmiła, podając zdjęcie Karolinie. Po raz kolejny tego dnia jej twarz przykrył obłoczek smutku.

– U Zaruskich bywali różni ludzie – zaczęła po krótkiej przerwie. – Mariusz pisał wiersze, malował obrazy... Za młodu studiował nawet malarstwo na Akademii w Odessie, ale potem, jak większość znajomych Ziuka, został zesłany w głąb Rosji za jakąś niepodległościową robotę.

Z wygnania wrócił w tym samym czasie, co Broniś, i kiedy później spotykał się w Zakopanem ze starszym bratem Ziuka, wciąż rozmawiali

o Dalekim Wschodzie. Chyba nie potrafili mówić o niczym innym i muszę przyznać, że nieco dziwiły mnie te ich rozmowy.

Jeszcze barwniej było, gdy do Zakopanego przyjeżdżał zaprzyjaźniony z Zaruskim Andrzej Strug. Wtedy to ze spotkań tych trzech mężczyzn robiły się prawdziwe wieczory zesłańców. Trzy barwne postaci o nadzwyczajnie skomplikowanych życiorysach znajdowały nie lada przyjemność we wspominaniu lat przymusowego wygnania i niedoli.

Andrzeja Struga poznaliśmy z mężem już wcześniej, jeszcze zanim zamieszkaliśmy w Krakowie. Strug też był działaczem PPS-u i na własnej skórze zaznał represji carskiej policji. Aresztowano go za działalność w Kole Oświaty Ludowej mniej więcej w tym czasie, kiedy nas aresztowano w Łodzi. Po krótkiej odsiadce w więzieniu został zesłany do Archangielska, gdzie poznał Zaruskiego, z którym od razu się zaprzyjaźnił. Dziwna to była przyjaźń, bo temperamenty obaj koledzy mieli zupełnie inne. Andrzej był dużo spokojniejszy niż pan Mariusz, ale i miał też w życiu dużo mniej szczęścia niż Zaruski. W sprawach osobistych zupełnie mu się nie wiodło i dopiero trzecie małżeństwo dało mu szczęście.

Druga żona pana Andrzeja odeszła od niego z przyjętym przez Struga pod własny dach Stanisławem Przybyszewskim. Dla Przybyszewskiego zdecydowała się opuścić nie tylko męża, ale i dwie córeczki, co bardzo nie podobało się rodzinom obojga i wielu znajomym. Żałowaliśmy Andrzeja i w tamtym czasie wszyscy staraliśmy się mu pomagać.

Ten osobisty dramat przygnębił Struga i przez lata trudno mu było uwierzyć w miłość, aż do momentu gdy poznał młodzieńką pannę Bunin. Po długotrwałej samotności zakochał się wreszcie, ale tym razem na szczęście ze wzajemnością.

Panna Bunin miała wówczas dziewiętnaście lat i była od Andrzeja młodsza o lat trzydzieści, ale z tego co wiem, kochają się do tej pory i przy niej Strug odzyskał radość życia.

Kiedy jeździłam do Zakopanego, spotykałam ich czasem u Zaruskich, wtedy razem robiliśmy wycieczki w góry, oczywiście pod okiem pana Mariusza.

Strug współpracował z Ziukiem, a mąż mój cenił go bardzo za spokój i rozwagę. Potem zarekomendował go na stanowisko wiceministra propagandy i wtedy Strug razem z żoną przeprowadził się do Warszawy...

Maria odsunęła od siebie tekturowe pudełko.

– Jakiś czas temu Zaruscy odwiedzili mnie tutaj w Krakowie, a potem raz jeszcze była u mnie pani Izunia... Zaruski służył w Strzelcu, a potem wstąpił do Legionów i bardzo dzielnie walczył... Nawet generałem został... Ci jego ratownicy też poszli na wojnę. Pan Mariusz pociągnął za sobą wielu ochotników z okolic Zakopanego. To byli bardzo dzielni, dobrze wyszkoleni i przygotowani do trudów wojennych mężczyźni... Wielu z nich już nie wróciło, zginęli z dala od domów i leżą we wspólnych mogiłach wśród obcych drzew i obcych pól...

Maria przerwała na chwilę.

– W Zakopanem poznaliśmy wielu wspaniałych ludzi, z którymi później spotykaliśmy się też w Krakowie, ci zaś, których znaleźliśmy z Krakowa, jeździli odpoczywać w Tatry. Kręgi towarzyskie rozszerzały się więc i przecinały. Poeci przyprowadzali poetów, dziennikarzy i malarzy, pisarze muzyków lub podróżników, politycy miejscowych działaczy i lekarzy.

Tylko urzędników bywało niewiele, bo przed wojną nie mieliśmy wielkiego zaufania do ludzi pracujących na państwowych posiadach. Doświadczenia większości poddanych carskiej lub cesarskiej Korony nie pozwalały ufać nikomu, kto choćby tylko dla utrzymania rodziny miał cokolwiek wspólnego z władzą.

W chałupie Chyca, gdzie Ziuk mieszkał przez ścianę z Sosnkowskim, zorganizowali sztab, w którym meldowali się ich podkomendni. Oczywiście nie siedzieli wówczas jedynie w domu. Czasem robili krótkie wycieczki, bo w drodze myślało się lepiej.

Poza tym na Podhalu Ziuk wygłaszał swoje odczyty lub wizytował tamtejsze oddziały strzeleckie. Na prelekcje męża zawsze przychodziło dużo ludzi, bo Józef potrafi świetnie przemawiać. Nigdy nie czyta z kartki, tylko wcześniej szkicuje sobie w kilku zdaniach zarys tego, co zamierza powiedzieć, a potem tego się trzyma... Albo i nie.

Podczas wystąpień, jakie słyszałam, wynajdywał sobie na sali kilka osób, do których mówił, obserwując ich reakcję. W tamtych latach była to ulubiona metoda Ziuka i, jak sądzę, pewnie stosuje ją nadal...

Karolina kiwnęła głową ze zrozumieniem. Wiedziała, o czym mówi Piłsudska, bo sama wysłuchała kiedyś takiej prelekcji. Teraz przypominała sobie, jak podczas wakacji w Zakopanem udali się bryczką całą rodziną do schroniska przy Morskim Oku, gdzie pan Piłsudski miał wygłosić swój odczyt. To było szczególne przeżycie dla ojca i chociaż Karolina i jej brat

byli jeszcze dziećmi, to dzięki nastrojowi chwili dokładnie zapamiętała to, co się wówczas działo.

– Nasze góry zawsze nastrajają Ziuka pozytywnie – kontynuowała Piłsudska. – Ilekroć było mu ciężko, ciągnął mnie tam ze sobą, żeby wspólnie wypocząć. Była panna kiedyś w Zakopanem?

Dziewczyna kiwnęła głową.

– Tak, kiedy żył ojciec, jeździliśmy tam kilka razy. Bardzo mi się podobało, szczególnie podczas pierwszych wyjazdów. Chodziliśmy w góry, budowaliśmy tamy w strumieniu... Rodzice wynajmowali pokój w Kościelisku i tam bawiłam się z dziećmi naszej gospodyni. Ostatni nasz pobyt w Zakopanem był jednak trochę inny niż pozostałe.

Piłsudska uważnie spojrzała na dziewczynę, czekając na ciąg dalszy wspomnień.

– Miałam już chyba dziewięć lub dziesięć lat i pewnie dlatego dobrze wszystko pamiętam. W tym czasie dorośli wciąż mówili o polityce, co, muszę przyznać, dla nas dzieci było trochę nudne... Tatuś znikał na całe dni i często spotykał się z jakimś panem komendantem oddziału...

– Naprawdę?! – wykrzyknęła Maria entuzjastycznie. – Poznaliście pana Stefana?

Karolina kiwnęła głową i uśmiechnęła się na wspomnienie tamtego dnia, kiedy ojciec zabrał ich do schroniska przy Morskim Oku.

Wydarzeniem wieczoru była prelekcja samego Piłsudskiego, z której dziewczynka nie zrozumiała zupełnie nic. Główna sala schroniska po brzegi wypełniona była publicznością. Karolina dyskretnie obserwowała ludzi zasłuchanych w słowa Piłsudskiego i próbowała sobie wyobrazić, kim są i czym zajmują się osoby siedzące najbliżej. Prelegent przypuszczalnie mówił ciekawie, gdyż nikt ze słuchaczy ani nie mruknął. Dziewczynce zdawało się, że nawet muchy, które tego lata wydawały się wyjątkowo natrętne, tym razem przysiadły gdzieś po kątach, nie ośmielając się bzyczeć.

Jedynie młodszy brat Karoliny, przykucnąwszy na podłodze obok krzesła matki, rysował coś w kajeciku i co jakiś czas odzywał się półgłosem, powodując niezadowolone syknięcia niektórych osób. Czerwona jak

piwoniamatka Karoliny strofowała co chwilę malca, aż wreszcie usadziła go sobie na kolanach, gdzie, znużony, wreszcie zasnął.

Po skończonej prelekcji ojciec przedstawił mamie tego komendanta oddziału, z którym spotykał się wcześniej. Dorośli zajęli się rozmową, a Karolina w tym czasie stała obok, przypatrując się gościom otaczającym ciasnym kręgiem prelegenta. Dziewczynka cieszyła się, że nie musi już grzecznie siedzieć na niewygodnym krześle i korzystając z zamieszania, może trochę pokręcić się w pobliżu rodziców.

Piłsudski, zmęczony zarówno przemową, jak i stojącą pozycją, w której ją wygłaszał, siedział teraz na krześle. Karolina nie widziała więc prelegenta, ale doskonale wiedziała, że tłum ciekawskich gromadzi się właśnie wokół niego.

Po prelekcji większość słuchaczy parła do przodu, by choć przez chwilę móc osobiście porozmawiać z Piłsudskim. Jedynie młodzi mężczyźni ze Strzelca niespokojnie popatrywali w kierunku swojego dowódcy, gotowi stawić się natychmiast na jego wezwanie.

W końcu doczekali się, bo po krótkiej rozmowie z ojcem i matką Karoliny mężczyzna grzecznie pożegnał się i oddział stał już karnie w dwuszeregu, gotowy do wymarszu. Strzelcy wyszli, a rodzina Karoliny została jeszcze w schronisku, gdyż ojciec uparł się, że musi osobiście podziękować Józefowi Piłsudskiemu za wykład. Później tłumaczył mamie, że podczas swojego wystąpienia Komendant często na niego spoglądał, poczuł się więc w obowiązku uścisnąć mu dłoń i powiedzieć, jak bardzo podobała mu się prelekcja.

Wszystko to trwało dość długo i rozbudzony nagle brat Karoliny zaczął bardzo marudzić. Matka nie śmiała jednak ponaglać męża. Wiedziała, że w tej chwili w sali schroniska przy Morskim Oku najważniejszą dla niego osobą jest Komendant Piłsudski i że żadne marudzenie dziecka ani niezadowolenie żony nie może przeszkodzić jej mężowi w zrealizowaniu zamierzenia. Cierpliwie znosiła niezadowolenie synka i jak tylko mogła, starała się go uspokoić. W końcu dzieciak jeszcze raz zasnął i kiedy zadowolony ojciec po krótkiej rozmowie z Piłsudskim wrócił do nich, mały spał tak twardo, że trzeba go było nieść do dorożki.

W kilka dni później matka zaprosiła kilku panów z zakopiańskiego Strzelca do skromnej rodzinnej kwatery i wtedy okazało się, że komendant tamtejszego oddziału nie jest ani surowy, ani nudny, jak początkowo

wydawało się Karolinie. Jego opowieści o organizowaniu ćwiczeń, jakim poddawano nowych adeptów obronności, były ciekawe nie tylko dla ojca i mamy, ale i dla niej. Nawet braciszek dał się porwać i na koniec spotkania wykrzyknął:

– Też będę strzelcem!

Wzbudziło to we wszystkich wielką wesołość.

To było ostatnie lato, jakie spędzili w Zakopanem, i tych wakacji Karolina nigdy nie zapomni. Po tamtej prelekcji tata zachowywał się już zupełnie inaczej niż dotychczas. Zazwyczaj spokojny i opanowany, w bardzo licznej grupie zwolenników Piłsudskiego wydawał się całkiem zapominać o rodzinie. Wciąż biegał na jakieś zebrania, ćwiczenia Strzelca albo prelekcje i chociaż mama czasem okazywała mu swoje niezadowolenie, absolutnie nic sobie z tego nie robił. Bojowy nastrój i podniosła atmosfera udzieliły mu się w najwyższym stopniu i Karolinie wydawało się nawet, że ich obecność w Zakopanem ojcu przeszkadza.

W następnym roku matka zmusiła tatę, żeby pojechali na wypoczynek do jej rodziny w okolice Sanoka. Potem nie było już wspólnych wyjazdów. W 1914 roku tata wstąpił do Legionów i nie miał czasu na wakacje z rodziną. Kiedy zaczęła się wojna, bardzo dumny wyjechał do Krakowa. Stamtąd wyruszył z Legionem Zachodnim pod dowództwem Józefa Piłsudskiego. Ojciec Karoliny brał udział w wielu bitwach, aż wreszcie wraz ze wszystkimi Brygadami Legionów znalazł się na Wołyniu, gdzie zginął od wybuchu bomby w bitwie pod Kostiuchnowką. Jego bojowy szlak zakończył się na obcej ziemi.

Był bardzo dzielny i dlatego pośmiertnie przyznano mu order i stopień kapitana. Piłsudski osobiście podpisał list z kondolencjami. Ten dowód uznania wcale nie ucieszył matki.

Karolina raz tylko widziała ten list i nie miała pojęcia, gdzie później mama go schowała. Nie śmiała jednak o to pytać, bo z upływem czasu zachowanie matki stało się dla niej zastanawiające, a czasem wręcz niewytłumaczalne.

Karolina, wsparta łokciami o stół, snuła wspomnienia, a w tym samym czasie Piłsudska w milczeniu wydobywała z tekturowego pudełka kolejne

fotografie. Każdą z nich oglądała uważnie, przybliżając do światła stojącej lampy, po czym układała na jednym ze stosików. Widać było, że Maria dawno nie wyciągała i nie porządkowała tych zdjęć, bo leżały w pudełku w całkowitym nieładzie. Być może kiedyś, znajdując się pod wpływem silnych emocji, schowała je bez zachowania należytej chronologii i dlatego teraz próbowała to w jakiś sposób naprawić. Układała fotografie w sobie tylko wiadomy sposób, szykując się do zilustrowania dalszych fragmentów swojej historii.

W końcu zostało jej w ręku ostatnie zdjęcie, na które patrzyła dłużej niż na pozostałe, a kiedy nasyciła oczy widokiem miejsca i ludzi przedstawionych na małym kartoniku, podała Karolinie zdjęcie Piłsudskiego w otoczeniu kilkunastu uśmiechniętych mężczyzn.

– Z komendantem zakopiańskiego Strzelca miałam okazję rozmawiać kilkakrotnie – powiedziała. – Bo chociaż przed samą wojną nieczęsto jeździłam do Zakopanego, to jednak zawsze, kiedy to tylko było możliwe, starałam się towarzyszyć mężowi... Raz nawet obserwowałam ćwiczenia Strzelca na łąkach pod Zakopanem i pamiętam, jak wielkie wrażenie zrobiła na mnie wtedy determinacja zarówno młodych chłopców, jak i całkiem dojrzałych mężczyzn, którzy wcześniej z wojaczką nie mieli wiele wspólnego.

Zakopiańscy strzelcy prezentowali się dosyć paradnie, poubierani w co tam kto miał. Na pierwszy rzut oka wyglądali mało okazale, ale ich karność i przygotowanie do służby wojskowej budziły prawdziwy podziw Ziuka. Rzecz jasna, przed swoim Komendantem starali się w dwójnasób i tego nie można było nie zauważyć.

Maria przerwała opowiadanie i chwilę przyglądała się zdjęciom z pierwszego stosu, który zamierzała pokazać Karolinie, po czym rozłożyła je przed sobą na stole. Większość fotografii przedstawiała różne osoby na tle górskich plenerów i zakopiańskich domostw.

– Nasze Tatry jednych nastrajają nostalgicznie, innym zaś dają siłę i energię – powiedziała wreszcie. – To chyba zależy od temperamentu i oczekiwań. Mnie Zakopane zawsze kojarzyło się przyjemnie i może dlatego w czasie gdy w moim życiu mniej już było powodów do radości, przestałam tam jeździć. Oglądając znajome widoki, dużo mocniej niż tutaj odczuwam samotność... Ot, życie!

Po raz ostatni byliśmy razem w Zakopanem w 1916 roku. Pewnego dnia Ziuk poprosił mnie, żebym z nim pojechała, a ja oczywiście nie byłam temu przeciwna. Wciąż przecież naiwnie wierzyłam, że jeszcze można uratować nasze małżeństwo i naprawić to, co się popsło.

Staralam się. Jak zwykle robiłam wszystko, co w mojej mocy, chociaż nie przeczę, że czasem wyrwało mi się jakieś słowo, które mogło uchodzić za wyrzut. Czyż jednak nie miałam do tego prawa? – zapytała Maria poirytowanym głosem, ale po chwili spokojnie ciągnęła dalej: – W Zakopanem czas płynął dosyć przyjemnie, chociaż Ziuk i tym razem nie rezygnował z pracy. Nieopodal nas mieszkał Wieniawa-Długoszowski i kilku innych oficerów, z którymi mąż mój często się spotykał. Znajdował jednak czas i dla mnie, a wtedy, jak za dawnych lat, robiliśmy piesze wycieczki lub spotykaliśmy się z różnymi ludźmi.

Teraz do Ziuka lgnęły wprost tłumy ciekawskich i każdy niemal napotkany na ulicy lub w kawiarni rodak spieszył wyrazić swoje uznanie Komendantowi. Początkowo wydawało mi się to nawet miłe, ale po kilku dniach, choć przecież nie ja byłam obiektem entuzjastycznych aplauzów, czułam się bardzo tym zmęczona, a mąż mój wyraźnie miał tego dosyć. Józef zawsze potrzebował prywatności i czuł się niedobrze, kiedy mu ją zaburzano. Wówczas w Zakopanem wyglądało na to, że Józef już nigdy nie będzie mógł wypocząć w żadnym publicznym miejscu.

Ostatnie dwa dni pod Tatrami spędziliśmy na wycieczkach po mało uczęszczanych górskich szlakach. Nie były to żadne wielkie eskapady, bo po zdarzeniu sprzed kilku lat Ziuk nie podejmował już forsownych wypraw. Spokojna wędrówka wzdłuż górskich strumieni pozwoliła nam jednak choć trochę odpocząć od rozentuzjasmowanych wielbicieli, a przede wszystkim wielbicielek mojego męża, które wciąż wpatrywały się weń roziskrzonymi oczami, co oczywiście nigdy nie uszło mojej uwagi. Władza każdemu mężczyźnie dodaje urody.

W tym momencie twarz Piłsudskiej wykrzywił nagle brzydki grymas złości, a jej głos stał się niespodziewanie ostry.

– Nie ma w tym mojej winy, że mąż nie mieszka już ze mną! – powiedziała, nie patrząc na Karolinę. – Kiedy wyruszał na wojnę, myślałam, że to jest nasze ostateczne rozstanie, ale wcale tak nie było! W czasie wojny Józef wracał tu i chociaż nie ukrywał przede mną swojego romansu, a „dobrzy ludzie” dopełnili reszty, mieszkanie na Szlaku wciąż

jeszcze było jego domem! Wiedziałam o tamtej kobiecie, ale nie mogłam na to nic poradzić, postanowiłam więc przestać o niej mówić, bo przecież myśleć o niej nie przestałam.

Kiedy Ziuk zajeżdżał przed dom, zawsze czekał na niego wielki czajnik z wrzątkiem i przygotowana do zaparzenia herbata! Ja też czekałam na mojego męża...

Karolina patrzyła teraz na Marię szeroko otwartymi oczami. Niektóre szczegóły z prywatnego życia Marszałka były publiczną tajemnicą i chociaż wielu gorszyła ta sytuacja, fakt, że Piłsudski pozostawał w związku z Aleksandrą Szczerbińską, z którą miał już dwie córki, był powszechnie znany. Pomiedzy Karoliną a panią Marią nigdy dotąd jednak tak ostro nie stawał ten temat i dziewczyna dotąd była zadowolona z tego, że Maria go nie porusza.

Dla obu kobiet było oczywiste, że dla starszej, schorowanej kobiety młoda dziewczyna nie powinna być powiernicą. Bagaż życiowych doświadczeń każdej z nich był tak różny, że uniemożliwiało to pełne porozumienie. Karolina nie śmiała zadawać niewygodnych pytań. Obawiała się, że mogłaby być przez Piłsudską posądzona o wścibstwo, a tego naprawdę nie chciała.

Wydawało się też bardzo prawdopodobne, że Maria, kobieta taktowna i elegancka, nie zechce obnażać uczuć przed obcą osobą. Tego dnia jednak coś się nagle zmieniło. W wyniku częstego obcowania ze sobą relacje kobiet zacieśniły się i dla Karoliny stało się jasne, że przyszedł czas na większą szczerłość.

Dziewczyna milczała, a na jej twarzy pojawił się wyraz najwyższego skupienia, co nie umknęło uwagi Marii. Piłsudska bardzo polubiła Karolinę i na początku uczucie to łączyła z tęsknotą za utraconą córką. Karolina jednak nie była podobna do Wandy i choć miała niewiele więcej lat niż Juskiewiczówna w ostatnim roku swego życia, bardziej niż Wandę przypominała Basię Wołk, córkę profesora Iłakowicza, która czas jakiś mieszkała z Piłsudskimi na Szlaku. Skupiona, poważna i umiejąca słuchać Karolina zadawała niewiele pytań, rzadko też poddawała własnej ocenie zasłyszane informacje. Powodował to niewątpliwie szacunek, jakim darzyła

Marię, ale jej umiejętność słuchania i zaangażowanie we wzajemne relacje bardzo ujęły Piłsudską i sprawiły, że Maria odważyła się teraz ukazać niewielki, choć bolesny fragment wspomnień.

– Kiedy w 1916 roku byliśmy z Ziukiem w Zakopanem, tamta kobieta siedziała internowana w niemieckim obozie. Wcale nie było mi jej żal!

Maria powiedziała to głośno i z naciskiem, po czym umilkła. Chociaż nie padło imię Aleksandry, Karolina natychmiast domyśliła się, o kim była mowa. Piłsudska myślała o Szczerbińskiej i widać było, że są to bardzo smutne myśli.

Karolina nie zamierzała więcej o nic pytać. Tego dnia i tak zostało powiedziane już wiele, tak więc dziewczyna poczuła, że powinna już się pożegnać.

Po krótkiej chwili silnego wzruszenia Maria nie wyglądała najlepiej. Należał się jej odpoczynek i choć Karolina chętnie słuchałaby jej jeszcze, podejrzewała, że tego dnia już więcej opowieści nie będzie.

Ale myliła się. Piłsudska siedziała przez moment z pochyloną głową, a później zwróciła twarz w kierunku okna, którego ciemna, przysłonięta jedynie cienką firanką szyba odbijała ciepły blask lampy.

Przez dłuższą chwilę w salonie mieszkania Piłsudskiej trwała całkowita cisza, ale Karolina po raz pierwszy nie czuła się z tym źle. Obcując od pewnego czasu z niepospolitą kobietą, zaczynała rozumieć jej emocje i nastroje, w jakie popadała, dochodząc w opowieści do ważnych momentów swego niedawnego życia. To, co na początku ich znajomości wydawałoby się Karolinie niezrozumiałe i trudne i co być może jeszcze niedawno powodowałoby jej pomieszenie, teraz jedynie prowokowało refleksję.

Co tu ludzi mieszkało!

Na początku 1910 roku wybraliśmy się z Ziukiem w podróż do Wenecji i Abacji. Po świętach Bożego Narodzenia spędzonych w Zakopanem nowy rok 1910 przywitaliśmy na Topolowej i wtedy ostatecznie postanowiliśmy zmienić mieszkanie. Zaraz po Nowym Roku wyjechaliśmy w podróż do Włoch, która pomimo grymaszenia Ziuka bardzo mi się podobała.

Po powrocie czas jakiś jeszcze żyłam wspomnieniami pięknych miejsc i ciekawych spotkań, ale wkrótce sprawy codzienne kazały mi zająć się czym innym. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami przeprowadziliśmy się na Szlak i gdyby nie smutne okoliczności, które od pewnego czasu zaczęły zmieniać moje życie, mogłabym tutaj czuć się prawie szczęśliwa.

Po śmierci córki źle mi się mieszkało na Topolowej, gdzie każdy kąt przypominał mi Wandeczkę. Józef coraz częściej wyjeżdżał z Krakowa i w jego życiu następowały zmiany, z których zaczęłam zdawać sobie sprawę. Wspomnienie córki, złość i żal do losu były tak silne, że początkowo nie mogłam sobie z tym wszystkim poradzić. Kiedy jednak minęło trochę czasu i rany po stracie dziecka odrobinę się zasklepiły, zapragnęłam uciekać z Topolowej.

Mieszkanie na Szlaku podobało się mojemu mężowi przede wszystkim dlatego, że było większe od poprzedniego, a u nas wciąż pojawiali się różni ludzie, których czasami trzeba było nocować.

Pewnego dnia Józef wyjechał, a ja z pomocą przyjaciół zorganizowałam przeprowadzkę ze starego do nowego mieszkania. Najchętniej zostawiłabym na Topolowej wszystkie meble i sprzęty, które wciąż kojarzyły mi się z Wandeczką, ale nie miałam pieniędzy na nowe, a nawet gdybym je miała, Ziuk nie zgodziłby się na taki zbytek.

Niestety wkrótce po przeprowadzce, z której bardzo się cieszyłam ze względu na niedobre wspomnienia, z jakimi kojarzyło mi się poprzednie mieszkanie, musiałam iść do szpitala na operację. Ledwie zaś trochę wydobrzałam, spotkał mnie kolejny cios.

Drugiego czerwca zmarła na serce moja mama i wtedy na jakiś czas musiałam wyjechać do Wilna, by zająć się sprawami związanymi z pogrzebem i likwidacją jej mieszkania.

Jedynym miłym aspektem tej przykrej okoliczności był fakt, że spotkałam się z siostrami, z którymi od lat widywałam się bardzo rzadko. Likwidowanie rzeczy po zmarłej mamie stało się okazją do rozmów, wspominania rodziców i naszego wspólnego życia w Wilnie. Przez dwa dni znów czułam, że mam rodzinę, ale kiedy wyjeżdżając z Wilna, jako ostatnia zamykałam drzwi mieszkania mamy, zrozumiałam, że nasze spotkanie było chwilą, po której losy moich sióstr i mój wróciły w swoje koleiny. Pociągi życia każdej z nas jechały w zupełnie różnych kierunkach.

Życie po raz kolejny więc sprawiło mi kilka trudnych niespodzianek, po których nastrój znów znacznie mi się popsuł.

Nic nie zostało ze słabej radości, z jaką przeżywałam początek roku, kiedy byliśmy w podróży. Czegoś mi znów brakowało, a śmierć kolejnej bliskiej mi osoby sprawiła, że poczułam się samotna. Humory Ziuka nie poprawiały też mego nastroju. Wiedziałam, że pisuje listy do tamtej kobiety, i wcale nie było mi z tym lekko, ale nie mogłam na to nic poradzić.

Na moje szczęście w 1910 roku w naszym życiu pojawiła się bardzo miła i grzeczna osoba, która wniosła do naszego domu trochę młodzieńczej radości.

Dziewczyna była dyskretna i zdolna, potrafiła mówić i pisać doskonałą polszczyzną i przez jakiś czas od rana do nocy przesiadywała u nas, pisząc pod dyktando męża wszystko to, co pilnie potrzebował wysłać. Robiła też tłumaczenia zagranicznych pism i broszurek, które wówczas dla Ziuka były bardzo ważne. Wszystkie przygotowania do wojny, naszej polskiej wojny z zaborcami, odbywały się przecież tutaj, w mieszkaniu na Szlaku.

Listy bardziej prywatne Ziuk zazwyczaj pisuje sam, i to o najdziwniejszych porach dnia i nocy, ale część bardziej oficjalnej korespondencji po angielsku, choć sam nieźle włada tym językiem, powierzał Basi Wołk.

Dziewczyna siedziała u nas nieraz do późna, a potem zabierała się do wynajętego przez siebie mieszkanca, żeby znów następnego dnia około południa wrócić na Szlak.

Kiedy przychodziła, zawsze krótko rozmawiałyśmy, pijąc herbatę, po czym Basia brała się do swojej pracy. Po południu razem jedliśmy obiad, a wieczorem zazwyczaj schodzili się goście, którzy bywali u męża przeważnie służbowo. Zawsze starałam się przyjmować ich gościnnie i częstować tym, co akurat było w domu.

Powiedziawszy to, pani Maria umilkła. Karolina nie przerywała, by nie przeszkodzić jej i nie mącić przedłużającej się chwili ciszy.

Piłudska myślała o czymś, marszcząc brwi i delikatnie zaciskając wargi. Z wyrazu jej twarzy można było wyczytać, że to, co snuło jej się po głowie, prawdopodobnie nie było przyjemne. Wreszcie potrząsnęła głową, jakby chciała strząsnąć jakąś nieprzyjemną myśl, i uśmiechając się przepaszająco, spojrzała na Karolinę.

– Żał mi było dziewczyny, gdy tak wychodziła po nocy do swego ciasnego pokoiku po drugiej stronie Rynku. Nieraz odprowadzaliśmy ją z mężem, żeby samotnie nie wędrowała po ulicach, ale gdy pewnego dnia Ziuka zmogło przeziębienie i siedział z gorączką w fotelu, nie pozwoliłam mu wyjść z domu, chociaż za oknem było już całkiem ciemno.

Wtedy po raz pierwszy namówiłam Basię, żeby zanocowała u nas. Po tygodniu doszliśmy z mężem do wniosku, że najlepiej będzie, jeżeli dziewczyna zamieszka z nami, bo jak widać, miejsca było dosyć, a i mnie w tamtym czasie przydała się taka odmiana, bo czasem smutno mi było okropnie.

Basia Wołk zamieszkała z nami w 1911 roku, od kiedy Józef przestał radzić sobie z nawałem korespondencji. Bardzo ją polubiłam, być może dlatego, że po śmierci córki potrzebowałam kogoś, kto choć pozornie mógłby mi ją zastąpić. Basia była nieco starsza od mojej Wandeczki i przypominała ją jedynie z figury. Zawsze trochę powściągliwa i wycofana, początkowo czuła się u nas nieco skrępowana, jakby nie potrafiła zapomnieć o swojej roli dyskretnej sekretarki. Po pracy jednak czuła się trochę swobodniej, chociaż nigdy nie pozwalała sobie na zbyt poufałe zachowanie. Miło mi było z nią rozmawiać.

Do mojego smutnego życia Basia wniosła iskrę radości, którą zabrała nam strata Wandeczki.

Od kiedy panna Wołk wprowadziła się na Szlak, skończyły się nasze wieczorne spacerunki po Krakowie, które choć przyjemne wiosną, jesienią i zimą dawały się nam we znaki. Ziuk, chudy w tych czasach jak tyczka, często słabował i kiedy tylko trochę zmoczył go deszcz lub powiało chłodem, przeziębiał się i gorączkował. Nie pomagały mu wtedy litry gorącej herbaty, którą traktował zawsze jak lekarstwo na wszelkie dolegliwości.

Kiedy Basia wprowadziła się do nas, znowu było trochę tak, jakbym miała córkę... – Maria wyjęła chusteczkę z rękawa wełnianej sukni i delikatnie wytarła wilgotne nieco oczy.

– Na dodatek pod koniec 1911 roku zaczęła pojawiać się też u nas młodsza siostra Basi, Kazia Iłakowiczówna, która wówczas również mieszkała w Krakowie. Kazia studiowała na uniwersytecie, ale wcześniej była wychowanką sióstr urszulanek na Starowiślniej i przed maturą sympatyzowała z ruchem socjalistycznym.

Ogromnie cieszyła się, że może odwiedzać swoją siostrę w mieszkaniu samego Piłsudskiego, a kiedy pojawiała się u nas, jej wypowiedzi często doprowadzały Ziuka do łez. Oczywiście ze śmiechu, bo dziewczyna była zabawna i bardzo zapalczywa, zapalczywością młodości, która wie wszystko najlepiej i najlepiej na wszystkim się zna.

Ileż to razy ten kurczak z błyszczącymi oczami kłócił się, dosyć jednak grzecznie, z naszymi gośćmi. Ziuk patrzył na jej egzaltację z pobłażaniem, ale czasem, gdy w obronie jakiejś myśli zagalopowała się zbyt daleko, przychodził dziewczynie z pomocą, by jakąś celną uwagą uratować ją z opresji i uchronić przed krytyką starszych.

I znów wieczorami odprowadzaliśmy kolejną pannę, a właściwie odwoziliśmy ją fiakrem. Wesoło nam było w tych późnych podróżach, ale kolejnej osoby na stałe pod nasz dach nie mogliśmy już przyjąć. Miła była ta Kazia, chociaż w tamtych czasach daleko jej było do poważnej i stonowanej Basi. Teraz Kazia jest poetką. Nawet dostaliśmy od niej tomik z wierszami. Bardzo ładne, takie... jasne. Miałam ten tomik na półce w sypialni, ale gdzieś mi się zapadział. Kiedy go znajdę, to pannie pokażę... – Maria westchnęła, ale natychmiast przypomniała sobie coś radosnego, bo ożywiła się i roześmiała.

– Kiedy Kazia bywała u nas, wydawał się nią zainteresowany poseł Semen Wityk – powiedziała pani Maria. – Ziuk czasem żartował sobie na

ten temat, czym bardzo konfundował dziewczynę. Dąsała się wtedy i naburmuszała, bo jej ten poseł wcale się nie podobał. Zresztą w tym czasie pewnie jeszcze nie dojrzała do zameścia...

W naszym domu nie ona jedna bywała przedmiotem żartów. Ziuk zawsze traktuje młodych z osobliwą poufałością, na którą dzięki swej randze i pozycji może sobie pozwolić.

Oczywiście nie wszystkim to odpowiada, a już panna Kazia zawsze pąsowiała, gdy stawiała się przedmiotem jego dobrotliwych kpin. Tylko moja Wandzia nie bała się nigdy ostrego języka Józefa. Sama nieraz przekomarzała się z nim i nawet zdawało mi się, że wobec mojego męża pozwala sobie na zbyt wiele, ale Ziuk ją uwielbiał i wcale nie przeszkadzały mu żarty pasierbicy. Kochał Wandzię jak córkę i ona też go kochała. – Maria westchnęła i znowu wytarła oczy. Potem krótko bawiła się chusteczką, po czym znów wsunęła ją do rękawa.

– Obie panny świetnie znały języki, a Basia Wołk tłumaczyła nawet Szekspira. Sama też pisywała artykuły, eseje i wiersze. Publikowała pod nazwiskiem swojego ojca Klemensa Zana, który był najmłodszym synem Tomasza Zana, przyjaciela Mickiewicza.

Z Basi jednak Ziuk nigdy nie żartował. Nie wiem, czy dlatego, że robiła mu tłumaczenia i sekretarzowała nad wyraz sprawnie, czy też dlatego, że była bardzo delikatną i zamkniętą w sobie dziewczyną. Łatwo ją było zranić, a zraniona nie potrafiłaby się obronić, tylko cierpiałaby w ciszy i udręczeniu. Kazia była inna, zadziorna, czupurna i bardzo bojowa.

Nigdy nie bała się okazać wzburzenia lub bronić przed żartami Ziuka... Siostry były całkowicie różne, bo też i losy ich różnie się ułożyły.

Po przedwczesnej śmierci kochających się, choć żyjących bez ślubu rodziców panienki wychowywały się w dwóch domach, w całkowicie różnych okolicznościach.

Basią zajęli się jej chrzestni rodzice, Barbara i Gustaw Wołkowie, którzy w metryce dziewczynki podani byli jako jej rodzice naturalni...

W tym miejscu Karolina uważnie spojrzała na Marię i mocno zmarszczyła brwi.

– Nie bardzo rozumiem. Dlaczego tak było? – zapytała, korzystając z tego, że Piłsudska na chwilę przerwała swą opowieść, żeby wypić łyk zimnej już herbaty.

– Ze względu na nieślubne pochodzenie dziewczynek – oznajmiła Maria, nie patrząc teraz na Karolinę. – Tak w każdym razie im to tłumaczono. Dzieci z nieślubnych związków nie miały wówczas pełnych praw i dziewczynki mogłyby mieć problem z dostaniem się na studia lub dziedziczeniem po ojcu, który z wcześniejszego, formalnego związku miał już trójkę dzieci – powiedziała, wruszając ramionami.

– Ta mistyfikacja miała ułatwić siostrą start w dorosłe życie, ale czy rzeczywiście ułatwiła, tego już naprawdę nie wiem. Rodzice dziewczynek wcześniej opuścili ten świat. Ojciec został zastrzelony w niewyjaśnionych okolicznościach, a i matka zmarła wkrótce, osierociwszy je całkiem. Wtedy wpisani w akty urodzenia „rodzice” musieli zająć się sierotami.

Wołkowie wywiązali się ze swego zobowiązania, choć nie bez dodatkowej pomocy rodziny Karpowiczów, ale Kazia nie miała tyle szczęścia, bo wuj dziewczyny, zobowiązany zapisem podobnym jak Wołkowie wobec Basi do opieki nad siostrzenicą, zupełnie się w tym nie sprawdził. Wreszcie po kilku latach smutnego bytowania w niedostatku i biedzie zabrała Kazię do siebie Zosia Buyno z domu Platerówna. Dopiero ona stworzyła dziecku prawdziwy dom i wychowała na ludzi. Dzięki niej Kazia zdobyła wykształcenie i stała się poetką, bo przecież wiersze pisuje piękne...

Kazia studiowała na Jagiellonce, ale gdy wybuchła wojna, natychmiast znikła z Krakowa. Od Basi dowiedziałam się, że została sanitariuszką, i muszę przyznać, że wcale mnie to nie zdziwiło, bo przy jej temperamencie nie byłoby możliwe, żeby w jakiś sposób osobiście nie uczestniczyła w tej wojnie.

Basia Wołk zachorowała na płuca i kiedy zbliżała się wojna, dzięki staraniom Ziuka dostała od miasta Krakowa pieniądze na kurację w Szwajcarii. Potem już do nas nie wróciła.

Dobrze nam było razem... Basia była spokojna, grzeczna i naprawdę świetnie wykształcona. Znała kilka języków, co było bardzo przydatne w pracy Józefa. Taka sekretarka to skarb prawdziwy, ale przyszła wojna i wszystko się zmieniło.

Podczas leczenia w Szwajcarii Basia poznała Helenę Czerwijowską związaną z Witkacym, synem Stasia Witkiewicza. Przez Czerwijowską poznała jej kuzyna, Jana Czerwijowskiego, za którego wyszła za mąż, i wyjechała do jego majątku na Podole. Kilka razy pisała do mnie i wiem,

że ma dwie córeczki i czas jakiś była szczęśliwa. – Maria westchnęła głęboko.

– Jej szczęście jednak nie trwało długo – powiedziała – bo Jan zmarł nagle i Basia opuściła majątek, przenosząc się do Warszawy. Pisała mi o tym ostatnio w liście. Wiem, że w Warszawie zamieszkała u krewnego męża, który przygarnął ją do swego mieszkania razem z jej dziećmi.

Kazia po wojnie mieszkała w Londynie i Szwajcarii, ale teraz też jest w Warszawie i pomaga siostrze, jak może. Mam nadzieję, że jakoś im się to życie poukłada, bo obie są bardzo miłe i dobre.

Maria westchnęła do swoich myśli i po chwili dodała dużo ciszej:

– Ziuk przecież chyba może im pomóc... Basia powinna wrócić do pisania i tłumaczenia, bo przecież musi utrzymać swoje córki... Los sprawił, że obie siostry zbliżyły się do siebie, chociaż w dzieciństwie nie było im dane być razem. Może pomimo różnicy charakterów dogadają się ze sobą... Bardzo im tego życzę.

Życie toczy się dalej, a ludzkie drogi schodzą się i rozchodzą. Większość tych, którzy u nas bywali, przeniosła się do Warszawy, by tam mieszkać i robić kariery. Życzę im jak najlepiej, choć dawniej nigdy nie uwierzyłabym, że tak gruntownie i szybko o mnie zapomną...

Kiedyś bywało tu dużo ludzi, naszło się czasem po kilkanaście osób. Musiałam pomagać Hani, bo samych herbat robiłyśmy po kilkadziesiąt szklanek dziennie. Zdarzało się, że goście pili z fajansowych kubków, bo eleganckiej zastawy nie mieliśmy w nadmiarze. Nikomu to jednak nie przeszkadzało.

Jedynie Ziuk okazywał czasem swoje niezadowolenie. Nie bardzo lubił, kiedy po domu kręciło się za dużo osób, i czasem robił mi z tego powodu wyrzuty, ale cóż ja mogłam na to poradzić. Wszyscy ci ludzie przychodzili do niego i ja w tym wszystkim byłam najmniej ważna. Jak dalece nieważna, widać dopiero teraz...

Drzwi naszego mieszkania nie zamykały się prawie. Zawsze starałam się być dobrą żoną i miłą panią domu i wiele osób potrafiło to docenić... – W głosie Marii pojawiła się nutka rozdrażnienia, którą Piłsudska szybko opanowała. Wzruszyła ramionami, po czym uspokoiwszy się nieco, kontynuowała opowieść:

– W Krakowie mieszkało wtedy bardzo wielu naszych starych znajomych. Większość z nich, tak jak i my, uciekła z Wilna, Petersburga czy Warszawy.

Władze austriackie łagodniej traktowały Polaków niż władze rosyjskie, więc każdy, kto miał z nimi zatarg, gnał co prędzej do Krakowa, żeby żyć w mniejszym lęku i pracować dla dobra ojczyzny.

Sokolnicki, Dehnel, Jodko-Narkiewicz, Prystor, Filipowicz bywali w naszym mieszkaniu bardzo często. Po śmierci Wandy Walery Sławek wciąż często nas odwiedzał, ale z nim to była całkiem inna historia. O Walerym opowiem panie potem, bo zasługuje na szczególną uwagę, ale muszę chwilę pomyśleć. Wspomnienia czasem bardzo mnie rozstrajają...

Piłsudka odwróciła głowę w kierunku okna i zamyśliła się, a gdy po chwili spojrzała na Karolinę, na jej twarzy pojawił się nowy grymas. Ściągnięte usta i mocno zmarszczone brwi sprawiały, że twarz Marii przez moment wyglądała surowo. Po chwili jednak nieprzyjemny grymas znikł i Maria znowu uśmiechnęła się do Karoliny. Albo do swoich myśli.

– Kiedy sprowadziliśmy się na Szlak, kilka numerów dalej mieszkał niejaki Feliks Dzierżyński. Ziuk znał go już wcześniej i spotykał czasami w różnych politycznych okolicznościach, ale od początku nie czuł do niego sympatii. Pomimo że wszyscy wywodziliśmy się z Wileńszczyzny, a Ziuk i Feliks mieli bardzo podobne korzenie, całkiem nie było im ze sobą po drodze.

W 1910 roku, kiedy sprowadziliśmy się do tego mieszkania, pan Dzierżyński właśnie ożenił się i przez kilka miesięcy mieszkał nieopodal ze swoją dopiero co poślubioną żoną. Spotkaliśmy się kilka razy na ulicy, ale wkrótce Dzierżyńscy opuścili Kraków i dokądś wyjechali. Feliks dzieciństwo i młodość spędził w Wilnie, ale był od nas dużo młodszy i kiedy my zaangażowani już byliśmy politycznie, on jeszcze chodził do szkoły. Nie znałam go wcześniej, ale Ziuk kilkakrotnie spotykał się z Dzierżyńskim przy różnych okazjach.

Obaj byli działaczami lewicowymi, ale ich zapatrywania bardzo się różniły. Ziuk zawsze walczył o wolność Polski i jego lewicowości daleko było do fanatyzmu. Dzierżyński zaś po kilku pierwszych latach działalności w ruchu katolickim, a później lewicowym zmienił swoje zapatrywania tak bardzo, że w końcu związał się z bolszewikami i zaprzyjaźnił z samym Leninem.

Ze zwolennikami Piłsudskiego nie było mu po drodze i chociaż losy obu mężczyzn biegły w pobliskich rejonach, to ostatecznie nigdy za bardzo się

nie zbliżyły, aż wreszcie niedawno, w czasie wojny polsko-bolszewickiej stanęli naprzeciw siebie jako wrogowie.

Dzierżyński nigdy nie budził mojej sympatii, choć pewna okoliczność z jego życiorysu sprawiała, że przez jakiś czas darzyłam go współczuciem.

Po bardzo wczesnej śmierci ojca Feliks wraz z braćmi pomagał matce zarządzać majątkiem i utrzymać liczną rodzinę. Jedną z niewielu rozrywek, jaką mieli wówczas on i jego bracia, były polowania, dzięki którym zaspokajali bieżące potrzeby żywieniowe rodziny.

Któregoś razu Feliks wybrał się na polowanie do pobliskiego lasu, nie wiedząc, że w ślad za nim podąży jego o kilka lat młodsza siostra. Usłyszawszy szmer w krzakach, wystrzelił w kierunku, w którym, jak mu się zdawało, ukryło się jakieś zwierzę. W ten sposób pozbawił życia czternastoletnią dziewczynkę, którą ciekawość i chęć splątania bratu psikusa postawiła na linii jego strzału. Historia ta niewątpliwie musiała odbić się na dalszym życiu Feliksa, ale bynajmniej nie spowodowała, że natura tego człowieka stała się łagodna. Niedobre rzeczy o nim słyszałam. Bardzo niedobre, aż dziw, ile okrucieństwa może zmieścić się w jednym człowieku...

Maria przerwała i położywszy głowę na oparciu fotela, przymknęła oczy. Po chwili miarowy oddech dobywający się z jej piersi uświadomił Karolinie, że Piłsudska zasnęła. Dziewczyna poczuła się niezręcznie i przez moment zastanawiała się, czy nie opuścić mieszkania, ale wydało jej się, że nie byłoby to grzeczne.

Drzemka gospodyni nie trwała jednak długo i Maria ocknęła się równie nagle, jak wcześniej zasnęła, po czym z przeproszającym uśmiechem spojrzała na Karolinę.

Kilkuminutowy odpoczynek wydawał się dodać jej nowych sił.

Karolina spojrzała na panią Marię i widząc, że gospodyni próbuje podnieść się ze swojego miejsca, zerwała się z krzesła, by jej pomóc.

– Dziękuję, bardzo dziękuję panience, ale jeszcze jakoś daję radę. Pójdę do kuchni po świeżą herbatkę, więc jeżeli panienka taka łaskawa, proszę za mną. Teraz przyda mi się pomoc, bo dzbanek troszkę za ciężki, żeby go nieść w jednej ręce.

Maria wyprostowała plecy, krzywiąc się przy tym lekko, a gdy już pewnie stanęła na nogach, sięgnęła po laskę, na której wspierała się tylko wtedy, gdy była zmęczona, i wolno ruszyła w kierunku drzwi. Karolina podążyła za nią, a gdy znalazły się w kuchni, Maria kontynuowała swoją opowieść.

Co tu ludzi bywało

Jak już mówiłam, kiedy zamieszkaliśmy w tym domu, od samego początku zrobiło się gwarno jak w ulu. Bywało tu wielu, bardzo wielu różnych ludzi i teraz często zastanawiam się, gdzie oni wszyscy się mieścili.

Przychodzili tłumnie, poważni lub roześmiani, naradzać się albo przekomarzać, a czasem nawet flirtować, bo jak już mówiłam, bywali tu zarówno kawalerowie, jak i panny.

Pięknie było.

Przed samą wojną codziennie ktoś do nas zachodził. W końcu pewnego dnia mąż powiedział mi w złości kilka przykrych słów na ten temat. Z tego, co mówił, zrozumiałam, że jest przekonany, iż to ja spraszam wciąż jakichś gości. Nie przeczę, że lubię obcować z młodzieżą, a po latach smutku i tęsknoty za córką nareszcie poczułam się nieco lepiej. A przecież większość odwiedzających nas ludzi to byli współpracownicy i podwładni Ziuka, młodzi oficerowie, komendanci oddziałów Strzelca, drużyn strzeleckich i innych formacji. Bywało też, że zaglądali tu darczyńcy z pieniędzmi dla naszej sprawy, i wtedy obowiązkowo musiałam ich podjąć i ugościć, żeby wyrazić wdzięczność za hojność i chęć niesienia pomocy. Musisz panna wiedzieć, że Ziuk powierzał mi nieraz finanse różnych organizacji. Czy mogłam więc kogoś z nich za drzwi wyrzucić? To on, Józef Piłsudski, był celem pielgrzymek na Szlak. Do niego Ignęli ci wszyscy ludzie, bo przecież dawał im nadzieję na to, że nad Wawelem znów załopocze polska flaga...

Pozłościł się, pozłościł, nawet trzasnął drzwiami gabinetu, kiedy się za nimi schował, ale kiedy po godzinie wyszedł, żeby poprosić o herbatę, całkiem inną miał minę. Wiedział przecież, że mam rację, i chociaż widać

musiał okazać swą złość, po przemyśleniu Ziuk zdał sobie sprawę, że tak naprawdę nie ja byłam temu wszystkiemu winna.

Zawsze mile widzianym w naszym domu gościem była panna Wiktoria Dąbska. Dąbska zjawiała się nie przypadkiem, a przyprowadził ją do nas Walery. Poznali się na Ukrainie w jej majątku Pietyhórka. Młoda, rezolutna dziewczyna, po śmierci ojca gospodarzyła tam całkiem udatnie, opiekując się przy tym chorą na nerwicę serca matką. Panna Wiktoria, z tego co wiem teraz, już zamężna (po mężu pani Weissowa), to bardzo silna i mądra osobka, choć prawdę mówiąc, niezbyt wybujałej urody. Ta kobieta ma w sobie jakiś ogień i sporo wdzięku, a poza tym jest wielką patriotką i dlatego od dawna, gdy tylko mogła, wspierała każdego, kto chciał przyczynić się do odzyskania niepodległości. Być może był to wpływ wychowania patriotycznie nastawionych przodków, a może bliska zażyłość i narzeczeństwo z Władysławem Studnickim, wówczas zwolennikiem i działaczem PPS-u. Jego matkę, Izabelę Gizbert-Studnicką, piękną i odważną „babcię Wilczą”, poznałam kiedyś w Warszawie.

Chyba właśnie przez Władysława Wiktoria poznała naszych konspiratorów, a potem zapragnęła czynnie się zaangażować oraz finansowo wesprzeć ich działalność. Władysław Studnicki ułatwił jej to chyba na swoje nieszczęście, bo wkrótce potem przestali się zgadzać i ich drogi całkiem się rozeszły. Małżeństwa z tego nie było.

Ze Studnickim mój mąż poróżnił się kiedyś, bo przecież już dawniej, tak jak i teraz, nie wszyscy myśleli jednakowo. Temperamenty mieli całkiem inne, bo Ziuk gorączka i wizjoner, a pan Władysław ostrożny myśliciel, chociaż nie przeczę, że mąż mój liczył się zwykle z jego zdaniem.

Twarz pani Marii posmutniała. Kobieta znów zamyśliła się nad czymś i widać było, że ogarnęły ją jakieś niewesołe refleksje. Tym razem Karolina nie domyślała się nawet, czego dotyczyły, lecz znów notowała w pamięci atmosferę kolejnej chwili, w której Piłsudska wyciąga wspomnienia, by je otrzepać z kurzu i jeszcze raz wystawić na światło dzienne. Co w nich ujrzała i jakie refleksje ją naszyły, pozostawało dla Karoliny tajemnicą, której nie potrafiła i nawet nie starała się zgłębić.

Po krótkiej chwili wyraz twarzy Piłsudskiej znowu się zmienił. Kobieta podniosła wzrok i spojrzawszy na Karolinę, uśmiechnęła się przepaszająco.

– Jak już wspomniałam, Wiktorię Dąbmską poznałam przez Walerego Sławka. Historia ich znajomości rozpoczęła się bardzo burzliwie, jak w jakiej powieści czy może poemacie.

Walery, wzorem innych, jeździł na kresy, żeby namawiać ludzi do pomocy i do walki z carem. Bywał emisariuszem i znajdując pomieszkowanie w dworach i majątkach, prowadził agitację dla naszej sprawy. Od niektórych otrzymywał pomoc w nawiązywaniu znajomości i pracy propagandowej, a od innych dostawał pieniądze, bardzo wówczas potrzebne.

Pewnego razu Walery wybrał się w podróż na Ukrainę, jednakże przez czyjąś nieuwagę w Kijowie coś poszło nie tak, jak było zaplanowane. Niewiele brakowało, a Sławek zostałby aresztowany, więc natychmiast postanowił opuścić miasto. Na szczęście jednak znał już Wiktorię Dąbmską i to do jej majątku, w środku nocy, uciekł przed niebezpieczeństwem. Wiedział, że Wiktorina to przyjazna osoba, mająca wygodny dom i dobre relacje z sąsiadami. Skierował więc swoje kroki do Pietyhórki i o świcie zapukał do drzwi majątku.

Wiktorina przechowała Walerego przez ponad dwa tygodnie, ale jej matka i przebywająca w gościnie przerażona ciotka zażądały od dziewczyny, żeby nie narażała siebie i innych na niebezpieczeństwo i pozbyła się z domu emisariusza. Wiktorina zaprotestowała bardzo ostro i zagroziła, że jeżeli nie dadzą jej spokoju, popełni samobójstwo. Postawa młodej kobiety tak bardzo zdumiała i przeraziła starsze panie, że skapitulowały i przestały na ten temat mówić.

Ciotka Dąbmskiej wkrótce opuściła majątek, a schorowana matka, potrzebująca opieki energicznej córki, z musu zaakceptowała obecność niebezpiecznego gościa. W ciągu dwóch kolejnych tygodni zdążyła go nawet polubić.

Od tego czasu Wiktorina systematycznie przysyłała pieniądze na potrzeby naszej sprawy, ale to też wymagało przemyślanych działań. Nikt, kto zamierzał wesprzeć nas materialnie, nie przysyłał pieniędzy na adres Ziuka czy Walerego. Nikt też bez potrzeby nie podawał naszych adresów osobom obcym i niezbyt pewnym. Bezpiecznym miejscem, w które Dąbmska

przesyłała pieniądze, był adres mojej znajomej, którą czasami określaliśmy jako siostrę. Oczywiście nie był to jedyny adres dla ważnych przesyłek, które mogły się władzom wydawać podejrzane. Mało to szpicli chętnych uprzykrzyć nam życie chodziło wówczas po świecie? Spotykałam ja nieraz bardzo wścibskie paniusie lub ich obrzydliwych mężów, którzy wiele daliby za to, by zza dziurawej firanki przez kuchenne okno ujrzyć żandarmów podjeżdżających pod dom sąsiadów.

Musieliśmy dbać o to, by zorganizować co najmniej kilka pewnych adresów, na które chętni mogliby przesyłać ofiarowywane kwoty. Nie chwaląc się, byłam specjalistką od tych adresów. Osoby figurujące jako odbiorcy przesyłek przedstawiane były darczyńcom jako moi krewni, bo przecież każdy, kto przeznaczą własną gotówkę na szczytny cel, chce, aby pieniądze bezpiecznie dotarły do miejsca przeznaczenia. Siostra to oczywiście ktoś bliższy obdarowanemu niż kuzynka czy przyjaciółka, toteż miałam ja tych „siostr” w Krakowie kilka. Różniły nas nazwiska, ale to przecież naturalne, że kobiety wychodzą za mąż i zmieniają nazwiska na nazwiska mężów. Z mężczyznami takie małe oszustwo całkiem by się nie udało.

Po powrocie Walerego do Krakowa Wiktoria zaczęła coraz częściej odwiedzać nasze miasto. Jej schorowana matka musiała pogodzić się z faktem, że córka ma tu swoje sprawy, z których jedną, jak mi się zdaje, było nieśmiałe uczucie do Walerego. Domyśliłam się tego, bo sposób, w jaki Wiktoria patrzyła na niego, powodował, że miałam niejakię podejrzenia...

Jednak Sławkowi po śmierci Wandy nie w głowie były romanse.

Walery do dziś podoba się kobietom, bo chociaż oszpecony i okaleczony po wybuchu bomby, ma sporo męskiego uroku, któremu nie oparła się też i moja córka. Kiedyś podobno czarusz był z niego nie lada, ale o tym dowiedziałam się nieco później, kiedy przypadkiem poznałam jego kuzynkę, panią Przybylską z Warszawy.

Wiele lat temu Walery mieszkał w stolicy i często bywał u Przybylskiej na niedzielnych herbatkach. Wtedy podobno ogromnie lubił czarować młode panny, którym zawracał głowę i... zapominał. Jednak ja poznałam go dużo później i nigdy nie podejrzewałam o bałamuctwa. Nie miałam powodu, by go o nie podejrzewać. Upodobał sobie przecież tylko moją Wandzię... Przyjaźnił się z panną Wiktoria, ale jej nie kochał. Panna Dąbska

rozumiała to niewątpliwie, choć pewnie jak każda kobieta w głębi serca miała nadzieję... Tak tylko myślę, bo nigdy z nią o tym nie rozmawiałam. Walery był, rzecz jasna, ważny dla Wiktorii, poza tym jego odwaga i poświęcenie niewątpliwie jej imponowały. Odwiedzała nas czasem w tym mieszkaniu, po raz pierwszy zdarzyło się to, kiedy Sulkiewicz wyruszył do Rosji z jakąś niebezpieczną misją. Szczegółów wyprawy nie pamiętam i raczej ich chyba nie znałam, bo już w tych czasach gdy Ziukowi wpadał do głowy jakiś ważny pomysł, omawiał go w bardzo wąskim gronie, żeby niepotrzebnie nie narażać innych. Na początku małżeństwa mówił mi więcej, ale z czasem zamykał się w sobie i nie rozmawiał już ze mną jak dawniej...

Będąc w Krakowie, Wiktoria przyszła do nas, żeby przekazać grubszą gotówkę na organizację Legionów. Walery uparł się, że sam nie przyjmie tak dużych pieniędzy, więc przyprowadził ją na Szlak, żeby wręczyła je osobiście Ziukowi. Następnego dnia robiliśmy przyjęcie pożegnalne dla Sulkiewicza, zaprosiłam więc pannę, która tak hojnie nam pomagała. Pamiętam jej zdumione spojrzenie, kiedy ujrzała tłum gości w naszym skromnym mieszkaniu. Trzymała się mnie przez cały wieczór, pytając o różne rzeczy i ludzi, ale poza imionami nie poznała prawdziwych nazwisk młodzieży.

– Nie będę ich pani przedstawiała z nazwiska, bo dla konspiracji lepiej, żeby ich pani nie znała – powiedziałam wtedy, a Wiktoria natychmiast zrozumiała, że dla wszystkich tak będzie bezpieczniej.

Dąbska była ode mnie dużo młodsza, ale jakoś nie dogadała się z naszymi pannami Basią i Kazią, tylko wolała konwersować ze mną. Młodą, ale doświadczoną życiowo kobietę widocznie bardziej pociągała zażyłość ze starszą od siebie matroną niż z młodymi dziełatkami. – Piłsudska przez chwilę chichotała, a jej śmiech był prawdziwie niewymuszony i szczery.

– Wiktoria za wszelką cenę chciała przysłużyć się sprawie walki o niepodległość i czasem zdawało mi się, że trochę się w tym zapamiętuje. Nie można było nic przy niej powiedzieć, żeby nie starała się wspomóc choćby w najdrobniejszy sposób.

Kiedyś, chyba w 1912 roku, usłyszała ode mnie, że chłopcy ze Strzelca nie mają karabinów. Rzeczywiście, czasem nie dojadali przez tydzień albo i dłużej, żeby odłożyć pieniądze na zakup broni. O tym wiedzieliśmy od

komendanta krakowskiego Strzelca i fakt ten bardzo wzruszył Wiktorię. Od razu chciała mi wręczyć sto koron na karabiny dla młodych zapaleńców. Nie przyjąłem tych pieniędzy, ale w naszym mieszkaniu zorganizowałem spotkanie Dąbskiej z komendantem Strzelca Beliną-Prażmowskim, który cały w pąsach wzbraniał się przyjąć gotówkę od kobiety. W końcu jednak, po naszych wspólnych namowach, wziął wreszcie pieniądze.

Potem chłopcy ze Strzelca uzbierali w podzięcie dla panny Wiktorii piękny bukiet polnych kwiatów. Niestety, kiedy go wręczali, nie był już taki piękny. – Maria po raz kolejny tego dnia roześmiała się serdecznie. – W ich wielkich gorących dłoniach kwiaty straciły świeżość, ale to całkiem nie przeszkadzało Dąbskiej zabrać bukietu do Pietyhórki. Kiedy widziałam się z nią ostatnim razem, mówiła, że wciąż ma go jeszcze w swoim domu.

Z czasem Dąbska stała się dla Ziuka ważną osobą na Ukrainie. Kiedy była w Krakowie albo przyjmowała kogoś u siebie w Pietyhórcie, dostawała broszury, które rozprowadzała po okolicy, a poza tym wciąż wspierała finansowo wspólną ideę. Zaprzyjaźniłyśmy się bardzo i kiedy w 1911 roku Wiktoria musiała poddać się operacji usunięcia kamienia nerkowego, odwiedzałam ją na zmianę z Walerym niemal codziennie, przez siedem tygodni w Domu Zdrowia przy ulicy Siemiradzkiego. Dobrze znałam ten szpital, bo sama rok wcześniej byłam tam operowana i wówczas leżałam w tej samej sali, co ona. Ja jednak miałam całkiem inną operację. – Tu Maria przerwała i na moment zmarszczyła brwi. Najwyraźniej jednak nie zamierzała rozwijać wątku swojej operacji i bardzo szybko wróciła do swych relacji z Dąbską:

– Nie zawsze rozumiałam, co nią kierowało, bo choć wiele ze sobą rozmawiałyśmy, to jednak były sprawy, z których mi się nie zwierzała. Na przykład nie wiem, dlaczego zerwała zaręczyny ze Studnickim, bo o tym nigdy mi nie mówiła, a mnie niezręcznie było pytać. Raz tylko wspomniała, że nie stało się to „z powodu różnicy w poglądach, ale raczej na tle osobistym”. Co by to jednak miało znaczyć, tego nie wiem, bo nigdy w to nie wnikałam.

Studnicki był zawsze prawym i przyzwoitym człowiekiem, dlatego, jak twierdzi mój mąż, nie bardzo nadaje się do polityki. Działania niezbędne w dyplomacji nie mieszczą mu się w głowie i dlatego mnie wydawało się logiczne, że takich dwoje ideowców świetnie do siebie pasuje, a jednak stało się inaczej. Nie dogadali się i w drugiej połowie 1910 roku zwolnili

się wzajemnie ze złożonej obietnicy. Trochę mi żal, tak zwyczajnie po kobiecemu smutno, kiedy czasem myślę sobie o nich. Studnicki to piękny mężczyzna, wysoki, potężnie zbudowany i mądry, ale ja nie zawsze go rozumiałam. Miał swoje racje, z którymi Ziuk się nie zgadzał.

W dawniejszych czasach, jeszcze przed rozłamem w PPS-ie, gościliśmy go kiedyś u nas, ale to były dziwne odwiedziny i Józef potem długo chodził zamyślony. Powązał Studnickiego, a ja powązałam wszystkich, których mój mąż szanował, i dlatego w głębi duszy żałowałam bardzo, że panna Dąbska... No, ale cóż, nie mnie to roztrząsać. Każdy ma swoją ścieżkę, po której kroczy, i nie zawsze wiemy, czy wiezie ona w dobrą stronę. Potem panna wyszła za mąż za człowieka, którego nie znam. Weiss ma na nazwisko. Przed wojną wyjechali do Italii i stamtąd Wiktoria napisała do mnie list. Pisała mi, że wciąż oręduje za polskimi sprawami u tamtejszych władz.

Dobra z niej kobieta. Powinnam do niej napisać, tylko prawdę mówiąc, nie wiem o czym – powiedziała Maria nieco ciszej, znów patrząc w kierunku okna.

Kraków

Marzec był tego roku wyjątkowo piękny i ciepły, toteż podczas przypadkowego spotkania na schodach kamienicy Maria zaproponowała Karolinie, żeby któregoś dnia wybrały się razem na spacer. Dziewczynie bardzo spodobała się propozycja Piłsudskiej, więc umówiły się na sobotę, bo właśnie tego dnia Karolina wcześniej kończyła zajęcia w szkole. Dziewczyna lubiła spacerować po mieście i często wracała z pracy piechotą, żeby spokojnie przyjrzeć się ludziom, pooglądać sklepowe wystawy i nacieszyć się wyczuwalną w powietrzu wiosną.

Pod koniec tygodnia słońce przygrzewało wyjątkowo mocno, budząc z zimowej drzemki krakowskie trawniki, krzewy i drzewa. Na podwórku kamienicy pielęgnowany przez żonę Wincentego ogródek też już powoli ożywał i zielone pędy tulipanów, przebijając miękką ziemię, z dnia na dzień robiły się coraz większe.

Każdy pretekst do wyjścia z ponurego mieszkania przy strychu wydawał się Karolinie dobry, a spacer z panią Marią uważała za pomysł wprost idealny.

Zgodnie z umową w sobotę punktualnie o dwunastej zapukała do mieszkania Piłsudskiej.

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast i pojawiła się w nich uśmiechnięta Maria. Była gotowa do wyjścia. W ciepłym płaszczu, małym kapelusiku, z niewielką ciemną torebką w dłoni wyglądała skromnie, ale ładnie. Radość malująca się na twarzy kobiety dodawała jej dużo uroku.

– Jestem gotowa – powiedziała, lecz spojrzawszy na Karolinę, zmarszczyła lekko brwi i dodała przeprasającym tonem: – Ale pani dopiero wróciła z pracy, pewnie zmęczona. Powinnam raczej zaprosić na herbatę...

Karolina gwałtownie potrząsnęła głową.

– Nie, nie trzeba, dziękuję bardzo – odpowiedziała i usunęła się sprzed drzwi, robiąc w ten sposób miejsce Piłsudskiej. – Najlepiej wyjdźmy od razu, bo dzień piękny i słońce przecudne... – dodała prędko, ale z żalem pomyślała o herbacie. Mała filiżanka gorącego naparu bardzo by jej się przydała. Od rana nie miała okazji wypić niczego ciepłego, a obecne okoliczności wskazywały na to, że to nieprędko nastąpi. Pogoda jednak rzeczywiście była piękna i chęć zrobienia przyjemności Piłsudskiej stała się dla Karoliny dużo ważniejsza niż dbanie o własne wygody.

Maria nie mówiła nic na ten temat, ale Karolina wiedziała, że sąsiadka woli spacerować w jej towarzystwie niż samotnie. Przyzwyczała się już do tego, że jej odwiedziny nie były Piłsudskiej obojętne. Godziny spędzone w towarzystwie dziewczyny Maria traktowała jak święto i odkąd lepiej się poznały, wcale nie ukrywała, że tak czuje.

Świadomość tego faktu była dla Karoliny przyjemna.

– Odkąd śnieg stopniał, wychodzę czasem przy ładnej pogodzie – powiedziała Piłsudska, uśmiechając się nieśmiało – ale bardzo chętnie przejdę się z panią po Starym Mieście i powspominam ulubione kąty. Przy okazji z radością zaproszę panią na kawę. Tyle tu miejsc, do których jeszcze pragnęłabym zajrzeć... – stwierdziła z lekkim smutkiem, po czym dodała szybko: – Zwolniłam dzisiaj Hanię, bo skoro mamy zaszaleć, nie będzie mi przecież potrzebna.

Piłsudska przekroczyła próg mieszkania, wsadziła klucz w zamek i przekręciła go dwukrotnie, dokładnie zamykając drzwi. Schowała klucz do torebki i przytrzymując się poręczy, zeszła w dół po drewnianych schodach. Kiedy znalazły się na ulicy przed domem, Karolina bez słowa podała jej rękę. Maria wsunęła dłoń pod szczupłe ramię dziewczyny i przymknąwszy oczy, głęboko wciągnęła powietrze do płuc. Po chwili otworzyła oczy i uśmiechnąwszy się lekko, pociągnęła ją w kierunku Rynku.

Szły wolnym, ale równym krokiem. Karolina wolała spokojne tempo marszu, bo nie chciała, by pani Maria zanadto się zmęczyła. Przez dłuższą chwilę nie odzywały się do siebie, jakby dopasowując tempo marszu do możliwości. Młoda kobieta nie wiedziała, na ile choroba pozwoli Marii poruszać się swobodnie i czy ich spacer nie zmieni się wkrótce w gorączkowe poszukiwanie ławki, dlatego całą uwagę skupiła na

dyskretnej obserwacji Piłsudskiej, jednocześnie bacznie wsłuchując się w jej oddech. Na razie jednak wydawało się, że Maria ma sporo siły i jest zadowolona ze spaceru.

W blasku południowego słońca szły obok siebie, każda zatopiona we własnych myślach.

Karolina nie odzywała się, nie chcąc zmuszać Marii do niepotrzebnego wysiłku, jednak nie uszło jej uwagi, że jej towarzyszka co chwila podnosi głowę, żeby przyrzeć się mijanym domom, jak turysta zwiedzający obce miasto. Wreszcie widocznie zapragnęła podzielić się z Karoliną swoimi myślami. Odkaslnęła, nabrała powietrza do płuc i odezwała się niezbyt głośno:

– Od razu pokochałam to miasto... Właściwie nie rozumiem, jak mogłam pokochać je aż tak mocno, bo przecież najbliższe memu sercu jest Wilno.

Maria westchnęła i nieco zwolniła kroku.

– W Wilnie leży moja Wandeczka – powiedziała cicho, ale najwyraźniej nie chcąc być źle zrozumianą, wyjaśniła: – Tu było nam dobrze, ale my przecież nie byliśmy stąd i obie troszkę tęskniłyśmy za Wilnem. Pochowałam ją więc na wileńskiej Rossie, gdzie leży teraz na wzgórzu obok obydwu swoich babek. Taka zresztą była ich wola, a obie dały Wandzi tyle miłości, że nie mogłam tego nie uszanować. Chyba i mnie niebawem przyjdzie tam spocząć – dodała półgłosem.

– Na kresach były nasze gniazda i miejsca najmilsze, ale przed wojną nie mogliśmy tam żyć. Z ruskiego zaboru zbyt wiele pociągów odjeżdżało na Sybir, a nikt z nas przecież nie chciał się tam znaleźć.

Maria westchnęła i na chwilę zatrzymała się na chodniku, żeby poprawić kapelusz. Kiedy jej dłoń na powrót wsparła się na ramieniu Karoliny, ruszyły w dalszą drogę.

– Chcę, żeby pochowano mnie w Wilnie, chociaż tam coraz mniej mam znajomych i krewnych. Porozjeżdżali się po świecie, niektórzy zginęli. W tym mieście jednak leżą moi dziadkowie i rodzice. Jedna z sióstr też już nie żyje, a z drugą dawno się nie widziałam... Nie byliśmy bardzo zżyte, ale ostatnio często myślę o moich bliskich i bardzo tęsknię za dawnym życiem.

Maria odetchnęła głęboko i zamilkła na dłuższą chwilę. Nie rozglądała się już na boki, tylko patrzyła przed siebie, a Karolinie wydało się, że ciężar kobiety wspierającej się na jej ramieniu stał się odrobinę większy. Skręciły

w Długą. Nie uszły daleko od domu i jeszcze mogłyby zawrócić, gdyby wyprawa do Rynku okazała się dla Marii zbyt forsowna, ale jakiś czas szły w milczeniu i Piłsudska wkrótce odzyskała energię i znowu zaczęła mówić:

– Gdy już na dobre zadomowiliśmy się w Krakowie, zauważyłam coś, czego nie czułam dotąd w żadnym innym mieście. Piękne Wilno, spokojne i trochę senne, majestatyczny Lwów czy Warszawa, która w latach mojej młodości w porównaniu z Petersburgiem wydawała mi się dosyć prowincjonalna, nie miały w sobie tego ducha wyczuwalnego w Krakowie.

Kiedy więc po raz pierwszy od aresztowania w Łodzi znaleźliśmy się w tym mieście, nie mogliśmy nacieszyć się jego klimatem. Tu nareszcie nie musiałam się już przed nikim ukrywać, a i mąż mój czuł się w Krakowie dużo bezpieczniej niż gdziekolwiek indziej. Nie musieliśmy żyć w ciągłym strachu, że nas aresztują, i rozmawiać przyciszonymi głosami, by nie podrażnić wszechobecnego szpiclowskiego ucha. Oczywiście nie byliśmy całkiem swobodni, tu też nas szpiegowano i podglądano w mieszkaniach, ale w przedwojennych latach więcej z tym było śmiechu niż strachu. Na Topolowej byliśmy bardziej uważni i Ziuk powtarzał wciąż, żebyśmy obie z Wandeczką zachowywały należyłą ostrożność, ale na Szlaku czułam się naprawdę bezpiecznie, bo wtedy czasy już były niepewne i władze zajęte były czym innym.

Kraków urzekał nas wciąż na nowo, ale szczególnie przed wyjazdem do Londynu nie chciało nam się go opuszczać. Pomimo ponagleń Jędrzejowskiego, byśmy wreszcie wyruszyli na Wyspy, ani Ziukowi, ani tym bardziej mnie wcale się tam nie spieszyło. Potrzebowaliśmy tego miasta i jego klimatu. Potrzebowaliśmy rekompensaty za lata strachu, więzień i poniewierki, które, jak wtedy sądziłam, mieliśmy już za sobą.

W Krakowie Józef spotykał się wreszcie z zasłużonym uznaniem różnych ludzi. W tamtych latach krakowska młodzież przyjmowała konspiratorów z rosyjskiego zaboru z prawdziwym uwielbieniem, a sława Józefa wyprzedzała go znacznie, kiedy więc tylko pojawialiśmy się w nowym środowisku, zawsze wiadome było, kim jest i czego dokonał Piłsudski.

Klimat społeczny i polityczny sprzyjał nam bardzo. Przedstawienie *Wesela* Stanisława Wyspiańskiego, którego premiera odbyła się na kilka miesięcy przed naszym pierwszym przyjazdem do Krakowa, zrobiło swoje, a książki Żeromskiego pobudzały uśpioną nieco wyobraźnię młodych ludzi. To, że w oczekiwaniu nowych prądów i idei popatrywano w kierunku

Królestwa, było w tych czasach czymś oczywistym. Pod okupacją rosyjską, pomimo rygorów i obostrzeń, a może właśnie dlatego, że były tak silne, rozkwitały idee wolnościowe, przeplatając się i mieszając z socjalistycznymi.

Maria zwolniła kroku i kiedy przeszły ulicę przy Plantach, zatrzymała się pośrodku alejki. Lekko zmarszczywszy brwi, zastanawiała się nad czymś chwilę, po czym podniosła głowę i patrząc na nieodległy mur Barbakanu, stwierdziła:

– Polacy mają taką dziwną naturę, że im bardziej są uciskani, tym skuteczniejszy i bardziej zaciekły stawiają opór. Pewnie dlatego to nie w cichej i spokojnej, choć biednej Galicji powstał silny bunt przeciw zaborcy, ale tam, gdzie ucisk był najbardziej dotkliwy. Kiedy opór i bunt już się zrodziły, powędrowały wraz z nami i nam podobnymi do miejsc, gdzie bezpiecznie mogły się rozwijać i krzepnąć.

Piłsudka puściła ramię Karoliny i gestem wskazała pobliską ławkę. Podeszły więc do niej, a kiedy usiadły, po krótkim odpoczynku Maria zaczęła mówić:

– W 1904 roku, tak jakoś jesienią, kiedy była nas już w Krakowie całkiem duża gromada starych znajomych, umyśliliśmy sobie, że trzeba na szerszą skalę zająć się działalnością wydawniczą. Oczywiście redakcje pism przeniesionych z Londynu działały całkiem dobrze, ale w nowych okolicznościach zamarzyło nam się wydawanie książek. Wszyscy spotykający się nie tylko służbowo, ale i towarzysko mieliśmy w tym spore doświadczenie, chodziło więc tylko o stworzenie przedsiębiorstwa i zorganizowanie pracy, na której znaleźliśmy się już nie najgorzej.

I tak 28 października w mieszkaniu adwokata doktora Zygmunta Marka powołaliśmy do życia Spółkę Nakładową „Książka”. W grupie założycieli, oprócz Ziuka i mnie, byli jeszcze Ksawery Prauss, Leon Wasilewski, Bolesław Jędrzejowski i żona Jodko-Narkiewicza, Marysia. W późniejszym czasie dołączyli do nas jeszcze Sulkiwicz, Sławek i Prystor, a nad stroną prawną przedsięwzięcia czuwał, rzecz jasna, Marek.

Pierwszym przewodniczącym rady nadzorczej został Ignacy Daszyński, a dyrektorami kolejno Marek, Wasilewski i Jędrzejowski. Oficjalną siedzibą

Książki był najpierw Lwów, ale prawdę mówiąc, nie pamiętam już, dlaczego tak się stało. Od początku wiadome było, że spółka działać będzie w Krakowie, i tu organizowaliśmy wszystko tak, by od grudnia ruszyć z robotą.

To były piękne czasy, a ja cieszyłam się bardzo, że mogę pracować. To była robota, o jakiej marzyłam; dawała mi zajęcie, ale też zadowolenie z pożytecznie spędzonego czasu. Nieobojętne było i to, że lubiliśmy się wszyscy i spędzanie ze sobą czasu dawało nam radość.

Były też niestety, jak w każdym towarzystwie, nieco smutniejsze chwile.

W tamtym czasie duszą towarzystwa zazwyczaj był Witold Jodko-Narkiewicz, uwielbiający życie towarzyskie i krakowskie kawiarnie. Niestety Witek nie znał umiaru i to jego niekontrolowane zamiłowanie doprowadziło rodzinę Jodków na skraj bankructwa. Żał mi było Marysi, ale nikt z nas, niestety, nie potrafił powstrzymać Witolda, któremu jego własne sprawy zaczynały wymykać się spod kontroli. Piękna Marysia nieraz wypłakiwała do mnie żale na męża, a ja, choć szczerze lubiłam Witolda, zła byłam na niego bardzo. W końcu nasze drogi rozeszły się, bo przyszedł czas, że i Józef stracił do niego cierpliwość. Ale to było później.

Siedziba Książki początkowo mieściła się na Grodzkiej, potem przez krótki czas na Szlaku, a pod rządami Jędrzejowskiego zmieniała się kilkakrotnie. W lokalu spółki oprócz produkowanych przez nią książek zawsze można było kupić czasopisma nielegalne, czyli „Przedświt”, „Robotnika” albo pisemko dla dzieci „Promyk”.

Przez tę działalność w 1905 roku na pewien czas zamknięto nam spółkę, a pretekstem do zamknięcia było to, że nie mieliśmy koncesji na sprzedaż drukowanych nie przez nas czasopism. Nikt oczywiście nie zamierzał tłumaczyć władzom, że te czasopisma też w jakiejś mierze są nasze, gdyż Książka należała do PPS-u. Cieszyliśmy się, że zamknięto tylko spółkę, a nie nas. Wkrótce zresztą zaczęliśmy robić wszystko, żeby przywrócić do życia naszą Książkę, i to nam na szczęście się udało.

Pod rządami Jędrzejowskiego, który przyjechał z Warszawy do Krakowa w 1907 roku, spółka prawdziwie rozkwitła. Bolesław jako dyrektor sprawdził się znakomicie, bo pracę swą traktował jak posłannictwo, co dawało naprawdę znakomite efekty. Zaczęły się złote lata spółki. Jędrzejowski okazał się nie tylko świetnym organizatorem, doskonale zorientowanym w potrzebach rynku, ale też przede wszystkim człowiekiem

o wysokiej kulturze. Szeroka wiedza i wielki takt osobisty pozwalały mu znakomicie dogadywać się z drukarzami, dostawcami i księgarzami zamawiającymi nasz towar, a co najważniejsze, porozumiewać się z pisarzami, którzy jak wszyscy twórcy bywają czasem trudni.

Za jego czasów Książka stała się nie tylko miejscem pracy i wydawnictwem. Wokół spółki zaczęli skupiać się pisarze i w ten sposób powstało bardzo prężnie działające środowisko literackie. Do naszego grona dołączyli więc wkrótce twórcy, których książki były przez nas wydawane. Żeromski, Orkan, Daniłowski, Sieroszewski i Miłkowski związali się ze spółką zawodowo i towarzysko. Autorzy lubili Książkę, bo Jędrzejowski pilnował, by płacono im uczciwie, więc dzięki tej współpracy nie cierpieli biedy.

Pewnie czasami pojawiały się problemy finansowe, ale Jędrzejowski odznaczał się nie tylko taktem i wysoką kulturą, ale też nade wszystko był bardzo uczciwy i nie potrafiłby zarabiać na oszustwie. Książka stworzyła więc wokół siebie dobry klimat, co, rzecz jasna, nie pozostało bez wpływu na jej popularność.

Po upadku rewolucji 1905 roku zaczęło do Krakowa napływać dużo nowych ludzi. Studenci, działacze polityczni i literaci szukali dla siebie miejsca i jednym z nich okazała się właśnie nasza Książka. Galicja ożyła intelektualnie i w powietrzu wyczuwało się już powiew świeżości. Społeczeństwo powoli budziło się z uśpienia, w jakie popadło po klęsce powstania styczniowego. Wśród młodych wytworzył się swoisty styl obyczaju, stroju i języka, do którego wkrótce zaczęły wkradać się zupełnie nowe hasła. Z czasem obowiązkowym niemal strojem męskiej części krakowskiej bohemy stała się szara strzelecka kurtka, ale i w damskiej modzie pożądana była pewna surowość i prostota. Teraz krakowskie modnisie wyglądały trochę jak sufrażystki.

Od 1907 do 1914 roku spółka rozwijała się prężnie i miała się znakomicie. Niestety w 1914 roku Jędrzejowski zmarł, co jednocześnie oznaczało koniec spółki. Zresztą w tym roku rozpoczęła się też wojna i wówczas już co innego mieliśmy w głowie. Potem znajomi zaczęli stopniowo opuszczać Kraków i większość z nich więcej tu nie wróciła.

– Pomimo tego, że moje życie się zmieniło, Kraków wciąż Kocham. Dzisiaj też dobrze czuję się w tym mieście. Najbardziej brakuje mi jednak wieczornych spacerów, na które zupełnie nie mam już siły. Wciąż lubię patrzeć w okna kamienic, które tak wiele widziały, oglądać mury, które wiele słyszały, i wstępować do kawiarenek, gdzie w minionych latach spędziłam niejedną godzinę. Wiele się pozmieniało, ale fasady domów nie ulegają zmianie i kiedy teraz na nie patrzę, wracam myślami do tamtych czasów. Domy wszak stoją w tych samych miejscach. Wiem to na pewno, choć wówczas jeszcze nie przyglądałam im się tak dokładnie.

Przez chwilę siedziały na ławce bez ruchu, patrząc na spacerujących przechodniów. Piękna pogoda sprawiła, że Planty zaroily się od ludzi. Karolinie zdawało się, że kilka osób uważnie przyglądało się Piłsudskiej, ale Maria na nikim nie zatrzymywała wzroku. Na wszystkich spoglądała z tą samą życzliwą obojętnością, całkowicie pozbawioną uwagi. Znacznie bardziej interesowały ją gołębie, bez strachu zbliżające się teraz do jej nóg.

Otworzywszy ostrożnie zameczek torebki, Maria sięgnęła do jej wnętrza i wydobyła zawinięte w pergamin ciastko, pokruszyła je i rzuciła na ścieżkę, wywołując tym znaczne ożywienie wśród ptaków. Pojawiły się większą chmarą i przez chwilę dziobały rozsypane okruszki. Nie trwało to jednak długo. Nieduży chłopiec, uwolniwszy dłoń z uścisku opiekunki, podbiegł z głośnym krzykiem do ptaków.

Spłoszona gruchająca czereda poderwała się gwałtownie z chodnika i odfrunęła, by kilkanaście metrów dalej przysiąść na trawniku. Przestraszony malec z płaczem wrócił do opiekunki, a pani Maria zaśmiała się krótko i zmiąwszy papier, wsadziła go do torebki. Po chwili podniosła się z miejsca i Karolina zrozumiała, że pora iść dalej.

– Długie wieczory, które spędzałyśmy na Topolowej jeszcze za życia córki, upływały nam na rozmowach lub grze w karty – powiedziała Maria.
– Czasem, gdy Broniś był w nastroju do konwersacji, schodził też do nas i z nami rozmawiał. Wandzia szybko zadomowiła się w Krakowie i poznała całkiem duże grono ciekawych ludzi. Oni też zaglądali czasem na Topolową. W grupie tej było dwóch kawalerów wypatrujących oczy za moją Wandzią. Córka jednak miała głowę zajęta Walerym i nawet nie

zauważała tęsknych spojrzeń swoich wielbicieli. Obaj chłopcy wstąpili później do Legionów, ale tego niestety Wanda nie mogła już zobaczyć.

Przez kilka pierwszych miesięcy 1906 roku wydawało się, że wszystko układa się, jak należy. Ziuk i Walery często opuszczali Kraków, ale wracali i wtedy moja córka była naprawdę szczęśliwa. Ja nie...

Chociaż pozornie nie miałam powodów do zmartwień, od dnia przeprowadzki na Topolową czułam, że coś się stanie, i bardzo bałam się o los naszej rodziny. Kolejne ciosy zaczęły na mnie spadać od czerwca.

Najpierw Walery miał straszny wypadek, w sierpniu 1906 roku umarła Wanda... aż w końcu przypadkiem znalazłam na biurku Ziuka list tamtej kobiety. Dom, który miał być oazą szczęścia, stał się nieomal jego grobowcem.

Maria szła teraz wolno obok Karoliny, ale kiedy mówiła, nie męczyła się wcale. Patrzyła przed siebie, oddychając miarowo, jednak wypowiedziawszy ostatnie zdanie, zamilkła na dłużej.

Niespieszny krok spaceru nie zmęczył jej na tyle, by znów chciała się zatrzymać, kiedy jednak zbliżyły do Rynku i w perspektywie ulicy ujrzała wieżę kościoła Mariackiego, uśmiechnęła się szeroko. Ton jej głosu, który jeszcze kilka minut temu był bardzo smutny, teraz ożywił się odrobinę.

– Po śmierci Wandy z mieszkania na Topolowej nieczęsto wychodziłam – powiedziała Maria. – Moje sprawy nie układały się dobrze i przez kilka miesięcy trudno mi się było pozbierać. Po burzliwej tułaczce nasz wymarzony wspólny dom, a raczej mieszkanie na pierwszym piętrze miało być w końcu miejscem szczęśliwym. Bardzo starałam się podjąć różnym obowiązkom i przeciwnościom, które zaczęły nawiedzać naszą rodzinę, a jakimś dziwnym zrządzeniem losu wydawały się dotyczyć głównie mnie.

Może zbyt wiele pragnęłam?

Pomimo odgłosów nadchodzącej burzy starałam się zachować spokój. To, co nieuniknione, stało tuż za moim progiem, a ja uparcie odwracałam głowę od drzwi, starając się pokazywać dobry nastrój i uśmiech na twarzy, chociaż wcale nie było mi do śmiechu.

Broniś ze swoim zagubieniem i wielką melancholią w sercu okazał się w gruncie rzeczy całkiem dobrym dla mnie lekarstwem. Zająłam się nim serdecznie, bo Józef nie miał na to czasu, a sądzę, że też i ochoty.

Dopiero przed świętami Bożego Narodzenia pozbierałam się jakoś, bo postanowiliśmy zaprosić Walerego, który po ciężkim wypadku i stracie Wandeczki też czuł się dosyć podle. Zasiedliśmy do Wigilii w dosyć dziwnym gronie ludzi osieroconych i poranionych i gdyby nie to, że zaprosiłam też sąsiadów, pewnie trudno by nam było udawać wesołość. Na szczęście inni wyręczyli mnie w tym zadaniu i Wigilia minęła nam prawie miło.

Mój mąż w tym czasie niewiele bywał w domu, bo wciąż podróżował w interesach. Jeździł nie tylko po całej Galicji, ale też do Wiednia, Poznania i Warszawy. W 1906 i 1907 roku najczęściej jednak wyjeżdżał do Lwowa. Wobec licznych i wciąż nowych obowiązków sprawy rodzinne w jego kalkulacjach zeszły na dalszy plan. Jemu też wcale nie było łatwo.

Po rozpadzie PPS-u Ziuk wciąż jeszcze angażował się w sprawy partii, ale teraz miał już tych swoich bojowców i z nimi budował podstawy własnej organizacji. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że musi szybko zapewnić sobie inne niż PPS miejsce do działania, bo z tą partią jego drogi prawie się rozeszły. W Europie było niespokojnie i przyszedł czas, by bardziej stanowczo zatroszczyć się o sprawy Polski. PPS nie było już jednością. Ziuk rozumiał, że nieuchronnie nadchodzi czas całkowitego rozstania z partią. Na razie jednak zupełnie nie mógł sobie na to pozwolić.

Powoli budował własną organizację, która musiała być na tyle silna, by z jej pomocą dało się zrealizować śmiałe plany tworzenia polskiego wojska.

Ze Sławkiem, Prystorem i innymi kolędowali, gdzie tylko było można, żeby zbierać poparcie i fundusze dla organizacji bojowej, która kiedyś, jak święcie w to wierzyli, mogłaby przekształcić się w polskie wojsko. Tak też w końcu się stało, ale sukces nie przyszedł bez pracy. To, że po kilku latach Piłsudski miał za sobą wierną armię ochotników, okupił ciężką pracą. Tej sprawie podporządkował całe swoje i nie tylko swoje życie. Moje też...

– Na Szlaku od początku miało być inaczej – powiedziała po krótkiej przerwie Piłsudska. – W moim życiu znowu działa się dużo i zmiana

mieszkania zdecydowanie mi posłużyła. W naszym domu ciągle pojawiali się różni ludzie, którzy przyjeżdżali z odległych miast i majątków, żeby spotykać się z moim mężem i godzinami konferować w jego gabinecie. Niektórych z nich Ziuk zapraszał potem do salonu i wtedy przy kolacji opowiadali o swoich stronach i miejscach, których nie znałam.

Kiedy osiedliśmy w Krakowie, Józef bardzo często podróżował, a ja nie miałam już tych sił co kiedyś i niespieszno mi było tłuc się pociągami tam i z powrotem. Zresztą mąż mi nawet tego nie proponował. Przeważnie wyjeżdżał sam albo z kimś ze swoich współpracowników. Wciąż też naradzał się z szefostwem organizacji bojowej, a potem z komendantami Strzelca.

Kiedy wracał z podróży, zazwyczaj był bardzo zmęczony, więc spał, a potem spotykał się z przyjezdnymi i dalej ruszał w interesach, pozostawiając mi jak dawniej instrukcje w różnych sprawach, które mogłam pozałatwiać w jego imieniu. W naszym małżeństwie sporo się zmieniło i czasem wydawało mi się, że bardziej jestem jego sekretarką niż żoną, ale nie mogłam na to nic poradzić. Ziuk zmienił się nie tylko wobec mnie. W relacjach z ludźmi trzymał teraz dystans i coraz mniej miał przyjaciół, a więcej podkomendnych. Myślę, że nie czuł się z tym bardzo dobrze, ale też nie sądzę, by było mu z tym źle.

Mniej niż dawniej mówił mi o tym, co robi, wciąż jednak rozmawialiśmy o bieżących sprawach i czasem opowiadał jakieś ciekawostki z podróży, ale rozmów prowadzonych sam na sam było już teraz niezbyt wiele. Rzecz jasna, martwiło mnie to, ale cóż mogłam poradzić? Wciąż przecież działało się tyle, że ze zdumieniem zauważyłam, iż mieszkanie przy Szlaku stało się chyba najczęściej odwiedzanym lokalem w Krakowie. Nieraz bywało, że nie wiedziałam, czym aktualnie zajmuje się mój mąż albo kim jest osoba goszcząca w jego gabinecie, a mimo to starałam się na bieżąco śledzić, co robił, i kiedy tylko byłam mu potrzebna, angażować się we wszystko. Po ostatecznym zerwaniu z PPS-em Ziuk stawiał sobie nowe cele i miał wciąż nowe pomysły. Bez żalu pożegnał się więc z socjalizmem, do którego chyba nie był mocno przywiązany.

To był gorący okres w życiu mojego męża, ale i ja spędzałam go pracowicie.

W Krakowie mieszkało wówczas bardzo wielu interesujących ludzi, z którymi spotykaliśmy się w prywatnych mieszkaniach, kawiarniach albo

w teatrze.

Bywało, że Ziuk albo ktoś z jego współpracowników umawiał spotkanie w kawiarni Bisanza, w Esplanadzie na rogu Krupniczej lub w Jamie Michalikowej, gdzie oglądaliśmy występy Zielonego Balonika. Bywało tam nieraz po kilkanaście osób, które łączyły załatwianie interesów z towarzyskimi spotkaniami.

Obecność w lokalu kobiet – rzecz jasna, w męskim towarzystwie – wydawała się czymś naturalnym. Szpicle na ogół baczniej obserwowali grupki samotnie konferujących mężczyzn, toteż gdy czasem panowie chcieli odbyć jakieś ważne spotkanie polityczne, towarzyszyły im ich żony, aby sprawić wrażenie, iż jego charakter jest niewinny.

Takie spotkania zdarzały się często. U Bisanza bywali Sławek, Jodko-Narkiewicz z żoną, redaktor „Naprzodu” Haecker, oboje Daszyńscy i przyjaciółka moja – Marysia Paszkowska, która wówczas często bywała w Krakowie. Wszyscy wiedzieliśmy, że oto nadeszły wielkie czasy, i każdy z nas starał się wypełniać swoją część zadania najlepiej, jak umiał.

Kiedy Ziuka nie było w Krakowie, angażowałam się w pracę społeczną i pomoc znajomym. Dzięki wielu zajęciom czułam się całkiem dobrze i wciąż miałam pełne ręce roboty. O tamtej kobiecie po prostu starałam się nie myśleć, chociaż nie zawsze mi się to udawało, więc kiedy mąż mój wracał do domu, nie potrafiłam udawać, że nic się we mnie nie burzy.

Maria przerwała i przez chwilę zastanawiała się nad czymś, po czym spojrzała na Karolinę, a w jej wzroku pojawiła się wesoła iskierka.

– A może zajrzemy do Esplanady? – zapytała.

Piłsudka za nic nie chciała by nadużyć uprzejmości Karoliny i zajmować jej zbyt wiele czasu, ale nagle zapragnęła uczcić ten miły dzień filiżanką dobrej kawy z ciastkiem, a może i kieliszkiem wina. W ten sposób pragnęła też podziękować młodej sąsiadce za takt, kulturę i cierpliwość, a przede wszystkim za to, że jest.

– Oczywiście ja zapraszam – dodała szybko, ściskając przy tym delikatnie ramię Karoliny.

– Ale...

– Nie ma żadnego ale – powiedziała Maria. – Należy nam się filiżanka czegoś ciepłego i jakieś pyszne ciastko, prawda?

Karolina uśmiechnęła się speszona, nie powiedziała już nic więcej, tylko ruszyła w ślad za całkiem rażno maszerującą teraz Piłsudką.

W chwilę później stanęły przed wejściem do kawiarni, a kiedy znalazły się w środku, Piłsudska skierowała się do pustego stolika przy oknie. Było jeszcze wcześnie i o tej porze dnia w większości lokali można było bez trudu znaleźć wygodne miejsce.

– Zwykle siadaliśmy w pobliżu okna – powiedziała Maria, sadowiąc się na krześle. – To taki nawyk z konspiracji. Ze względów bezpieczeństwa zależało nam na obserwowaniu ulicy i kiedy byliśmy w większym towarzystwie, zawsze znalazł się ktoś, kto miał baczenie na to, co dzieje się na zewnątrz. Niby nic takiego, zwyczajne spotkanie towarzyskie, a jednak ci, którzy brali w nim udział, przeważnie byli obserwowani przez policję i mogło się zdarzyć, że od kawiarnianego stolika goście trafiliby wprost do aresztu.

Józefowi nadzór policyjny zdjęto oficjalnie dopiero w 1916 roku, ale wtedy już urzędnicy cesarscy chcieli mieć w moim mężu sprzymierzeńca, a nie wroga. Do tego czasu trzeba było uważać, dlatego mimo pozorów całkiem normalnego życia staraliśmy się zachowywać rozsądnie i przestrzegać wszelkich możliwych środków ostrożności.

Potem było inaczej i przed samą wojną, tak jak i podczas jej trwania, lęk przed szpiclami zastąpiła powszechna w tym czasie radość. Wszyscy stali się odważniejsi i pełni energii do działania. Już nie tylko mężczyźni mieli swoje organizacje, bardzo pręźnie zaczęła działać Liga Kobiet, w której i ja znalazłam dla siebie miejsce. Z naszymi paniami też spotykałam się na mieście, ale spotkania te odbywały się w godzinach południowych lub popołudniowych, wieczorami nie wychodziłam sama z domu. Najchętniej, rzecz jasna, towarzyszyłam mężowi, ale z upływem czasu mniej było tych wspólnych wyjść.

Esplanada była jednym z naszych ulubionych lokali, ale najczęściej chyba bywaliśmy u Bisanza lub Michalika. Ziuk spędzał czasem wieczór u Hawełki, w męskim gronie, przy grze w bilard, ale gdy miał ważne spotkania z kimś przyjezdnym, umawiał się w lokalu Pod Czarnym Osłem w pobliżu cmentarza Rakowickiego. To raczej nie było miejsce dla dam.

Tylko raz zabrał mnie do tego lokalu, bo nie było tam szczególnie przyjemne, ale ze względu na złą sławę, jaką owiana była okolica, miejsce to wydawało się w miarę bezpieczne do spotkań konspiracyjnych. Jeździł więc tam Ziuk spotykać się z emisariuszami z Królestwa – kuchnię podobno mieli tam nie najgorszą.

Ja najbardziej lubiłam zjeść obiad w Jamie Michalikowej. Tam zawsze można było spotkać kogoś ze znajomych. Do Jamy najlepiej było zaglądać wieczorem, kiedy miał występ Zielony Balonik lub jacyś inni artyści. Tam zawsze działo się coś ciekawego, a poza tym bywali ciekawi ludzie – pisarze, malarze, redaktorzy gazet. Czasem prawdziwe dziwadła, ot, artyści.

W niedługim czasie od zamieszkania w Krakowie mieliśmy już całkiem duże grono przyjaciół i w każdym z lokali zazwyczaj pojawiali się znajomi.

Po powrocie z Londynu, kiedy Ziuk przeniósł do Krakowa wydawanie „Przedświtu” i innych gazet, ściągnęli za nami Jodkowie i kilku innych bliskich współpracowników Ziuka z rodzinami. Potem niektórzy osiedlali się w Krakowie, żeby być blisko Ziuka, a inni, jak Michał Sokolnicki, tu właśnie wciągali się do pracy i zostawali w szeregach wiernych Komendantowi.

W przededniu wojny oboje mieliśmy dużo roboty i rzadziej pokazywaliśmy się razem w mieście. Józef spotykał się wtedy w kawiarniach ze swoim „wojskiem”, głównie na narady. Najczęściej bywali u Michalika, gdzie mieli już nawet swoje dwa stoliki, przy których siadali zwykle według rangi – przy jednym, ustawionym pod ścianą na prawo od wejścia, „Szarża”, czyli mąż mój ze Sławkiem, Beliną, Trojanowskim i Stachiewiczem, a przy drugim – „Drużyniacy”. Przy tym drugim stoliku rotacja osób była znacznie większa. Wtedy nikt już prawie nie przejmował się konspiracją, bo czas był gorący i napięcie ogromne. Cały Kraków żył oczekiwaniem na zmiany, które wisiały w powietrzu, ale najbardziej czuło się to w lokalach i na ulicach.

Ludzie czekali na coś wielkiego, co dla wszystkich Polaków wydawało się mieć ogromne znaczenie. Mieliśmy świadomość, że po wojnie nadejdą nowe czasy, i chociaż nikt nie wiedział, czym skończy się ta europejska kotłowanina, to jednak atmosfera świątecznego oczekiwania dawała się odczuć w całym mieście.

Dzielne kobiety

Kiedy wróciły ze spaceru, było już późne popołudnie. Wędrówka po mieście zmęczyła nieco Marię, ale jednocześnie sprawiła jej ogromną przyjemność.

Piłsudka lubiła przechadzać się ulicami Krakowa, jednak zawsze chętniej robiła to w towarzystwie. Chociaż nie narzekała na swój los, miała już trochę dosyć samotności i cieszyła się, że może podzielić się z kimś swoimi wspomnieniami. Kiedy więc opowiadała Karolinie o miejscach w Krakowie, które miały dla niej walor nie tylko sentymentalny, ale i historyczny, czuła, że jej poprzednie życie miało jakiś sens.

Po skończonym spacerze zaprosiła Karolinę do siebie, żeby poczęstować dziewczynę pysznymi łazankami, przygotowanymi poprzedniego dnia przez Hanię. Łazanki z kapustą, podobnie jak legumina, były specjalnością gosposi. Po skromnym posiłku Piłsudka czuła się jednak nieco zmęczona, dlatego nie zatrzymywała już sąsiadki. Pożegnały się serdecznie i Karolina poszła do siebie na górę.

Odprowadziwszy Karolinę, Maria zamknęła za nią drzwi, po czym weszła do salonu, usiadła w fotelu Ziuka i z tej perspektywy popatrzyła na swoje mieszkanie.

Próbowiła wyobrazić sobie, że patrzy teraz jego oczami. Nie potrafiła zgadnąć, nad czym Józef mógłby się zastanawiać, spoglądając na to wszystko. Prawdę mówiąc, nie potrafiła nawet wyobrazić sobie, że mógłby tu jeszcze kiedyś usiąść...

Od czasu kiedy jej mąż po raz ostatni był w tym mieszkaniu, nic się w nim nie zmieniło, bo Maria nie potrzebowała żadnych zmian. Wszystko, co kiedyś kupili, przypominało jej lepsze czasy i nie chodziło bynajmniej o historię narodu, ale o jej prywatną historię.

Wygodny mebel z wysokim oparciem, w którym dopiero przed rokiem odważyła się usiąść, w porównaniu ze zgrabnymi małymi fotelikami, jakich używała wcześniej, wydał jej się naprawdę komfortowy.

Pogłaskała podłokietnik, rozkoszując się przyjemnym dotykiem gładkiego obicia. Ciemnoczerwony aksamit był w kilku miejscach wytarty, ale poza tym prezentował się wciąż okazale. Przez wiele lat dotykała fotela wyłącznie po to, żeby go odkurzyć. Ziuk nie znosił, kiedy ktoś zajmował jego ulubione miejsce, Maria obsesyjnie wręcz pilnowała, żeby nikomu przypadkiem nie przyszło to do głowy.

Stali bywalcy mieszkania na Szlaku dobrze znali wymagania tego domu i nie próbowali nawet z nimi polemizować, ale kiedy stało się jasne, że mąż Marii nie powróci na Szlak, jedna z przyjaciółek zapytała, dlaczego Maria wciąż nie korzysta z fotela.

– Wybacz, moja droga – powiedziała. – Ale jesteś chora i nieraz widzę, jak źle się czujesz. Cieszę się, że dzielnie walczysz z chorobą, ale nie pojmuję, dlaczego nie skorzystasz z wygodnego fotela i męczysz się na tym krześle.

– Ale mnie tak jest dobrze – odparła Maria. – Poza tym sofa...

– Twoja sofa jest najbardziej niewygodnym meblem, na jakim siedziałam w swoim życiu. Nie wiem, co podkusiło cię, żeby ją kupić. Zauważyłaś chyba, że rzadko kto na niej siada.

Maria uśmiechnęła się i lekko kiwnęła głową. Wszystko, co mówiła Jadwinia, było prawdą. Sofa istotnie nie była najwygodniejsza, o czym przekonywał się każdy, kto choć raz na niej usiadł. Ci zaś, którym w poprzednich latach zdarzyło się spędzić na niej noc, taktownie milczeli.

– Kupiliśmy ją od wcześniejszych lokatorów tego mieszkania za całkiem nieduże pieniądze – oznajmiła Maria, a widząc politowanie w oczach przyjaciółki, dodała dla wyjaśnienia:

– Twierdzili, że już im nie pasuje. Zostawili więc sofę w komplecie z fotelikami. Po zmianie tapicerki meble wydawały mi się jeszcze całkiem ładne... Zresztą wiesz, że Ziukowi niewiele było potrzeba...

Jadwiga pokiwała głową i lekko wydeła usta.

– Tym bardziej że dla siebie miał wygodny mebel, na którym nie wiedzieć czemu wciąż boisz się siadać – prychnęła, kręcąc przy tym głową.

Maria zmarszczyła brwi i lekko zacisnęła wargi. Nie lubiła, gdy jej przyjaciółka zaczynała takie rozmowy.

– Nie znasz go – powiedziała, jednocześnie podnosząc dłoń, jakby zawczasu chciała zapobiec dalszej wymianie zdań. Jadwiga rzeczywiście nie powiedziała nic więcej, ale jej mina wskazywała na to, że powstrzymanie się od dalszych komentarzy kosztowało ją wiele wysiłku.

Rzeczywiście, nie znała Piłsudskiego, bo kiedy zaczęła odwiedzać Marię, Komendant bywał w ich mieszkaniu nadzwyczaj rzadkim gościem. Ilekroć jednak przyjeżdżał do Krakowa, wszystko na Szlaku kręciło się wokół jego osoby i wtedy dla Jadwigi nie było już miejsca – ani w mieszkaniu, ani w sercu Piłsudskiej.

Poznała Marię jeszcze w Wilnie, ale była od niej o kilka lat młodsza i w tamtych latach Piękna Pani nie zaprzętała sobie głowy młodszą siostrą swojej koleżanki. Z Romką, siostrą Jadwigi, chodziła do jednej klasy w gimnazjum, ale gdy ukończyły szkołę, Roma bardzo szybko wyszła za mąż i wyjechała w okolice Poznania, do majątku męża.

Maria zaś rozpoczęła swoją życiową wędrówkę.

Od tamtego czasu spotkały się tylko raz, i to przypadkiem, w Zakopanem, kiedy Roma, otoczona gromadką dzieci, siedziała w towarzystwie Jadwigi przed cukiernią na Krupówkach. Maria spieszyła dokądś, bardzo zaaferowana, ale koleżanka od razu poznała ją i zatrzymała. Uściskały się serdecznie, a później rozmawiały chwilę o tym, jak ułożyło się życie każdej z nich, wreszcie wśród „achów” i „ochów” uściskały się po raz drugi i rozstały.

Przy pożegnaniu wymieniły się adresami i obiecały sobie, że na pewno spotkają się jeszcze w Zakopanem. Wakacje skończyły się jednak i do ponownego spotkania nie doszło.

Roma i Jadwiga opuściły letnisko, a kiedy Maria pojawiła się wreszcie pod wskazanym jej adresem w Kościelisku, sióstr już tam nie było.

Roma wkrótce zapomniała o spotkaniu z Marią, ale Jadwidze żal było zaprzepaszczonej szansy na poznanie Piłsudskiego. W odróżnieniu od siostry dużo bardziej interesowała się polityką i mieszkając w Wilnie, co jakiś czas próbowała czynnie włączyć się w działalność niepodległościową. Ale poprzestawała jedynie na roznoszeniu ulotek, a i to kosztowało ją bardzo wiele.

Jadwiga nie była odważna i nie potrafiła bez reszty zaangażować się w pracę konspiracyjną. Oczywiście, jak prawie cała polska młodzież, przejawiała uczucia patriotyczne, ale panicznie bała się znaleźć w więzieniu

czy – nie daj Boże – na Syberii. Truchlała na samą myśl o carskiej ochronie i nie potrafiła wyobrazić sobie, co by się z nią stało, gdyby została aresztowana.

Po ślubie z młodym i energicznym przedsiębiorcą zajęła się domem, ale wykonywane zajęcia bynajmniej jej nie uszczęśliwiły.

Nie zerwała kontaktów z ludźmi, którzy na terenie Wilna kolportowali nielegalną prasę, jednakże sama zupełnie się w to nie angażowała.

W głębi duszy czuła jednak wstyd, że nie potrafi przezwyciężyć własnych lęków, i pewnie dlatego wcale nie oponowała, kiedy jej mąż zaproponował przeprowadzkę do Krakowa. Wyjazd z zaboru rosyjskiego bardzo był Jadwidze na rękę. Gdy mąż po raz pierwszy przywiózł ją do Krakowa, żeby pokazać miasto, Jadwiga zakochała się w nim po uszy.

Było to w roku 1908 i od tej pory małżonkowie zamieszkali na Grodzkiej, w wygodnym mieszkaniu nad księgarnią. Jadwiga wrosła w Kraków jak drzewo, które głęboko zapuszcza korzenie, a jej synowie czuli się teraz już prawdziwymi krakowianami.

Od kiedy zamieszkali pod Wawelem, mąż Jadwigi zaczął prowadzić skład drewna na obrzeżach miasta i teraz, w powojennej rzeczywistości, jego interesy idą naprawdę nieźle. Obaj synowie studiują na Jagiellonce, a ona sama bardzo aktywnie udziela się w Lidze Kobiet, gdzie przed laty po raz kolejny spotkała Marię.

Jadwiga początkowo nie poznała Piłsudskiej, ale wprowadzające ją do Ligi panie bardzo szybko wyjaśniły jej, kim jest wciąż uśmiechnięta, dostojnie wyglądająca, elegancka kobieta, przy której zawsze kręci się kilka osób.

Od razu widać było, że w strukturach organizacji kobiecej Maria jest kimś ważnym, ale kiedy Jadwiga przypomniała jej, skąd się znają, Piłsudska uściskała ją serdecznie i jeszcze tego samego dnia zaprosiła do Esplanady. Od tego czasu bardzo się zaprzyjaźniły i spotykały nie tylko w siedzibie Ligi Kobiet, ale i w swoich mieszkaniach.

W Lidze Kobiet działało wówczas wiele wspaniałych osób. Niektóre z pań, jak Mościcka czy Moraczewska, oprócz tego, że miały bardzo

aktywnych politycznie i znanych mężów, same czynnie uczestniczyły w pracach Ligi i zasiadały w jej władzach.

Z Marią było podobnie, bo oprócz pracy dla strzelców i legionistów rannych na wojnie oraz opieki nad rodzinami poległych żołnierzy bardzo aktywnie włączyła się w działalność na rzecz kobiet.

Fakt, że w odrodzonej Polsce panie zyskały prawa wyborcze, był następstwem tego, co wcześniej działo się w Europie. Maria doskonale pamiętała uliczne manifestacje i walki sufrażystek, które kilkakrotnie obserwowała w Londynie. To były zdaniem Piłsudskiej bardzo dzielne kobiety, których determinacja robiła ogromne wrażenie.

Józef szanował kobiety, ale podobnie jak większość znanych Marii mężczyzn nie był entuzjastą przyznania paniom praw wyborczych. O to właśnie szły czasami spory w ich kręgu towarzyskim, bo chociaż większość znajomych uważała się za ludzi świątłych i postępowych, to jednak kiedy szło o własną wygodę i męską hegemonię, panowie na ogół zajmowali bardzo konserwatywne stanowiska. Z Ziukiem było podobnie. Choć zawsze lubił kobiety i doceniał ich zaangażowanie – w polityce, jak większość mężczyzn, wyznaczał im miejsce drugoplanowe. Bynajmniej jednak nie zamierzał z nimi walczyć, toteż gdy przyszedł czas ostatecznych rozwiązań, nie mógł sprzeciwiać się ich żądaniom. Robił to jednak z ciężkim sercem, a Maria, znając zapatrywania Józefa, dobrze o tym wiedziała.

Czasy zmieniały się jednak i aktywność kobiet, które domagały się respektowania swych praw, okazała się bardzo skuteczna. W całej Europie panie coraz mocniej domagały się uznania oraz zrównania praw i przywilejów obywatelskich, tak więc w świecie nowego ładu ich żądania musiały zostać spełnione.

Zarówno przed wojną, jak i w jej trakcie w Lidze Kobiet znalazły dla siebie miejsce i te dzielne oraz odważne kobiety, jak i te mniej zaangażowane w politykę.

Potrzeba było wielu rąk do pracy na rzecz osób pokrzywdzonych przez działania wojenne. Do tego wystarczyły dobre chęci i trochę czasu, który przecież przy dobrej organizacji dnia zawsze można było wygospodarować.

W Krakowie i innych polskich miastach znalazło się dużo takich kobiet. Brawurowe działania niektórych z nich wywoływały zrozumiały podziw i wywierały ogromny wpływ na wielu ludzi.

Tak niewątpliwie było w przypadku Marii Dulębianki, zaprzyjaźnionej ze zmarłą w 1910 roku Marią Konopnicką.

Dulębianka była niepospolitą kobietą, niestrudzoną bojowniczką o prawa kobiet.

Była tak bardzo zaangażowana w politykę, że w 1908 roku, z poparciem Stronnictwa Ludowego, chciała nawet kandydować do Sejmu Krajowego. W tamtym czasie niewielka liczba kobiet w Galicji posiadała prawa wyborcze, toteż znana działaczka organizacji kobiecych miała nawet szansę, żeby do tego sejmku się dostać, ale zaważyły jakieś sprawy formalne i jej kandydaturę odrzucono.

Maria Dulębianka potrafiła skutecznie działać i organizować aktywistki do pracy społecznej, ale pracowała nie tylko na rzecz kobiet. Jako jedna z nielicznych zdecydowała się pełnić służbę pielęgniarską wśród żołnierzy chorujących na tyfus. W 1919 roku wyruszyła więc na front, gdzie pracowała w lazarecie. Niestety, od swych podopiecznych zaraziła się tyfusem, zachorowała i zmarła.

Jej pogrzeb odbył się we Lwowie i był prawdziwą polityczno-społeczną manifestacją. Ludzie zjechali z całego kraju, bo Dulębianka, prócz ogromnego zaangażowania w sprawy polityki, była też przewodniczącą Zarządu Naczelnego Ligi Kobiet.

Maria i Jadwiga znały Dulębiankę i dlatego w towarzystwie kilkunastu innych pań z krakowskiej Ligi Kobiet wybrały się do Lwowa na jej pogrzeb.

To była jedna z ostatnich odległych wypraw Marii. Po tej uroczystości przestała prawie opuszczać Kraków.

Samotność

Przechyliła głowę na oparcie fotela i opuściła dłonie na gazetę leżącą na jej kolanach. Przymknęła oczy i westchnęła głęboko. Nagle poczuła słaby ból w piersiach. Zastygła w bezruchu i czekając, aż ból minie, próbowała wyrównać oddech.

Ból ustępował, ale Maria bała się, że najmniejszy wysiłek spowoduje jego nawrót. Bezruch był jej wypróbowaną metodą, którą stosowała, aby uspokoić organizm. Z niedomaganiem serca nauczyła się jakoś żyć i chociaż nie przestrzegała wszystkich stanowczych zaleceń lekarza, większość z nich udało jej się wprowadzić w życie.

W ostatnich tygodniach Maria czuła się dużo lepiej niż w zimie, ale poprawę samopoczucia wiązała raczej ze zmianą pogody za oknem niż z jakimś szczególnym polepszeniem stanu zdrowia.

Fale bólu nawiedzały ją coraz częściej i Maria szukała różnych sposobów, żeby sobie z nimi radzić. Rozmawiała na ten temat z lekarzem, ale żyjąc wiele lat ze schorowanym ciałem, miała też własne pomysły na oszukiwanie złego samopoczucia. Wszystkie jednak sposoby, które początkowo wydawały się Marii skuteczne, po pewnym czasie zawodziły, jakby jej ciało domagało się czegoś innego.

Próbowała o tym nie myśleć i nie zwracać uwagi na ataki bólu, których częstotliwość niestety wzrastała. W tej chwili, kiedy udało jej się go opanować, odczuła ulgę i oddychając miarowo, zapadła w krótki sen.

Za oknem było już całkiem ciemno, kiedy Piłsudska zbudziła się z drzemki, w którą zapadła, siedząc w fotelu. Zanim zasnęła, spod kilku nieprzeczytanych do końca gazet wyciągnęła tę najważniejszą, której nie

pozwołała Hance wyrzucić, a do której w ostatnich dniach zaglądała szczególnie często.

Gazeta miała datę sprzed prawie dwóch tygodni, a wielki artykuł na pierwszej stronie informował o ustaleniach traktatu ryskiego z 18 marca 1921 roku. To była dla Marii bardzo szczególna informacja, bo choć od października poprzedniego roku ogólnie wiadome było, co traktat będzie zawierał, to jednak przecież przed jego ostatecznym podpisaniem coś się mogło zmienić.

Od kilku lat Piłsudska codziennie przeglądała krakowski „Głos” albo „Kurier Ilustrowany”, dostarczane co rano przez Wincentego.

Dozorca w tej i jeszcze kilku innych sprawach był niezawodnym pomocnikiem „szanownej pani Piłsudskiej”, jak tytułował ją od dawna, wypowiadając nazwisko Marii z taką atencją, że za każdym razem wprawiał ją tym w zakłopotanie.

Kilkakrotnie nawet zdarzyło się, że zwrócił się do niej „Pani Naczelnikowo”, ale z miny Marii odczytał, że nie powinien wobec niej używać tego tytułu. Na szczęście więc tego zaniechał. Nigdy jednak, pomimo wieloletniej znajomości z lokatorką, nie pozwolił sobie na taką poufałość, by zwrócić się do niej „pani Mario”, gdyż jako znający swe powinności dozorca rozumiał, iż wszelkie naruszenie dystansu byłoby wysoce niestosowne i świadczyłoby o nim jak najgorzej. Do tego przecież nie mógł dopuścić.

Dozorca kilku kamienic przy Szlaku miał w sobie coś ze starego żołnierza, którym zresztą był, gdy w 1863 roku szedł do powstania. Utrata w bitwie trzech palców lewej ręki na zawsze przekreśliła jego marzenia o służbie dla ojczyzny, ale nie zmieniła charakteru człowieka, który wychowany w karności i poszanowaniu tradycji na każdym stanowisku, na jakim przyszło mu pracować, zawsze kierował się zasadami wpojonymi mu w dzieciństwie.

Pewnie dlatego kiedy Piłsudscy zamieszkali w kamienicy przy Szlaku, czuł się tym faktem szczególnie wyróżniony, co starał się wielokrotnie okazać panu Komendantowi, prężąc się przed nim na baczność, ilekroć ten wychodził lub wchodził do kamienicy.

Piłsudski lubił Wincentego i jeśli tylko miał czas, zamieniał z nim kilka zdań na tematy polityczne, które starego stróża niezmiernie interesowały.

Z czasem rozmowy te stawały się rzadsze, aż ostatecznie skończyły się, gdy Piłsudski wyruszył z Krakowa na wojnę.

W czasie wojny Komendant wiele razy pojawiał się w kamienicy, ale nie miał już czasu na dłuższe rozmowy. Zawsze spieszył się dokądś lub był tak zmęczony, że Wincenty nie śmiałyby nawet go zagadywać.

Ilekcio Komendant przyjeżdżał na Szlak, Wincenty praktycznie nie opuszczał klatki schodowej, gotów spełnić każde jego życzenie, gdyby tylko się pojawiło. Ale Komendant niczego nie chciał od stróża, bo w tamtym czasie zawsze miał przy sobie jakiegoś adiutanta, gotowego przez cały dzień przyjmować jego rozkazy.

Wincenty wciąż jednak pragnął uprzyjemnić życie Piłsudskiemu, więc na oknie półpiętra ustawił wielki wazon z kwiatami. Komendant pewnie go nawet nie zauważył, ale pani Maria zwróciła uwagę na starania stróża i grzecznie podziękowała mu nie tylko za troskę o wygląd klatki schodowej, ale i za to, że trzyma w ryzach mieszkające w okolicy dzieci, które w jakiś niepojęty dla niej sposób milkną, gdy tylko Piłsudski pojawia się w domu.

Istotnie, Wincenty miał w tym swoją zasługę, bo choć był prostym człowiekiem, potrafił tak przemówić do maluchów, aby zrozumiały, że kiedy „wielki człowiek” odpoczywa przed „wielkimi czynami”, należy zachowywać się cicho. Dzieciarnia grzecznie słuchała Wincentego, bawiąc się wówczas w ciszy lub całkiem znikając sprzed domu, w którym mieszkali Piłsudscy.

Niestety Komendant, bardzo zmęczony i zajęty swoimi myślami, niemal nie zauważał prężącego się Wincentego ani wielkiego bukietu kwiatów. Jego wizyty na Szlaku nigdy nie były długie i większość spędzonego tam czasu zajmowało mu odpoczywanie w swoim mieszkaniu albo przyjmowanie nieprzebranych wprost tłumów gości, którzy podczas deszczu wnosili błoto do kamienicy.

Stary stróż nie skarżył się na dodatkowe obowiązki. Bez ustanku czyścił i szorował klatkę schodową, na której znajdowało się mieszkanie Piłsudskich, przy okazji zaniedbując trochę swoje obowiązki w sąsiednich kamienicach. Wszyscy lokatorzy znali jednak szczególną słabość Wincentego do pana Komendanta i dlatego przymykali oko na to, że kiedy Piłsudski przebywał w Krakowie, ich klatki schodowe wyglądały nieco gorzej.

Maria nigdy nie zapomniała podziękować Wincentemu za wszystkie jego starania i robiła to zawsze w imieniu swoim i męża. Dozorca puchł wtedy z dumy, a jego przywiązanie do pani Marii rosło coraz bardziej.

Po latach, kiedy Naczelnik Państwa zamieszkał na stałe w Warszawie, dozorca wielbił go tak samo, choć w jego sercu to pani Piłsudska zajmowała miejsce prawie tak ważne jak własna rodzina.

Oczywiście stróż wiedział, że Maria przestała już być najważniejszą kobietą w życiu Marszałka, i kiedy czasem odbierał od listonosza korespondencję adresowaną do niej z różnych instytucji i organizacji, czuł się dosyć niezręcznie.

Wkrótce też zrozumiał, że pani Marszałkowa, przyjmując z jego rąk te przesyłki, czuła się jeszcze gorzej. Właśnie dlatego, aby oszczędzić jej i sobie nieprzyjemności, listy adresowane do pani Marii starał się przekazywać służącej Hani.

Wszystko jednak, o co poprosiła Piłsudska, w dalszym ciągu traktował jak swą świętą powinność, i to nie tylko dlatego, że prosiła żona Naczelnika Państwa. Co mógł, robił dla niej, bo szczerze lubił panią Marię za jej skromność, miły uśmiech i dobre serce.

Żona Wincentego wcale nie była zazdrosna o uczucia męża. Sama uwielbiała wprost panią Marię i gdyby mąż jej wciąż nie hamował, pewnie codziennie biegałaby do mieszkania na pierwszym piętrze ze swoimi wypiekami i przetworami.

– Siedź, babo, w domu! – furczał nieraz na swoją Halinkę, gdy informowała go o najnowszym pomysle ugoszczenia pani Piłsudskiej. – Jak pani Piłsudska będzie miała życzenie ciebie oglądać, to na pewno zawoła!

Mówił surowym tonem, którego używał zawsze, ilekroć chciał zapobiec realizacji jakiegoś żoninego pomysłu. Rozumiał, że Halinka kieruje się życzliwością i dobrym sercem, ale wiedział też, że jego żona nie jest osobą dyskretną i kobiecie takiej jak pani Piłsudska może wydawać się zwyczajnie natrętna.

Stał więc Wincenty jak opoka na straży spokoju Marii i chronił ją przed wszystkim, co niepotrzebnie mogłoby jej przysporzyć smutku, którego w ostatnim czasie miała i tak wystarczająco dużo.

Codziennie dostarczał jej gazety, nosił z piwnicy węgiel i tak jak w żadnym innym domu szorował schody do czysta.

Ilekroć pukał do mieszkania na pierwszym piętrze, czuł się jak uczeń stojący przed drzwiami pokoju nauczycielskiego. Wiedział, co znajduje się w środku za dębowymi drzwiami ze świetlikiem, ale za każdym razem bał się, że choć był wzywany, to jednak narusza prywatność tego miejsca.

Maria westchnęła po raz kolejny, wciągając do płuc duży haust powietrza, a upewniwszy się, że ból nie wrócił, podniosła dłoń i zdjęła z nosa okulary. Spacer po mieście zmęczył ją i pomimo że dosyć długo już odpoczywała w fotelu, jej nadwątlone siły jeszcze się nie zregenerowały.

Odłożenie okularów na stojący obok fotela stolik wydawało się teraz Marii zbyt dużym i niepotrzebnym wysiłkiem. Złożyła je więc, ukryła w zwiniętej dłoni i położyła na gazecie.

Nie zamknęła już oczu. Patrzyła w kierunku okna, za którym pomimo mroku widać było spory fragment korony drzewa. Wiatr poruszał bezlistnymi gałęziami, których bezładny taniec wyglądał jak oszalały płas starego stracha na wróble. Takie stwory widywała czasem w dzieciństwie, w niedużym sadzie babci na peryferiach Wilna.

Po dłuższej chwili przeniosła wzrok na gazetę i uśmiechnęła się do swoich myśli. Wiadomości, które wyczytała po raz pierwszy z „Kuriera” prawie dwa tygodnie temu, powodowały, że w głębi serca czuła coś na kształt satysfakcji.

Chociaż w okolicznościach, w jakich się znajdowała, uczucie to mogłoby się komuś wydać niedorzeczne, Maria często czerpała radość ze zdarzeń, które z jej obecną sytuacją nie miały wiele wspólnego. Takiej postawy nauczyło ją życie, które w codziennym trudzie zwykłych dni domaga się czasem radości.

Za każdym razem kiedy czytała wiadomości polityczne zawarte w starej gazecie, uśmiechała się do siebie, a czasem nawet wybuchała cichym śmiechem.

Polityka zawsze zajmowała Marię, ale nigdy aż tak, by usiłowała do końca zrozumieć jej meandry i zawłości. W ostatnim czasie wszelkie fakty przyjmowała ze spokojem, rozumiejąc, że osobiście nie będzie mieć wpływu na bieg historii. Kiedyś czuła się bardziej zaangażowana, ale po

latach obserwowania, na czym to wszystko polega, nabrała dystansu i teraz patrzyła na to, co się działo w polityce, z uśmiechem i bez emocji.

Maria nie miała osobowości przywódczej i w kwestiach polityki zawsze liczyła się ze zdaniem ważnych dla siebie osób. Zresztą gdyby było inaczej, czyż stałaby się partnerką Piłsudskiego? Czy gdyby sama miała polityczne ambicje i wielkie chęci, by wpływać na rozwój wypadków, Dmowski obdarzyłby ją zainteresowaniem, a nawet uczuciem?

Nigdy by się tak nie stało. Obaj wielcy politycy, wybitni mężowie stanu, dostrzegli w niej coś, co mogłoby ich uzupełniać i koić, a nie prowokować do kolejnej rywalizacji.

Maria dawno zdała sobie sprawę z tego, że nie posiada temperamentu ani determinacji takich kobiet jak Bohuszewiczówna, Paszkowska czy Dulębianka.

Podziwiając ich dzielność i wojowniczość, niczego im nie zazdrościła. Swojej roli nigdy nie traktowała jako przykrej konieczności i dlatego starała się wypełnić ją najlepiej, jak umiała.

Kiedy jej małżeństwo zaczęło się chwiać, o swoje miejsce u boku Józefa walczyła dosyć słabo. W końcu zorientowała się, że zostało ono bezpowrotnie zajęte przez inną kobietę, i ten wyrok losu przyjęła z godnością. Zanim jednak Józef podjął ostateczną decyzję, nie robiła mu scen, nie wykorzystywała też innych, by wywierać na Ziuka wpływ. Na to była zbyt dumna, ale i zbyt mądra, by łudzić się, że w ten sposób mogłaby coś zyskać.

W 1906 roku niezaprzeczalne fakty nieco ją zszokowały i sprawiły, że Maria gorąco zapragnęła odbudować swoją rodzinę. Zazdrosna o młodą kobietę, która pojawiła się w życiu jej męża, mimo późnego wieku miała nadzieję zająć w ciąży, ale nic z tego nie wyszło i spełnienie marzeń okazało się złudne. Miast dziecka pojawiła się choroba, potem kolejna i kolejna... Kiedy Piłsudski wyprowadzał się do Warszawy, był już mężem stanu, wybrańcem losu i bożyszczem tłumów. Ona z rozczarowaniem i goryczą w sercu pozostała na Szlaku...

Odkąd Ziuk usunął się z życia Marii, polityka zajmowała ją dużo mniej niż kiedyś, wciąż jednak uparcie sprawdzała w gazetach wiadomości dotyczące zarówno Józefa, jak i Romana Dmowskiego.

Informacje te pokazały, że losy dwóch wielkich, niegdyś bliskich jej mężczyzn złośliwa historia znów postawiła naprzeciw siebie. Teraz jednak

sprawa szła już nie o nią.

Maria lubiła sprawdzać, co się dzieje na świecie, siedząc w fotelu Józefa. Z gazet dowiadywała się, jak wygląda powojenna sytuacja kraju, którego granice wciąż jeszcze nie były wytyczone.

Na pierwszych stronach dzienników znajdowała nazwiska znajomych, z którymi kiedyś łączyły ją bliskie relacje, a którzy teraz powyjeżdżali do Warszawy, by tam, w stolicy odrodzonego państwa tworzyć historię.

Niektórych znała na tyle dobrze, być mieć o nich wyrobione zdanie, i ze zdumieniem dowiadywała się, że ten czy ów dostał ważne, a czasem, jej zdaniem, zbyt ważne stanowisko.

Rzadko myliła się co do ludzi, wszak pod jednym tylko warunkiem – że nie łączyła jej z nimi emocjonalna więź. Kiedy w jakąś znajomość angażowała uczucia, traciła obiektywizm, a potem czasem cierpiała. Życie nauczyło ją jednak powściągliwości w ocenach i pewnie dlatego od dawna nie wypowiadała już głośno swoich sądów.

Nawet najbliższa przyjaciółka Jadwinia nie była w stanie wyciągnąć z Marii żadnej plotki lub uwagi na temat kogoś ze znajomych. Piłsudska powstrzymywała się od oceny znanych sobie ludzi pewnie też i dlatego, że wielu z nich jej zdaniem zwyczajnie nie zasługiwało na pozytywny osąd. Osoby te często w dalszym ciągu współpracowały z jej mężem, o niej zaś zapominały zupełnie i nigdy publicznie nie wypowiadały jej imienia.

Dawniej Maria dzieliła się z mężem swoimi spostrzeżeniami o ludziach i nieraz była dumna, gdy okazywało się, że miała rację. Teraz, z dala od życia publicznego, starała się nie szkodzić Józefowi, bo choć żał dławił i czasem wyciskał jej łzy, to jednak poczucie lojalności wobec małżonka było silniejsze niż chęć zemsty, na którą zresztą i tak nie miałyby siły.

Powściągliwość wypowiedzi i delikatny, jakby przeproszający uśmiech Piłsudskiej musiały wystarczyć wszystkim tym, którzy spodziewali się wyciągnąć od niej coś interesującego o ludziach, którzy dawniej bywali na Szlaku.

Wraz z upływającym czasem i gasnącą urodą nabrała dystansu do życia i ludzkich słabości, które nie miały już dla niej żadnego znaczenia.

Chwilę odpoczęła i z powrotem założyła okulary. Podniosła gazetę na tyle wysoko, by móc swobodnie odczytywać litery, po czym jeszcze raz wróciła do lektury artykułu z pierwszej strony.

Czytała wolno, jakby analizując każde zdanie z osobna, starała się dokładnie posklejać sens artykułu o podpisaniu traktatu w Rydze. Wszystko to, co zawierał duży tekst na całej stronie, było prawdą i już za pierwszym razem dobrze zrozumiała jego sens.

Państwo polskie znów pojawi się na mapach Europy i stanie się to w dużej mierze dzięki walce i upartej działalności Józefa Piłsudskiego, w kształcie, jaki bliski był planom Romana Dmowskiego, choć w stosunku do jego pomysłów odrobinę okrojonym.

Maria skończyła lekturę i złożwszy gazetę, odłożyła ją na stolik. Jak zwykle po jej lekturze czuła się zbyt wzruszona, żeby czytać coś jeszcze.

Czas próby

Następne spotkanie Marii z Karoliną odbyło się w tydzień później, w niedzielę, kiedy służąca miała wolny dzień. Piłsudska nie czuła się najlepiej i dlatego mimo wstępnych planów nie wybrały się na obiad do Jamy Michalikowej, tylko zadowolily się pieczenią przygotowaną poprzedniego dnia przez Hanke.

Po skończonym obiedzie zasiadły w salonie; Karolina przy stole, a Piłsudska w głębokim fotelu przy oknie.

Dzień nie był tak ciepły jak w poprzednim tygodniu, a drobny deszczyk, który co jakiś czas rosil krakowskie ulice, powodował, że ani Marii, ani Karolinie nie było wcale żal zaplanowanego wcześniej spaceru.

Piłsudska trzymała w dłoniach filiżankę z herbatą. Popijając mocny, aromatyczny napój, ani razu nie odstawila filiżanki na stolik. Tego dnia czuła się słabo i wołala nie wykonywać trzęsącymi się dłońmi niekoniecznych ruchów.

– Przed rokiem 1914 narastało wśród naszych gorące oczekiwanie wojny – zaczęła wreszcie. – Sytuacja międzynarodowa przypominała kocioł z wrzątkiem, którego pokrywę co rusz ktoś unosił.

Po 1910 roku mój mąż wiele czasu poświęcał sprawom wojskowym i przez kilka lat zbrojenie Strzelca, a potem też innych drużyn bardzo leżało mu na sercu. Początki były trudne i biedne, ale dzięki wsparciu Polonii z Ameryki i Europy oraz takim ludziom jak Dąbska i jej podobni wkrótce zaczęło przybywać nie tylko broni, ale i mundurów dla wojska. Pojawiły się szkoły wojskowe, w których przyszli dowódcy zaczęli zdobywać wiedzę teoretyczną.

W tamtych czasach bardzo angażowałam się w zbiórki pieniędzy i pośrednictwo przy ich przekazywaniu. Mieliśmy tu w Krakowie kilka

pewnych adresów, pod które chętni mogli przekazywać darowizny.

Mąż już wcześniej powierzał mi sprawy finansowe, których pilnowałam bardzo skrupulatnie, bacząc, żeby wszystko było, jak należy. Już podczas akcji pod Bezdanami w 1908 roku finanse przedsięwzięcia w dużej mierze były w moich rękach i to ja tu, na miejscu, musiałam dysponować funduszami i przekazywać je wyznaczonym przez męża ludziom. Wtedy człowiekiem, który ode mnie odbierał walutę, był Walery.

Po 1910 roku Józefowi większość czasu zajmowały sprawy militarne i przygotowanie polskich ochotników do wojny. Był to dla niego cel najważniejszy.

Jednak najwięcej chyba działało się w 1913 roku, kiedy to prawie nie widywałam mojego męża, bo sprawy polityczne, wojskowe, ale i osobiste odciągały go od naszego mieszkania na Szlaku.

Wakacji tego roku nie spędziliśmy razem, a i we wrześniu nie towarzyszyłam mężowi w podróży do Zakopanego.

Na świecie działało się bardzo wiele. Stare porządki kończyły się i można było przypuszczać, że pokojowo nie da się wprowadzić żadnych zmian. W Europie wrzało od kilku lat i wciąż zdawało się, że konflikt zbrojny przeniesie się wreszcie z Bałkanów do jej centrum, ale nagle coś się zmieniło. W polityce nie wszystko można przewidzieć i w końcu stało się tak, że pod kotłem wojennym wygasło i nastąpiło dziwne uspokojenie nastrojów. Na to Ziuk wcale nie był przygotowany.

Początek 1914 roku był dla wszystkich czasem dosyć dziwnym. Sytuacja międzynarodowa pełna była napięć i wystarczyła jedynie iskra, żeby nastąpił wybuch. Ziuk i wszyscy związani z nim ludzie wierzyli, że z grzmotów i dymów wojny wyłonić się może wreszcie nasze państwo. Mogło być dziwne, rozdarłe i ograbione, ale tak bardzo wytęsknione przez nas wszystkich...

Kiedy Józef pojawiał się w Krakowie w naszym mieszkaniu, jak zwykle odbywały się tu spotkania i narady, w których najczęściej uczestniczyli Sosnkowski, Sławek, Sokolnicki i Dehnel, a potem też dowódcy Strzelca lub innych formacji wojskowych.

Spotkania te zamieniały się z czasem w partyjki winta, co z dzisiejszej perspektywy może wydawać się dziwne. W ten jednak sposób usiłowano przykryć nie najlepsze nastroje i atmosferę oczekiwania, która wszystkim, a w szczególności Ziukowi, zaczęła bardzo doskwierać.

Z zaopatrzeniem w miastach bywało czasem źle, ale ja zwykle starałam się gościć wszystkich, którzy do nas przybywali. Czas na przyjęcia nie był jednak szczęśliwy i Hanka nieraz wracała ze sklepu z pustymi torbami. To przysparzało mi dodatkowych trosk, choć w tamtym czasie i tak nie miałam zbyt wielu powodów do radości.

Martwiło mnie samopoczucie męża, gdyż w zimie znowu wszedł w ten swój dziwny nastrój, w którym najchętniej leżałby na swoim żelaznym łóżku lub tkwił odrętwiały w fotelu, mechanicznie rozkładając pasjanse. Czułam, że w obecnej sytuacji politycznej mąż nie powinien poddawać się takim nastrojom.

Jego najbliżsi współpracownicy niepokoiли się, ale nie mieli wpływu na humor mojego męża. Józef wiedział, jak wiele od niego zależy, i na szczęście całkiem nie poddał się zwątpieniu. Organizacje bojowe ćwiczyły coraz wytrwalej, a pomimo chwilowych zastoju rozmowy polityczne szły w dalszym ciągu.

Ludzie popatrywali w kierunku Komendanta, całkowicie gotowi na jego rozkazy.

W połowie stycznia mąż na krótko pojechał do Abacji, gdzie niegdyś tak bardzo mu się podobało. Abację odwiedzaliśmy kilkakrotnie i bardzo miło wspominaliśmy te podróże. Teraz, ze względu na stan ducha i konieczność zregenerowania sił, namówiłam Ziuka na wyjazd. Wybrał się w krótką podróż, a łagodny klimat i całkowite oderwanie się od codziennych problemów dobrze mu zrobiły.

Na początku lutego byliśmy krótko w Zakopanem, bo po grudniowym kryzysie w tamtejszym Strzelcu, kiedy to odwołano dotychczasowego komendanta, Józef chciał osobiście spotkać się z nowym komendantem i sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Odwiedziliśmy wówczas Witkiewiczów, a goszcząc u nich na obiedzie, spędziliśmy bardzo miłe chwile na wspomnianiu dawnych czasów. Potem już tylko polityka, polityka, polityka... Trochę to było męczące.

W Zakopanem Ziuk wydawał się odzyskiwać dawną energię i po krótkim wypoczynku wrócił mu dobry nastrój. Mąż teraz dużo lepiej oceniał sytuację polityczną.

Prawdę mówiąc, kiedy wrócił z Abacji i zakomunikował mi, że zdecydował się na wyjazd do Zakopanego, wiedziałam, że będzie dobrze. Znowu jechał szukać nowych sił, które tam zawsze odnajdywał.

Po kilku dniach wróciliśmy do Krakowa, a w połowie lutego Ziuk wyjechał w podróż do Szwajcarii, Francji i Belgii, gdzie też powstawały oddziały strzeleckie, a ludzie żądni byli informacji i wsparcia z kraju.

Tyle się wokół nas działo, że nie miałam czasu myśleć o stanie naszego małżeństwa. Zresztą, prawdę mówiąc, wolałam o tym nie myśleć. Trudno byłoby jednoznacznie określić relacje, jakie nas wówczas łączyły. Mieszkanie, w którym teraz jesteśmy, było wciąż nasze wspólne, ale w latach poprzedzających wybuch wojny i podczas niej Józef nie tyle mieszkał na Szlaku, co stacjonował.

Wbrew temu, co chcieliby widzieć niektórzy, stosunki, jakie nas wówczas łączyły, nie były wcale złe. Pewnie dlatego przez kilka lat jeszcze przy różnych oficjalnych okazjach pokazywałam się czasem u boku męża nie jako znajoma albo kuzynka, lecz jako prawowita małżonka Józefa Piłsudskiego. Od początku wojny jednak nie miałam najmniejszych złudzeń, że tamta kobieta usunie się z jego życia. Musiałby stać się jakiś cud, a w mojej historii cuda się nie zdarzają.

Żyłam więc chwilą, ciężką pracą i tak wielkim zaangażowaniem w sprawy publiczne, że na myślenie o prywatnych nie starczało mi czasu. Wtedy wydawało mi się, że tak jest dobrze, choć przecież wiedziałam, że stan ten nie będzie trwał wiecznie.

Mieszkanie na Szlaku nie było wówczas oazą spokoju, tylko czymś pomiędzy kwaterą główną a schroniskiem. Kiedy nie było tu mojego męża, sytuacja nie stawała się lepsza, bo co dzień do naszych drzwi pukali ludzie, którzy chcieli ofiarować swą pomoc albo sami czegoś potrzebowali. Cieszyło mnie to, bo chociaż zaczynało dokuczać mi serce i nie byłam już silna i zdrowa, to jednak fakt, że uczestniczę w ważnych sprawach i mam sposobność choćby w niewielkim stopniu przyczynić się do tworzenia historii, dodawał mi siłę i chęci do życia.

Jak tylko mogłam, pomagałam więc strzelcom, i wraz z innymi paniami organizowałam w Krakowie pomoc medyczną, zbiórki żywności, miejsca wypoczynku i noclegownie dla żołnierzy. Bardzo angażowałam się w pracę Ligi Kobiet, co jednak wówczas nie było jeszcze dla mnie głównym zajęciem. Czując doniosłość chwili, za wszelką cenę starałam się pomagać Józefowi i pod jego nieobecność w mieszkaniu na Szlaku robiłam to, o co prosili mnie jego współpracownicy.

Byłam im wszystkim potrzebna i bardzo starałam się być użyteczna. Wiem, że mi się to udawało. Każdego dnia wstawałam wcześniej rano i co dzień do późnego wieczora miałam mnóstwo zajęć.

Stopniowo bardzo rozwinęłam działalność w Lidze Kobiet, bo przez to, że właściwie nie miałam już rodziny, dysponowałam większą ilością czasu niż panie, które miały dzieci.

W 1914 roku pracę Ligi Kobiet rozszerzyłyśmy o dodatkowe zadania. Dla potrzeb organizacyjnych nazwałyśmy tę naszą działalność Ligą Kobiet Polskich Pogotowia Wojennego.

Maria wymówiła tę nazwę bardzo uroczyście i uśmiechnąwszy się szeroko, dodała z dumą:

– Muszę przyznać, że utworzeniem tej komórki zajmowałam się osobiście, bo byłam jedną z jej założycielek.

„Pogotowie” powołałyśmy w związku z rozwijającymi się działaniami wojennymi. Ta część kobiecej organizacji stanowiła zaplecze pracujące na potrzeby wojska. Nasze panie, które rozpoczynały pracę w „Pogotowiu”, żeby nie narażać własnych rodzin na niepotrzebne kłopoty, początkowo występowały pod pseudonimami, potem jednak, gdy działania wojenne przybierały na sile, to się zmieniło.

Panie z „Pogotowia” organizowały punkty, w których kobiety szyły bieliznę dla wojska, zbierały fundusze, żywność i materiały opatrunkowe. Członkinie Ligi prowadziły herbaciarnie, a w niektórych rejonach nawet i gospody, z których dochód zasilał kasę wojska. Oprócz tego zajmowałyśmy się też działalnością wydawniczą, a ja w tej dziedzinie miałam doświadczenie, którym mogłam się dzielić.

Wydawane przez Ligę książki i broszury sprzedawane były potem na straganach i kramikach przy kościołach, a dochód z tej działalności szedł na potrzeby wojska.

Z czasem potrzeby zmieniły się nieco, ale wówczas natychmiast pojawiały się nowe formy pomocy.

W miarę rozwoju działań wojennych wzrastało zapotrzebowanie na pomoc rodzinom poległych, a pod koniec wojny też na organizowanie schronienia dla zbiegłych z internowania żołnierzy.

Każdy okręg miał w związku z tym własne zadania, których podejmował się na swoim terenie. Kobiety wykazywały się prawdziwym hartem ducha i inicjatywą. Po raz kolejny okazało się, że kiedy mężczyźni wyruszali na

wojnę, kobiety uaktywniały się, pokazując wiele zalet, których wcześniej publicznie nie ujawniały. Swoimi doświadczeniami dzieliłyśmy się później podczas spotkań i zjazdów.

To były trudne, ale bardzo piękne czasy. Pomimo nie najlepszego zdrowia ja też się nie oszczędzałam, bo działalność na rzecz „Pogotowia” sprawiała mi olbrzymią radość i satysfakcję. Informacje płynące z różnych stron pokazywały, że pomysł zorganizowania „Pogotowia” był dobry i wystarczyła jedynie mała iskra, żeby uruchomić całe zastępy pań gotowych do pomocy. Część z nich pełniła funkcje kierownicze i organizacyjne. Cieszyło mnie to bardzo i kiedy tylko mogłam, pracowałam na rzecz Ligi.

Zmieniało się to jedynie wówczas, kiedy w Krakowie pojawiał się Józef. Wtedy pragnęłam więcej przebywać w domu. Ale mąż mój w Krakowie bywał rzadko...

Kiedy Józef przyjeżdżał, zajmował się sprawami wojskowymi i polityką, a dla mnie również miewał rozmaite zadania. Zapisywałam wtedy sobie wszystko w kajecie, bo pracy przybywało w takim tempie, że przestawałam sobie z tym radzić.

We wszystkim pomagała mi Hanka, która w tych trudnych czasach do własnego domu wracała dopiero wieczorami, zapominając często o należnych jej dniach wolnych.

W przededniu i w czasie wojny zżyłyśmy się ze sobą i pomimo dzielącej nas różnicy społecznej w jakiś sposób nawet się zaprzyjaźniłyśmy. Oczywiście nie znaczy to, że Hanka zapominała o roli i miejscu, jakie zajmowała. Tak się nie stało, ale spośród wszystkich służących, jakie kiedykolwiek miałam, Hanka jest najbardziej rezolutna i dzięki temu czasem powierzałam jej zadania, których nie powierzyłabym nikomu innemu. Ona zaś potrafiła to docenić.

Z zagranicznej podróży Ziuk wrócił z nowymi planami i nową energią do działania, ale w Krakowie nie bywał zbyt często. Teraz najwięcej czasu spędzał we Lwowie. Wyjeżdżał do Lwowa, wracał i znowu wyjeżdżał, tak w 1914 roku wyglądała cała wiosna i lato. Kiedy zmieniał miejsce swego

pobytu, jego kwatera i wszystkie ważne sprawy wędrowały za nim. Miał wówczas w dwóch miastach dwie bazy, dwa domy i...

Pani Maria zamyśliła się, marszcząc czoło.

– Zazwyczaj nie rozmawialiśmy o tych jego wyjazdach. Wtedy nie opowiadał mi już wiele, ale gdy sprawy szły po jego myśli i odnosił sukcesy, mówił mi o tym, radując się jak dziecko.

Maria uśmiechnęła się do siebie i przez jakiś czas uśmiech nie zniknął z jej twarzy.

– Kiedy Józef wracał do Krakowa, znów zaczynały się spotkania i narady, bywało jednak, że nie nocował w domu, tylko zatrzymywał się w hotelu. Działo się tak szczególnie wtedy, kiedy miał dużo spotkań z obcymi ludźmi. Wówczas do domu przysyłał kogoś jedynie po czyste ubranie.

Uspokojenie nastrojów w Europie nie trwało długo. Z nadejściem wiosny ożyły nadzieje i praca w oddziałach wojskowych. Sytuacja międzynarodowa rozwijała się zgodnie z przewidywaniami Ziuka, a na wszystkich jego współpracowników spłynęła nowa energia, która dodała im sił i chęci do działania. Znowu między zaborami zaczęli krążyć emisariusze, próbując pogodzić różnorakie koncepcje i ułożyć plany wspólnych działań dla wszystkich tych, którym przyszło walczyć pod sztandarami państw okupacyjnych.

Mnie działania te wydawały się czasem dziwne i niepojęte, ale polityka niestety nie jest zajęciem łatwym ani czystym.

W tamtych latach Ziuk i Sławek spotykali się czasem z niejakim Rybakiem, który, jak mi się zdaje, był łącznikiem pomiędzy naszymi a przedstawicielami cesarza Austrii. Mąż niewiele mówił o tych kontaktach, bo wówczas bardzo był w sobie zamknięty.

Jak dawniej bałam się o niego i kiedy wreszcie wracał do domu, w którym nieczęstym już bywał gościem, za jego powrót gorąco dziękowałam Bogu.

Wiedziałam, że pertraktowanie z wrogiem jest nieuniknione, ale byłam nieufna i nie lubiłam takich kontaktów. Nauczona własnym doświadczeniem, nie wierzyłam agentom i szpiclom obcych wywiadów. Pewnie dlatego mąż nie mówił mi nigdy, że wybiera się na spotkania z Rybakiem, które zazwyczaj odbywały się w mieszkaniu tamtego.

W końcu pewnego dnia Józef w rewanżu zaprosił go do nas. Nie wiedziałam, co o tym myśleć, ale na wszelki wypadek przygotowaliśmy z Hanią w miarę wystawną i smaczną kolację.

Rybak pojawił się w naszym mieszkaniu ubrany w smoking, co, nie ukrywam, wywarło na mnie pozytywne wrażenie, jednak pomimo prywatnego charakteru tej wizyty i eleganckiego zachowania się gościa nie czułam się swobodnie w jego towarzystwie.

Mąż wiedział, że na początku koniecznie musi zgodzić się na różne układy, żeby w dalszym etapie mógł osiągnąć to, co zamierzał. W przededniu wojny nasi musieli wejść w sojusz z jednym z okupantów, żeby znaleźć miejsce dla budowania własnego zaplecza.

Zaistnieć jako wojsko mogli tylko przy którymś z cesarzy, bo przecież Polski jeszcze nie było. Rozrzuceni po trzech zaborach działacze różnych partii mieli na ten temat bardzo odmienne zdania, a poza tym pomiędzy frakcjami też były właśnie i spory. Narodowcy pragnęli przyłączyć się do Rosji, by po jakimś czasie zjednoczone pod jednym zaborcą ziemię oderwać i stworzyć swoje państwo. Innym wydawało się, że należy raczej wiązać się z pozostałymi zaborcami, by po pewnym czasie dążyć do pełnej autonomii.

Pomysły na sojusze i układy rodziły się na Szlaku i nie będę ukrywać, że często przysłuchiwałam się rozmowom, które toczyły się w salonie. To zaś, co działo się w gabinecie męża, pozostawało dla mnie tajemnicą, której nie chciałam zgłębiać. Józef miał zwyczaj samodzielnie obmyślać strategię postępowania, a dopiero później dzielić się swoimi myślami z innymi. W gabinecie zazwyczaj zamykał się więc sam lub z którymś z najbliższych współpracowników. I tak pomysły zrodzone w jego głowie wydostawały się najpierw do naszego salonu, a potem szły dalej...

Rozmowy z Rybakiem przyniosły konkretny efekt. Dla realizacji swoich celów nasi na początek wybrali cesarza Austrii.

Wojna

W lipcu 1914 roku spotkali się we Lwowie komendanci różnych organizacji bojowych i ostatecznie dogadali się ze sobą. Świątowali to ponoć bardzo hucznie.

Ziuk przejął zwierzchność nad całym wojskiem, a zgoda w szeregach podkomendnych została uhonorowana pomiędzy żołnierzami wymianą odznak dotychczasowych formacji.

Bardzo podobał mi się ten gest, bo świadczył o dobrej woli dogadania się i zawarcia przymierza pomiędzy grupami żołnierzy, którzy od tej pory mieli służyć razem. Chodziło przecież o to, by nasze wojsko było jednością, a nie zlepkiem różnych grupzek pilnujących własnych interesów, gotowych bronić swych idei, aż do całkowitego unicestwienia.

Po zamachu na księcia Ferdynanda na Bałkanach znów zawrzało i teraz konflikt zbrojny w Europie stał się już faktem. Sytuacja sprzyjała planom Józefa i mąż mój nareszcie był w pełni zadowolony z obrotu spraw.

Chociaż w Galicji poparcie dla planów Józefa i dla jego osoby stale rosło, to jednak nie wszędzie odnoszono się do nich z jednakową ufnością. W Królestwie niestety było inaczej, o czym wkrótce mieli się przekonać legionieści, wkraczając na ziemie zaboru rosyjskiego.

Drugiego sierpnia 1914 roku Rybak przekazał mężowi zezwolenie na mobilizację oddziałów strzeleckich. Nie wszystko szło zgodnie z pierwotnymi ustaleniami, bo to, co było dobre dla Polaków, nie zawsze podobało się Austriakom i sprzymierzonym z nimi Niemcom.

W tamtym czasie Józef zżymał się nieraz na nierzetelność umów i odstępstwa od pierwotnych ustaleń. Negocjacje wymagały roztropności i wielkiej rozwagi, toteż Ziuk znów bywał skupiony i nieprzystępny, ale tym razem jego nastrój nie miał nic wspólnego z przygnębieniem

z początku roku. Teraz Piłsudski czuł w sobie siłę, a w głowie miał wciąż nowe pomysły.

Rozmowy z Austriakami kosztowały go jednak wiele zdrowia i nieraz doprowadzały do zdenerwowania.

Wreszcie 6 sierpnia o świcie z krakowskich Oleandrów w stronę Krzeszowic wyruszyła na wojnę I Kompania Kadrowa, która została utworzona dzień wcześniej ze Strzelca i oddziałów strzeleckich w celu wywołania powstania narodowego w Królestwie.

To było dla nas wielkie przeżycie. Żegnaliśmy wychodzące z miasta polskie wojsko, które nie było jeszcze armią wolnego kraju, ale jednak stanowiło załóżek czegoś, na co czekaliśmy od lat.

Wyśmiewane wcześniej przez wielu niedowiarków drużyny młodych chłopców, ćwiczących na Błoniach i w okolicach Krakowa, stanęły teraz jako nasze wojsko, dla którego wciąż rosło poparcie, a w ślad za nim też podziw. Wszyscy patrzyliśmy, jak tworzy się historia.

To jednak, co dla nas jako naocznych świadków było widome i pewne, w polityce wcale nie wyglądało tak dobrze. Pomimo dumy, która go rozpieierała, gdy patrzył na swoich żołnierzy, Ziuk doskonale to wiedział.

Obaj z Sosnkowskim wyprowadzili oddziały za miasto, a sami wrócili do prac politycznych.

Niestety planowane przez męża powstanie w Królestwie, które pomogłoby mu zrealizować dalsze plany, nie wybuchło, a ludność odwróciła się od strzelców i nie udzieliła im żadnej pomocy. W tej sytuacji Austriacy postanowili wcielić nasze wojsko do swojej armii.

To był ogromny cios dla Józefa. Bałam się wtedy o niego, bo mówił, że chyba w łeb przyjdzie mu sobie strzelić. Polscy żołnierze, z których udało się stworzyć regularną armię, mieli zostać wcieleni do armii cesarskiej jako poborowi Jego Wysokości.

Wtedy Sikorski, chcąc jakoś ratować sytuację, wystąpił z memoriałem do władz austriackich, aby ze strzelców sformować osobne oddziały wojskowe, pozostające pod komendą austriacką. Sikorskiego wsparł ówczesny prezydent Krakowa Juliusz Leo i powołano Naczelny Komitet Narodowy. Austriacy zgodnie z sugestią memoriału powołali Legiony Polskie, którymi dowodzili za pośrednictwem Departamentu Wojskowego NKN.

Przez następne dwa lata Ziuk szarpał się nie tylko z kolejnymi austriackimi komendantami Legionów, ale też z oficerami z NKN. Najważniejsze jednak było to, że polskie formacje wojskowe zostały uratowane, chociaż mój mąż objął komendę jedynie nad pułkiem, a później nad I Brygadą.

Od dnia rozpoczęcia wojny nie miałam już częstego kontaktu z mężem i nie śmiałam się o to dopominać. Wieści polityczne oraz informacje z frontu czerpałam z gazet i od znajomych, którzy krążyli, przewożąc je, we wszystkich kierunkach. Sytuacja zmieniała się z tygodnia na tydzień i bywały dni, że przestawałam cokolwiek rozumieć.

W tamtym czasie brakowało mi bardzo rozmów z Ziukiem, bo nie wiedziałam, czy to, czego dowiadywałam się z gazet i od ludzi, jest prawdą.

Jednak nie tylko sprawy polityczne zastanawiały mnie i martwiły. Józef przestawał być moim mężem, a ja nie potrafiłam temu zaradzić.

Mój mąż jako człowiek zmienił się bardzo i tego nowego Józefa również kochałam, ale już nie rozumiałam. Wreszcie dotarło do mej świadomości, że wokół mnie następowały nieodwracalne zmiany, a najbardziej widoczną z nich było odchodzenie człowieka, który zawsze objaśniał mi sprawy związane z polityką. Odtąd byłam zdana na siebie. Nie pozostawało mi więc nic innego, jak tylko słuchać oficjalnych informacji, wspieranych tym, czego dowiedziałam się od innych.

W końcu Wasilewski powiedział mi, że na życzenie Ziuka w ślad za nim w kierunku Kielc wyruszyła panna Aleksandra Szczerbińska. Nawet nie bardzo mnie to dziwiło. Znałam Józefa i doskonale wiedziałam, że w trudnych sytuacjach potrzebuje mieć w pobliżu bliską osobę.

Powiedziawszy to, Maria westchnęła i uśmiechnęła się smutno. Karolina spojrzała nieśmiało w jej kierunku, czując, że nie powinna się teraz przyglądać Piłsudskiej. Maria jednak nie wyglądała na szczególnie smutną czy rozdrażnioną. Delikatny, nieco melancholijny uśmiech wcale nie znikł z jej twarzy i dziewczyna uświadomiła sobie, że opowiadanie nawet o niewesołych fragmentach życiorysu też dobrze wpływa na Piłsudską.

Snując pomału nić wspomnień swego życia, pełnego pięknych, ale i tragicznych wątków, Maria przygląda mu się raz jeszcze, przy okazji

oswajając się z tym, co kiedyś sprawiało ból, ale w tej chwili było już tylko przeszłością.

Cisza, jaka zapadła w salonie, nie była ciężka ani męcząca. Pani Maria nie wydawała się być zła lub skonsternowana i wyglądało na to, że potrzebowała pozbierać myśli.

Karolina zauważyła, że szczerą wypowiedź o roli Aleksandry Szczerbińskiej w życiu męża tym razem nie rozzłościła Piłsudskiej ani nie wyprowadziła jej z równowagi.

Istnienie innej kobiety u boku Piłsudskiego stało się dla Marii faktem i w rozmowach z Karoliną przestała wreszcie pomijać go niezręcznym milczeniem.

Najwidoczniej nabrała zaufania do swojej młodej sąsiadki, bowiem pomimo dzielącej je różnicy wieku nie unikała już mówienia o trudnej prawdzie, z którą zazwyczaj borykała się w samotności.

Po krótkiej przerwie Piłsudska podniosła się z fotela i zaprosiła Karolinę, żeby jej towarzyszyła do kuchni. Tam Maria przygotowała podwieczorek, a Karolina zajęła się herbatą.

Krząjąc się po kuchni, rozmawiały o czasach niedawnej wojny.

Maria opowiadała o bitwach, o których słyszała od męża i odwiedzających ich czasem dowódców polskich wojsk. Sporo też dowiadywała się z gazet i od pań z Ligi Kobiet, których synowie, mężowie lub bracia walczyli pod sztandarami Legionów. Mówiła o młodych chłopcach okaleczonych w bitwach pod Laskami i Krzywopłotami, a potem o dwudniowej i bardzo krwawej potyczce pod Konarami, gdzie zginęło ponad sześciuset polskich żołnierzy i prawie czterdziestu oficerów.

O bitwie pod Kostiuchnowką, która odbyła się latem 1916 roku, Karolina wiedziała wszystko. Śmierć ojca sprawiła, że przez jakiś czas oboje z bratem szukali wciąż nowych informacji o tym starciu. Teraz Karolina przeżywała chwilę silnego wzruszenia, mówiąc o tym, co dla niej samej było bliskie i straszne zarazem.

Do późnego wieczora Maria wypytywała dziewczynę o wszystkie ważne sprawy z jej niedawnego życia. Chciała jak najwięcej wiedzieć zarówno o jej ojcu, jak i o tym, jak radzili sobie po jego śmierci. Karolina szczerze opisywała nerwowe załamanie matki, trudne lata, gdy w okrytym żałobą domu usiłowała znaleźć dla siebie miejsce, i o ucieczce do Krakowa, której wstydziła się przed sobą, ale jej przecież nie żałowała.

– Wiem, że być może nie powinnam zostawiać mamy samej, tym bardziej że brat też już jest prawie dorosły i zamierza opuścić dom... – powiedziała Karolina, wzdychając ciężko. – Nie wiem, co teraz stanie się z moją mamą, ale ja naprawdę nie mogę już tam żyć...

Karolina jeszcze raz popatrzyła na Piłsudską, a w jej oczach oprócz żalu i wielkiego smutku pojawiły się dwie błyszczące łzy.

– Rozumiem pani sytuację, ale naprawdę nie widzę tu żadnej winy – powiedziała Maria, kładąc dłoń na ramieniu dziewczyny. – Jest pani młoda, ładna, a do tego dobrze wykształcona i jestem pewna, że matka panienki doskonale zrozumie te pragnienia.

Karolina pociągnęła nosem, a jej ramionami wstrząsnął gwałtowny dreszcz.

– Chciałabym, żeby mama też przeniosła się do Krakowa – odparła, spuszczać głowę – ale nie sądzę, żeby ona tego chciała... Naprawdę nie wiem, jak to dalej urządzić – dokończyła, z rezygnacją kręcąc głową. Piłsudska patrzyła na nią ze współczuciem.

– Myślę, że ojciec byłby z pani dumny... Zastanowię się nad tym i może coś razem wymyślimy – powiedziała wreszcie Piłsudska, uśmiechając się przyjaźnie. Widać było, że naprawdę chce w jakiś sposób pomóc Karolinie, bo doskonale rozumiała, że dziewczyna po prostu nie może zawrócić z obranej wcześniej drogi.

Tego dnia rozmawiały jeszcze o wielu sprawach związanych bardziej z życiem Karoliny niż Marii.

Kolejne spotkanie umówiły na dzień następny. Tym razem jednak Piłsudska bardzo stanowczo zadecydowała, że spotkają się w mieście.

– Zapraszam panienkę do Michalika i obiecuję, że nic nie stanie na przeszkodzie, byśmy zjadły tam jakiś smaczny obiad. Niedługo położę się spać, by dobrze wypocząć, a w południe poproszę Hanię, żeby zawołała mi fiakra. Bardzo chciałabym pokazać panience jeszcze kilka moich ulubionych miejsc.

Brygadierowa Maria Piłsudska

Kiedy Karolina weszła do sali restauracji u Michalika, Piłsudska już tam była i siedząc przy stoliku pod ścianą, przyglądała się wejściu. Ujrawszy sąsiadkę, pomachała do niej ręką. Dziewczyna ucieszyła się bardzo z tego, że Maria na nią czeka. Przez całą drogę do Michalika denerwowała się tym, co zrobi, gdyby, kiedy ona wejdzie do restauracji, Piłsudskiej tam jeszcze nie było.

Karolina wstydziła się braku obycia w podobnych sytuacjach, ale nie mogła nic na to poradzić. Skromne środki finansowe, jakimi dysponowała jej rodzina po śmierci ojca, wykluczały odwiedzanie takich miejsc jak Jama Michalikowa, toteż dziewczyna czuła się bardzo niepewnie.

Na szczęście jednak, kiedy nieco speszona usiadła przy stoliku pod zegarem, przy którym od jakiegoś czasu siedziała Piłsudska, pani Maria zajęła się wszystkim. Z karty dań wybrała smaczną zupę i kaczkę z jabłkami, o której wiedziała, że jest specjalnością tutejszego kucharza. Na deser zaordynowała tort orzechowy i dwa kieliszki likieru.

Kiedy czekały na realizację zamówienia, Karolina dyskretnie rozejrzała się po sali, podziwiając jej piękny wystrój, a Maria kontynuowała w tym czasie swoją opowieść.

– Od początku wojny Józef miał do swej dyspozycji samochód, co bardzo ułatwiało mu dogłądanie spraw. Zresztą ten sposób podróżowania stawał się coraz bardziej popularny.

Mnie też czasem zdarzało się korzystać z aut należących do wojska lub prywatnych osób, ale bywało tak jedynie wtedy, gdy załatwiałam sprawy związane z działalnością Ligi Kobiet lub jakimś poleceniem męża.

Prywatnie rzadko korzystałam z takiego udogodnienia, bo właściwie nie było okazji, a poza tym pewnie nie miałabym śmiałości.

Cały 1914 rok wypełniony był pracą i zadania, jakie podejmowałyśmy wtedy, by zorganizować cywilne struktury do pomocy wojsku, zajmowały wielu mieszkańców Krakowa. Na odpoczynek niewiele było czasu, a przecież i ja nieraz chciałam wreszcie poczuć coś innego niż społeczny entuzjizm. Pewnie dlatego w grudniu 1914 roku wybrałam się w trudną i niewygodną zimową podróż do Jabłonkowa, gdzie mąż mój w towarzystwie swoich żołnierzy zamierzał spędzić święta Bożego Narodzenia.

Józef wcale nie spodziewał się mojego przyjazdu i kiedy weszłam na kwaterę, zajęty był właśnie pisaniem listu. Domyśliłam się, że nie miał być adresowany do mnie, ale Wigilię spędziliśmy razem.

Po świętach, 1 stycznia, zabrałam się z Marianem Kukielem jego samochodem z Jabłonkowa do Lipnicy Murowanej, gdzie wraz z mężem i towarzyszącymi mu oficerami witaliśmy 1915 rok. Podróż samochodem zimą nie była bardzo przyjemna, ale atmosfera panująca po przyjeździe na miejsce wynagrodziła mi jej trudy. Zresztą sama, zaznawszy rozkoszy podróżowania w mrozie i śniegu, łatwiej rozumiałam, na jakie niewygodny narażony jest mój mąż. Mając na względzie jego zdrowie fizyczne, wciąż apelowałam do współpracowników Józefa, a przede wszystkim do Sokolnickiego, który zajmował się sprawami organizacyjnymi, żeby dbali o niego i o jego potrzeby, bo sam zazwyczaj o nich zapominał.

I Brygada, której Piłsudski był komendantem, stacjonowała w Lipnicy do 19 stycznia 1915 roku. Żołnierze mieli więc trochę czasu, żeby odpocząć przed dalszą wojaczką, a ja wróciłam do Krakowa do swoich zwykłych obowiązków.

Ze zdwojoną energią angażowałam się w działalność Ligi Kobiet. Nasza organizacja rozrastała się i działała coraz prężniej. Młode odważne dziewczyny szły z wojskiem na front, żeby tam pracować w służbie medycznej jako sanitariuszki. Starsze kobiety też chciały robić coś dla wspólnej sprawy i one również ochoczo organizowały się i podejmowały różne zadania.

Na święta Wielkiejnocy w 1915 roku zostaliśmy z Józefem zaproszeni do miejscowości Tur. Oddział Ligi Kobiet bardzo chciał nas ugościć i do domu przysłano piękne zaproszenie, które osobiście dostarczyły członkinie

tamtejszej Ligi. Sytuacja wojenna pozwoliła Ziukowi na krótki odpoczynek, toteż postanowił skorzystać z zaproszenia.

Bardzo mnie to ucieszyło, bo w takich sytuacjach czułam się nie tylko żoną Komendanta, ale też jedną z tych kobiet, tak samo jak one zaangażowaną w pracę społeczną. Przy takich okazjach zawsze można było dowiedzieć się czegoś ciekawego o pracy innych oddziałów Ligi. Święta minęły nam bardzo przyjemnie i zdecydowanie za szybko.

W 1915 roku i w latach późniejszych mój mąż otrzymywał bardzo wiele zaproszeń do uczestniczenia w podniosłych i uroczystych imprezach. Józef nie mógł być we wszystkich tych miejscach ze względu na wielką ilość obowiązków, którym i tak nie mógł podołać. Na jego prośbę jeździłam więc czasem w jego zastępstwie i oczywiście starałam się godnie reprezentować mego męża.

Nad wszystkim tym miał baczenie Michał Sokolnicki i to on właśnie załatwiał mi przewóz oraz opiekę na czas podróży i pobytu w każdej miejscowości poza Krakowem.

Z ważniejszych uroczystości pamiętam świętowanie imienin mojego męża w marcu 1915 roku w Oświęcimiu. Organizatorzy uparli się, żeby ugościć Komendanta, a skoro wielki ten człowiek sam nie mógł przybyć, wymyślili, że w zastępstwie zaproszą mnie.

Pojechałam, nie chcąc zawieść dobrych ludzi, choć tak naprawdę czułam się dziwnie i kiedy zażyczyli sobie, żebym wygłosiła mowę, trochę spanikowałam.

Potem było już dużo lepiej i na zjeździe Naczelnego Komitetu Narodowego, na który jechałam aż do Piotrkowa Trybunalskiego, nie czułam już takiej tremy.

W czerwcu 1915 roku wzięłam udział w uroczystości odsłonięcia Kolumny Legionów w Krakowie, gdzie fetowali mnie, jakbym była nie Marią, ale samym Józefem Piłsudskim.

W końcu wszędzie już czułam się dobrze, bo niezastąpiony Sokolnicki tak wszystko organizował, żebym miała wygodę i pomoc. Oczywiście wolałabym, żeby Józef był tam ze mną, ale skoro nie mógł, to *pro publico bono* musiałam sobie jakoś radzić.

Czasem podczas oficjalnych spotkań proszono mnie o jakieś przemowy, ale od tego za każdym razem starałam się wykręcić. Żaden ze mnie mówca

i zawsze miałam w sobie taki lęk, że powiem coś nieskładnie lub tak jakoś, że wyda się to nieodpowiednie lub śmieszne.

Teraz zwracano się do mnie jak do ważnej osoby, wszak reprezentowałam nie siebie, ale mojego męża, Brygadiera Piłsudskiego. Tego ode mnie oczekiwali nie tylko ci ludzie, ale i Józef, który najwyraźniej nie miał nic przeciwko temu. Myślę, że go nie zawiodłam.

W końcu w tym samym 1915 roku kilka tygodni byłam poza Krakowem, bo Józef chciał mieć w pobliżu Wiednia zaufaną placówkę, więc zdecydowałam mu się w tym pomóc. Krótki czas spędziłam w samym Wiedniu, a potem mieszkałam w Cieszynie, gdzie dostałam zadanie doglądać spraw i organizować noclegi dla tych, którzy ze Lwowa lub Krakowa zdążali do Wiednia. Wynajmowałam wówczas niewielką kwaterę w Cieszynie przy ulicy Landstrasse 6, w kamienicy państwa Siostrzonków, jednak nie miałam tam wiele roboty, więc trochę się nudziłam i czas ten wydawał mi się całkiem stracony.

Słałam rozpaczliwe listy do Sokolnickiego, żeby mi jaką robotę znalazł i chęć do działania wykorzystał, bo wielka energia spalała mnie prawie od środka.

Jeszcze o jedno wówczas prosiłam Sokolnickiego jako osobę zajmującą się sprawami organizacyjnymi. Marzyło mi się, żeby samochód, którym jeździ mój mąż, miał ochronę od wiatru i zimna, bo po dłuższych podróżach automobilem, który Józef dostał do swojej dyspozycji, bywał wyziębiony, a czasem prawdziwie chory. Zawsze bardzo bałam się o zdrowie Ziuka, ale gdy kiedyś odwiedził mnie w Cieszynie, był całkiem przemarznięty po takiej podróży i wtedy przeraziłam się nie na żarty.

Józef nie był zadowolony z tych moich interwencji, ale doskonale wiedział, że mnie od nich nie powstrzyma, bo pomimo całego szacunku i przywiązania do niego potrafiłam być uparta i nieustępliwa.

Wkrótce też na szczęście skończyło się to moje zesłanie i z nową energią wróciłam do Krakowa, do konkretnej pracy i tego, w czym czułam się najlepiej.

W tamtych latach bardzo chętnie uczestniczyłam w spotkaniach i zjazdach Ligi Kobiet. W towarzystwie dzielnych pań czułam się dobrze i choć dalej unikałam publicznych wystąpień, to jednak w Lidze byłam na swoim miejscu, nie tylko jako żona Piłsudskiego, ale też jako jej członkini.

Lubiłam tę pracę i wiedziałam, że nasza robota ma sens, zarówno wtedy, gdy organizowałyśmy pomoc dla żołnierzy i ich rodzin, jak i wtedy, gdy zabiegaliśmy o prawa kobiet w nowej, odradzającej się Polsce.

To w dużej mierze dzięki działalności Ligi w listopadzie 1918 roku kobiety polskie uzyskały prawa wyborcze na równi z mężczyznami.

Uważaliśmy, że nowe państwo należy urządzić nowoczesnie, a uznanie tego prawa było ważnym elementem nowoczesności.

Polskie kobiety nie czekały beczynnie w domach na wolność. Wiele z nas poniosło najwyższą ofiarę, by Polska odzyskała niepodległość. Kilka moich koleżanek, o których mówiłam pani wcześniej, przypłaciło zdrowiem, a czasem, tak jak Bohuszewiczówna czy Dulębianka, życiem swoje społeczne lub polityczne zaangażowanie.

W polskich domach zresztą zawsze tak było, że kiedy brakło w nich mężczyzn, gospodarstwem zajmowały się kobiety, nieraz nawet, tak jak Wiktoria Dąbska, z nad wyraz dobrym skutkiem.

Prawa wyborcze po prostu nam się należały.

W Lidze poznałam wiele mądrych pań, które zajmowały się nie tylko działalnością charytatywną. Zbierałyśmy pieniądze, organizowałyśmy świetlice, stołówki, przedszkola, kursy oświatowe na wsiach i w małych miasteczkach oraz opiekę medyczną dla wojska. Kobiety świetnie znały się na buchalterii, nie mówiąc już o tych, które czynnie uczestniczyły w konspiracji...

– Tak jak pani – wtrąciła Karolina z uśmiechem.

Maria spojrzała na nią nieco zaskoczona, jakby dziewczyna powiedziała coś nieoczekiwanego. Po chwili jednak bez słowa pokiwała głową, zamyśliła się nad czymś, a kiedy znów spojrzała na Karolinę, jej twarz wydawała się dużo bardziej skupiona niż dotychczas.

– W czerwcu 1915 roku rozpoczęła się kampania podhalańska – powiedziała, rozglądając się dyskretnie po sali. – A potem na Wołyniu nad Styrem i Stochodem spotkały się wszystkie trzy brygady legionowe. W sierpniu do Warszawy weszli Niemcy i sprawy polityczne znowu bardzo się skomplikowały.

Nastroje w Warszawie nie były przyjazne dla mego męża i to, że w pierwszej fazie wojny wszedł w koalicję z Austrią i Niemcami, nie przysporzyło mu popularności w Królestwie.

Sytuacja polityczna wciąż się zmieniała, a społeczeństwo zaczynało się organizować i tworzyć struktury, które później byłyby potrzebne do organizowania odrodzonego państwa. Wiele pracy wymagało też ciągle wspomaganie naszego wojska na froncie.

Liga Kobiet miała bardzo dużo pracy, ale od samego początku starałyśmy się nadać organizacji formalny kształt i stworzyć struktury. Były więc zebrania, zjazdy i wybory, tworzenie nowych środowisk i rozszerzanie działalności.

Uczestniczyłam w tym wszystkim, a nawet zasiadałam w prezydium zjazdu Ligi Kobiet, który odbył się w Krakowie w 1915 roku. Zjazd ten miał bardzo uroczysty charakter.

Do sali Towarzystwa Lekarskiego przyjechały wówczas panie z całej Galicji, a nawet z Wiednia. Odnalazłam wreszcie i ja swoje miejsce. Po latach pozostawania w cieniu Józefa znowu poczułam się ważna nie tylko dlatego, że wciąż przecież byłam jego żoną. Miałam wreszcie robotę w Lidze, gdzie ceniono mnie nie tylko jako żonę Komendanta Piłsudskiego, ale i całkiem niezłą organizatorkę.

Maria przerwała opowieść, bo młody kelner przyniósł im właśnie zamówioną zupę. Stawiając talerze na stoliku, głęboko skłonił się Piłsudskiej.

Od samego początku był wobec nich grzeczny, ale teraz, kiedy poprawiał nienagannie ułożone nakrycia i stawiał na stole zestaw pojemników z przyprawami, Karolina zauważyła, że ręce młodego mężczyzny drżą. Piłsudska widocznie też to dostrzegła, bo kiedy kelner odszedł, nachyliła się do Karoliny i szepnęła:

– Biedaczysko, pewnie kierownik sali powiedział mu, kim jestem, i wystraszył chłopaka. Są miejsca, gdzie wciąż jeszcze mnie rozpoznają, a Jama Michalikowa właśnie do nich należy.

Kobiety pochyliły się nad talerzami i zaczęły jeść, a kiedy skończyły, Piłsudska otarła usta i powiedziała:

– Wśród piętrzących się zajęć nadszedł wreszcie pamiętny 1916 rok, który okazał się dla nas trudny i bardzo pracowity. Mój mąż rzadko wówczas bywał w Krakowie i właściwie nigdy nie wiedziałam, kiedy

pokaże się na Szlaku. Jeździł wciąż w sprawach wojskowych, odwiedzał żołnierzy w okopach, brał udział w uroczystościach patriotycznych, które organizowano w pobliżu stacjonujących wojsk. Sporą część jego uwagi zajmowały też sprawy polityki, bo z Austriakami nie układało się najlepiej i Ziuk co rusz prowadził jakieś rozmowy, ale ja o nich niewiele wiedziałam. W całym 1916 roku było jednak kilka takich chwil, które na zawsze zostaną w mej pamięci. Wtedy bywaliśmy razem jako małżeństwo...

Piłsudski ściszył głos, a potem na moment zamilkła. W tym czasie młody kelner zabrał puste talerze po zupie, a po chwili pojawił się, niosąc talerzyki z surówkami.

– W polityce jednak nic nie było całkiem jasne – powiedziała, gdy kelner odszedł od ich stolika. – Wiedziałam o tym od Ziuka i nieraz też słyszałam trudne rozmowy, które prowadził na Szlaku. Często z miny męża wnioskowałam, że sprawy nie idą po jego myśli.

Moja praca społeczna miała i te dobre strony, że spotykałam wciąż nowych ludzi i dzięki tym znajomościom mogłam rozeznaczyć się w nastrojach i oczekiwaniach krakowian. Czasem robiłam z rozmów notatki, które pokazywałam potem Ziukowi, kiedy pojawiał się w Krakowie.

Sytuacja stale się zmieniała i często nie wyglądała dobrze. Nie do końca określona rola Legionów w tej wojnie denerwowała dowództwo i samych żołnierzy, którzy w Królestwie spotkali się z niechęcią, a czasem nawet wrogością rodaków. Prości żołnierze nie rozumieli, dlaczego Polacy zamykają przed nimi drzwi. Legioniści nie chcieli przelewać krwi za cesarza, mając za wrogów innych Polaków – poddanych władzy rosyjskiego cara. Trudno się dziwić ich rozgoryczeniu, gdy nieraz w bitwach stawali przeciw rodakom ubranym w rosyjskie szynele. Do tego jeszcze dochodziło zmęczenie trudnymi warunkami i choroby, jakie zaczęły dziesiątkować oddziały.

Lekarze i sanitariuszki mieli ręce pełne roboty i niejednokrotnie za przepracowanie płacili własnym zdrowiem.

Józef też zachorował, a było to podczas wizytowania oddziałów na Wołyniu. Był już wtedy dowódcą I Brygady i bardzo zależało mu na spokoju i dobrym porozumieniu kadry dowódczej. Gasił tam jakieś wewnętrzne spory w oddziałach i wtedy zapadł na influencję. Wieniawa mówił mi potem, że Ziuk miał wysoką gorączkę, ale początkowo wzbraniał

się przed leżeniem w łóżku. Wreszcie poddał się chorobie i dwa dni pozostał na kwaterze. W tym czasie podobno wydarzyło się coś, o czym dowiedziałam się dużo później, a co jednak w jakiś sposób przeczuwałam, widząc zmiany w zachowaniu najbliższych współpracowników męża.

Dwudziestego siódmego lutego w obecności kapelana I Brygady, księdza Henryka Ciepichała, Ziuk wyrzekł się protestantyzmu i powrócił na łono Kościoła katolickiego.

Faktu tego nie ogłoszono do publicznej wiadomości, bo Ziuk na tematy religijne wypowiadać się nie lubi i nie sądzę, by publicznie przyznawał się do wcześniejszej zmiany wyznania, ale ludzie są zazwyczaj ciekawi prywatnych spraw znanych osób i bardzo chętnie się w nie wtrącają. Tak było, rzecz jasna, też w przypadku Ziuka, bo jego sytuacja rodzinna wielu się nie podobała.

Niektórzy z dawnych „przyjaciół” usiłowali namawiać mnie do dania zgody na rozwód, ale ja nie zamierzałam nikomu ułatwiać sprawy. Byłam legalną żoną Piłsudskiego i tylko moja i jego wola mogła to zmienić. Woli tej jednak nie było.

W końcu naciskany przez współpracowników, bardziej dbających o jego niż o swoją reputację, mąż mój wrócił do katolicyzmu. Odbyło się to podobno w obecności Wieniawy i Sosnkowskiego, bo nieraz zaświadczali potem o tym fakcie.

Ich zachowanie wobec mnie zmieniło się, może nie bardzo widocznie, ale jednak... Wtedy jeszcze nic o tym wszystkim nie wiedziałam, ale wyraźnie czułam, że moje sprawy nie idą w dobrym kierunku.

Nowa sytuacja otwierała Ziukowi drogę do zalegalizowania związku z panną Szczerbińską, która w tym czasie, od listopada 1915 do listopada 1916 roku, była internowana i nie mogła spotykać się z Ziukiem. Formalnie można było więc uznać, że wraz ze zmianą wyznania mąż unieważnił nasz związek. Twierdził tak podobno nawet biskup Kakowski, o czym dowiedziałam się zupełnie przypadkiem. Z biskupem Kakowskim Ziuk spotykał się często w Warszawie, ale skoro nie wykorzystał sprzyjających okoliczności, widać nie chciał tego zrobić. W każdym razie nie powziął w tym kierunku żadnych kroków. Kiedy rozmawialiśmy o rozwodzie, a wbrew temu, co gadali ludzie, rozmów tych nie było wcale dużo, przypomniałam Piłsudskiemu przysięgę, jaką w obliczu Boga mi złożył. Nie zaprzeczał, że zdradził mnie i porzucił, i, jak widać, dotychczas

pamięta ten fakt – powiedziała Piłsudska dobitnie, podnosząc nieco głos, a na jej twarzy wystąpił mocny rumieniec.

– Wreszcie Józef wyzdrowiał i jeszcze przez jakiś czas wizytował oddziały. Sytuacja polityczna nie była najlepsza i nastroje w wojsku wyraźnie się popsuły. Mąż mój nie chciał, by legionieści zaczęli wątpić w sens jego działań. Żołnierze pragnęli mieć pewność, że są wojskiem polskim i że o niepodległość Polski się biją. Wymuszony sojusz z Austro-Węgrami i Niemcami zaczął Ziukowi doskwierać.

To był bardzo trudny okres dla Ziuka i choć jego ludzie w Warszawie, z Walerym na czele, robili wszystko, jak należy, nie popychało to spraw do przodu. Wizja przyszłej Polski w Królestwie wciąż wyglądała inaczej niż w Galicji i wydawało się, że porozumienie w tej sprawie nie stanie się możliwe.

Coraz rzadziej widywałam Józefa. Wprawdzie na wojnę wyruszył nie ze Lwowa, tylko z krakowskich Oleandrów, ale nawet kiedy bywał w naszym mieszkaniu, odgradzało go ode mnie wielu ludzi.

Mój mąż dowodził nimi jak kapitan na okręcie, a ja nieraz miałam wrażenie, że za burtą tego statku trwa wciąż nieustanny sztorm. Ziuk decydował niemal o wszystkim i choć do swoich współpracowników przeważnie miał zaufanie, to jednak zawsze chciał wiedzieć o wszystkich ich działaniach, osobiście nadzorować prace i toczące się rozmowy.

Kiedy wreszcie późnym wieczorem wszyscy ci ludzie opuszczali nasze mieszkanie, Ziuk zamykał się w swoim gabinecie i w samotności rozmyślał jeszcze nieraz do późnej nocy. Czasem czekałam, aż wreszcie położy się i odpocznie, ale najczęściej sama padałam ze zmęczenia. Następnego dnia wszystko zaczynało się od początku.

W Krakowie pojawił się w marcu, ale najprzód stanął z Wieniawą w Hotelu Francuskim przy ulicy Pijarskiej, a dopiero następnego dnia przyszedł do domu.

O tym, że mój mąż przyjeżdża do Krakowa, dowiedziałam się od pań z Ligi Kobiet, bo na 27 marca był umówiony na wizytowanie naszej siedziby. Będąc z dala od domu, Ziuk pisywał do mnie, ale listy te nie były aż tak częste jak zmiany jego miejsca pobytu i dlatego czasem nie wiedziałam, gdzie akurat przebywa. Chyba wtedy właśnie nauczyłam się czerpać z gazet informacje o własnym mężu... Pisano o nim coraz częściej

i w końcu zaczęłam robić wycinki ciekawych artykułów. Mam tego chyba z tuzin teczek.

Piłsudka westchnęła i uśmiechnąwszy się smutno, spojrzała na Karolinę. Po krótkim odpoczynku wróciła do swojej opowieści:

– Z Austriakami, a potem i Niemcami układy bywały trudne i czasem tak skomplikowane, że w końcu Józef postanowił z nich zrezygnować. Nastroje w Królestwie nieprzychylnie Niemcom pokazały, że żadna współpraca z nimi nie będzie tam akceptowana, a z tym przecież mąż mój musiał się liczyć. Polityka jak zwykle wymagała rozsądnych kalkulacji.

Zbliżał się czas ważnych decyzji. Decyzji trudnych, ale koniecznych, które niezbędnie należało podjąć. Zmęczony i rozstrojony brakiem należytego wsparcia z Warszawy i nieuregulowanym statusem Legionów, mąż zrezygnował z komenderowania wojskiem i podał się do dymisji.

Tego wówczas nie potrafiłam zrozumieć, ale nie miałam szansy, by dokładnie rozpytać Józefa, o co w tym wszystkim chodzi. Siedziałam więc na Szlaku albo biegałam do schroniska dla legionistów, żeby pomagać w przygotowywaniu posiłków.

Święta Wielkanocne 1916 roku zorganizowały dla żołnierzy panie z krakowskiej Ligi Kobiet. Pracy była moc, ale wszystkie starałyśmy się, żeby stół był zastawiony, a wystrój prawdziwie świąteczny. W sali Sokoła do wspólnego śniadania zasiadło około tysiąca osób. Byli tam nie tylko włodarze miasta, ale też znani mi panowie z NKN, Władysław Jaworski, Bolesław Limanowski, oficerowie organizacji bojowych, współpracownicy Ziuka i legionieści. Biesiada trwała do samego wieczora i prócz święconego przy wspólnym stole dużo było rozmów, dyskusji i oczywiście polityki. Wszystko wyglądało bardzo ładnie i uroczyście, a ja byłam bardzo zmęczona, ale i szczęśliwa. Prawie szczęśliwa...

Piłsudka przerwała na chwilę, bo młody kelner przyniósł kaczkę z ziemniakami i pieczonym jabłkiem.

– Na drugi dzień świąt pojechaliśmy z mężem do Bobowej, do majątku pani Długoszowskiej, matki Wieniawy-Długoszowskiego, który był już wtedy bardzo zaufanym współpracownikiem Józefa i z tego co wiem, pozostaje nim nadal.

To był w tym czasie chyba jedyny moment prawdziwego odpoczynku, ale niestety skończył się już wieczorem. Nazajutrz znaleźliśmy się w Lublinie,

gdzie spędziliśmy trzy intensywne dni. Program pobytu był bardzo wypełniony.

Pierwszego wieczoru w resursie zorganizowano bankiet na dwieście osób. Atmosfera bankietu była początkowo bardzo podniosła i uroczysta, choć z upływem czasu i trunków w karafkach zmieniła się z uroczystej w wesołą. Następnego dnia gościły nas panie z lubelskiego oddziału Ligi Kobiet, gdzie też było bardzo przyjemnie.

Kilka z tych pań poznałam już wcześniej na zjeździe w Krakowie, ale teraz, jako żona Komendanta, przyjmowana byłam z serdecznością i szacunkiem. U boku Józefa czułam się w tamtym czasie jak żona bohatera, bo tak był wówczas wszędzie przyjmowany mój mąż.

W Lublinie Ziuk jak zwykle miał dużo roboty, a ja nie wszędzie z nim bywałam. W towarzystwie kilku pań zwiedziłam miasto, a potem przez jedną z nich zostałyśmy zaproszone do domu na obiad. Józef w tym czasie odwiedził Wydział Narodowy Lubelski i spotykał się też bardziej prywatnie z przedstawicielami różnych ugrupowań. Czas był gorący i co bardziej zapobiegliwi nader intensywnie myśleli o tym, co będzie, gdy wojna się skończy. Nie wiem, czy wtedy było już wiadomo, że to właśnie w tym mieście Daszyński będzie tworzył rząd. Mój mąż miał jak zwykle tyle różnych spotkań, że trudno mi było zrozumieć, jak się w tym wszystkim potrafił połapać.

Od połowy 1916 roku wszystkie zabory ożywiły się nową patriotyczną gorączką. Nadzieje na czynny udział w wojnie i szanse odzyskania niepodległości stały się tak silne, że trudno byłoby je zgasić. Kobiety dalej angażowały się w pomoc legionistom. Panie zrzeszone w Lidze Kobiet organizowały kuchnie polowe, zaopatrywały walczących w odzież i środki czystości, a także pomagały rodzinom poległych żołnierzy.

Niektóre kobiety z prężnie działających ogniw Ligi jeździły do słabszych ośrodków, żeby na miejscu pomagać w zorganizowaniu lokalnej działalności. W różnych miastach urządzano imprezy kulturalne i loterie, z których dochód szedł na potrzeby naszego wojska. Młode dziewczyny, tak jak i nasza Kazia Iłłakowiczówna, jechały na front jako sanitariuszki.

W narodzie była wtedy taka siła i chęć do działania, że nie sposób było nie wierzyć w pomyślne dla nas zakończenie wojny. Rozpierała nas duma i wszyscy mieliśmy wrażenie, że uczestniczymy w czymś wielkim. Czuliśmy też, że nie wolno nam przespać tego momentu. Wszyscy pragnęli

coś robić, angażować się, pomagać. Nie wypadało pozostawać w cieniu i w każdym miejscu czuło się, że nie ma już powrotu do tego, co było. Nikt z nas nie wiedział, co znaczy żyć w wolnej Polsce, ale pragnęliśmy tego wszyscy i dla tej wolności pracowaliśmy każdego dnia, jak kto umiał. Wśród mieszkańców Krakowa panowała niespotykana jedność i zgoda oraz powszechna życzliwość, jakiej nie spotykało się wcześniej. Nawet pomiędzy zwykle zwalczającymi się ugrupowaniami ustały ostre walki i wyglądało na to, że przyszedł czas łączenia sił, a w każdym razie zawieszenia broni. Tak wszakże czuli szeregowi członkowie organizacji.

Szły nowe czasy, których kształtu jeszcze nie znaliśmy, ale wszyscy popatrywaliśmy niecierpliwie na to, co się dzieje na froncie.

We wrześniu Józef wyjechał do Zakopanego. Tym razem jednak nie mieszkał u Chyca ani w innej góralskiej chałupie, ale zatrzymał się w sanatorium Kazimierza Dłuskiego i przez dwa tygodnie korzystał z kuracji, a przy okazji zastanawiał się pewnie nad tym, co robić dalej.

Do Zakopanego pojechał z Wieniawą, który od pewnego czasu prawie go nie odstępował. Mieli tam wypoczywać przez miesiąc, ale skrócili swój pobyt do dwóch tygodni i 26 września wrócili do Krakowa. Następnego dnia kurier przyniósł mojemu mężowi dymisję z Legionów. Fakt ten zaskoczył nieco Józefa i nawet trochę go przygnębił, bo tego się chyba nie spodziewał, ale konsternacja trwała krótko, bo w polityce zaczęło się dużo dziać. Czasami nie wiedziałam sama, czy nadążę o tym myśleć.

Na początku października Ziuk dostał wieści z Warszawy, z których jasno wynikało, że zaborcy zdecydowali się przywrócić Polsce jakąś niepodległość. Wprawdzie jako komendant do Legionów nie wrócił, ale sprawy szły w dobrym kierunku i Ziuk bardziej teraz potrzebny był w Krakowie niż na polu walki.

Ósmego października 1916 roku odbyła się w Sali Towarzystwa Lekarskiego manifestacja poparcia dla Józefa Piłsudskiego, a wieczorem wielki bankiet w hotelu Pollera. Były mowy, toasty i nastrój taki podniosły!

Kiedy to mówiła, oczy Marii roziskrzyły się na chwilę, jakby znów zobaczyła eleganckie przyjęcie w salach hotelu Pollera.

– Odkąd Ziuk wrócił do Krakowa, znów na Szlaku zaroilo się od ludzi. Kiedy był z Legionami albo w Zakopanem, zaglądali tu przyjaciele, żeby przekazać mi wieści lub usłyszeć coś ode mnie. Teraz jednak tak dużo się działo, że każdego dnia niemal od samego rana przybywali cywile i wojskowi, a Ziuk wychodził z nimi lub robił w mieszkaniu narady. Szykowałyśmy z Hanią wiadra herbaty i pomimo wielkich trudności z zaopatrzeniem zawsze starałyśmy się mieć w domu jakiegokolwiek przekąski dla tych dzielnych ludzi.

W końcu nastąpiło to, na co wszyscy czekali, i chociaż wiedzieliśmy, że tak się stanie, to jednak dzień 5 listopada miał dla wszystkich ogromne znaczenie.

Piątego listopada 1916 roku został ogłoszony przez dwóch cesarzy akt utworzenia z wydartych Rosji ziem samodzielnego polskiego państwa, z dziedzicznym tronem i ustrojem konstytucyjnym.

Po stu dwudziestu trzech latach niewoli było to już naprawdę coś.

Z tej okazji w salach Hotelu Saskiego odbył się wielki bankiet dla oficerów, a wzięli w nim udział oficerowie legionowi stacjonujący podówczas w Krakowie. Wszyscy szaleli ze szczęścia, a mój mąż odbierał gratulacje i hołdy, co stawało się nawet dla niego krępujące.

Pamiętam wizytę w naszym mieszkaniu pani Zofii Moraczewskiej, ówczesnej przewodniczącej Ligi Kobiet w Krakowie.

Pani Zofia, jak wiele innych osób, przyszła na Szlak, żeby radośnie uścisnąć Ziuka. Znałam ją dobrze i bardzo ceniłam, więc nie miałam sumienia, tak jak wielu innym, tłumaczyć Moraczewskiej, że Ziuk jest zmęczony i musi odpocząć. Poprosiłam męża, żeby ją przyjął, a kiedy weszła do naszego mieszkania z trójką małych dzieci, wzruszenie wszystkich było tak ogromne, że oprócz tych rozkosznych maleństw nikt nie wiedział, co mówić.

Józef ścisnął i gładził małe główki, a mnie zrobiło się nagle tak bardzo żal, że nie są to główki naszych dzieci, dzieci, których nie mieliśmy. To była dla mnie radosna, ale i bardzo trudna chwila.

Ósmego listopada z placu Wielkopolskich wyruszył wielki zwycięski pochód na Wawel. Wszyscy cieszyli się i wiwatowali, a ja pomimo udawanej radości czułam w sercu smutek.

W jakiś sposób rozumiałam, że kończy się mój czas, a mąż, z którym połączyła mnie nie tylko miłość, ale i wspólny cel, cel ten już właśnie

osiągnął...

Maria westchnęła, ujęła w dłoń małejki widelczyk i zabrała się do jedzenia deseru. Po chwili jednak odłożyła go na poprzednie miejsce, tak jakby straciła ochotę na jedzenie. Patrzyła teraz w stronę okna, ale wyraz jej twarzy wskazywał na to, że obrazy, które widzi, wcale jej nie interesują.

– Kiedy pochód szedł od Wawelu ulicą Grodzką – podjęła na nowo swoją opowieść – Józefa niesiono na rękach. Ja również szłam w tym pochodzie, ale nie potrafiłam poddać się wszechobecnemu szałowi radości. Moje serce ścisnęła jakaś niewidzialna obręcz, a w oczach co chwila pojawiały się łzy.

Nie musiały ich wcale ukrywać, bo w ogólnej euforii nikogo te łzy nie dziwiły. Wszyscy wszak byli tak bardzo wzruszeni, że niejeden płakał ze szczęścia, śmiejąc się jednocześnie. Nie wiem czemu, ale ja tego dnia wcale nie czułam się szczęśliwa...

Wieczorem w Teatrze Miejskim im. Słowackiego odbył się spektakl *Śluby panińskie* Fredry, do którego to przedstawienia prolog napisał Kazimierz Tetmajer. Do teatru weszliśmy z mężem razem, wprowadzani przez tłum legionistów, ustawionych w czworobok. To była bardzo ważna chwila w moim życiu. Prawdziwie radosna atmosfera udzieliła się wreszcie i mnie, poprawiając mi znacznie humor. Nie czułam już smutku jak wcześniej. Radość wiwatujących i uśmiech na twarzy Józefa przywołały iskrę nadziei, że to być może jeszcze nie jest koniec...

Następne dni pełne były wzruszających i podniosłych chwil i mój smutny nastrój na szczęście gdzieś znikł. Mojego męża i mnie zapraszano w różne miejsca, a i w naszym mieszkaniu drzwi się prawie nie zamykały. Rzecz jasna, starałam się pilnować, by rozentuzjasmowani bliźsi i dalsi znajomi nie zamęczyli Ziuka, który czasem reagował zniecierpliwieniem na niekończące się spotkania. Czułam się teraz jak żandarm, który broni dostępu do zmęczonego generała, chroniłam go przed natrętami, jednocześnie dbając, by mili sercu ludzie przypadkiem nie poczuli się obrażeni.

Dwunastego listopada w Teatrze Słowackiego odbyło się kolejne uroczyste przedstawienie, tym razem *Kościuszki pod Racławicami*, co stało

się znów okazją do manifestowania radości przez zgromadzoną tam publiczność.

Ziuk odbierał gratulacje, wyrazy sympatii, a nawet uwielbienia, i to nie tylko od oficerów, ale przede wszystkim od pań licznie zgromadzonych w teatrze, a później na raucie w pałacu Larischa. Kobiety otaczały mojego męża ciasnym kręgiem, a on nie szczędził im uwagi i grzeczności, celowo i bardzo widocznie ignorując austriackich generałów.

Siedziałam w pobliżu Ziuka w ukwieconej teatralnej loży, a potem w wielkiej sali pałacu Larischa i chwilami czułam się tak oszołomiona, jakbym była postacią z innej powieści. Euforia tłumów udzielała się i mnie, ale na samym dnie oceanu radości co jakiś czas pojawiał się smutek. Odpędzałam jednak od siebie czarne myśli i starałam się cieszyć chwilą. Nasycić nią i zapamiętać jedynie to, co było w niej najpiękniejsze.

Oprócz przedstawień w Teatrze Słowackiego zdarzały się i inne wzruszające chwile, jak ta w naszym mieszkaniu, kiedy pojawiła się w nim całkiem liczna grupa młodzieży szkolnej.

Hanka całą noc piekła ciasteczka, żeby poczęstować nimi młodych gości, bo Ziuk dorosłych miał często dosyć, ale przed młodymi drzwi naszego mieszkania musiały być otwarte. Z początku uczniowie czuli się skrępowani wizytą, ale mąż mój czuł się w ich towarzystwie wspaniale i wkrótce na tyle ośmielił naszych gości, że atmosfera z napiętej stała się niezwykle przyjazna.

Potem, jakoś tak w okolicach 20 listopada, pojechaliśmy do Bydlina, gdzie w drugą rocznicę bitwy pod Krzywopłotami został odsłonięty pomnik upamiętniający poległych tam żołnierzy. Nigdy nie zapomnę tej uroczystości. Na cmentarzu rozpętała się taka zamieć śnieżna, że w ciągu kilku minut uczestnicy obchodów zamienili się w śnieżne figury.

Tego dnia założyłam bardzo elegancki, ale zbyt cienki na taką aurę płaszcz i zmarzłam okropnie. Z Bydlina pojechaliśmy do Olkusza, gdzie zwiedziliśmy miasto, a na koniec zostaliśmy ugoszczeni w domu szefa tamtejszego POW-u, Antoniego Minkiewicza.

Różne uroczystości i obchody, a także to, co działo się z nami w bardziej zwyczajne dni, sprawiało, że przyglądałam się wszystkiemu

z coraz większym zdumieniem. Moje relacje z Ziukiem zmieniały się tak samo, jak i jego relacje z dawnymi przyjaciółmi.

Kiedy spoglądałam na męża ukradkiem, ufając, że tego nie widzi, próbowałam znaleźć w nim to, co kiedyś kochałam najbardziej, ale wcale nie było to łatwe. Ze zdziwieniem zauważałam, jak wiele w ciągu wspólnie przeżytych lat zmieniło się w Józefie. Nie tylko w nim zresztą. Od śmierci Wandzi ja też nie byłam już tą samą kobietą. I choć na przekór dopadającej mnie czasem melancholii starałam się aktywnie dotrzymywać kroku mężowi, to zarówno moje zdrowie, jak i życiowe decyzje Józefa sprawiały, że stawało się to już zbyt trudne. Nasze drogi biegły wówczas jeszcze obok siebie, ale już nie razem.

W 1916 roku w Krakowie, pokazując się na tle rozentuzjasmowanych tłumów, Piłsudski nie był już skromnie ubranym, brodatym rewolucjonistą. Teraz mój Ziuk był Brygadierem, Komendantem, dowódcą i mężem stanu, z czego znakomicie zdawał sobie sprawę.

W tamtym czasie pokazywałam się w miejscach publicznych u boku człowieka wielkiego, stratega i wizjonera. W tej roli widziałam go po raz pierwszy i patrzyłam na męża z mieszaniną dumy i żalu. Czułam też, że mój czas już się kończy i że każde z naszych wspólnych wyjść czy wyjazdów może być tym ostatnim. Wciąż jeszcze stałam przy nim, bo choć to było nielogiczne, to jednak miałam nadzieję.

Zresztą zupełnie nie wiedziałam, co w tej nowej sytuacji mogłabym robić innego. Kłopoty ze zdrowiem dokuczały mi od pewnego czasu, a po trudnej operacji, jaką przeszedłam w 1910 roku, nigdy nie powróciłam już do pełnej sprawności fizycznej, ale starałam się tym nie przejmować i nie uskarżałam się na złe samopoczucie.

Ziuk miał wciąż wiele do zrobienia, a ja z całych moich sił pragnęłam mu w tym pomagać.

Na odpoczynek nie było czasu. Sprawy wymagały działania i osobistej obecności Piłsudskiego w całym różnych miejscach. Granice państwa ciągle nie były – i długo jeszcze nie miały być – określone, ale bardzo dużo zależało od aktywności politycznej Józefa.

Ludzie wciąż chcieli gościć go u siebie, toteż na Szlak nieustannie przychodziły pisma albo i delegacje. Zaproszenia płynęły z wielu stron, i to nie tylko dla Józefa, ale też i dla mnie. Członkinie Ligi Kobiet zapraszały nas do siebie, a że Ziuk doceniał zaangażowanie kobiet, starał się na nie

odpowiadać i przynajmniej część z nich przyjmować. Ogromne przywiązanie do dawno nieżyjącej matki, która otaczając Ziuka miłością, była dla niego wzorem patriotyzmu i oddania rodzinie, powodowało, że w swoich planach i kalkulacjach nie pomijał kobiet, widząc w nich nie tylko wierne towarzyszki mężczyzn, ale też oddane sprawie istoty, zasługujące na uznanie i szacunek. Pewnie dlatego kobiety lgnęły do mego wciąż jeszcze bardzo przystojnego męża i zapraszały, zapraszały, zapraszały...

Maria roześmiała się cichutko i na chwilę opuściła głowę.

Młody kelner zbliżył się do stolika, ale zobaczywszy, że deser Piłsudskiej nie został nawet zaczęty, dyskretnie wycofał się do kuchni. Maria jednak zauważyła kelnera. Przysunąwszy talerzyk do siebie, jeszcze raz sięgnęła po mały widelczyk i tym razem zjadła prawie wszystko. W tym czasie Karolina, korzystając z przerwy w rozmowie, zapisywała coś szybko ołówkiem na serwetce.

– Piłsudski miał wtedy mnóstwo rozmaitych zajęć i nie wszędzie mógł pojawiać się osobiście, a wtedy znowu jeździłam czasem w jego imieniu – kontynuowała Piłsudska, ostrożnie odsuwając talerzyk z niedojedzonym tortem. – Tak było na kolejnym zjeździe Ligi Kobiet, który tym razem odbył się w Piotrkowie Trybunalskim. Nie pojechałam tam jako członkini Ligi czy delegatka, ale jako żona Komendanta Józefa Piłsudskiego. Od 24 do 26 sierpnia uczestniczyłam w obradach, podczas których usłyszałam tyle pochwalnych słów pod adresem Józefa, że w końcu zaczęłam się zastanawiać, jak on sam to wszystko wytrzymuje.

Wszędzie, gdzie wówczas się pojawiał, okazywano mu uwielbienie i było dla mnie trudne do pojęcia, jak człowiek do niedawna lubiący samotność i uciekający w domowe zacisze przed zgiełkiem w ogóle to wytrzymuje.

Wiele razy zastanawiałam się nad tym, a podczas tamtego zjazdu kwestia ta szczególnie zajmowała moje myśli. Wtedy osobiście odczułam ogromny ciężar przejawianej przez tłum sympatii i wcale nie było to dla mnie łatwe doświadczenie.

Być może sprawił to fakt, że nie do końca czułam się jej godna, bo chociaż byłam żoną Józefa Piłsudskiego, to przecież nie byłam nim. Miałam wrażenie, że wszystko to spadło na mnie przypadkiem. On jednak na tę miłość i entuzjizm zasłużył i myślę, że ze wszystkich obcujących wówczas z Józefem ludzi ja jedna wiedziałam jak bardzo.

Faktem było, że Piłsudski, jakiego spotkałam kiedyś w Wilnie, był innym człowiekiem niż ten, którego widziałam teraz. Było w nim jeszcze trochę cech, które kochałam, ale oprócz nich pojawiły się nowe, całkiem mi obce.

Wówczas postrzegałam je jako wady, które powstały bądź ujawniły się w ogniu walki nie tylko politycznej, ale i na froncie.

Mój mąż nie miał już teraz przyjaciół, a jedynie podkomendnych. Niewielu bywało takich, z którymi był po imieniu. Zostali przy nim tylko nieliczni znajomi z dawnego PPS-u, bo ich szeregi dawno już wykruszyły się i zmizerniały.

Najbliżsi współpracownicy Józefa przenosili się pomału do Warszawy, w którym to mieście szykowali grunt dla nowej władzy i swojego Komendanta.

W ciągu ostatnich lat w zastraszającym tempie zmieniało się wszystko i choć pracując w pocie czoła na rzecz wspólnej idei, wciąż naiwnie wierzyłam, że w ten sposób uda mi się zatrzymać miłość Ziuka, coraz częściej zdawałam sobie sprawę z tego, że mój czas przeminął.

Józef Piłsudski jest wielkim politykiem i wodzem, ale dla mnie przy nim zrobiło się już zbyt mało miejsca.

Jesienią 1916 roku panna Szczerbińska została zwolniona z internowania i pojechała do Warszawy.

Polska odzyskiwała wolność, a ja najwyraźniej odzyskiwałam też swoją, chociaż na to bynajmniej nie miałam ochoty.

Koniec wspólnej drogi

Była sobota i Karolina wracała z pracy piechotą. Szła niespiesznie, bo piękna pogoda sprzyjała spacerom. Dzień był słoneczny i ciepły, dziewczyna z przyjemnością przyglądała się miastu, które w południe wyglądało kolorowo i pięknie.

Krótszy niż inne dni tygodnia dzień pracy sprawił, że na chodnikach pojawiło się wielu spacerowiczów, z wolna przemierzających ulice Starego Miasta.

Wieczorem wybierała się z przyjaciółmi do teatru. Dzięki staraniom jednego z kolegów udało się załatwić kilka całkiem tanich biletów i Karolina po raz pierwszy miała zobaczyć przedstawienie krakowskiego Teatru im. Słowackiego.

Cieszyła się z tego podwójnie, gdyż oprócz wzruszeń estetycznych, jakich była pewna, spodziewała się, że widok wnętrza budynku pomoże jej dopełnić ostatnią opowieść Piłsudskiej o wydarzeniach z 1916 roku.

Spotkanie z Marią i wspólnie zjedzony obiad w restauracji Michalika sprawiły, że przemierzając teraz ulice Krakowa, Karolina szczególnie uważnie przyglądała się miejscom, o których wtedy rozmawiały. Próbowała wyobrazić sobie entuzjastycznie rozkołysany, roześmiany tłum, sunący falą od Wawelu do centrum miasta.

Karolina przypominała sobie zdjęcia w gazetach, jakie matka kupowała w tamtym czasie, i atmosferę rodzinnego, sennego zazwyczaj miasteczka, które na jakiś czas ożyło, pobudzone podobną gorączką. Doskonale rozumiała, o czym mówiła Piłsudska, bo sama będąc jeszcze uczennicą, przeżywała podobne emocje. Teraz, spacerując wzdłuż ulic, na których w 1916 roku działy się te wszystkie ważne wydarzenia, usiłowała łączyć

opowieść Marii ze wspomnieniem emocji, jakie w tamtym czasie przeżywali wszyscy Polacy.

Wieczorem zaś w teatrze zamierzała dokładnie przyjrzeć się wszystkim miejscom, o których słyszała od Marii.

Było jednak jeszcze wcześniej i choć Karolina zamierzała poświęcić trochę czasu przygotowaniom do wieczornego wyjścia, nie chciało jej się jeszcze wracać do domu. Piękna pogoda spowodowała, że nabrała ochoty na spacer, który wydłużał się i wydłużał.

Wreszcie, kiedy poczuła się trochę zmęczona i zachciało jej się pić, okrążyła dwukrotnie zalany słońcem Rynek Główny i postanowiła wrócić do domu.

– Może wyjdę do ogródka? – powiedziała do siebie, zbliżając się do kamienicy, w której mieszkała.

Dziewczyna wiedziała, że Wincenty wyniósł już na podwórko ławeczki, które przez zimę przechowywał w piwnicy. Teraz, świeżo wyczyszczone i pomalowane, stały zapewne w przygotowanym do sezonu ogródku, na podwórku kamienicy. Żona Wincentego najpewniej zagrabiła już niewielki trawniczek i kilka grządek, na których dla przyjemności lokatorów sadziła sezonowe kwiaty. Okno mieszkania Karoliny wychodziło na ulicę i dziewczyna nie mogła sycić oczu budzącą się do życia roślinnością, a jedyne drzewo, pokryte teraz bardzo drobnymi listkami, nie było w stanie zastąpić przyjemności patrzenia na kwitnące o tej porze roku pierwsze wiosenne kwiaty.

Kiedy Karolina weszła do kamienicy, od razu zorientowała się, że ktoś jest w ogródku. Drzwi od strony podwórka były uchylone i kiedy wchodziła do klatki schodowej, przeciąg spowodował, że zamknęły się z głośnym stuknięciem.

Nie weszła na schody, tylko skierowała się na podwórze, a kiedy wyjrzała do ogródka, od razu zauważyła Marię. Piłsudska siedziała na ławeczce i z przymkniętymi oczami wystawiała twarz do słońca. Karolina patrzyła na nią chwilę, ale Maria natychmiast zorientowała się, że nie jest sama. Spojrzała w stronę wyjścia z kamienicy i przysunęła dłoń do czoła, osłaniając oczy przed słońcem.

– Dzień dobry – powiedziała Karolina.

– Dzień dobry pani! – zawołała radośnie Piłsudska, uśmiechając się przy tym szeroko. – Zapraszam tutaj. Pod murem jest już bardzo przyjemnie i ciepło.

Mówiąc to, przesunęła się na ławce i zrobiła miejsce Karolinie. Dziewczyna zbliżyła się i zobaczyła, że obok Marii, na niewielkim żelaznym stoliku stoi dzbanek z kompotem i dwie szklanki.

– Poprosiłam Hanię, żeby przyniosła mi tu kompot, bo jak siedzi się w słońcu, to trochę chce się pić, a Hania jest tak miła, że zabrała z mieszkania dwie szklanki, bo pewnie domyśliła się, że w taki dzień nie tylko ja zejść do ogrodu.

Nazywanie ogrodem małego podwórka z tyłu kamienicy wydało się Karolinie przesadą, ale spędzenie czasu na nasłonecznionej ławeczce przed domem było dużo lepszym pomysłem niż siedzenie w ciemnym i ponurym pokoiku.

Przysiadła się więc do Piłsudskiej i chwilę rozmawiały o planach, jakie dziewczyna miała na wieczór. Maria była ciekawa wszystkiego i z zainteresowaniem pytała o szczegóły.

W końcu bardzo delikatnie, by nie sprawić jej przykrości, spytała, czy Karolina ma na tę okazję odpowiednią garderobę, a zorientowawszy się, że nie jest z tym najlepiej, zaoferowała, że pożyczy jej elegancki szal i małą wizytową torebkę. Swoją propozycją sprawiła dziewczynie przyjemność. Na razie jednak postanowiły posiedzieć przed domem i już po chwili wróciły do przerwane kilka dni temu wątku.

– To, że Józef w niedługim czasie przeniesie się do Warszawy, nie ulegało wątpliwości i jedynie kwestią czasu była decyzja, kiedy to ostatecznie nastąpi. Wiedziałam, że od dawna ma tam już swoich emisariuszy, którzy nie darmo zabiegali o sprawy Polski w jej dawnej i zapewne przyszłej stolicy. Walery Sławek był najwierniejszym i chyba najważniejszym z nich, ale w Królestwie działali też Jodko-Narkiewicz, Sokolnicki i wielu innych, których znałam i których już nie znałam...

W Warszawie mieszkała też panna Szczerbińska.

Wiedziałam, że zmiany są nieuniknione, a jednak jakaś część mnie samej nie chciała tego przyjąć do wiadomości. Żyłam w zawieszaniu pomiędzy radością a rozpaczą. Radością z powodu tego, że sprawy, którym przecież i ja poświęciłam wiele pracy i zaangażowania, idą w dobrym kierunku, ale każdy uśmiech przykrywał smutek i lęk o to, co ostatecznie stanie się ze mną.

Mój mąż w dalszym ciągu pomieszkiwał ze mną, a ja wciąż jeszcze bywałam z nim na różnych uroczystościach. Wracał na Szlak, miał tu swoje rzeczy, odpoczywał i urzędował. Sosnkowski przesiadywał z nim nieraz całymi dniami, a Hania biegała tylko w kółko, żeby otwierać lub zamykać drzwi za kolejnymi gośćmi. Było to wszystko dosyć męczące, ale ja nie myślałam o zmęczeniu... W ogóle chyba niewiele wtedy myślałam.

Nad moim życiem i moim Krakowem gromadziły się chmury, których nic już nie mogło rozgonić. Nie potrafiłam ukrywać emocji i czasem bałam się, że napięcia, które czułam w środku, nie zdołam ukryć przed światem. Chowałam się wówczas w pokoju, który był teraz tylko moją sypialnią, i próbowałam zająć się lekturą lub pisaniem listów, ale często nie byłam w stanie tego robić. Moje myśli krążyły wokół zwyczajnych codziennych spraw, które niebawem miały zmienić się całkowicie. Kilka razy próbowałam nawet coś powiedzieć na ten temat, ale rozmowa o naszym małżeństwie zupełnie się nie kleiła. Dla Ziuka sprawa była już definitywnie przesądzona i nie zamierzał rozstrajać się próżnym gadaniem. Nie było o czym mówić. Między nami nie układało się, a uczucie, jakie nas kiedyś łączyło, po prostu znikło. Moje miejsce zajęła Aleksandra i to ona, młoda i zdrowsza ode mnie, czekała w Warszawie, by stanąć u boku Ziuka i wspierać go w tym, co robi, a czekało go jeszcze bardzo dużo do zrobienia.

Czas, jaki Ziuk spędzał w Krakowie, odchorowywałam po jego wyjeździe, jednak kiedy wracał, pomagałam mu, jak mogłam. W tych trudnych czasach starałyśmy się z Hanią uzupełniać zasoby spiżarni, która po licznych wizytach bardzo wielu gości pustoszała w zastraszającym tempie. Pomagali nam w tym sklepikarze i znajomi przekupnie, bo choć z zaopatrzeniem w miastach bywało ciężko, oni też w jakiś sposób chcieli przyczynić się do powodzenia działań wielkiego Komendanta. Dzięki nazwisku męża nie było więc z tą naszą spiżarnią źle.

Pod koniec 1916 roku Józef wyjeżdżał często z Krakowa do Lublina w sprawie tworzenia struktur, które później można by przekształcić w polski rząd.

Po decyzji o dymisji, jaką dostał z Legionów, na Szlak wciąż doręczano listy z poparciem dla działań mojego męża i wyrazami czci najwyższej, a nawet uwielbienia.

Pisali legioniści, przedstawiciele organizacji społecznych, Ligi Kobiet, ale też prywatni ludzie, którzy widzieli w moim Ziuku męża opatrnościowego i wybawiciela ojczyzny. Dawał mi je potem czasem do przeczytania albo sam ze wzruszeniem czytał je na głos.

Początkowo myślałam, że niektóre z tych listów są za bardzo pompatyczne i przypochlebne, ale rozumiałam, że po latach zniewolenia Polacy potrzebują nowych bohaterów i naprawdę chcą okazywać im swoje poparcie.

Początkowo Ziuk źle znosił przejawy entuzjazmu i czasem drażniły go te dowody uwielbienia, szczególnie wtedy, gdy zdarzały się na ulicy. Było to dla niego czymś nowym i w takich razach nie zawsze wiedział, jak się zachować. Mocno drażniły go przejawy osobistej czułości, których zdarzało mu się doświadczać. Wtedy zazwyczaj marsową miną pokrywał zwykłe zniecierpliwienie. Nie chciał go okazywać ludziom, którzy widzieli w nim wybawiciela, ale było to dla niego obciążenie tak duże, że nie zawsze potrafił sobie z nim poradzić.

Bojąc się zawieść oczekiwania, starał się więc być uprzejmy i wyrozumiały dla wszystkich, nawet wtedy, gdy czyjeś zachowanie bardzo go drażniło.

Potem już do tego przywykł i myślę, że teraz dobrze sobie radzi. Łatwiej jednak przyjmować dowody przywiązania i ludzkie pochlebstwa niż przejawy niechęci czy odrzucenia. To przecież naturalne.

Rok 1917 pełen był wahań i niezrozumiałych dla większości społeczeństwa wypadków, które osłabiły popularność Piłsudskiego.

Piątego grudnia 1916 roku odwiedziła Ziuka w mieszkaniu delegacja pułków legionowych stacjonujących w Dęblinie i Kozienicach z pismem, w którym zapewniali go o całkowitej ufności i przywiązaniu. Sytuacja polityczna nie wyglądała jednak wcale dobrze i poparcie dla Ziuka w Królestwie nie rosło, ale wręcz spadało.

W połowie grudnia mój mąż wyjechał do Warszawy, bo tam teraz musiał budować swoją pozycję. Początki były całkiem obiecujące, bo jak mi doniesiono, na dworcu witany był bardzo serdecznie.

Wigilię Ziuk spędził w Warszawie, a ja w Krakowie i szczerze przyznam, że była to dla mnie najsmutniejsza Wigilia w całym moim życiu, jednak pod koniec grudnia mąż znów przyjechał do Krakowa i 1917 rok witaliśmy razem. Oczywiście widziałam, że Ziuk pakuje swoje rzeczy, które niebawem miały być zabrane z naszego mieszkania.

W kilka dni po Nowym Roku wyjechał do Warszawy.

Pogodziłam się z tym, co się stało. Cóż zresztą innego mogłabym zrobić. Ziuk nie proponował mi, żebym z nim jechała, ale wciąż jeszcze zostawiał tu rzeczy, które bynajmniej nie były mu obojętne.

Ja w tamtym czasie w dalszym ciągu miałam huk zajęć i ręce pełne roboty, bo działalność Ligi nie słabła ani na chwilę. Wciąż zresztą jeszcze pojawiali się na Szlaku współpracownicy Józefa, którym, gdy tylko mogłam, pomagałam w potrzebie, a czasem gościłam przyjezdnych jedzeniem i dobrym słowem.

W Krakowie nadal jeszcze mieszkał Sosnkowski, któremu nie udało się dostać zezwolenia władz niemieckich na przyjazd do Warszawy. Martwił się bardzo, nie mogąc włączyć się w główny nurt działań, i czasem zaglądał tu do mnie, żeby porozmawiać. Wreszcie i on wyjechał do Warszawy.

Mąż po raz kolejny przyjechał do Krakowa w połowie czerwca. Trzy dni spędziliśmy wtedy razem i były to naprawdę miłe chwile.

Byliśmy na meczu piłkarskim, gdzie reprezentacja Legionów grała z piłkarzami Cracovii. Niestety mecz ten legioniści przegrali, ale nastroje i tak były wyśmienite. Wieczorem było przyjęcie zorganizowane przez państwa Bilewskich, a następnego dnia rano na Szlaku, przed naszym domem, zaczęli gromadzić się mieszkańcy Krakowa i znowu zrobiła się z tego prawdziwa demonstracja.

Trzeciego dnia wieczorem Józef wraz z pułkownikiem Rydzem-Śmigłym wyjechał do Warszawy. Podobno na krakowskim dworcu znów pojawiły się tłumy, ale ja tego nie widziałam. Nie chciałam odprowadzać Ziuka, bo czułam smutek i żal tak wielki, że fizycznie źle się poczułam i musiałam położyć się do łóżka. Rozumiałam, że prędko już nie zobaczę męża, ale nie wiedziałam jeszcze, bo przecież nie mogłam tego wiedzieć, że za półtora miesiąca po raz kolejny zostanie aresztowany.

Dwudziestego drugiego lipca 1917 roku o świcie Józef i Sosnkowski zostali aresztowani i przewiezieni do Magdeburga, gdzie spędzili ponad rok.

Kiedy zwolniono ich w listopadzie następnego roku, sytuacja polityczna ułożyła się zgodnie z tym, co mój mąż wcześniej przewidział.

Do Warszawy z Magdeburga Józef Piłsudski przyjechał jako dyktator, ale też jako ojciec małej Wandy, którą urodziła Aleksandra Szczerbińska, gdy on przebywał w Magdeburgu.

Maria wstała i Karolina zauważyła, że zrobiła to nieco zbyt energicznie. Z miejsca, w którym siedziały do tej pory, słońce odsunęło się już jakiś czas temu i rumieniec malujący się na twarzy Piłsudskiej mógł być teraz efektem nagrzania słońcem albo wzburzenia.

– Tak, wciąż jestem żoną Józefa Piłsudskiego i do dzisiejszego dnia dostaję zaproszenia na różne uroczystości, które odbywają się w Krakowie i jego okolicy – powiedziała, dumnie prostując plecy, ale już w następnej chwili przysłoniła dłonią usta i zakasłała, choć Karolinie wydawało się, że kaszel ten był trochę wymuszony.

– Zaproszeń z Warszawy jakoś jednak nie dostaję – zaśmiała się po chwili niewesoło. – Widocznie nasze świadectwo ślubu ważne jest tylko w Galicji.

Kiedy już stanęła, najwidoczniej zakręciło jej się w głowie. Karolina, zorientowawszy się, że coś się z Marią dzieje, poderwała się ze swojego miejsca, żeby pomóc.

– Nie trzeba. – Piłsudska energicznie pokręciła głową. – Trochę za szybko się wyprostowałam, a moje serce od pewnego czasu tego nie lubi. Wybacz panienka, ale tamte wspomnienia trochę mnie denerwują.

– To może nie powinnam... – Karolina chciała powiedzieć coś, co uspokoiłoby panią Piłsudską, ale kobieta wysunęła dłoń, żeby ją powstrzymać.

– Nie szkodzi – oznajmiła stanowczo, a jej głos na powrót stał się silny i wyrazisty. – Zgodziłam się rozmawiać z panią o moim życiu i chociaż nie wszystko w nim było miłe, to przecież niektóre jego fragmenty są ciekawe. Wiem to i jestem wdzięczna Bogu, że dzięki rozmowom z panią jeszcze raz dane było mi je przeżyć.

Maria powoli zrobiła kilka kroków po ścieżce, ale zaraz zawróciła i stając przed Karoliną, oznajmiła:

– Moje dzieje były burzliwe nie dlatego, że Bóg chciał mnie srogo doświadczyć, ale dlatego, że sama wybrałam takie właśnie życie. Zawsze wszak mamy wybór...

Kiedy myślę o tym wszystkim, trochę mi żal... Nie tego, że moja droga dobiega końca, bo choć nie jestem stara, serce mam słabe i chorób rozmaitych wiele. Teraz po prostu nie mam dla kogo żyć i sądzę, że wszystko, co dla mnie było zapisane, już się wydarzyło...

Przerwała, uniosła głowę i znów uważnie przyjrzała się Karolinie. Dziewczyna nagle poczuła się niezręcznie, chciała powiedzieć coś, co stałoby smutek z twarzy Marii, ale ze zdziwieniem zauważyła, że go tam wcale nie było. Piłsudska patrzyła wprost na Karolinę, uśmiechając się bardzo życzliwie.

– Nie chcę pani zasmucać, ale nie lubię nikogo oszukiwać, nawet siebie... Zwłaszcza siebie...

Sięgnęła do wiklinowego koszyka, który do tej pory stał obok drewnianej ławeczki. Karolinie wydawało się, że Maria przyniosła w nim jakąś robótkę, chociaż do tej pory nigdy nie wiedziała żony Komendanta z igłą lub szydełkiem w ręku.

Piłsudska uniosła pokrywkę koszyka i z jego wnętrza wydobyła drewniane pudełko pełne kopert i tekturowych kartoników.

Postawiła je na ławce obok Karoliny, przysiadła i zaczęła po kolei wyjmować listy i zaproszenia, jakie otrzymywała w ciągu kilku ostatnich lat.

Koperty adresowane były do Józefa i Marii albo do samej Marii Piłsudskiej. Karolina oglądała zdobione lub tylko elegancko drukowane zaproszenia na rauty, bale, konferencje lub odczyty i zauważyła, że są wśród nich też nieotwarte koperty. Te adresowane były tylko do Józefa Piłsudskiego.

– Nie otwieram cudzych listów – wyjaśniła Maria, widząc zdziwienie na twarzy dziewczyny. – Zrobiłam to tylko raz...

Maria wzięła z pudełka jedną z nierozklejonych kopert i odłożyła na osobny stosik listów adresowanych tylko do Józefa.

– Kiedy mąż przyjedzie, sam je sobie otworzy – powiedziała cicho, a Karolina zauważyła, że na kopercie listu leżącego na wierzchu widniał

pocztowy stempel z 1919 roku – miesiąc nie był widoczny.

Wieczór

Hanka przestała wreszcie krzątać się po kuchni i wyszła do domu. Maria odłożyła okulary, wstała z fotela i podeszła do okna. Zmrok zapadał znacznie później niż miesiąc temu i światło dnia gościło teraz dłużej w jej mieszkaniu.

W salonie paliła się tylko boczna lampa, przy której siedziała Piłsudska i czytała wczorajszą gazetę, w której zamieszczono dokładny plan wizyty Naczelnika Państwa w Krakowie.

Dwudziesty drugi kwietnia był już za kilka dni i wszystkie przygotowania do wizyty właściwie zakończono.

O planowanym przyjeździe Józefa Maria wiedziała od miesiąca, ale bardzo starała się o tym nie myśleć. Starania te jednak nie były skuteczne. O swoim mężu myślała codziennie, bo choćby nawet bardzo tego nie chciała, informacje na temat Piłsudskiego pojawiały się niemal w każdym numerze codziennej gazety.

Orientowała się, gdzie bywa i z kim się spotyka. Wiedziała też, że ma już teraz dwie córki.

Starsza z nich, Wanda, urodziła się w 1918 roku, kiedy Józef był w Magdeburgu. Wtedy jeszcze Maria próbowała interweniować u władz niemieckich i jako żona Komendanta słała pisma do różnych ważnych osób z prośbą o zwolnienie Józefa z internowania. Na próżno jednak, nikt nie traktował poważnie jej listów, a sam Józef też pewnie miał jakieś swoje rachunki.

Po zwolnieniu napisał do niej list z Warszawy i to właściwie było już wszystko. Z Magdeburga wrócił do nowej rodziny; do panny Szczerbińskiej i swojej córki Wandy...

Wanda... Ktoś ze znajomych powiedział wtedy Marii, że pierwsza córka Józefa dostała imię po jej ukochanej córeczce, bo w ten sposób Ziuk pragnął upamiętnić pasierbicę.

Kiedy usłyszała to po raz pierwszy, musiała bardzo się starać, by ukryć swoje wzburzenie. Nie potrafiła wtedy poradzić sobie z emocjami. Zbyt silne... Tamtego dnia wieczorem poczuła się źle, bo ostatecznie straciła nadzieję na zmianę swojej sytuacji. Od tego czasu jej kontakty z Ziukiem ograniczyły się do informacji, jakie czerpała o nim z gazet.

Od zakończenia wojny Józef Piłsudski był do tej pory oficjalnie w Krakowie dwa razy, ale wówczas Maria nie chciała zabiegać o spotkanie. Z Juchniewiczową, siostrą Józefa, też już właściwie przestała się kontaktować, choć i ona nadal mieszkała w Krakowie.

Maria zaprzestała kontaktów z wszystkimi, którzy wydali się wobec niej nieojalni, więc grono znajomych Piłsudskiej znacznie się zawężyło i skurczyło do kilku pań z Ligi Kobiet oraz niewielkiej grupki dawnych przyjaciół z Wilna i Petersburga.

Byli to przeważnie starsi od niej ludzie, którzy z najrozmaitszych powodów woleli zostać w Krakowie. Tylko Jadwinia, w której towarzystwie Maria czuła się najlepiej, była trochę młodsza.

Z rzadka zaglądali na Szlak Wojciechowscy i sporadycznie pokazywał się Walery Sławek, ale ich również pochłonał wir wielkiej polityki.

Za każdym razem kiedy widziała się z kimś z otoczenia Józefa, czuła pogłębiającą się przepaść, bo żyli już w całkowicie różnych światach.

Maria myślała teraz o tym, obserwując zza firanki ulicę przed domem, gdy nagle przed drzwiami kamienicy, w której mieszkała, zatrzymała się dorożka, z której wysiadł przystojny mężczyzna. Mężczyzna podszedł do drzwi, uchylił je i po chwili z klatki schodowej wyszła młoda kobieta owinięta szalem należącym do Marii. W rękę zaś ścisnęła jej wizytową torebkę.

Piłsudska uśmiechnęła się i poczuła nagle radosne uderzenie zmęczonego serca. Cofnęła się o krok, ale nie odeszła od okna. Chciała popatrzeć, jak Karolina wsiada do dorożki i odjeżdża do teatru. Z radością zauważyła też, że młody człowiek złożył na jej dłoni bardzo długi i gorący pocałunek.

Kiedy dziewczyna znalazła się w dorożce, podniosła głowę i uśmiechnęła się szeroko. Maria nie wiedziała, czy zauważyła ją w oknie, ale uniosła dłoń w geście pozdrowienia, a potem pobłogosławiła odjeżdżających. Otworzyła

okno i wspierając się o parapet, wysunęła głowę na zewnątrz. Z uśmiechem na twarzy patrzyła tak długo, aż dorożka nie znikła jej z oczu.

Przyjazd Józefa

Dwudziestego ósmego kwietnia 1921 roku było pogodnie i jak na tę porę roku ciepło, ale wiejący od wschodu wiatr sprawiał, że wydawało się, że jest zimniej.

Maria od rana czuła ogromne podniecenie i we własnym mieszkaniu nie mogła znaleźć sobie miejsca. Przygotowana dzień wcześniej suknia wisiała teraz na oparciu krzesła w sypialni. Wyczyszczony wiosenny płaszcz, którego do tej pory prawie nie zakładała, a także kapelusz z dużym rondem też już były gotowe, ale Piłsudska nie wiedziała jeszcze, czy będzie miała okazję ich użyć.

Tego dnia puściła wcześniej Hanke, która bardzo chciała pójść na dworzec przywitać pana Marszałka. Piłsudski miał właśnie po raz trzeci od odzyskania przez Polskę niepodległości przyjechać do Krakowa.

Poprzednim razem Hance udało się porozmawiać chwilę przed dworcem ze swoim byłym chlebodawcą i spotkanie to bardzo przeżyła. Pomimo żalu, który czuła z powodu rozstania Piłsudskich, nigdy nie mówiła niczego złego o Józefie i zawsze pilnie śledziła wszystkie wiadomości o nim.

Oczywiście w głębi serca żałowała swojej ukochanej pani, ale nie ośmieliłaby się jej o tym powiedzieć. Temat rozstania Piłsudskich nie był poruszany w domu przy ulicy Szlak 31, a już na pewno Maria nie zamierzała rozmawiać o tym ze służącą. Doskonale jednak wiedziała, jak bardzo Hanka lubiła Józefa, i ani przez moment nie oczekiwała od niej, że solidaryzując się ze swoją panią, pozbawi się możliwości spotkania z nim albo chociażby zobaczenia go. Kiedy więc służąca poprosiła o dzień wolny, Maria zgodziła się na to bez najmniejszego oporu.

Przy dworcu kolejowym w centrum Krakowa spodziewano się bardzo wielu witających, więc prawdopodobieństwo, że Hance uda się docisnąć

w pobliże Józefa, było niewielkie, ale Maria nie zamierzała pozbawiać jej złudzeń, tym bardziej że tego dnia nieobecność służącej w domu była jej bardzo na rękę.

Maria jak zwykle dostała zaproszenie od miasta, tym razem jednak jako aktywistka Ligi Kobiet. Kiedy otwierała kopertę z zaproszeniem na uroczystość wmurowania kamienia węgielnego pod Klinikę Ginekologiczną przy ulicy Kopernika, poczuła się dziwnie.

Przez lata przysyłano jej dużo zaproszeń i gdyby tylko chciała, mogłaby uczestniczyć w wielu imprezach jako żona Marszałka Piłsudskiego, ale nigdy tego nie robiła.

Od czasu ostatniego spotkania z Józefem przestała go reprezentować, bo żadną miarą nie czuła się już do tego upoważniona.

Spotkania małżonków skończyły się po przeprowadzce Józefa do Warszawy i wkrótce zaprzestali korespondencji. O tym, co porabia jej mąż, Maria dowiadywała się z gazet, a Józef o żonie miał sporadyczne informacje od przyjaciół lub swojej rodziny.

Kontakty Marii z rodziną męża ograniczyły się do rzadkich spotkań z Marią Juchniewiczową, która od lat mieszkała w Krakowie, i jeszcze rzadszych spotkań z dorosłymi już dziećmi obu sióstr, które czasem odwiedzały Marię w mieszkaniu.

Czasem otrzymywała jakieś listy od Janka lub Adama, ale ostatnio przychodziły tak rzadko, że można byłoby o nich w ogóle zapomnieć.

Juchniewiczowa, młodsza od Marii o prawie dekadę, nie była zbyt towarzyska, a w ostatnim czasie z powodu choroby prawie nie wychodziła z domu. Poza tym obie kobiety nie były ze sobą zżyte, a rozstanie Marii z Ziukiem spowodowało, że Piłsudska niemal całkowicie straciła ochotę do kontaktów z jego bliskimi. Nie mogła liczyć na ich przychylność, a okazywana jej powściągliwość denerwowała ją bardzo.

Z nadejściem wiosny Maria odzyskała siły. Dłuższe dni i coraz wyższa temperatura powietrza bardzo dobrze wpłynęły na jej samopoczucie. Piłsudska poczuła w sobie nagły przypływ energii, więc zaczęła robić krótkie spacerunki, a nawet kilkakrotnie wybrała się do Jamy Michalika na Floriańską.

Hanka początkowo z lękiem obserwowała poczynania swojej pani, ale gdy upewniła się, że Piłsudska rzeczywiście czuje się lepiej, przestała

utyskiwać na „ryzykowne pomysły” i nawet cieszyła się, że pani próbuje się nieco rozerwać.

Lekarz odwiedzający co jakiś czas Marię przestrzegał jednak przed forsowaniem serca, które wszak nie młodniało i samo z siebie wcale nie chciało się naprawić.

– Należy żyć spokojnie i pomału – powtarzał jej za każdym razem. – Już się pani dość sforsowała, a teraz trzeba cieszyć się spokojem.

Maria kwitowała to zawsze jakimś mruknięciem. Nie miała zamiaru dyskutować z doktorem, ale jego uwagi często ją złościły. Spokojne życie, jakie teraz wiodła i jakie wciąż zalecał jej lekarz, było tak nudne i pozbawione treści, że właśnie tego miała już naprawdę dość.

Przyzwyczajona do ruchu, gwaru i działania, została nagle sama, jak ostatni tancerz w pustej sali balowej. Wszyscy, których znała i z którymi tak dobrze niegdyś się czuła, odeszli. Przeprowadzili się do Warszawy, objęli ważne stanowiska albo wciąż zginając się w ukłonach, oczekiwali, że kiedyś je dostaną.

W teatrze życia pogasły światła i uchylila się szara zasłona, ukazując kulisy wszystkiego, co kiedyś wydawało się Marii ważne. Wspólny cel został osiągnięty i niegdysiejsi przyjaciele pokazali całkiem inne oblicza, z których istnienia nie zdawała sobie sprawy.

Być może właśnie dlatego boleśnie odczuwała swoją samotność, a kiedy robiło się zimno i gdy przyroda zamierała na okres zimowy, Maria też czuła, że zamiera.

W końcu jednak przyszła wiosna i dni stały się dłuższe, a krew w żyłach Marii zaczęła krążyć szybciej i wróciło coś, co być może trudno byłoby nazwać radością życia, ale było niewątpliwie lepszym nastrojem.

Zaproszenie na uroczystość wmurowania kamienia węgielnego dostała dwa tygodnie temu i od tego czasu nie opuszczało jej zdumienie.

Być może ten, kto wypisywał zaproszenie dla żony Marszałka, liczył na to, że Maria i tym razem z niego nie skorzysta, ale pomimo licznych wątpliwości postanowiła je przyjąć.

Musiała jednak odpowiedzieć sobie na pewne pytania. Jako kto miałyby pojawić się na placu budowy przy ulicy Kopernika? Czyż jako Maria Piłsudska, żona Józefa, nie powinna stać teraz u jego boku na honorowym miejscu?

Nie o prestiż tu przecież chodziło, a jedynie o miejsce u boku mężczyzny, w którego wierzyła i którego kochała przez wiele lat. Do dzisiaj...

Kamienica przy Szlaku i kilka pobliskich domów wydawały się teraz całkowicie wyludnione. Mieszkańcy tłumnie ruszyli, by witać Marszałka i towarzyszyć mu w odwiedzaniu wcześniej zaplanowanych miejsc. Widać było, że ludzie tego potrzebują. Entuzjazm, jaki okazywali Piłsudskiemu już w 1916 roku, powrócił i znów rozgrzewał serca krakowian. Najwyraźniej bardzo chcieli okazać go Naczelnikowi Państwa.

Po odzyskaniu niepodległości każdy przyjazd Piłsudskiego do Krakowa łączył się z uroczystymi obchodami tego zdarzenia, ale Maria nie opuszczała wówczas mieszkania.

Nie chciała widzieć ani słyszeć tego, co działo się na ulicach, bo w jej sercu burzyły się wówczas zupełnie inne emocje.

Od rana krążyła po pustym mieszkaniu, zastanawiając się nad tym, co robić. Czas płynął nieubłaganie i jeśli miała zdążyć na uroczystość, pora była najwyższa, żeby się zbierać. Wreszcie podjęła decyzję, przebrała się szybko i wyszła z mieszkania. Nie chciała spotkać Wincentego ani jego żony albo kogoś z sąsiadów, kto z nieskrywanym współczuciem lub zwykłą ciekawością odprowadziłby ją nachalnym spojrzeniem zmrużonych złośliwie oczu.

Pragnęła szybko i niepostrzeżenie wymknąć się z domu i znaleźć się na ulicy, gdzie być może uda jej się zatrzymać fiakra, który zawiezie ją na Kopernika.

Każdego innego dnia, idąc wolno i odpoczywając po drodze, Maria mogłaby dotrzeć tam na piechotę, ale nie dzisiaj. Sytuacja na tyle wytrąciła ją z równowagi, że z pewnością nie była w stanie zachowywać się rozsądnie. Być może zapominałaby nawet o odpoczynku, a dla jej serca mogłoby to mieć zgubne następstwa.

O przyjeździe Ziuka do Krakowa nie rozmawiała z nikim poza Hanką. Nawet panna Karolina, która odwiedziwszy ją dwa tygodnie temu, zauważyła leżące na stole zaproszenie, nie zapytała o nic ani słowem. Dziewczyna była taktowna i bardzo dyskretna i pewnie dlatego wołała nie zadawać pytań, na które Marii trudno byłoby odpowiedzieć.

A zresztą może jej to wcale nie interesowało? Piłsudska postanowiła dłużej się nad tym nie zastanawiać.

Stojąc teraz na ulicy przed domem na Szlaku, Maria uniosła lekko głowę, by spojrzeć w okno pokoju Karoliny, a zobaczywszy, że jest zamknięte, doszła do wniosku, że dziewczyna pewnie pobiegła witać Marszałka.

Westchnęła i opuściła głowę. Lubiła Karolinę, ale była bardzo zadowolona, że w rozmowach z młodą sąsiadką nie posunęła się za daleko i że nie zwierzała się z bardzo niewesołych myśli. Nie potrafiłaby zbrukać tego, co przeżyła z Józefem, i chociaż po licznych próbach ratowania małżeństwa czuła się porzucona i oszukana, wiedziała, że z nikim obcym nie powinna dzielić się smutnymi rozważaniami. W głębi serca wierzyła też, że pomimo podjętej decyzji o rozstaniu Ziuk w jakimś stopniu myśli podobnie.

Józef Piłsudski, jakiego znała, nie był już teraz tym samym człowiekiem, którego szczupłą, wręcz wychudzoną sylwetkę zapamiętała z kilku najtrudniejszych etapów wspólnego życia.

Wtedy, gdy ciężko pracował i cierpiał, był z Marią i pocieszał się słowami wróżby, jaką usłyszał kiedyś od starej Cyganki.

– „Carem budiesz” – powtarzała mu nieraz żona słowa staruchy. W chwilach zwątpienia dodawały mu sił i wiary w siebie. W końcu jednak nie musiała już tego robić, bo Piłsudski bez reszty uwierzył, że tak się stanie. I miał rację.

Los ich małżeństwa przesądziło ostatecznie przyjście na świat pierwszej córki Józefa.

W Warszawie miał więc teraz nie tylko pracę i splendory. Miał też swój dom i rodzinę.

Maria czuła żal do Ziuka, ale nigdy się w nim nie zapamiętywała i pewnie dlatego spokojnie usunęła się z jego życia, choć w takiej sytuacji niewiele kobiet stać jest na dystans i elegancję.

Swojego losu nie traktowała jako przegranej i teraz, kiedy dzięki Karolinie jeszcze raz na nowo przeżyła pewne jego fragmenty, była wdzięczna Bogu za wszystko, co dostała.

Nie wiedziała, czy powinna jeszcze liczyć na coś więcej, ale nareszcie zrozumiała, że książka jej życia w większej swej części była barwna i ciekawa.

Maria zatrzymała fiakra na rogu Długiej i wspiąwszy się po stopniach, z ulgą usadowiła się na szerokiej, przykrytej narzutą kanapie. Poprawiła kapelusz, osłaniając twarz jego szerokim rondem.

Nie chciała, by ją ktoś rozpoznał, i chociaż schowała do torebki przysłane jej zaproszenie, nie zamierzała okazywać go nikomu.

Niewiele obchodziła ją sama uroczystość ani to, kogo jeszcze na nią zaproszono. Liczyło się jedynie, czy Marii uda się zobaczyć męża i choćby z oddalenia popatrzeć w jego oczy.

Wolałaby nie spotkać nikogo ze znajomych, ale wiedziała, że zachowanie anonimowości może okazać się trudne. Wprawdzie w ostatnim roku całkowicie wycofała się z życia publicznego, ale wciąż jeszcze była rozpoznawana przez dawnych znajomych. Prawdopodobieństwo, że w tłumie zgromadzonych gości nie natknie się na kogoś z nich, było niewielkie.

Maria umyślnie założyła na siebie płaszcz, w którym do tej pory chodziła bardzo rzadko, a kapelusz z szerokim rondem zasłonił większą część jej twarzy. Pozostawał więc teraz jedynie problem przejścia z dorożki do miejsca uroczystości, które ze względu na dokładny opis w gazecie znała wystarczająco dobrze. Kiedy mieszkali na Topolowej, spacerowała nieraz po ulicy Kopernika.

Woźnica strzelił z bata w powietrze i zaklął pod wąsem. Odwrócił głowę w stronę pasażerki i powiedział coś, czego Maria nie usłyszała i czego wcale nie była ciekawa.

Przejazd przez Kraków był tego dnia utrudniony, bo ze względu na uroczystości związane z przyjazdem Piłsudskiego na ulicach był dużo większy ruch niż zazwyczaj.

Z wysokości kanapy Maria patrzyła na miasto, ale nie potrafiła skupić się na tym, co widzi, ponieważ jej myśli krążyły gdzie indziej. Znała cały program wizyty Ziuka w Krakowie i zastanawiała się nad tym, w której części miasta jej mąż może teraz być.

Starła się nie poddawać smutkowi, który towarzyszył tym myślom. Po wielu rozterkach podjęła decyzję, że dzisiaj zobaczy człowieka, z którym przeżyła kilkanaście lat swojego życia. Emocje, jakie targały Marią, były

silne, zbyt silne dla jej schorowanego serca, ale teraz już nie potrafiłaby sobie odmówić zrealizowania wcześniejszego postanowienia.

Gorączkowo ściskając uchwyt niewielkiej torebki, czuła, że obie dłonie ma mocno spocone. Choć bardzo się starała, nie potrafiła się rozluźnić i wygodnie oprzeć o oparcie kanapy.

Ciało Marii było skurczone i bardzo napięte i nie trzeba było wytrawnego obserwatora, by zauważyć, że Piłsudska myślami jest w całkiem innym miejscu.

Pewnie dlatego woźnica nie odzywał się już więcej do kobiety, która ukrywszy niemal całkowicie twarz za szerokim rondem kapelusza, najwyraźniej nie miała ochoty z nim rozmawiać.

Wreszcie dojechali w pobliże ulicy Kopernika. Maria bez słowa zapłaciła za kurs i odprawiła fiakra. Resztę drogi przeszła piechotą. Wiedziała, dokąd się kierować, a gęsty tłum, jaki zgromadził się w jednym miejscu ulicy, wyraźnie wskazał, gdzie odbędzie się uroczystość.

Kiedy zbliżyła się do ludzi, zorientowała się, że uroczystość wmurowania kamienia węgielnego pod budowę szpitala ginekologicznego już trwa. Właśnie przemawiał jeden z inicjatorów całego przedsięwzięcia, a Ziuk stał obok niego i w skupieniu słuchał przemówienia.

Okoliczność ta była dla Marii nader korzystna. W zasłuchanym i zapatrzonym w kolejnych mówców tłumie mogła nierozpoznana przez nikogo, korzystając z wolnych przestrzeni pomiędzy zgromadzonymi ludźmi, podejść bardzo blisko. Kiedy przepaszając grzecznie mijane osoby, znalazła się kilkanaście metrów od miejsca, w którym stał Ziuk, podniosła wyżej głowę i wpiła w niego spojrzenie. Nie zauważyła nawet, że rondem kapelusza zawadziła o ramię wysokiego mężczyzny, który usunął się odrobinę. Maria miała więc teraz dla siebie trochę więcej miejsca i ze stosunkowo niedużej odległości patrzyła na Józefa, który właśnie rozpoczynał swoje przemówienie.

Nie rozumiała niczego, o czym mówił jej mąż. Przyglądała się znajomym, choć odrobinę przez czas zmienionym rysom i w człowieku, w którego wpatrywał się teraz tłum ludzi, usiłowała odnaleźć wszystko, co kiedyś kochała.

Była jedną z wielu wpatrzonych w Piłsudskiego osób, ale wzrok jej widocznie silniejszy był niż spojrzenie innych, bo spojrzenia obojga Piłsudskich wkrótce się spotkały i Maria natychmiast zorientowała się, że

Ziuk ją rozpoznał. Nie przerywając przemówienia, patrzył w kierunku swojej żony i tylko stojący w pobliżu Wieniawa-Długoszowski zauważył w zachowaniu Marszałka coś, co zwróciło jego uwagę. Powiódł wzrokiem w kierunku, w którym patrzył Piłsudski, i zobaczył stojącą w tłumie kobietę, która z poważną miną na krótką chwilę zdjęła z głowy kapelusz.

Kiedy Piłsudski skończył przemówienie, skinął na znajdującego się tuż obok młodego oficera, pochylił głowę w jego stronę i coś powiedział mu do ucha. Oficer zwrócił twarz w kierunku zgromadzonych i lekko marszcząc brwi, uważnie im się przyglądał, jakby z tłumu chciał wyłowić jakąś postać.

W tym czasie inni zajęci byli pakowaniem podpisanego przez Marszałka dokumentu do metalowej tulei, którą następnie wsunęto we wcześniej przygotowane zagłębienie w murze i przykryto warstwą zaprawy.

Gapie, zaabsorbowani tym, co się działo, nie zauważyli nawet, że stojący przy Marszałku oficer odsunął się od niego i ostrożnie torując sobie drogę, wszedł pomiędzy zgromadzonych. Przeszedł kilkanaście metrów i zatrzymał się przy kobiecie ubranej w jasny płaszcz i kapelusz z dużym rondem. Skłoniwszy się elegancko, pochylił się ku niej i coś powiedział, ale kobieta uśmiechnęła się tylko do oficera i podnosząc głowę, spojrzała wprost na Piłsudskiego. Marszałek cofnął się i w tej chwili nie śledził już tego, co działo się obok.

Spoglądał przed siebie wprost na kobietę, obok której w pozie pełnej szacunku stał teraz jego adiutant.

Piłsudscy patrzyli na siebie na tyle długo, że kilka stojących bliżej osób zauważyło, na kogo skierowany był wzrok Marszałka.

Maria uśmiechnęła się blado i wydawało się, że nie widzi kłębiącego się tłumu, nie zwracała też uwagi na stojącego przy niej oficera. W dalszym ciągu patrząc wprost na Józefa, bardzo wolno i wyraźnie pokręciła głowę, po czym odwróciła się, delikatnie, jakby po omacku, przesunęła stojące do tej pory tuż za nią dwie kobiety i zdecydowanym krokiem opuściła zgromadzony tłum.

Czuła, że nie powinna zostać tu ani chwili dłużej, bo jej serce by tego nie zniosło.

Koniec

Jadwiga otworzyła gazetę, którą jej mąż, wychodząc tego dnia do pracy, położył na stole w pokoju jadalnym. Gazeta była z 29 października 1921 roku.

Mocno spóźnione wspomnienie Daniłowskiego o swojej przyjaciółce Jadwiga czytała po raz pierwszy. Po śmierci Marii w wielu gazetach pojawiły się na jej temat wzmianki, a czasem całkiem spore artykuły. Śmierć Piłsudskiej, a właściwie wszystko to, co się działo przy okazji, stało się przyczynkiem powstania skandalu, który dobitnie i bezkompromisowo opisały wszystkie chyba prawicowe gazety.

Jadwiga wiedziała wszystko i od wielu tygodni przeżywała rozmaite fakty. Czas, który koi i zabliznia rany, mijał i po ponad dwóch miesiącach od śmierci Piłsudskiej echa skandalu umilkły i życie Jadwigi wracało w koleiny codzienności.

Być może właśnie dla spokoju Jadwigi jej mąż zwlekał nieco z pokazaniem kolejnego wspomnieniowego artykułu, ale kierując się bardziej lojalnością wobec żony niż własnym interesem, udostępnił jej go wreszcie. Przypuszczalnie domyślał się, że artykuł Gustawa Daniłowskiego znów rozstroi nerwowo Jadwigę, ale nie potrafił udawać, że go nie zauważył, i zawczasu pogodził się z tym, że pewnie aż do wieczora żona znowu będzie płakać.

Działo się tak od 16 sierpnia, kiedy do mieszkania na Grodzkiej przybiegła późnym wieczorem przerażona służąca Piłsudskiej z informacją, że pani Maria poważnie zaniemogła.

Nie zobaczyli już Marii żywej. Chociaż oboje znaleźli się w szpitalu o świcie następnego dnia, nie dane im było pożegnać się z Piłsudską. Maria zmarła w nocy na szpitalnym oddziale.

Pogorszenie stanu zdrowia przyjaciółki Jadwiga zauważyła już w kwietniu. Po zimie przez jakiś czas Piłsudska czuła się lepiej, ale od końca kwietnia straciła wszelką energię i radość życia.

W ostatnich latach miewała jej niezbyt wiele, ale oszczędny i spokojny tryb życia, jaki z konieczności prowadziła, od kilku lat sprawiał, że Maria wyglądała całkiem dobrze, a jej samopoczucie wczesną wiosną 1921 roku dawało podstawy nadziei, że choroba serca zatrzymała się.

Jadwidze wydawało się, że ma to związek z wizytami sympatycznej młodej dziewczyny, która zamieszkała w pustym mieszkanku na ostatnim piętrze kamienicy przy Szlaku.

Maria zawsze lubiła młodzież i spotkania z panną Karoliną wyraźnie ją ożywiły. Jadwiga wiedziała o wizytach młodej sąsiadki w mieszkaniu Piłsudskiej, ale pannę tę widziała tylko raz, przelotnie, kiedy minęły się raz w drzwiach mieszkania Marii. Dziewczyna wychodziła z kajetem pod pachą i wtedy Piłsudska zwierzyła się przyjaciółce, że sąsiadka postanowiła spisać jej wspomnienia.

– Wiesz, że ja nigdy nie mogłam się jakoś do tego zabrać, bo wydawało mi się, że moje życie biegło tylko obok Józefa, ale gdy tak opowiadam je pannie Karolinie, to wydaje mi się, że chyba dobrze zrobiłam, godząc się na te zapiski. Dużo się działo...

– Nawet bardzo dużo! – wykrzyknęła Jadwiga i gorąco pochwaliła decyzję Piłsudskiej.

Maria uśmiechnęła się smutno i powiedziała, patrząc Jadwidze w oczy:

– Najgorzej, kiedy nie ma się komu zostawić wspomnień... Ty chociaż masz dzieci...

– A ty, jak widać, masz pannę Karolinę – przerwała jej Jadwiga, czując, że jeszcze chwila, a nastrój Piłsudskiej całkiem się popsuje. – Może się okazać, że ta dziewczyna lepszy zrobi użytek z twoich opowieści niż moi synowie z moich. Zresztą zaręczam ci, że moje życie nie za bardzo ich ciekawi. Dopiero kiedy człowiek naprawdę dorasta do poszukiwania korzeni, okazuje się, że jest za późno. Teraz młodzi żyją swoim życiem i ani moje, ani wspomnienia mojego męża nic dla nich nie znaczą. Choć pewnie szkoda...

Niedługo po tej rozmowie przez jakiś czas nie spotykały się. Jadwiga miała bardzo dużo pracy w Lidze Kobiet. Nowo wytyczone po wojnie polsko-bolszewickiej granice państwa sprawiły, że organizacja

mobilizowała się do wytężonej pracy przy tworzeniu nowych oddziałów. Celem Ligi było objęcie swoją działalnością wszystkich regionów w odrodzonym kraju. Ze względu na stan zdrowia Piłsudska nie była już tak aktywna jak kiedyś i nie podejmowała się nowych zadań. Jadwidze wydawało się jednak, że nie tylko stan zdrowia był tego przyczyną. Sytuacja życiowa Marii i jej rozstanie z mężem miały w tym wypadku dużo większe znaczenie.

Przed planowanym na kwiecień oficjalnym przyjazdem Piłsudskiego Jadwiga zajrzała do Marii. Chciała sprawdzić, czy przyjaciółka zamierza spotkać się z mężem i czy przypadkiem nie potrzebuje pomocy. Mąż Jadwigi dysponował samochodem i oczywiście mógł podwieźć Piłsudską, gdzie tylko by chciała. Maria podziękowała jednak za uprzejmość i z krótkiej rozmowy na ten temat Jadwiga wywnioskowała, że w odróżnieniu od Hanki czy Wincentego Piłsudska nigdzie się nie wybiera.

O tym, że stało się inaczej, dowiedziała się od Karoliny podczas pogrzebu Marii.

– Spotkałam panią Marię, kiedy dorożką wracała do domu, zatrzymała się przed bramą kamienicy akurat wtedy, kiedy i ja do niej dochodziłam. Pomimo zsuniętego na twarz ronda kapelusza zauważyłam, że jest bardzo blada, i chyba nie czuła się najlepiej, bo kiedy weszliśmy na klatkę schodową, wsparła się na moim ramieniu. Nie rozmawialiśmy wtedy, bo nie chciałam okazać się wścibska, ale i tak domyśliłam się, że pewnie uczestniczyła w którejś z uroczystości...

Jadwiga w zamyśleniu pokiwała głową.

– Jedna ze znajomych pań mówiła, że widziała Marię przy wmurowaniu kamienia węgielnego pod szpital, ale nie była pewna, czy to rzeczywiście była Piłsudska, bo słabo znała Marię, a poza tym kobieta miała twarz osłoniętą obszernym rondem kapelusza...

– To pewnie była pani Maria, ale najwyraźniej z nikim nie chciała na ten temat rozmawiać...

– Nawet ze mną... – stwierdziła Jadwiga ze smutkiem.

Być może podczas tej uroczystości Maria przeziębila się, a że uczucie nie wyleżała choroby, przyplątało się zapalenie opłucnej, z którym zmagala się czas jakiś w domu.

Kiedy po zakończeniu roku szkolnego Karolina szykowała się do wyjazdu do matki, pani Maria nie wyglądała najlepiej i powiedziała nawet, że

pewnie na trochę położy się do szpitala.

Karolina napisała do Piłsudskiej list z pytaniem o zdrowie, ale prócz krótkiej karteczki z pozdrowieniami nie otrzymała odpowiedzi na zadane pytania. Zamiast tego Maria przysłała list do jej matki, którego treści dziewczyna dotąd nie poznała, ale sądząc z zachowania rodzicielki, musiało w nim być coś, o czym kiedyś wspominała Piłsudska, bo matka Karoliny bardzo się zmieniła.

Na początku lata Jadwiga odwiedziła Piłsudską w szpitalu, ale jej choroba wydawała się cofać i lekarze zamierzali zwolnić Marię do domu.

Jadwiga wyjechała z rodziną na wakacje, a kiedy wrócili, praca w Lidze pochłonięła ją całkowicie i kilkakrotnie odkładała planowane spotkanie z Piłsudską. Teraz nie mogła sobie tego wybaczyć.

Był 22 sierpnia 1921 roku i obie kobiety wyszły razem z cmentarza Na Rossie, gdzie odbył się pogrzeb Marii Piłsudskiej.

Uroczystości związane z pochówkiem żony Naczelnika Państwa zaczęły się w Wilnie już 20 sierpnia, kiedy na wileńskim dworcu tłumnie zgromadzeni mieszkańcy oraz przedstawiciele wojska i władz miasta oczekiwali na przyjazd pociągu z trumną Piłsudskiej. Wśród nich byli: dowódca wojsk Litwy Środkowej generał Żeligowski, generał Hajdukiewicz, starosta grodzki, przedstawiciele Rady Miasta i Magistratu, członkinie Ligi Kobiet i różnych organizacji społecznych i politycznych. Część żałobników, tak jak Jadwiga, przyjechała pociągiem z Krakowa, a niektórzy ścignęli z okolic bryczkami lub samochodami. O godzinie dziewiętnastej kondukt prowadzony przez biskupa Bandurskiego odprowadził trumnę do wileńskiej katedry, gdzie przez półtora dnia była wystawiona w otoczeniu wieńców i wart honorowych.

W poniedziałek 22 sierpnia o godzinie jedenastej biskup Bandurski odprawił mszę w intencji zmarłej, następnie ogromny kondukt żałobny wyruszył z katedry w stronę cmentarza Na Rossie.

Karolina jakimś cudem w grupie żałobników rozpoznała Jadwigę i po skończonych uroczystościach podeszła do niej, żeby się przywitać.

– O śmierci pani Marii dowiedziałam się dosyć późno, bo akurat byłam na wakacjach u mamy – powiedziała, przyglądając się Jadwidze. – Jakoś tak

się stało, że przez kilka dni nie kupowałyśmy gazet i dopiero brat mój usłyszał od kogoś o śmierci pani Piłsudskiej, i wtedy zdobył gazetę. Było już za późno, żeby jechać do Krakowa, a poza tym nie wiedziałam, czy uda mi się na czas dotrzeć tutaj, więc zdecydowałam się przyjechać prosto do Wilna i czekać na pociąg z trumną – skończyła Karolina, a Jadwiga pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Ja byłam przy wyprowadzeniu trumny z kaplicy Szpitala Załogowego na krakowski dworzec. Kondukt prowadził kapelan załogi wojskowej ksiądz Taryłło, a za nim maszerowały nieprzebrane tłumy ludzi. Byli ułani, reprezentacja piechoty, panie z Ligi Kobiet i władze miasta. Następnego dnia w kilka osób wsiedliśmy do pociągu i przyjechaliśmy do Wilna, żeby pożegnać Marię i tutaj...

Jadwiga przerwała i wyciągnęła z torebki chusteczkę.

– A pan Marszałek?... – zapytała Karolina, uważnie przyglądając się Jadwidze. Na twarzy dziewczyny odmalowywały się po kolei różne emocje, od zaciekawienia poprzez niedowierzanie aż po zdziwienie i smutek.

Jadwiga wzruszyła ramionami. Nie chciała rozmawiać na ten temat, bo sytuacja związana z pogrzebem przyjaciółki bardzo ją bolała, ale czuła, że Karolina czeka na jej odpowiedź, i w związku z rolą, jaką dziewczyna odegrała w ostatnim czasie w życiu Piłsudskiej, ta odpowiedź jej się należała.

– W niektórych gazetach pisano, że pan Piłsudski będzie oczekiwał pociągu z trumną w Lidzie – powiedziała Jadwiga, nie patrząc na Karolinę.
– W ostatnich dniach Marszałek wizytował miasta na Wschodzie, więc właściwie był niedaleko...

Jadwiga zamilkła na moment.

– Na pogrzebie rodzinę reprezentował tylko młodszy brat pana Marszałka? – bardziej stwierdziła, niż zapytała Karolina, przerywając ciszę.

Jadwiga pokiwała głową i nie patrząc na rozmówczynię, odparła:

– Tak, Jan Piłsudski, był i tutaj, i w Krakowie. W Krakowie byli też od Juchniewiczów, ale sama pani Maria Juchniewiczowa zmarła w czerwcu jeszcze przed Marysią. Chorowała, biedaczka... Tutaj też widziałam kilka osób od Kadenacych i był ktoś pewnie z rodziny samej Marii, ale nie znałam ich wcześniej i tylko domyślać się mogę, że niektórzy z żałobników byli jej dalszą rodziną.

Okoliczności i atmosfera towarzysząca pogrzebowi Marii sprawiły, że obie blisko związane z nią kobiety były smutne, a nieobecność Józefa Piłsudskiego na pogrzebie żony przygnębiła jej jeszcze bardziej. Teraz zamilkły, a twarze każdej z nich odbijały wszystkie uczucia, jakie nimi targały.

– To dobrze, że pani Maria wreszcie spoczęła obok swojej córki – powiedziała w końcu Karolina.

Jadwiga pokiwała głową i westchnęła głęboko.

– Córki, matki oraz teściowej Wandy Juszkiewiczowej, którą naprawdę lubiła. Los tak być może zdarzy, że i pierwszy mąż znajdzie kiedyś tu miejsce dla siebie. I tak zakończy się ich historia.

Karolina

Szła pieszo od pociągu i przez całą drogę czuła mocne bicie serca, które ani na chwilę nie chciało się uspokoić. Przeciwnie, w miarę jak zbliżała się do kamienicy, w której wciąż jeszcze wynajmowała mieszkanie, serce biło coraz mocniej, a do oczu napływały łzy.

Kiedy z daleka zobaczyła drzewo, na którego koronę patrzyła czasem z okna swojego pokoju, poczuła dziwny ucisk. Przed domem i na klatce schodowej tym razem nie było posprzątane. Kiedy Karolina zbliżyła się do schodów, drzwiami od podwórka weszła żona Wincentego.

– O, panienska już wróciła! – zawołała na widok dziewczyny.

– Dzień dobry – powiedziała Karolina, uśmiechając się smutno. – Wróciłam tylko, żeby zabrać swoje rzeczy. Na początku października wychodzę za mąż i postanowiłam już przeprowadzić się do mieszkania, które potem razem z mężem będziemy wynajmować. Po śmierci pani Piłsudskiej nie chcę już tutaj mieszkać...

Wincentowa pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Taka miła, spokojna pani, a weszła do serca każdego z nas. Po jej śmierci mój Wincenty pił chyba przez tydzień, choć normalnie wcale nie pije. No, może czasem ze dwa kieliszki. Zawsze mówił, że jak stróżuje się w takim domu, to wypada być trzeźwym. – Machnęła ręką i znowu westchnęła. – Teraz ten mój stary ciągle na coś choruje, a ja nie nadążam ze wszystkim, bo muszę za niego jeszcze pracować. Skaranie boskie!

– A pani Hania? – zapytała Karolina, z lękiem patrząc na Wincentową.

Żona stróża jeszcze raz machnęła ręką.

– Tylko raz tu przyszła po śmierci pani Marii. Zawołała mnie, żebym była tam z nią, jak zabierała kilka swoich rzeczy. Pewnie nie chciała, żeby ktoś z rodziny myślał, że coś ukradła, ale co by tam można było wynieść. Te

stare meble? Tak mi jej było wtedy żal, że cały czas razem z nią płakałam. Potem zamknęłyśmy drzwi i Hania zabrała klucz. Mam jej adres, kiedy ktoś z rodziny będzie chciał zabrać rzeczy pani Marii... Ale na razie nikt się nie zgłosił.

– A panience to gratulacje składam. Pewnie mężem będzie ten kawaler, co to ostatnio zawsze panienkę odprowadzał? – zapytała po chwili Wincentowa, a w jej oczach jak zwykle pojawiły się iskierki zaciekawienia.

– Tak. – Karolina uśmiechnęła się trochę smutno, ale natychmiast dodała: – Przyniosę zaproszenia na ślub dla państwa i dla pani Hani. Ślub będzie w naszej parafii.

– Dam panience adres pani Haneczki, to jej go pani wyśle. Niech panienka idzie sobie na górę, a ja poszukam karteczki z adresem.

Karolina spakowała rzeczy do starej walizki i pudła. Książki postanowiła zabrać następnym razem, bo przez krótki okres mieszkania na Szlaku zgromadziła się ich całkiem pokaźną ilość. Spakowała swoje bluzki i sukienki i na koniec zostały jej jeszcze dwie rzeczy: elegancki szal i wizytowa torebka Piłsudskiej, których kiedyś Maria żadną miarą nie chciała przyjąć z powrotem.

Wtedy Karolina powiedziała Piłsudskiej o swojej miłości, jaka od niedawna zagościła w jej sercu. Widziała, że swoim wyznaniem zrobiła Marii przyjemność.

Po wakacjach zamierzała przedstawić sąsiadce narzeczonego, ale niestety okazało się to już niemożliwe.

Kiedy dorożką odjeżdżała spod drzwi kamienicy domu przy Szlak 31, siłą powstrzymała się, żeby nie popatrzeć do góry w okna mieszkania na pierwszym piętrze. Wtuliła twarz w szal leżący na kolanach i odjechała do nowego życia.

Najważniejsze, co wiozła teraz ze sobą, to były niebieskie kajety ze wspomnieniami pani Marii.

Bibliografia

- Akta Leona Wasilewskiego w Archiwum Akt Nowych, pamiętnik z lat 1870–1904, AAN, sygn. 1.
- Archiwum Naczelnego Zarządu Ligi Kobiet – Akta – Archiwum Akt Nowych w Warszawie, No 91.
- Cisek Janusz, *Józef Piłsudski w Krakowie*, Biblioteka Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego, Kraków 2003.
- Danielewska Łucja, *Portrety godzin*, Czytelnik, 1987.
- Garlicki Andrzej, *Józef Piłsudski 1867–1935*, Czytelnik, Warszawa 1989.
- Garlicki Andrzej, *U źródeł obozu belwederskiego*, PWN, Warszawa 1983.
- Grabiec J., *Czerwona Warszawa przed ćwierć wiekiem. Moje wspomnienia z licznymi ilustracjami*, Wielkopolska Księgarnia Nakładowa Karola Rzepeckiego, Poznań 1925.
- Hłakowiczówna Kazimiera, *Ścieżka obok drogi*, Towarzystwo Wydawnicze „Rój”, Warszawa 1939.
- Jędrzejewicz Waław, Cisek Janusz, *Kalendarium życia Józefa Piłsudskiego*, t. I i II, Oficyna Wydawnicza Rytm, Warszawa 1998.
- Koper Sławomir, *Z życia elit politycznych drugiej Rzeczypospolitej*, Wydawnictwo Bellona.
- Korespondencja Marii Dąbskiej-Weissowej z Aleksandrem Prystorem – zasoby Archiwum Akt Nowych w Warszawie, sygn. 2/265/0/1/6.
- Kuławski Mariusz (Zieliński Józef), *Roman Dmowski w świetle listów i wspomnień*, t. I, Gryf Publication, Londyn 1968.

Materiały ze zbiorów Muzeum Regionalnego w Zakopanem – Szkice z Zakopanego – maszynopis książki *Ludzie i Tatry* autorstwa Adama Uziembły, sygn. AR/No/912/2.

Micewski Andrzej, *Roman Dmowski*, Wydawnictwo Verum, Warszawa 1971.

Moraczewska Zofia, *Moje wspomnienia osobiste o Wielkim Marszałku* – Archiwum Akt Nowych w Warszawie.

Nałęcz Daria i Tomasz, *Józef Piłsudski – legendy i fakty*, Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 1986.

Nowakowski Jerzy Marek, *Walery Sławek. Zarys biografii politycznej*, Biblioteka Narodowa.

Perl Feliks, *Dzieje ruchu socjalistycznego w zaborze rosyjskim (do powstania PPS)* – nakładem Centralnego Komitetu Wykonawczego, Warszawa 1932.

Piłsudski Józef, *Pisma zbiorowe: uzupełnienia*, t. II, 1898–1914, Krajowa Agencja Wydawnicza, Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa.

Pobóg-Malinowski Władysław, *Józef Piłsudski 1901–1908. W ogniu rewolucji*, Warszawa 1935.

Pobóg-Malinowski Władysław, *Józef Piłsudski 1907–1908. W podziemiach konspiracji*, Warszawa 1934–1935.

Pobóg-Malinowski Władysław, *Najnowsza historia polityczna Polski*, t. I, 1864–1914, Gryf SPK, Londyn 1984.

Relacja o życiu i działalności Walerego Sławka (1939) – zasoby Archiwum Akt Nowych w Warszawie, sygn. 2/365/0/1/4.

Rodek Maurycy, *Pułkownik dyplomowany Walery Sławek. Romantyczny bohater pracy u podstaw* – artykuł ze zbiorów Biblioteki Narodowej w Warszawie, księgozbiór Polona.

Sieciechowicz Stanisław, *Roman Dmowski. Życie i czyny*, Wydawnictwo Narodowe, Poznań 1936.

Sieroszewski Waław, *X pawilon*, 1959.

„Słowo Wileńskie”, nr 90 z 21 sierpnia 1921, nr 92 z 23 sierpnia 1921.

Sokolnicki Michał, *Czternaście lat*, Instytut Badania Najnowszej Historji Polski, 1936.

Sosnkowska Jadwiga, Kowalski Włodzimierz T., *W kręgu mitów i rzeczywistości*, Polska Agencja „Interpres”, Warszawa.

Sprawozdanie ze Zjazdu Ligi Kobiet Polskich Pogotowia Wojennego odbytego w dniach 24, 25, 26.08.1916 r. w Piotrkowie – Archiwum Akt Nowych w Warszawie.

Stegner Tadeusz, prof., *Przyjaciel Marszałka Piłsudskiego*, „Gdański Rocznik Ewangelicki”, vol. 2009 – zaczerpnięto z Serwisu Historycznego Ziemi Łomżyńskiej (internet).

Walery Sławek. *Wspomnienia z lat 1895–1910* – akta Walerego Sławka – zasoby Archiwum Akt Nowych w Warszawie, sygn. 2/365/0/1/1.

Wapiński Roman, *Roman Dmowski. Współczesne Życiorysy Polaków*, Iskry, Warszawa 1979.

Wojciechowski Stanisław, *Moje wspomnienia*, Lwów 1938.

Życie i praca Marii Paszkowskiej. Księga Pamiątkowa pod redakcją Leona Wasilewskiego, Warszawa 1929 – nakładem Komitetu Uczczenia Pamięci Marii Paszkowskiej.

Podziękowania

Książkę o Pani Marii Piłsudskiej napisałam, gdyż jej Osoba wydawała mi się bardzo ciekawą, choć zupełnie zapomnianą postacią dziejów nie tylko Marszałka Józefa Piłsudskiego czy Romana Dmowskiego, ale też historii naszego kraju.

Praca nad powieścią była dla mnie fascynującym czasem odkrywania tego, czego znaleźć nie było łatwo.

Szczególne podziękowania za pomoc w odnajdywaniu materiałów i wskazanie mi kierunku poszukiwań należą się mojemu mężowi Lesławowi Kuli, bez którego wiedzy i pomocy książka ta nie zawierałaby opisu tylu udokumentowanych faktów historycznych. Dziękuję.

Ilustracje



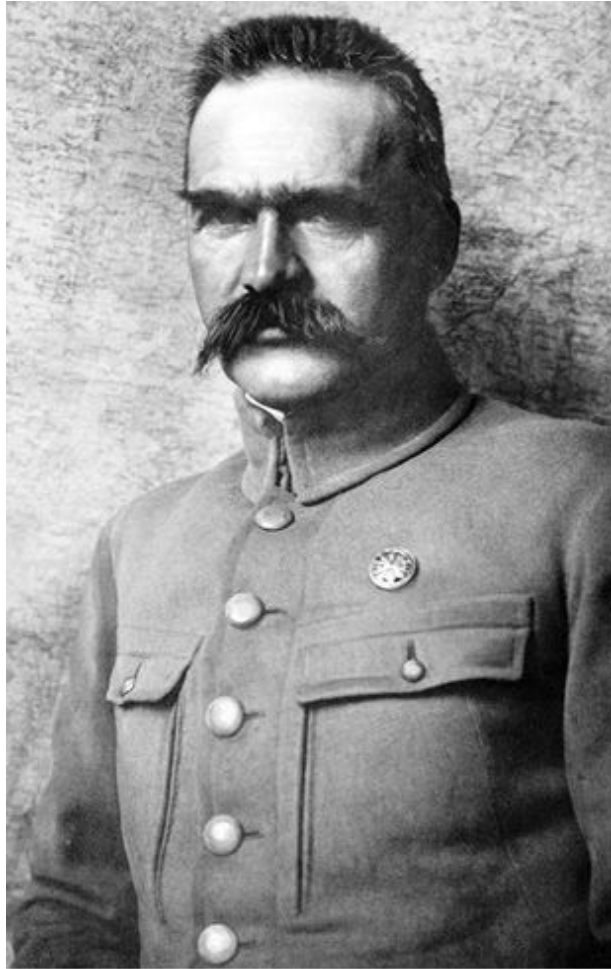
Maria Piłsudska



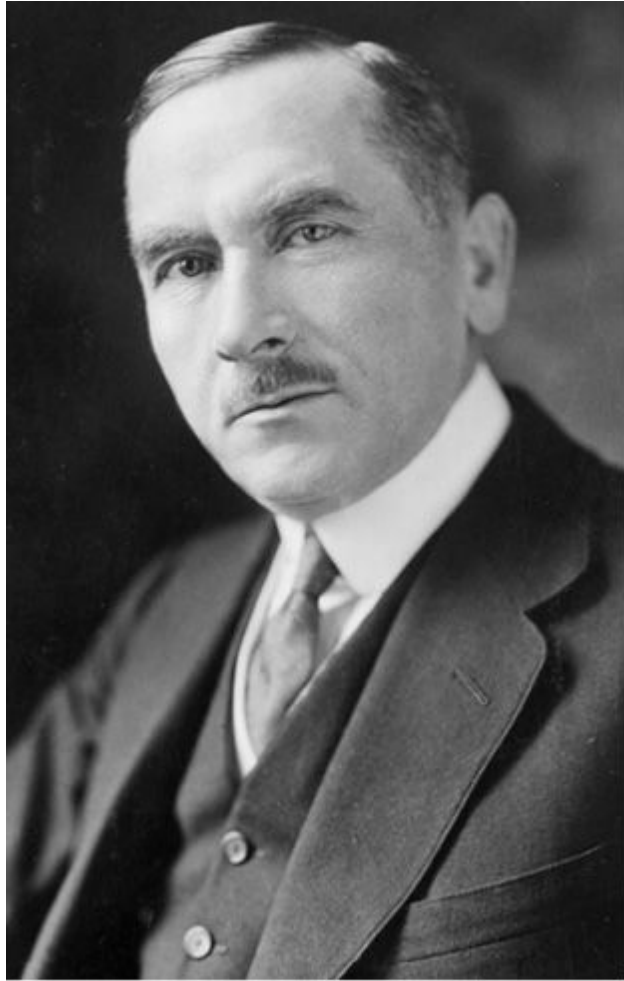
Maria Paszkowska



Leonarda Lewandowska



Józef Piłsudski



Roman Dmowski



Od prawej: Jadwiga z Eysmonttów Kunicka „Chimera”, Józef Piłsudski, Maria z Koplewskich Piłsudska, NN, Ignacy Mościcki (siedzi), rok 1904.



Wanda Juszkiewiczówna



Grób Wandy Juszkiewiczówny oraz tuż obok – jej babki Wandy Juszkiewicz.



Odślonięcie tablicy pamiątkowej ku czci Marszałka Józefa Piłsudskiego w domu, w którym mieszkał przy ul. Szlak 31 w Krakowie, rok 1929.



Szlak 31 – wewnątrz domu – drzwi do mieszkania w którym mieszkali Piłsudscy



W majątku Długoszowskich



Walery Sławek



Kazimiera Hlakowiczówna



Bronisław Piłsudski



Bronisław Piłsudski i Maria Żarnowska



Maria Dulębianka



Nagrobek Marii Piłsudskiej, Wilno rok 2017.

Spis treści

[Wstęp](#)

[Prolog](#)

[Jesień 1920. Dom na Szlaku](#)

[Wilno](#)

[Sąsiadka](#)

[Petersburg](#)

[Decyzje](#)

[Herbata](#)

[Warszawa](#)

[Z powrotem w Wilnie](#)

[Wizyty.](#)

[Uczucia](#)

[Miłość](#)

[Ziuk](#)

[Ślub](#)

[Łódź i „Robotnik”](#)

[Znowu w więzieniu](#)

[X pawilon Cytadeli Warszawskiej](#)

[W drodze](#)

[Londyn](#)

[Rodzina](#)

[Broniś](#)

[Zakopane](#)

[Co tu ludzi mieszkało!](#)

[Co tu ludzi bywało](#)

[Kraków](#)

[Dzielne kobiety.](#)

[Samotność](#)

[Czas próby.](#)

[Wojna](#)

[Brygadierowa Maria Piłsudska](#)

[Koniec wspólnej drogi](#)

[Wieczór](#)

[Przyjazd Józefa](#)

[Koniec](#)

[Karolina](#)

[Bibliografia](#)

[Podziękowania](#)

[Ilustracje](#)